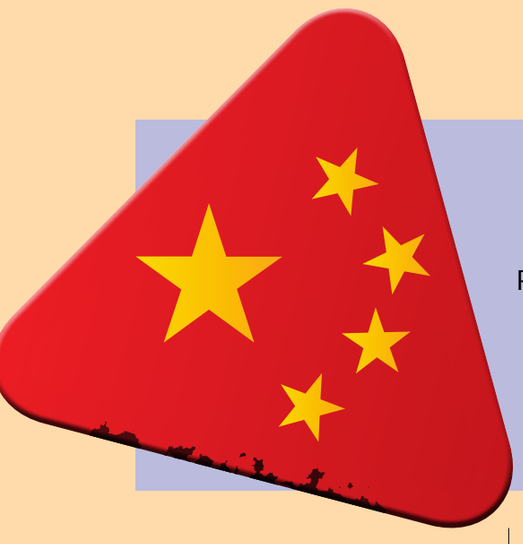

ŚLĄSKI KURIER WNET

Rachunek sumienia narodu

Polski rząd, zaślepiony pieniędzmi, którymi sypią Chiny, elektronicznymi gadżetami, obietnicami, że bez wysiłku Polska stanie się supermocarstwem, z dumą głosi, że jesteśmy bramą do Europy dla komunistycznego reżimu Chin. Nie wiem o żadnej polskiej partii, która by się temu sprzeciwiała i nawoływała do potępienia KPCh i jej wpływów w Polsce. **Maria Salzman** alarmuje i ostrzega.

WIELKOPOLSKI KURIER WNET

Manipulatorskie praktyki Google'a

Google kształtuje przekonania, postawy i zakupy miliardów ludzi na świecie, nie mówiąc o tym nikomu i nie pozostawiając materialnej ścieżki do prześledzenia. Używa technik manipulacji, które dotąd nie istniały w historii ludzkości, a ich efekty należą do największych odkryć w naukach behawioralnych – mówi psycholog **Robert Epstein** w artykule **Celiny Martini**.

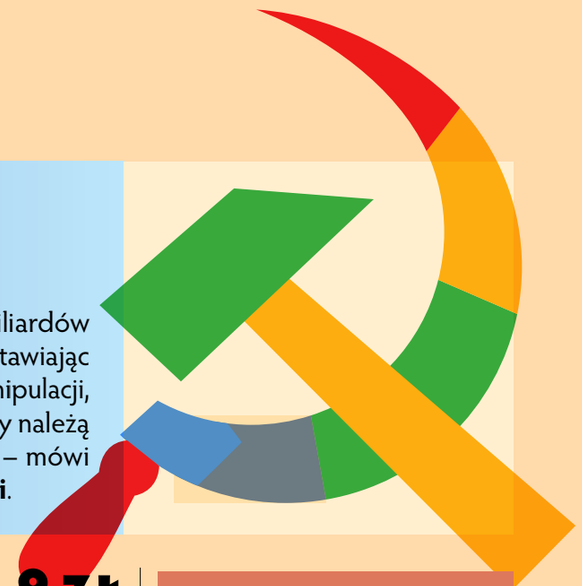

Nr 72
Czerwiec
2020

K·U·R·I·E·R

9 zł
w tym 8% VAT

WNET

GAZETA OGÓLNODZIENNA

Krzysztof Skowroński
Redaktor naczelny

Myślę, że następny „Kurier WNET" trafi do Państwa między pierwszą a drugą turą wyborów, bo opozycji nie uda się zmusić Jarosława Kaczyńskiego do kolejnego przesunięcia ich w czasie. Argumenty o niekonstytucyjności terminu czerwcowego, wsparte głosami samorządowców, że z nieznanego powodu nie zdążą wyborów przygotować, polane sosem zagrożenia pandemią i obawami, czy poczcie się uda i czy Polacy za granicą będą mogli głosować, brzmią jak zgrzyt styropianu o szybę. Opozycja dokonała wolty i pokazała, jak będzie postępować, kiedy przegra wybory. Zamierza podważać legalność władzy i jej decyzji. Strach pomyśleć, że kiedyś tę władzę przejmie.

Ale nie możemy być zdziwieni postawą grupy Borysa Budki. Oni wiedzą, że to jest moment nowego rozdania w polityce i gospodarce światowej. Premier Mateusz Morawiecki nieraz powtarzał, że po pandemii będziemy żyli w innej rzeczywistości. Decyzje polityków pokazują gospodarczy ład, w którym przypieczętowano nowy sposób podejścia do gospodarki i pieniądza. „Pieniądze nie stanowią problemu" – jest ich tyle, ile się chce. Można bezkarnie drukować i wlewać do gospodarki ich dowolne strumienie. Tysiące miliardów dolarów i nowych euro pojawią się na rynku, a dystrybucja ich będzie w rękach polityków i właścicieli banków. Federalna rezerwa przekroczyła oficjalnie próg giełdy na Wall Street, a Unia Europejska dała sobie zgodę na wypuszczenie obligacji, z teminem spłaty przesuniętym na następne pokolenia. Te decyzje budują nienazwany ład gospodarczy, w którym nieprodukcyjne centra tworzą infrastrukturę i decydują o tym, jakie sektory gospodarki będą się rozwijać, czyli kto i z jakiego powodu dostanie kasę. Ale nie kasa jest najważniejsza, tylko możliwość decydowania. Dystrybucja nowych pieniędzy będzie dwutorowa. Część pójdzie na uśmierzenie bólu, czyli ratowanie małych i średnich przedsiębiorstw, które i tak znikają w procesie tworzenia globalnego systemu, a reszta na wzmocnienie fundamentów i infrastruktury – zwłaszcza informatycznej – nowego ładu.

Jesteśmy po udanej próbie generalnej. Okazało się, że stosunkowo mała grupa ludzi jest w stanie zarządzać strachem. Próba zakończyła się sukcesem i wypuszczono nas z domów, wyraźnie mówiąc, że takie sytuacje będą się powtarzać. Przy następnej odsłonie system będzie przygotowany. Odpowiednie aplikacje, systemy pomiarów temperatury etc. umożliwią pełną kontrolę i kolejną fazę budowania ładu globalnego, z nowym rządem, już światowym. Nie wiadomo, kto miałby głos decydujący, ale wiemy, kto do tego aspiruje. Z jednej strony wielkie korporacje, a z drugiej największa światowa firma – komunistyczne Chiny. Ale dziś przy tym stoliku siedzi więcej graczy, w tym znienawidzony przez elity Donald Trump, a na mniejszą, bo europejską skalę – Jarosław Kaczyński czy Victor Orbán. I nienawiść elit do tych polityków nie jest pozorowana, bo żeby dogadać deal, trzeba sprowadzić świadomość i różnorodność indywidualistycznych społeczeństw Zachodu do wspólnego mianownika. Jest nim poprawność polityczna. Aby była zgoda, musi być Orwell.

Odpowiedź na pytanie, czy zrobimy krok w kierunku ideologicznego monopolu, czy zachowamy jeszcze przez jakiś czas nasz niedoskonały system pluralistyczny, poznamy, mam nadzieję, w drugą niedzielę lipca.

Media Prawdziwie Publiczne czy Nowy Świat

Lech Rustecki

Jest to tekst subiektywny, ale oparty na faktach, będący swoistą polemiką z tym, co ostatnio pojawiło się w mediach na temat umierającej Trójki i mającego narodzić się na jej popiołach Radia Nowy Świat. A wszystko z perspektywy Radia Wnet, które właśnie świętuje 11 rocznicę swojego powstania.

FOT. WOJCIECH SOBOLEWSKI

W majowym wydaniu miesięcznika „Press" bezpośrednio przed artykułem pt. *Trójki już nie ma* wydawca opublikował tekst pt. *Koncesje Wnet*. Nie dziwi mnie, że projekt Krzysztofa Skowrońskiego i jego nazwisko pojawiają się przy materiale o radiowej Trójce, ale nie jestem pewien, czy redaktorzy magazynu w ogóle zdają sobie sprawę z tej koincydencji.

W artykule o Trójce w „Press" nazwisko Krzysztofa Skowrońskiego nie pada ani razu. Nie pada również w okładkowym tekście w tygodniku „Sieci" (nr 22, 25–31 V) pt. *Nowy Świat na gruzach starej Trójki*, dotyczącym kulis afery w Programie 3 Polskiego Radia. Czytamy w nim, że wielkie media nie przedstawiły ani rzeczywistego przebiegu zdarzeń, ani prawdziwych intencji autorów skandalu, ani planowanego finału.

Marek Pyza i Marcin Wikło w tygodniku „Sieci" twierdzą, że wiele wskazuje na to, iżż gwiazdom Trójki chodziło o „sprowadzenie rozgłośni na dno, by utorować drogę Nowemu Światu, czyli nowemu radiu internetowemu, które powstaje z inicjatywy radiowców, którzy z Trójki odeszli lub zostali zwolnieni".

Również Radio Wnet zostało założone przez dziennikarzy radiowych, którzy odeszli w 2009 roku z Programu 3. Zrobili to w proteście przeciwko dyscyplinarnemu zwolnieniu Krzysztofa Skowrońskiego ze stanowiska dyrektora Trójki.

11 lat temu Polskie Radio i najważniejsza prasa informowały, że publiczna Trójka zanotowała najwyższy w historii badań wynik zasięgu dziennego (8,3%), a także stały wzrost udziałów w rynku (6,6%). Jeszcze lepiej przedstawiały się dane dotyczące grupy wiekowej 20–40 lat. Dyrektorem Trójki, który uzyskał te wyniki wraz ze swoim zespołem, był Krzysztof Skowroński. Zaczynał on karierę radiowca 19 lat wcześniej pod skrzydłami śp. Andrzeja Woyciechowskiego, twórcy autorskiego Radia Zet, gdzie przyszły założyciel Radia Wnet od razu zaczął prowadzić poranne wywiady polityczne, a następnie wymyślił i prowadził „Śniadanie w Radiu Zet" – nowy format polityczny w polskim eterze.

Kilka miesięcy po uzyskaniu przez rozgłośnię rekordowo dobrych wyników słuchalności Krzysztof Skowroński został dyscyplinarnie zwolniony, a jego miejsce w roli dyrektora Trójki zajęła Magdalena Jethon, dzisiaj wymieniania wśród zarządzających Radiem Nowy Świat, przygotowującym się do rozpoczęcia nadawania w internecie. Rozgłośnia ta gromadzi wokół siebie część osobowości radiowych, które w ostatnim okresie opuściły Program 3 PR lub zostały z niego zwolnione, oraz innych popularnych twórców, którzy mają w niej prowadzić swoje autorskie audycje.

Pyza i Wikło piszą, że „wygląda to jak od dawna planowana akcja, z której odpaleniem czekano tylko na sygnał", który ostatecznie dał Marek Niedźwiecki i jego asystent Bartek Gil dokonujący zmian na liście przebojów, by pierwsze miejsce zajęła na niej piosenka Kazika pt. *Twój ból jest lepszy niż mój*, co stwierdzono w rejestrach bazy danych na serwerze. „Ginę za Kazika" – napisał Gil w liście otwartym.

Wśród wspomnianych gwiazd Trójki autorzy wymieniają Wojciecha Manna – radiowca z najwyższym w Polsce kontraktem i udziałowca radia Złote Przeboje, Jana Chojnackiego, Magdalenę Jethon i Marka Niedźwieckiego. Mann, Chojnacki i Jethon założyli spółkę pod firmą „Ratujmy Trójkę". Autorzy tygodnika „Sieci" twierdzą, że nie zrobili tego sami, bo najwięcej udziałów (30 proc.) w tej spółce ma Piotr Jedliński, „słuchacz, który zostaje też formalnie prezesem spółki (gorliwy krytyk rządów PiS i zdeklarowany fan Szymona Hołowni)".

Radio Wnet narodziło się 25 maja 2009 roku i wtedy sytuacja wyglądała pod niektórymi względami podobnie, ale tylko z pozoru. Założycielem i liderem Radia Wnet był zwolniony z pracy w Trójce dyrektor Krzysztof Skowroński. Do powstania rozgłośni przyczyniła się wielka energia Katarzyny Adamiak-Sroczyńskiej i językowe wyczucie Grzegorza Wasowskiego. Pierwszymi Rycerzami Wnet byli Jerzy Jachowicz i Wojciech Cejrowski. I to tylko część osób, które odeszły wtedy z Trójki ze Skowrońskim, protestując przeciwko jego bezprawnemu zwolnieniu, co potwierdził potem sąd pracy, przyznając odszkodowanie, które na pewno nie przeszkodziło w powstaniu Radia Wnet. Dzisiaj Radio Wnet nadaje z kilkunastu zewnętrznych studiów w Polsce i za granicą, a może nadawać z każdego miejsca na ziemi na żywo, na UKF i w internecie.

Maciej Kozielski w artykule *Koncesje Wnet* w magazynie „Press" pisze, że według badania Radio Track, Radia Wnet słuchało kilkadziesiąt tysięcy osób każdego dnia w pierwszym kwartale 2020 roku. Autor w tekście, który bardziej dotyczy rynku radiowego niż Radia Wnet, nie wspomina nawet, że Radio Track to jedyne badanie słuchalności radia w Polsce; że narzekają na nie szczególnie mniejsze rozgłośnie, które twierdzą, że przyjęta metodologia jest powodem niedoszacowania wyników udziału w czasie słuchania i zasięgu dziennego.

Zresztą mało kto wie, że badanie Radio Track jest prowadzone przez Kantar Millward Brown na zlecenie Komitetu Badań Radiowych (KBR), czyli podmiotów konkurencyjnych w stosunku do m.in. Radia Wnet (Eurozet, Grupa Radiowa Agory, Grupa RMF i TIME SA), które wspólnie wypracowały model tego badania.

W danych zaprezentowanych w internecie przez KBR możemy wyczytać, że Radio Wnet od października 2019 roku do końca marca 2020 r. miało 0,6% udziału w czasie słuchania, plasując się na poziomie Radia Warszawa oraz publicznych rozgłośni PR24 i RDC. Taki sam wynik rozgłośnia zanotowała w Krakowie, gdzie programu Radia Wnet można słuchać dopiero od listopada 2018 roku. Warto zauważyć, że z informacji dotyczącej próby badanej w każdym z miast wynika, iż średnia miesięczna liczba osób, które opowiadały o sobie i mówiły, jakich rozgłośni i ile czasu słuchały poprzedniego dnia, wyniosła w tym okresie 415 ankietowanych w Warszawie i 326 badanych w Krakowie.

Tymczasem w tym samym okresie stronę www.wnet.fm odwiedziło ponad pół miliona tzw. unikalnych użytkowników, a wywiady radiowe publikowane na kanale rozgłośni w serwisie YouTube zostały obejrzane przez 1,8 mln unikalnych widzów, z których każdy wysłuchał przynajmniej 5 rozmów, co dało łącznie blisko 10 milionów wyświetleń w pierwszym kwartale 2020 roku.

W najbliższym czasie ma pojawić się nowy typ badania, w którym – przy wykorzystaniu nowoczesnych technologii rozpoznawania treści i monitorowania aktywności w internecie – będą jednocześnie badane zasięgi radia, telewizji i mediów internetowych. Nowe badanie powstaje w ramach Programu Telemetria Polska, który zakłada panel telemetryczny oparty na 26 tys. respondentów. Pomiar obejmie korzystanie z wymienionych wyżej mediów w domu, jak i na urządzeniach przenośnych, a uczestnicy badania nie będą musieli wysilać pamięci i popełniać błędów, przypominając sobie, jakich rozgłośni słuchali i w jakim czasie.

W badaniu Radio Track Radio Wnet zaczęło się pojawiać jakiś czas po rozpoczęciu całodobowego nadawania na UKF w listopadzie 2018 roku. 11 lat temu było trochę inaczej. Pierwsze dwa tygodnie Radia Wnet okazały się telewizją. Taras Hotelu Europejskiego, pięć kamer i regularny program telewizyjny. Twórcy medium, szybko skonfrontowani z rzeczywistością ekonomiczną, zamienili wielkoformatową telewizję na coś, co nazywali „reportażem Wnet".

To były inne czasy. W listopadzie 2009 roku YouTube, który istniał dopiero od kilku lat, wprowadził możliwość publikowania filmów w rozdzielczości HD 1080p. Programy Radia Wnet były wtedy nadawane na żywo w formie audiowizualnej za pomocą własnego serwera i bez możliwości późniejszej publikacji nadawanego materiału. Idea Wnet stawała się jednak coraz popularniejsza i Radio Wnet miało coraz więcej zwolenników i publiczności. Dumnie i w pełni prawnie posługiwało się hasłem „Media Prawdziwie Publiczne".

Znacząca zmiana w historii Radia Wnet nastąpiła wtedy, gdy zaczęło być prawdziwym radiem. To stało się w styczniu 2010 roku. Wtedy pojawił się Poranek Wnet na falach gościnnego Radia Warszawa. Od lutego 2010 roku Poranek Wnet był transmitowany również przez Radio Nadzieja. Na falach Radia Warszawa można było też w każdą sobotę o godzinie 10.07 wysłuchać Programu Wschodniego, prowadzonego przez Wojciecha Jankowskiego – obecnie ważnego współpracownika „Kuriera Galicyjskiego". Razem z Porankami Wnet ruszyła Wolna Antena – audycje autorskie prowadzone przez kilkudziesięciu autorów.

Tak jak dla całej historii III Rzeczpospolitej, i dla Radia Wnet datą najważniejszą był 10 kwietnia 2010 roku. Krakowskie Przedmieście, Pałac Prezydencki i wszystkie zdarzenia widzieli przez okno studia, które znajdowało się w Hotelu Europejskim.

Od października 2011 r. funkcjonują Spółdzielcze Media Wnet.

26 maja 2012 roku Radio Wnet świętowało trzecie urodziny.

Po wakacjach 2012 roku, 22 września, odbył się pierwszy Jarmark Wnet. Do wyborów samorządowych, wygranych w Warszawie przez Platformę Obywatelską, Jarmarki Wnet odbywały się każdej soboty na miejskim terenie, a ich hasłem było: „Uratuj rolnika, uratuj samego siebie". Przed Wielkanocą br. miały powrócić w nowej formule na warszawską Pragę, ale wprowadzenie stanu zagrożenia epidemicznego to uniemożliwiło.

6 października 2012 r. powstała Akademia Wnet.

Dokończenie na str. 2

...a już od 2 lipca
„Kurier WNET" na papierze!

Sprzedaż e-wydania i jego prenumerata:
• e-kiosk.pl • egazety.pl • nexto.pl

Bezpłatne archiwalne numery „Kuriera WNET" są na stronie: www.issuu.com/radiownet

Jeżeli korzystasz z darmowego elektronicznego wydania KW 72/2020, prosimy o darowiznę na konto:
57 2490 0005 0000 4530 3150 3589 (WNET Sp. z o.o.)

Polskie kurioza
Zmiana przez partie kandydatów na prezydenta w trakcie kampanii politycznej i inne zjawiska polityczne spotykane tylko w Polsce. **Zbigniew Kopczyński**
2

Rola Chin na globalnej scenie
Nie należy stwarzać polityki strachu przed Chinami, bo kraj ten jest słabszy i bardziej wrażliwy, niż sugeruje to jego propaganda. **Mirosław Matyja**
4

„Trujka" jako dystrybutor prestiżu
Jak odręczne ustawianie list przebojów w Trójce jako zasada działania tej rozgłośni kształtowało gusty muzyczne i kariery gwiazd rocka. **Andrzej Jarczewski**
5

Rozbity kryształ
W filmach Zanussiego bohater musi zaprzeć się swoich ideałów. To główna zasada kina moralnego niepokoju i wyraz złamanego sumienia reżysera. **Paweł Zastrzeżyński**
8

Dno
Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec… Wbrew tym słowom zrujnowano wszystko, co od czasów II RP zbudowano na Półwyspie Helskim. **Stefan Truszczyński**
16-17

O moralnej sprawczości czynu
Człowiek każdym czynem zmienia otoczenie. Karol Wojtyła uważał, że równie ważny jest wpływ każdego czynu na osobowość sprawcy. Teresa Grabińska
17

Bałkańskie wspomnienia „psa wojny" cz. II
Ja też strzelałem do ludzi, nawet brałem za to pieniądze, ale ot tak rozwalać cywilów strzałem w głowę, to nie to samo. **Johny B.**
19

ISSN 2300-6641
9 772300 664008 06
ind. 298050

Rozpisane na 10 maja wybory prezydenckie nie zostały przeprowadzone ani odwołane. ▼ W wyborczym wyścigu „prawdziwą prezydent" Małgorzatę Kidawę-Błońską zastąpił Rafał Trzaskowski. ▼ „Chcę Polski, w której bezpartyjny prezydent powierza misję utworzenia rządu Trzaskowskiemu czy Kosiniakowi-Kamyszowi" – wyznał przedstawiający się na co dzień jako kandydat niezależny Szymon Hołownia. ▼ Prezydent Duda podpisał nową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego. ▼ Sędzia Zaradkiewicz nie dał rady Sądowi Najwyższemu. ▼ Małgorzata Manowska stała się I prezesem SN. ▼ Spece od czarnego PR podjęli się zadania zmiany wizerunku Łukasza Szumowskiego z zapracowanego ministra zdrowia na przemytnika i maseczkowego oszusta. ▼ Liczba nowych zakażeń w kraju na covid-19 nie zechciała się zmniejszyć. ▼ Przy zachowaniu zaostrzonych zasad higienicznych i tzw. dystansu społecznego, obliczanego wg trudnego do rozgryzienia algorytmu, Polacy i większość Europejczyków mogli powrócić do świątyń, zakupów w supermarketach, wizyt w restauracjach czy u fryzjera. A w ramach tzw. IV etapu odmrażania gospodarki zniesiono ponadto dalsze obostrzenia, w tym obowiązek zasłaniania ust i nosa na wolnym powietrzu. ▼ Czwarty pakiet ustaw, zwany tarczą antykryzysową, przyniósł wakacje kredytowe dla konsumentów, osłony finansowe dla samorządów, dopłaty do oprocentowania kredytów bankowych dla przedsiębiorców oraz ochronę polskich firm przed wrogim przejęciem przez podmioty spoza UE. ▼ Komisja Europejska przepowiedziała Polsce najniższą spośród państw UE recesję (-4,3 PKB), w porównaniu do oczekiwanych dwucyfrowych spadków produktu krajowego brutto we Francji, Hiszpanii i Włoszech. ▼ Liczba aktywnych firm w Polsce (2,46 mln) w maju okazała się równa ich liczbie na początku br. ▼ Tzw. ekologiczne ule dla 120 tysięcy pszczół pojawiły się na dachach budynków w Katowicach. ▼ Archeolodzy pracujący na Rynku Łazarskim w Poznaniu stwierdzili, że handel kwitł tam „od zawsze". ▼ W wyniku poważnego konfliktu wokół rozrywkowego programu *Lista Przebojów Programu III*, jego twórca – Marek Niedźwiecki (66 l.) – manifestacyjnie przeszedł do utworzonego przez Magdalenę Jethon (68 l.) i Wojciecha Manna (72 l.) Radia Nowy Świat. ▼ TVN pokazał film traktujący o pedofilii w Kościele katolickim, a TVP – wśród celebrytów. ▼ W sieci opublikowano nagranie ze składanymi w 2019 roku pod przysięgą zeznaniami pracowników korporacji Planned Parenthood, w którym przyznają się do handlu organami pobranymi z ciał abortowanych dzieci. ▼ *Spiritus movens* warszawskiego Ruchu Światło-Życie, ks. Piotr Urbanowski, odszedł do Pana. ▼ Minęło 80 lat od chwili, kiedy w kalifornijskim San Bernardino bracia Richard i Maurice McDonald otworzyli swoją pierwszą restaurację. ▼ Cena złota odnotowała siedmioletnie maksyma. ▼ W myśl zasady, że nic nie spaja związku bardziej niż wspólne długi, prezydent Francji i kanclerz Niemiec zaproponowali państwom członkowskim Unii emisję euroobligacji o wartości pół biliona euro. ▼ Poinformowano, że w ciągu dwóch ostatnich miesięcy światowej pandemii majątek założyciela Facebooka Marka Zuckerberga powiększył się o 30 mld dol. ▼

Maciej Drzazga

„Jarosław Kaczyński wygląda na razie na faceta, który rozdaje karty. On rozdaje karty, inni grają w tę grę, w którą on każe grać, i nie widać nikogo innego, kto by powiedział: Dobra, dziadku, idź do swojego Sulejówka, my będziemy teraz tutaj się bawili" – zdradził swoją ocenę polskiej sceny politycznej redaktor Robert Mazurek.

Tempo wydarzeń politycznych jest tak duże, wydarzenia tak zaskakujące, że trudno pokusić się o przewidywanie nawet najbliższej przyszłości. Można jedynie komentować to, się co już wydarzyło, i to z wyraźnym zastrzeżeniem, że dotyczy to stanu na dziś.

Polskie kurioza

Zbigniew Kopczyński

A dziś mamy sytuację taką, że wiadomo jedynie, iż wybory nie odbyły się 10 maja, w terminie przewidzianym przez odpowiednie przepisy. Kiedy się odbędą, tego nikt jeszcze nie wie. Wiadomo natomiast, że zabawa z ich terminem stworzyła sytuację kuriozalną.

W wielu demokratycznych bez wątpienia krajach rządzący mają pewien profit, polegający na tym, iż w pewnych granicach mogą ustalać terminy wyborów, a nawet sposób ich organizowania. Zasady są różne: od amerykańskich, gdzie dzień wyboru prezydenta jest ściśle określony, do na przykład brytyjskich, gdzie wprawdzie nie wybiera się głowy państwa, ale w najważniejszych tam wyborach parlamentarnych premier może w bardzo szerokich granicach określić ich termin, odpowiednio korzystny dla partii rządzącej, a poza tym ustalić granice okręgów wyborczych, co też ma istotny wpływ na wynik, szczególnie w ordynacji jednomandatowej. Polska plasuje się bliżej systemu amerykańskiego, a ogłaszający wybory prezydenckie Marszałek Sejmu ma dość wąskie granice manewru, sprowadzające się do w zasadzie kilku dni do wyboru. Jednak wskutek determinacji jednego z koalicjantów, w Polsce zdarzyła się rzecz niespotykana. Otóż rządzący zmienili termin wyborów na korzystny dla opozycji. Bardzo altruistyczna postawa, wręcz kandydat do nagrody Fair Play.

Jaki długofalowy cel przyświecał Jarosławowi Gowinowi, dalibóg nie dam rady dociec. O ile na początku marca można było obawiać się wybuchu epidemii na dużą skalę, o tyle w połowie kwietnia wiadomo było, że wzrost zachorowań został dość skutecznie przyhamowany. Jeśli lider Porozumienia chciał przejść do historii jako ojciec kompromisu, to wykazał się polityczną naiwnością. Od lat opozycja udowadnia, że nie interesują jej kompromisy ani rozwiązanie problemów, lecz jedynie bezwarunkowe przekazanie jej władzy. Opozycja na ten niespodziewany bonus zareagowała klasycznie. Niezmiennym od 2005 roku jej motywem jest krytyka wszystkich posunięć rządzących i działanie według reguły „wszystko odwrotnie niż PiS". I tak, jeśli PiS dążył to zainstalowania systemu antyrakietowego, Platforma z niego zrezygnowała. Gdy PiS dążył do solidarności energetycznej Unii Europejskiej i wspólnych zakupów gazu, aby uniezależnić się od dyktatu Rosji, rząd PO-PSL akurat zawarł partykularną umowę uzależniającą nas od rosyjskiego dostawcy na długie lata, ku bezgranicznemu zdumieniu Brukseli. Tak było i tym razem. Wszyscy słyszeliśmy histeryczne oskarżenia o dążenie do przeprowadzenia wyborów choćby po trupach wyborców, a natychmiast po odroczeniu głosowania nastąpiła zmasowana krytyka rządzących za to, że nie przeprowadzili wyborów w konstytucyjnym terminie.

Wróćmy jednak do kuriozów. Wraz z przesunięciem terminu opozycja zyskała dodatkowy bonus w postaci możliwości wystawienia rezerwowego kandydata, z czego skrzętnie skorzystała, unikając tym samym pewnej kompromitacji. A to już jest kuriozum na skalę światową. Oczywiście formalnie odbędą się nowe wybory, natomiast faktycznie są to cały czas te same, gdzie słabo spisującą się zawodniczkę, której notowania schodziły do poziomu wysokości oprocentowania lokat, zastąpił świeży i wypoczęty napastnik. Jest to oryginalny Polski wkład w demokratyczne standardy wyborcze.

Tak jak 100 lat temu Polska była jednym z pierwszych krajów, które dały prawo wyborcze kobietom, tak teraz znów jest niepodważalnym pionierem w stanowieniu nowych standardów. Ewolucja prawa wyborczego może przebiec podobnie do ewolucji przepisów piłkarskich. Tam też konserwatywne towarzystwo, decydujące o zasadach gry, długo nie dopuszczało możliwości żadnych zmian w czasie meczu. Doskonale pamiętam te czasy. Złamali ci nogę? Trudno, drużyna gra w dziesiątkę. Później wprowadzono możliwość najpierw jednej, dwóch zmian, teraz trzech, a coraz częściej mówi się o pięciu. Jeśli to samo przyjmie się w prawie wyborczym, cała kampania nabierze nowego tempa i nowych kolorów. Przestanie być nudnym powtarzaniem tych samych haseł przez tych samych kandydatów. Decydować będzie długość ławki rezerwowych poszczególnych komitetów wyborczych. I najważniejsza, strategiczna decyzja każdego komitetu: kogo i kiedy wpuścić na ostatnią prostą? Kolejnym etapem mogą być transfery kandydatów z komitetu do komitetu. Warto o tym pomyśleć.

Ze sporym rozbawieniem mogliśmy wysłuchiwać wypowiedzi liderów Platformy Obywatelskiej do wczoraj zachwalających Małgorzatę Kidawę-Błońską jako najlepszą kandydatkę i prawdziwego prezydenta, a dzisiaj z tym samym zapałem przekonują nas, że to właśnie Rafał Trzaskowski jest bardziej najlepszym kandydatem i będzie jeszcze prawdziwszym prezydentem. Przy okazji zobaczyliśmy, jak wygląda praktyczna demokracja wśród niezłomnych obrońców demokracji. Kandydatura Małgorzaty Kidawy-Błońskiej to wynik wygrania przez nią prawyborów, w których głosować mogli wszyscy członkowie partii. Kiedy jednak nie spełniła oczekiwań, ktoś z partyjnych decydentów, oficjalnie Zarząd, skorygował wynik tych prawyborów. Członkowie partii dowiedzieli się o tym z mediów. Jakoś kojarzy mi się to z czasami demokracji ludowej.

Innym kuriozum na skalę światową jest odbywające się właśnie w Warszawie Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego. Największe tuzy polskiego prawa, *crème de la crème* polskiego sądownictwa, nie potrafią w ciągu, jak na razie, trzech dni po 8–9 godzin obrad przyjąć porządku ani wyłonić komisji skrutacyjnej. Trudno to skomentować inaczej niż słowami Wojciecha Cejrowskiego: „Wszyscy won!".

Ten stan rzeczy tłumaczony jest nieudolnością prowadzącego obrady. Jednak każdy, kto choć raz brał udział w jakimkolwiek zgromadzeniu, wie, że nawet przy skrajnie nieudolnym prowadzącym można w ciągu znacznie krótszego czasu przyjąć porządek obrad i wybrać komisję skrutacyjną. O ile nie ma chęci obstrukcji. A w Sądzie Najwyższym jest. Jedno, co udało się zgromadzonym sędziom przegłosować, to dopuszczenie mediów. Pewnie w nadziei, że Polacy zobaczą bohaterską obronę praworządności przed dyktatorskimi zapędami p.o. I prezesa, jak i jego nieudolność. No i zobaczyliśmy. Pana sędziego roztrząsającego kwestię dezynfekcji sali, panią sędzię (Sądu Najwyższego!) niepotrafiącą sobie poradzić z zakreśleniem kółeczka przy nazwisku. I ta sędzia decyduje o ludzkich losach, wydając ostateczne wyroki i tworząc normy prawne.

Oczywiście sędziowie Sądu Najwyższego nie są półgłówkami. Stosują jawną obstrukcję, naciągając procedury i robiąc z siebie idiotów po to, by dotrwać do końca kadencji Andrzeja Dudy. Kieruje nimi nadzieja porażki obecnego prezydenta i mianowania odpowiedniego dla nich I prezesa przez jego następcę. I za to paraliżowanie Sądu Najwyższego dla politycznych rozgrywek – „Wszyscy won!".

Zadajmy sobie pytanie, czy taka sytuacja byłaby możliwa w innym kraju Unii o niekwestionowanej praworządności, na przykład w Niemczech, najbardziej troszczących się o polskie sprawy? Pytanie jest oczywiście retoryczne, a odpowiedź jednoznaczna: nie. A to z tego powodu, że w Niemczech sędziów wybierają tylko i wyłącznie politycy. Politycy również decydują o tym, kto kieruje sądami. Sędziowie o tych decyzjach dowiadują się po ich podjęciu; czasami wcześniej, a czasami później od dziennikarzy. Wybór sędziów przez sędziów jest tam pojęciem nieznanym. Tak samo jak immunitet sędziowski. Ale to już zupełnie inny temat.

Dokończenie ze str. 1

11 lat później

Media Prawdziwie Publiczne czy Nowy Świat

Lech Rustecki

Maciej Kozielski w „Press" pisze o tym, że w 2012 roku Tok FM, podobnie jak Radio Wnet teraz, w jednym postępowaniu dostał siedem częstotliwości: w Elblągu, Gorzowie Wielkopolskim, Kielcach, Lublinie, Płocku, Radomiu i Toruniu, a w następnych latach KRRiT umożliwiła stacji nadawanie również w kolejnych miastach. Nie wspomina jednak, że w przypadku Radia Wnet nie było to jedno postępowanie, ale siedem oddzielnych konkursów koncesyjnych. Nie zauważa również mocy przyznanych nadajników, które w przypadku rozgłośni Krzysztofa Skowrońskiego są wielokrotnie słabsze niż konkurencji. Radio Wnet wstępuje więc do ligi rozgłośni ponadregionalnych jako zawodnik już na starcie osłabiony.

W czerwcu 2013 roku wyszedł numer zerowy największej niecodziennej gazety, „Kuriera WNET". Redaktorem naczelnym pierwszych dwóch numerów była Katarzyna Adamiak-Sroczyńska. W październiku 2014 roku Media Wnet wprowadziły się do Budynku PAST-y, zarządzanego przez Fundację Polskiego Państwa Podziemnego i Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej. Powstawały też kolejne odsłony portalu Wnet. W kwietniu 2017 ruszył czwarty – pierwszy pod nowym adresem wnet.fm.

Andrzej Mielimonka, prezes należącej do Grupy RMF spółki Multimedia, twierdzi w artykule w „Press", że projekt, jakim jest Radio Wnet, jest nie do utrzymania, ponieważ w treści ogłoszenia określona jest 30-procentowa ilość słowa, a w takiej sytuacji nie ma sensu w projekt radiowy wchodzić.

Mimo to Radio Wnet nadaje już od 11 lat. Dzień 25 maja 2009 r. jest z początkiem niesamowitej przygody, która trwa do dziś. To, co udało się osiągnąć w przeciągu tego czasu, jest niewątpliwie krokiem milowym. Radio Wnet to około 40% ciekawego słowa i 60% dobrej, różnorodnej muzyki, z dużym odsetkiem utworów słowno-muzycznych w języku polskim.

Przez Redakcję Wnet przewinęło się kilkadziesiąt osób. Do prowadzących Poranki należeli: Katarzyna Adamiak-Sroczyńska, Grzegorz i Monika Wasowscy, Jerzy Jachowicz, Dariusz Rosiak, Krzysztof Feussette, Piotr Gociek, Łukasz Warzecha, Wojciech Jankowski, Piotr Dmitrowicz i Witold Gadowski. Teraz Poranki prowadzą Krzysztof Skowroński, Magdalena Uchaniuk i Łukasz Jankowski. Informacje i publicystykę oferują przez cały dzień, również w „Kurierze w samo południe" oraz w paśmie popołudniowym i wieczornym.

Społeczność radia to nie tylko osoby, które tworzą ramówkę; to przede wszystkim Krąg Przyjaciół Radia Wnet, bez wsparcia którego trudno byłoby rozwijać wspólne dzieło.

Niedługo będzie można Radio Wnet usłyszeć we Wrocławiu (od 1 lipca), Białymstoku, Szczecinie, Lublinie, Bydgoszczy i Łodzi. W czasie pandemii nadaje z kilkunastu studiów: studia „matki" w budynku PAST-y, Studia Prawy Brzeg, Studia Ochota, Podkowa, Warmia, Polesie, Skansen pod Warszawą, Zwycięzców; studia w Krakowie i Wrocławiu, Studia 37 w Dublinie, Studia Londyn i Studia Dziki Zachód w Arizonie; Studia Los Angeles, Studia Bejrut, Wilno i Lwów. W każdym z tych miejsc powstają i są z nich nadawane na żywo audycje w jakości radiowej. Do profesjonalnych dziennikarzy dołączyli słuchacze, którzy stali się radiowymi reporterami. Dzięki temu na antenie pojawiają się informacje z pierwszej ręki z każdego miejsca na ziemi.

W Radiu Wnet od 11 lat działa z mocą twórcza siła, świeżość i otwartość na bieżące wyzwania, umiejętność korzystania z najnowszych technologii, poczucie misji dziennikarskiej i więzi ze słuchaczami. Wyrazem tych ostatnich cech Radia Wnet jest m.in. uruchomienie Solidarnościowej Akcji Radiowej, która wspiera darmową reklamą małe rodzinne firmy, producentów, sprzedawców, małe wydawnictwa, księgarnie, studyjne kina, teatry, akcje charytatywne i inicjatywy społeczne.

Poprosiłem Krzysztofa Skowrońskiego o komentarz do sytuacji w radiowej Trójce i narodzin Radia Nowy Świat w kontekście 11-letniej historii Radia Wnet. Jak zwykle nie miał czasu, ale zdążył powiedzieć, że wszystko najlepsze, czego się nauczył w autorskim Radiu Zet od 1990 roku, wniósł do Trójki, a wszystko najlepsze, czego się nauczył w Programie 3, przeniósł do Radia Wnet.

Liczyłem, że powie coś więcej, ale musiał kończyć, bo zaraz wchodził na antenę. W takim razie niech za podsumowanie tego tekstu posłuży cytat z jednego z ostatnich posiedzeń senackiej komisji kultury, na którym Michał Nogaś, dziennikarz, który od dawna już w Trójce nie pracuje, ale pracował w czasie, gdy dyrektorem tego programu był Krzysztof Skowroński, powiedział: „Zniszczyliście miejsce, markę i przejdziecie do historii jako grabarze tego radia. To się nikomu wcześniej nie udało, bo wszyscy zachowywali pozory, a Krzysiek Skowroński, który był naszym dyrektorem za pierwszych rządów PiS-u, zrobił coś zupełnie innego. On poszedł z nami pod rękę. Myśmy mu zaufali, i gdyby nie różne sytuacje, o których teraz nie ma sensu mówić, przeszedłby do historii radia prawdopodobnie jako jeden z najwybitniejszych dyrektorów, bo on kochał, rozumiał radio, szanował zespół, zainwestował w młodych. Wy żeście wszystko zniszczyli. Do pnia wycięliście wszystko, co było Trójką".

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

K·U·R·I·E·R WNET
GAZETA NIECODZIENNA

Redaktor naczelny Krzysztof Skowroński
Sekretarz redakcji i korekta Magdalena Słoniowska
Redakcja Maciej Drzazga, Tomasz Wybranowski

Libero i wydawca Lech R. Rustecki
Stała współpraca Paweł Bobołowicz, Piotr Bobołowicz, Jan Bogatko, Wojtek Pokora, Piotr Witt Zbigniew Stefanik, Piotr Sutowicz
V Rzeczpospolita Jan Kowalski

Projekt i skład Wojciech Sobolewski
Dział reklamy reklama@radiownet.pl
Dystrybucja własna – dołącz! dystrybucja@mediawnet.pl

Adres redakcji ul. Zielna 39 · 00-108 Warszawa redakcja@kurierwnet.pl
Wydawca Spółdzielcze Media Wnet/ Wnet Sp. z o.o.
Informacje o prenumeracie prenumerata@kurierwnet.pl

Nr 72 · CZERWIEC 2020
ISSN 2300-6641
Data i miejsce wydania Warszawa 30.05.2020 r.
Nakład globalny 10 000 egz.
Druk ZPR MEDIA SA

ISSN 2300-6641 06
9 772300 664008
ind. 298050

PIOTR WITT

Największa afera polityczna – chlorochina

Lepiej, żebyście nie wiedzieli, jak robi się parówki i politykę – mówił Winston Churchill, który znał temat. Istotnie, przyglądając się kuchni politycznej przez lata, trudno jest opanować mdłości.

Nie kłam, nie kradnij, a nawet nie zabijaj – wszystkie przykazania boskie i ludzkie są gwałcone, kiedy toczy się walka o stanowiska polityczne i o przeżycie partyjne. To nie Machiavelli ani Clausewitz dają wierny opis gry politycznej, lecz Darwin: silniejszy pożera słabszego – krokodyl kozę nad Nilem, sokół królika w niebiosach, deputowani siebie nawzajem w parlamencie.

Według statystyk ponad 70% społeczeństwa francuskiego jest niezadowolone z obecnych rządów. Mówicie: demokracja to są rządy większości. Popatrzcie zatem, jakich sposobów należy się chwytać w demokracji, aby mniejszość mogła mimo wszystko rządzić większością.

Punkt pierwszy. Po długim okresie niepewności termin wyborów do miast francuskich został podany do wiadomości podczas weekendu Wniebowstąpienia. (W odróżnieniu od Polski, gdzie obchodzi się wiele świąt kościelnych zniesionych we Francji, tutaj święto Wniebowstąpienia zostało zachowane). Rząd, zdawałoby się, nie ma szans dotrwania do następnych wyborów w 2022 roku, ale usiłuje jak najdłużej utrzymać się przy władzy, a przede wszystkim powstrzymać ucieczkę zwolenników do innych partii. Partia prezydencka utraciła większość w Parlamencie wraz z odejściem pięćdziesięciu deputowanych. Partia ta doszła do władzy bez programu, albo raczej nie afiszując się ze swymi zamiarami. (Program poznamy W Marszu). Ta sytuacja ma dobre strony – przede wszystkim nie wiąże rządu obietnicami wyborczymi. Korzystna jest również dla jego zwolenników: nie wymaga deklarowania poglądów. Obojętne, z lewicy czy z prawicy, jest się po stronie zwycięzców. Ale ten kij ma dwa końce. Jeżeli tworzycie partię z deputowanych bezideowych, kierujących się tylko względami koniunkturalnymi, to przy najmniejszym zachwianiu równowagi politycznej natychmiast was opuszczą, gdy tylko zorientują się, że przy was nie mają przyszłości. Takie zapewne było rozumowanie pięćdziesięciu secesjonistów.

Jak partia rządząca ma postępować obecnie, żeby przedłużyć trwanie u władzy?

Niezadowolenie z rządu, które zarysowało się w końcu 2018 r. wraz z wystąpieniem żółtych kamizelek, osiągnęło finał przed Bożym Narodzeniem 2019 r. Rząd i partia rządząca były oskarżane o sprzeniewierzenie się jednej z podstawowych zasad Republiki, wypisanej nad bramą każdego merostwa, urzędu i szkoły publicznej – zasadzie równości. Z jednej strony fortuny liczone w dziesiątki miliardów euro, tajne, rosnące konta w rajach podatkowych, wszelkie formy ucieczki fiskalnej tolerowane przez rząd i Komisję Europejską, z drugiej – postępująca pauperyzacja coraz szerszych warstw społeczeństwa, szalejące bezrobocie, inkwizycja podatkowa dla biednych i średniaków.

Zupełnie nowe elementy pojawiły się wraz z wybuchem i przebiegiem epidemii. Im dłużej trwała zaraza, tym ostrzej rząd był krytykowany z powodu zaniedbań, złego zarządzania kryzysem, szkodliwych decyzji.

Teraz rząd robi wszystko, aby oczyścić się z zarzutów. Jeden z głównych stanowi zorganizowanie I tury wyborów do miast w sytuacji ostrego kryzysu sanitarnego, który w rezultacie kosztował życie niejednego deputowanego i nie wiadomo ilu wyborców. Tę pierwszą turę partia rządząca przegrała, ale nie ze wszystkim. W głównych miastach utrzymali się jej przedstawiciele albo akolici. Ale wówczas, 15 marca, nie były jeszcze znane błędy popełnione w zarządzaniu kryzysem. Wybory parlamentarne i prezydenckie dopiero za dwa lata, jest czas na podreperowanie opinii. Gdyby odbyły się dzisiaj, huragan zmiótłby ze sceny politycznej przedstawicieli partii rządzącej. Ba! Jeśliby w polityce kierowano się uczciwością i zdrowym rozsądkiem, a nie interesami stronniczymi, to I tura wyborów do miast powinna być zorganizowana na nowo. Nie będzie. Wyniki I tury są zatwierdzone i utrzymane w mocy. Partia rządząca uniknęła tsunami politycznego.

Punkt drugi. Podejrzliwi twierdzą, że data otwarcia kościołów i zezwolenie na odprawianie nabożeństw – 23 maja – została wybrana ze względu na zakończenie Ramadanu poprzedniego dnia wieczorem. Przy muzułmanach skorzystali i katolicy.

Zamysł polityczny miał decydować również przy ustalaniu daty II tury wyborów do miast. Bliski termin 28 czerwca, przy zachowaniu środków bezpieczeństwa sanitarnego, wyklucza prowadzenie kampanii wyborczej. Kandydaci nie mają fizycznych możliwości zaprezentowania wyborcom swoich programów i swoich twarzy. W tych warunkach największą szansę ma partia rządząca, która mimo wszystko może liczyć na większą niż inni przychylność mediów. Rokowania odnośnie do rezultatów II tury są więc dla niej lepsze, niż wynikałoby to z sondaży. I tura winna być anulowana. Nie jest. Część co światlejszych wyborców, obrażona na jawne lekceważenie zasad wyborów powszechnych i demokratycznych, nie pójdzie do urn. Ale to są właśnie ci niezadowoleni. Ich absencja zwiększa szanse partii rządzącej.

Co do zarzutu nieprzygotowania do kryzysu i fatalnych w skutkach decyzji, niewiele można zrobić. Fakty i daty są nieubłagane i łatwe do przypomnienia, gdyż zarejestrowane w telewizji i opisane w gazetach. Pozwy sądowe przeciwko rządowi się mnożą. W niedzielę 24 maja Trybunał Sprawiedliwości Republiki naliczył ich 71. Przeciwko premierowi, ministrom zdrowia i innym. Powszechnie zarzuca się ministrom umyślne odrzucenie niektórych środków zapobiegających epidemii. Od początku władze lekceważyły niebezpieczeństwo, chociaż z Chin napływały alarmujące wiadomości, a WHO ostrzegała i słała zalecenia. Zawsze jednak można liczyć na krótką pamięć wyborcy.

Punkt trzeci. Afera najpoważniejsza: hydroksychlorochina. Tutaj stawka jest ogromna: tysiące ofiar śmiertelnych. Jeżeli walka wytoczona chlorochinie przez rząd była słuszna, to chwała mu za to. Ale jeżeli zawzięty, lecz niebezinteresowny upór pozbawił naród skutecznej terapii, to odpowiedzialność władz jest straszliwa. Z problemu medycznego terapia dra Raoulta urosła do rozmiarów największej afery politycznej ostatnich czasów we Francji.

W sukurs rządowi przyszedł w samą porę, przed wyborami do miast, wynik międzynarodowej ankiety. W sobotę 23 maja cieszący się powagą w świecie nauki przegląd medyczny „Lancet" opublikował studium niekorzystne dla chlorochiny, obejmujące wielotysięczną grupę pacjentów. Postawieniem kropki nad i zajęli się dwaj uczeni francuscy: prof. Christian Funck-Brentano i dr. Joe-Elie Salem, którzy stwierdzili, że lek jest bezużyteczny i może być szkodliwy. Tezę podjął Minister Zdrowia. Olivier Veran jeszcze tego samego dnia wystąpił do Rady Głównej Zdrowia Publicznego o natychmiastową – w ciągu 48 godzin – zmianę zasad stosowania leku.

Ale przecież poprawę zdrowia pacjentów dzięki terapii chlorochinowej stwierdził nie tylko profesor Didier Raoult, infekcjolog z Marsylii. Pierwsi skomentowali wyniki ankiety „Lanceta" sygnatariusze apelu w sprawie uchylenia zakazu stosowania leku. Profesor kardiologii Douste-Blazy, były minister zdrowia, zakwestionował wartość studium z „jednego, prostego powodu" – jak mówi – który jest łatwy do zrozumienia: w grupie chlorochinowej są pacjenci znacznie ciężej chorzy niż w grupie kontrolnej. Są ciężko dotknięci cukrzycą i innymi schorzeniami, a przede wszystkim potrzebują tlenu. Nawet autorzy opublikowanych badań to przyznają. W grupie chlorochinowej 20% chorych potrzebuje tlenu, a w grupie kontrolnej tylko 7%. Jeżeli podacie chlorochinę ludziom umierającym, to jest rzeczą pewną, że umrą – konkluduje profesor Douste-Blazy.

Zabrał głos również profesor Christian Perron, współautor petycji w sprawie chlorochiny. Indagowany przez telewizję BFM, ograniczył się do zapowiedzi: Didier Raoult, który leczył 2000 pacjentów, opublikuje w tych dniach pierwszą listę 1000 chorych leczonych chlorochiną. Druga zostanie opublikowana w ślad za nią. Wszystkie doświadczenia lekarzy włoskich, amerykańskich i izraelskich, którzy ją stosują, są pozytywne. Profesor Perron zebrał również liczne anonimowe świadectwa lekarzy zadowolonych z terapii, którzy „nie podają nazwisk w obawie przed represjami". Wszyscy oni uzyskali bardzo dobre rezultaty. Twierdzą, że od czasu, kiedy stosują tę terapię, zdrowie ich pacjentów znacznie się poprawiło; nie potrzebują już reanimacji ani szpitala. Ministrowi zdrowia, który stwierdził w wywiadzie, że istnieje niepewność odnośnie do negatywnych skutków leku, prof. Perron odpowiada: – Mamy doświadczenie pięćdziesięciu lat jego stosowania. Ten lek jest bardzo dobrze tolerowany. Nie stwierdzono żadnych ujemnych działań ubocznych, żadnych poważnych skutków szkodliwych dla zdrowia pacjentów. Dlaczego nie zrobiono zapasów tego lekarstwa?– pyta infekcjolog, ordynator oddziału chorób zakaźnych wielkiego szpitala w Garche; dlaczego pozwolono, aby wszystkie zapasy odleciały do Stanów Zjednoczonych?

We Włoszech lekarz internista ma prawo przepisać chlorochinę pacjentowi lekko choremu. Środek zapobiegający pneumonii należy podawać chorym lekko i średnio dotkniętym chorobą. Dekret ministerstwa francuskiego idzie w kierunku przeciwnym: każe podawać to lekarstwo ludziom osłabionym, którzy są pozbawieni mechanizmów samoobrony, będącym w terminalnej fazie choroby. Profesor Perron gotów jest zaakceptować wyniki badań europejskich bez względu na ich wynik, pod warunkiem stosowania terapii zgodnie ze wskazaniami: cholorochina będzie podawana we wczesnym stadium choroby, a nie dopiero, gdy chory jest umierający.

JAN BOGATKO

Liberałowie wszystkich krajów, łączcie się!

Wielu Polakom wydaje się, że komunizm w Europie upadł i mamy demokrację. Tymczasem to groźny błąd! Komunizm dziś nie jest siermiężny, jak w NRD czy w PRL, lecz bogaty i przez to *salonfähig*.

Tygodnik „Die Zeit" był liberalny (w znaczeniu: niekonserwatywny) od chwili powstania w 1946 roku. Po krótkiej fazie puszczania oka do konserwatywnego czytelnika (to wówczas hrabianka Marion Dönhoff na znak protestu wobec nowej linii „Die Zeit" na jakiś czas opuściła redakcję gazety) skręcił jeszcze bardziej w lewo, stając się tygodnikiem lewicowo-liberalnym; przed zjednoczeniem Niemiec powiedziano by wprost: socjalistycznym. Marion Dönhoff, tytułowana z uporem przez polskie media „hrabiną", mimo, że nigdy nie była niczyją żoną, a zwłaszcza hrabiego, to jeden z tych zagadkowych przypadków dziecięcej choroby lewicowości na Starym Kontynencie, popularnej we wszystkich krajach i we wszystkich sferach, zakładając, rzecz jasna, ich istnienie. Niemcy zajmują tu miejsce wybitne, mógłbym wymienić jeszcze kilka innych nazwisk znajomych, ale mi nie wypada (NRD miało swego barona Manfreda von Ardenne i słynnego Karla Eduarda Richarda Arthura von Schnitzler, którego uczniowie komentują teraz, a jakże, wydarzenia polityczne w niemieckich mediach).

„Die Zeit" rzuca ostatnio hasło: „Zlikwidować więzienia!" Przypomina ono swą prostotą leninowskie „Wojna pałacom, pokój chatom" czy nieśmiertelne „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!". Autorem hasła (i oczywiście artykułu) jest Thomas Galli. Galli nie jest dziennikarzem, lecz – co bardziej niebezpieczne – aktywistą o 15-letniej praktyce zawodowej w zakładach karnych Republiki Federalnej. Jest z wykształcenia prawnikiem, jak podaje, i – zanim podjął pierwszą pracę w zakładzie karnym – znał przestępców tylko z mediów. Byli to mordercy, gwałciciele i bandyci. Tak myśli wielu nadal – pisze Galli – a ja tymczasem bliżej poznałem więzienia i ich pensjonariuszy. Wystarczyło mu na to – jak wynika z artykułu – zaledwie 15 lat.

Jak mówił Lenin? Dla ojca dzisiejszej liberalnej lewicy przestępcy to ofiary systemu. Tak ich też postrzega goszczący na łamach „Die Zeit "były klawisz dyplomowany. „Z aktualnie odbywających karę pozbawienia wolności 65 000 więźniów nieliczni są poważnymi przestępcami". I wylicza: 4500 z nich siedzi za jazdę na gapę czy temu podobne nieistotne czyny, często za odmowę płacenia grzywny; prawie połowa więźniów odbywa kary za naruszenie cudzej własności, połowa odsiadek trwa do roku, 11 procent skazanych odbywa kary w wymiarze powyżej 5 lat pozbawienia wolności. Innymi słowy – po co ich zamykać w kryminale, skoro i tak najdalej za parę lat wyjdą na wolność? Galli opisuje straszne życie w zakładzie karnym, nie przypominające wakacji na Majorce, ba, nawet w Schwarzwaldzie! Czytelnik lewicowego tygodnika doprawdy wzrusza się dowiadując, jaki straszny los spotyka tych w zasadzie Bogu ducha winnych ludzi…

„Przeważnie młodzi mężczyźni (tylko około sześciu procent pensjonariuszy zakładów karnych to kobiety) przebywają pod kluczem, z wieloma innymi przestępcami, na niewielkiej powierzchni. Obowiązuje surowa dyscyplina. Porządek dzienny jest regulowany niemal co do minuty. Przepisy określają czas na sen, na pracę i spacer. O każdy przedmiot należy wystąpić z wnioskiem, należy przestrzegać poleceń personelu. Mimo to kwitnie w więzieniu subkultura. Przemoc i narkotyki cechują życie codzienne. Wszelkie naruszenie reguł jest karane; kara obejmować może kilkutygodniową separację od współwięźniów, czy nawet izolację, bez telewizora. Prawo do odwiedzin przysługuje więźniom tylko na niewiele godzin, a często na godzinę miesięcznie, do tego – by zapobiec przemytowi narkotyków – przez szybę. Może to być przykrym przeżyciem zwłaszcza dla dzieci więźniów – a około 100 tysięcy dzieci dotkniętych jest uwięzieniem jednego z rodziców. I jak tutaj człowiek w takiej sytuacji ma się zmienić na lepsze?". Istny faszyzm, można powiedzieć.

Karkołomna, ale bardzo socjalistyczna jest teza autora artykułu na łamach „Die Zeit", że pobyt w więzieniu nie czyni z więźnia lepszego człowieka, bo przeważająca część z nich wraca za kratki. Galli wyciąga stąd wniosek, że więzienie skazanemu nic nie daje (w sensie resocjalizacji). Ale przecież resocjalizacja nie jest jedynym celem kary pobawienia wolności! Teraz Galli odkrył swe powołanie: został adwokatem. Obrońcą uciśnionych, ofiar reżymu. W najbliższych dniach

FOT. MATTHEW ANSLEY ON UNSPLASH

w księgarniach pojawi się jego książka *W zamknięciu. Dlaczego więzienia nie służą nikomu*. Kolejna karkołomna teza autora brzmi: pobyt sprawcy w więzieniu utrudnia realizację odszkodowania dla ofiar kryminalnych czynów, ponieważ więźniowie mogą zarabiać jedynie około 2 euro za godzinę. Więzienie nie tylko nie resocjalizuje, ale i nie odstrasza, przekonuje Galli. Dla porównania wskazuje on na obrzydliwe obrazki na paczkach papierosów (również dzieło lewicowych aktywistów, preferujących marychę), nie skłaniających palaczy do rzucania nałogu i rzuca hasło: nasze więzienia nie tylko nie służą nikomu, ale nam wręcz szkodzą. Mają służyć sprawiedliwości, a są jej zaprzeczeniem, wzmagając społeczną nierówność. Lenin by tego lepiej nie ujął.

A więc zburzyć Bastylię! I co dalej? Galli przyznaje, że w nielicznych przypadkach (sadystycznym morderców na tle seksualnym) sprawcy powinni znaleźć się dożywotnio w izolacji dla ochrony przed nimi społeczeństwa. Ale powinna ona mieć miejsce w czymś w rodzaju wiejskich placówek, a nie – zwłaszcza w przypadku kar długoterminowych – w nieludzkich więzieniach. Autor artykułu na łamach lewicowego tygodnika „Die Zeit" oddaje się wizji utopii, przedstawiając czytelnikowi lepszy, wspaniały świat: „także i sprawcy naruszeń ciała czy wyrządzenia innych szkód powinni doznać ograniczenia wolności, lecz takiego, które zminimalizowałoby na dłuższą metę powrót na drogę przestępstwa. Tutaj wchodzą w grę odpowiednio zabezpieczone zdecentralizowane wspólnoty mieszkaniowe, umożliwiające indywidualną pracę w bardziej życiowym kontekście z innymi skazanymi bez wchodzenia na drogę subkultury. (…) Można też sobie wyobrazić karę w postaci odebrania prawa jazdy. Kara powinna polegać przede wszystkim na świadczeniu pracy społecznej i mieć na celu zadośćuczynienie za wyrządzone szkody".

Marzenia Thomasa Gallego nie są nowe. Dla komunisty (liberała) zawsze przestępca był ofiarą. Jako student prawa przeglądałem akta procesowe w latach 60. XX wieku w jednym z warszawskich sądów i zapamiętałem słowa, wypowiedziane przez obrońcę gangu młodocianych przestępców, że do napadu zmusiło ich bogactwo domu, w jakim znaleźli się oni po sforsowaniu drzwi. Już nie pamiętam kary, jaką otrzymała trójka złodziei za swe czyny, nie wiem też, czy na drogę przestępstwa wrócili, czy też nie, ale jestem przekonany, że swe działania postrzegali oni jako przejaw walki o poprawę dystrybucji majątku (znowu nieświadomie cytuję Lenina). Z zakładami karnymi jest jak z demokracją (bezprzymiotnikową): nie są one dobre, ale nie wymyślono dotąd czegoś od nich lepszego. Ale w świecie liberalnej lewicy temat ten niebawem wejdzie na wokandę – do kolejnej porażki utopii, jaką on jest. Na pewno wesprze ją niemiecki świat prawniczy, coraz szybciej dryfujący w lewo po zjednoczeniu Niemiec.

Niekiedy – ku mojemu zaskoczeniu – nawet niemieckie gazety (jak „Die Welt") zwracają uwagę na dyskretny urok socjalizmu. O ile nazizm odmienia się przez wszystkie przypadki, to na temat komunizmu wypowiedzi są bardzo ostrożne. W Niemieckim Zgorzelcu, w którym mieszkam, pewien mur cmentarny „zdobi" hasło „*Wählt Thälmann*" (głosuj na Thälmanna) namalowane tam w czasach enerdowskich dla potrzeb produkcji filmowej. (Thälmann był szefem KPD i kandydował z jej ramienia na urząd prezydenta Rzeszy). Owo hasło to zabytek chroniony z mocy prawa. Komunizm nie kojarzy się w Niemczech (nie tylko wschodnich) źle: nadal wchodzi partyjna gazeta „Neues Deutschland", której optykę przejęła większość niemieckich mediów. Tak więc dyktatura SED (Socjalistyczna Patia jedności Niemiec, wschodnioniemiecki odpowiednik PZPR) oceniania jest dziś neutralne lub zgoła pozytywnie.

30 lat po runięciu muru nie ma dziś w Niemczech żadnego poważnego polityka, który zająłby się enerdowską przeszłością, i to mimo faktu (a może dlatego?), że Niemcami rządzi od wielu lat kanclerz, znająca na wskroś reżym enerdowski. O komunizmie ani mru-mru. Dzisiaj wielu niemieckich dziennikarzy przyjmuje antykapitalistyczny kurs – nieznany w innych byłych krajach bloku wschodniego – czytam w „Die Welt". A jeżeli dodam do tego awanturę w związku z Barbarą Borchardt, to wszystko staje się nagle jasne. W kraju Związkowym Meklemburgia-Pomorze Przedodrzańskie chrześcijańsko-demokratyczni posłowie wybrali na sędzię Trybunału Konstytucyjnego panią Borchardt, która jest założycielką i aktywną działaczką obserwowanej przez służby tajne organizacji lewicowo-ekstremistycznej.

Bo NRD było fajne. Były nawet pomarańcze. I czekolada. I kolorowe telewizory.

Nieprzekupni posłowie rujnują Polskę

(znowu przed wyborami)

Jan A. Kowalski

Myślałem w naiwności swojej, że posłowie opozycji (PSL, SLD, Konfederacja) obsypią mnie jeśli nie złotem, to przynajmniej bitcoinami (jak na młodych liberałów przystało) za rady sprzed miesiąca. Zaproponowałem przecież prosty i niezawodny sposób na wykończenie przeciwnika politycznego już leżącego na deskach i czekającego na ostatni cios. Tak przecież leżała i czekała na zasłużoną śmierć Platforma Obywatelska w postaci jej niewydarzonej kandydatki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Takie szybkie dokończenie dzieła byłoby w interesie każdej z wymienionych wyżej formacji opozycyjnych, łącznie z opozycyjną i zarazem rządową formacją Jarosława Gowina czyli (Nie)Porozumieniem.

Z prostego humanistycznego rachunku wynikało, że każda z formacji przynajmniej podwoi swój stan posiadania w elektoracie. Dodatkowo każdy kandydat opozycyjny: Biedroń, Kosiniak-Kamysz, Hołownia i nawet Krzysztof Bosak ma szansę na drugą rundę przeciwko Andrzejowi Dudzie po zbiórce głosów rozsypanych przez kandydatkę PO. To, co się stało – przesunięcie wyborów nie wiadomo na kiedy – pozwoliło pozbierać się PO, która ze świeżym kandydatem odzyskała wszystkie utracone głosy poparcia. I teraz będzie próbowała przesunąć wybory aż do wybuchu kryzysu ekonomicznego i zyskania szansy na elekcję Rafała Trzaskowskiego.

Tak, jak zademonstrowała to opozycja (bez PO), nie zachowuje się nikt prawdziwy i racjonalny, no chyba, że jest bezdennie głupi politycznie. Ale w takim razie niech wraca do śpiewania (Paweł Kukiz) albo do tańca z gwiazdami (Krzysztof Bosak), bo ostatnie głosowanie ramię w ramię z PiS już niczego nie mogło zmienić.

Dlaczego zatem nominalni konkurenci polityczni uratowali Platformę Obywatelską pozbawiając się szans na sukces? Odpowiedzi mogą być tylko dwie.

Pierwsza, łagodna, to naiwność polityczna. Oczywiście skończonym tępakiem politycznym może być Paweł Kukiz (pewnie nie wiecie, że studiował politologię), który zaczął odgrywać w Koalicji Polskiej rolę taką, jak kiedyś w PO Stefan Niesiołowski. Czyżby politolog po Uniwersytecie Wrocławskim był jedynym naiwnym członkiem tej formacji i nie dostrzegał rzeczywistości, w jakiej żyje? Naiwni mogą być też posłowie Konfederacji, którym przecież liberalna i narodowa doktryna nie może udzielać prawidłowych odpowiedzi na bieżące polityczne wyzwania.

Pozostając przy wersji łagodnej, dowiedzieliśmy się, że resztki po Kukiz '15 są wrzaskliwie nieprzekupne. I podobnie żadnych stanowisk za zerwanie sojuszu z totalną opozycją nie przyjmą Konfederaci. Od Gazpromu by wzięli, ale od polskiego rządu nie wezmą! Co za pokraczna logika. Po liberum veto zafundowanym przez Jarosława Gowina i powyższej postawie, Prawu i Sprawiedliwości nie pozostało nic innego, jak się chwilowo poddać. Skazując siebie i Polskę na niepewność losu.

Druga odpowiedź z naiwnością nie ma już wiele wspólnego. Musi istnieć władza zwierzchnia, która zadecydowała, że interes każdej z grup zyskujących po PO to za mało. Bo korzystne dla niej jest utrzymanie przy życiu projektu powołanego w roku 2001, czyli właśnie Platformy Obywatelskiej. Nazwijmy tę władzę Wysokim Komunistycznym Państwem (nie mylić z amerykańskim Deep State, o czym możemy tylko pomarzyć). Jeżeli to Wysokie Komunistyczne Państwo jest rzeczywistym decydentem w stosunku do całej opozycji, to strach się bać. Bo im gorzej dla państwa polskiego, to tym lepiej dla WKP.

Widzieliśmy to na własne oczy. Na jednym kolorowym obrazku postępowo-europejski Rafał Trzaskowski, a obok złowroga stara k…reacja 71-letniej Jolanty Lange vel Gontarczyk, zamieszanej w śmierć księdza Blachnickiego pracownicy SB. Teraz oczywiście w nowej aranżacji zaangażowanej działaczki feministycznej i proaborcyjnej. I nie możemy mieć żadnych wątpliwości – Niemcy, Francja i Rosja poprą Rafała Trzaskowskiego i jego nowoczesne otoczenie. Poprą przeciwko próbie odrodzenia się państwa polskiego dokonywanej pod rządami Prawa i Sprawiedliwości.

Może to nie są rządy specjalnie udane. Nie tylko dla mnie mogłyby być lepsze. Krytykuję je od samego początku za prawie wszystko. Ale jedno jest bezsprzeczne – są to rządy polskie. Nie światowe, nie europejskie, nie niemieckie ani rosyjskie, ale polskie. Trochę bezmyślnie populistyczne i zbiurokratyzowane, ale polskie. Lewicowe i socjalistyczne, ale polskie. Kto tego nie widzi, jest ślepy. Dla kogo nie ma to znaczenia, bo jego partyjne lub prywatne interesiki są ważniejsze, nie powinien mieć ani kawałka miejsca w polskiej polityce i na polskiej ziemi. Bo jednak ma znaczenie, czy publiczne pieniądze są „marnowane" na biedne polskie dzieci (PiS i Duda), czy na ich zabijanie, zanim się narodzą (PO i Rafał Trzaskowski).

Z Prawem i Sprawiedliwością, nawet po zwycięstwie Andrzeja Dudy, będziemy mogli walczyć. Sam będę walczył do ostatniej zdartej klawiatury. Po zwycięstwie Rafała Trzaskowskiego będziemy mogli znowu w trakcie wieczoru wyborczego zobaczyć uradowanego Jerzego Urbana z szampanem i starą bezpieczniacką k…reację po liftingu, Jolantę Lange. Prawdziwe oblicze bolszewickiej nowoczesności. Wysokie Komunistyczne Państwo odzyska utracone na 5 lat żerowisko. A my stracimy szansę na odbudowę państwa, bo nie będzie to w interesie Niemieckiej UE i Rosji.

Wraz z rozwojem gospodarczym Chin w ostatnich kilkudziesięciu latach, rosły także wpływy polityczne na arenie międzynarodowej tego gigantycznego imperium. W szczególności zjawisko to obserwujemy dobitnie od czasu objęcia urzędu przez prezydenta Xi Jinpinga w 2013 r.

Rola Chin na globalnej scenie

Mirosław Matyja

Hasłem kierownictwa Pekinu stało się stwierdzenie, że Chiny w XXI wieku, które wkrótce zapewne staną się największą gospodarką świata, muszą przejąć również światową dominację dyplomatyczną i wojskową. Bazy wojskowe, takie jak ta w Dżibuti, nowy jedwabny szlak z gigantycznymi projektami infrastrukturalnymi na całym świecie lub fakt, że to Chiny, a nie Stany Zjednoczone są państwem z największą liczbą misji zagranicznych, są wyrazem tej nowej polityki. Chiński prezydent Xi nazwał tę walkę o dominację w świecie „wielką odnową narodu chińskiego".

Państwa zachodnie, a szczególnie USA, są zaniepokojone i poirytowane coraz bardziej agresywnymi i głośnymi wystąpieniami chińskich polityków i dyplomatów na arenie międzynarodowej. Wynika to z nacjonalizmu podsycanego przez Xi, ale również po prostu z braku doświadczenia chińskich przywódców w ramach międzynarodowej dyplomacji. Nie mniej niepokojące jest zachowanie niektórych państw europejskich, które w wprost zaczynają „jeść Chinom z ręki". Uzależnienie gospodarcze i handlowe Europy od Chin stało się jaskrawo widoczne w okresie aktualnie panującej pandemii covid-19. Należy mieć tylko nadzieję, że Europa, zapatrzona ślepo w wielkiego chińskiego brata, przemyśli jeszcze raz swoją chęć udziału w projekcie nowego szlaku jedwabnego. Przynajmniej Włosi powoli zaczynają krytycznie oceniać swój pochopny zachwyt wschodnim partnerem.

Chiny nadal szukają swojej roli na światowej scenie politycznej. Po ponad czterech dekadach od rewolucji kulturalnej Pekin stopniowo zaczyna przejmować coraz większą odpowiedzialność na dyplomatycznej arenie międzynarodowej. Przykładem jest udział Państwa Środka w międzynarodowych misjach pokojowych ONZ (około 2500 żołnierzy). Oprócz tego Pekin jest drugim co do wielkości płatnikiem netto Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ważny jest też fakt, że Chiny, w przeciwieństwie do innych państw, nie były zaangażowane w żaden konflikt zbrojny poza swoimi granicami od 1988 roku. W latach 2000–2018 Pekin poparł również 182 ze 190 rezolucji ONZ, które nakładały sankcje na państwa naruszające międzynarodowe zasady i standardy. Poza tym dziś Chińczycy znajdują się w czołówce czterech organizacji pozarządowych ONZ. Są to poczynania godne międzynarodowej uwagi. Pekin dąży powoli, ale stanowczo do wyznaczonego sobie celu – światowej dominacji, nie tylko w sferze gospodarki.

Nie jest tajemnicą, ze Zachód szuka ciągle strategii współpracy z Chinami. Uzależnienie ekonomiczne USA i Europy od Chin nie podlega najmniejszej wątpliwości. Waszyngton i niektóre europejskie stolice niechętnie jednak obserwują wzrastające naruszenie balansu gospodarczego, co obecna pandemia ujawniła… albo potwierdziła w sposób dobitny. Współpraca z Pekinem jest ważna, co nie oznacza, że należy odstąpić od krytyki Chin w przypadku oczywistych naruszeń międzynarodowych zasad i konwencji. Niepokojące doniesienia o naruszeniach praw człowieka w regionie Sinciang-Ujgur nie mogą być pozostawione bez krytyki zagranicy. Niemniej jednak Chiny, które są wyjątkowo wrażliwe w odniesieniu do własnej historii i które widziałyby siebie najchętniej w otoczeniu wrogów, byłyby niebezpieczne, gdyby poczuły się dyskryminowane i odtrącone na scenie globalnej. Chińska frakcja hardlinerów, która od dawna dąży do większej izolacji kraju, tylko czeka na zachodni bojkot Państwa Środka. Radzenie sobie z Chinami w zróżnicowany sposób, zachęcanie do integracji i zaakceptowanie ich międzynarodowej współodpowiedzialności jest z pewnością trudne i wymagające szerokokątnego działania, ale świat zachodni nie dysponuje lepszą opcją.

> Nie należy stwarzać polityki strachu przed Chinami, ponieważ kraj ten jest słabszy i bardziej wrażliwy, niż sugeruje to pekińska propaganda. Koronawirus pogrążył Chiny w kryzysie gospodarczym o nieprzewidzianych konsekwencjach.

Zpewnością nie należy stwarzać polityki strachu przed Chinami, ponieważ kraj ten jest słabszy i bardziej wrażliwy, niż sugeruje to pekińska propaganda. Koronawirus pogrążył Chiny w kryzysie gospodarczym o nieprzewidzianych konsekwencjach. Do tego dochodzi ogromne zadłużenie i problemy strukturalne, np. starzenie się społeczeństwa, a także ekstensywność chińskiej gospodarki. Takie inicjatywy jak Belt-and-Road lub plan „Made in China 2025", które mają przekształcić Chiny w państwo o wysokich standardach technologicznych, funkcjonują gorzej, niż jest to powszechnie głoszone na Zachodzie. Również nie wszystkie przejęcia firm zachodnich zakończyły się sukcesem dla chińskich przedsiębiorstw. Fakt, że w ciągu ostatnich siedmiu lat zwiększyła się liczba wrogów politycznych prezydenta Xi w łonie chińskiej partii komunistycznej, stanowi poważne niebezpieczeństwo dla wewnętrznej równowagi w Państwie Środka. Poważny kryzys gospodarczy z masowymi zwolnieniami i utratą dochodów może prowadzić do niepokojów społecznych, a w konsekwencji do przetasowań w najwyższych gremiach partyjno-państwowych. Wynikający z tego kryzys polityczny i niestabilność mogą cofnąć Chiny na wiele lat – z poważnymi konsekwencjami również dla gospodarek na Zachodzie.

Jest oczywiste, że pomagając wielu krajom w okresie pandemii (dostawy masek i odzieży ochronnej), Chiny chcą pochwalić się rzekomą wyższością swojego autorytarnego systemu politycznego. Ale w ramach tej akcji nie chodzi tylko o propagandę. Pekin chce również pokazać, że jest gotów odegrać ważniejszą rolę w kryzysach międzynarodowych. Pomimo konkurencji systemowej, ekonomicznej i w przyszłości wojskowej, społeczność międzynarodowa powinna być zainteresowana współpracą z przewidywalnymi i odpowiedzialnymi Chinami. Izolowane i słabe Państwo Środka byłoby z pewnością większym zagrożeniem dla zachodniego świata. Wzajemne zaufanie ułatwia współpracę, zwłaszcza w czasach kryzysu, ale inicjatywa kooperacji powinna wypływać z obu stron. Dlatego też aż się prosi, aby Chińczycy właśnie teraz dopuścili międzynarodowych ekspertów do przeprowadzenia kontroli w instytucie wirologii w Wuhan.

Prof. Mirosław Matyja jest dyrektorem Zakładu Kultury Politycznej i Badań nad Demokracją na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

O inicjatywach LOTOSU na rzecz walki z pandemią oraz działalności koncernu w tym trudnym czasie w wywiadzie dla „Kuriera Wnet" opowiada **Paweł Jan Majewski**, prezes Zarządu Grupy LOTOS.

Rząd Pana Premiera Mateusza Morawieckiego stopniowo rozluźnia nałożone obostrzenia, ale walka z koronawirusem nadal trwa. Jak LOTOS włącza się w te działania?

W zasadzie natychmiast, będąc w stałym kontakcie z Ministerstwem Aktywów Państwowych kierowanym przez Pana Wicepremiera Jacka Sasina, włączyliśmy się we wsparcie polskiej służby zdrowia oraz służb mundurowych. Na ten cel przeznaczyliśmy już ponad 7,5 mln zł. Między innymi dzięki naszej pomocy wybrane placówki i ich personel medyczny, a także służby mundurowe – wojsko, straż graniczna czy policja – mogły działać nieprzerwanie i ratować ludzkie życie.

Na zlecenie rządu pozyskaliśmy też środki ochrony osobistej dla polskich szpitali. Sprowadziliśmy łącznie 500 tys. kombinezonów, 300 tys. przyłbic i 100 tys. ochraniaczy na buty. Przekazaliśmy środki na zakup respiratorów, łóżek szpitalnych, termometrów bezdotykowych, leków, sprzętu jednorazowego użytku, materiałów higienicznych i innych środków niezbędnych do opieki nad pacjentami z covid-19 w wybranych szpitalach województwa pomorskiego i zachodniopomorskiego. Wszystkie szpitale zakaźne w Polsce otrzymały od nas specjalne karty paliwowe, dzięki którym karetki i inne pojazdy należące do tych placówek mogą bezpłatnie zatankować paliwo na każdej stacji LOTOSU w Polsce.

W maju zainicjowaliśmy także kampanię „Każdy czeka na swoje NAJ", która umożliwiła posiadaczom kart LOTOS Navigator przekazanie punktów pozyskanych w programie lojalnościowym na badania związane z leczeniem koronawirusa. Oprócz spotu reklamowego, w pięciu polskich miastach pojawiły się informujące o naszej akcji murale.

Jak LOTOS radzi sobie w tym trudnym czasie?

Grupa LOTOS ma stabilną kondycję finansową, na którą składa się zarówno niskie zadłużenie naszego koncernu, jak również płynność pozwalająca na efektywne realizowanie bieżących procesów oraz dalszych inwestycji. Stawia nas to w bezpiecznej pozycji na równie trudny okres, jaki czeka całą polską gospodarkę po zakończeniu pandemii.

Grupa LOTOS, jako spółka o strategicznym znaczeniu dla polskiej gospodarki, musi zapewniać bezpieczeństwo w swoim obszarze funkcjonowanie państwa. Powołany został sztab kryzysowy, który wprowadził odpowiedni system pracy, tak by przede wszystkim chronić pracowników i zapewnić sprawne działanie zakładu. Wdrożenie m.in. pracy zdalnej dla większości pracowników biurowych na taką skalę było olbrzymim wyzwaniem organizacyjnym.

Podjęliśmy też działania zapewniające bezpieczne funkcjonowanie naszych stacji paliw. Nie mogliśmy ich zamknąć, ale musieliśmy zorganizować ich działanie tak, żeby nie narażać zdrowia i życia zarówno pracowników, jak i klientów. Każdy obiekt został kompleksowo wyposażony w środki czystości, a obsługa klientów odbywała się przez okienka sprzedaży nocnej. Dzięki szybkiemu wdrożeniu reżimu sanitarnego stacje LOTOS nie przerwały swojego funkcjonowania i stały się bezpiecznym przestankiem dla służb i kierowców.

Pomimo trudnej sytuacji, również przerób ropy i produkcję utrzymujemy na stabilnym poziomie. Dzięki realizacji ogromnych programów rozwojowych (w tym zakończonego ostatnio Projektu EFRA) jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie. To daje nam duży potencjał technologiczny. Dzięki takiej optymalizacji rafineria pracuje niemal na najwyższych (98%) obrotach przez większość okresu epidemiologicznego.

Czy to oznacza, że pandemia w ogóle nie wpłynie na bieżące wyniki koncernu?

Zoptymalizowaliśmy naszą strukturę produkcji. Tym samym adaptujemy się do zmiennej sytuacji ekonomicznej. W kwietniu wyprodukowaliśmy o 8% olejów napędowych więcej niż rok temu, przy jednoczesnym prawie całkowitym ograniczeniu produkcji paliwa lotniczego, na które popyt jest obecnie nadal na bardzo niskim poziomie. Rekordowe wyniki notuje spółka LOTOS Oil. W pierwszych 4 miesiącach tego roku osiągnęła o ponad 55% wyższy zysk niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Bardzo dobrze radzi sobie też spółka LOTOS Asfalt, która do kwietnia tego roku sprzedała o 21% więcej asfaltów w porównaniu do analogicznego okresu 2019 roku.

Zamknięcie gospodarki i kwarantanna społeczna spowodowane epidemią koronawirusa miały wpływ na sprzedaż paliw na naszych stacjach. Pomimo faktu, że były one czynne non-stop, to ograniczenia w ruchu spowodowały w drugiej połowie marca i w kwietniu spadek sprzedaży paliw na stacjach, szczególnie autostradowych. Co ważne, kolejne etapy odmrażania gospodarki przełożyły się już na stopniowe odwracanie tego trendu. Od końca kwietnia obserwujemy rosnący ruch na stacjach.

Ograniczenia w zakresie inwestycji oraz planów rozwojowych dotknęły wiele firm. Czy LOTOS też musiał dokonać takich cięć?

Co do zasady nasze plany inwestycyjne realizujemy zgodnie z założeniami. Oczywiście nie wykluczamy pewnego dostosowania pierwotnych założeń do obecnej sytuacji. Niedawno informowaliśmy o zakończeniu studium wykonalności terminala LNG małej skali, który powstanie na terenie naszego zakładu, przy nabrzeżu Martwej Wisły. Teraz przed nami decyzja inwestycyjna. Zresztą nie jedyna, bo w tym roku zamierzamy również podjąć ostateczną decyzję dotyczącą budowy Hydrokrakingowego Bloku Olejowego. Realizacja tej inwestycji przyczyni się do podniesienia ogólnej konkurencyjności Grupy LOTOS w obszarze produkcji i sprzedaży baz olejowych.

Mimo trudnej sytuacji związanej z pandemią, konsekwentnie działamy na rzecz rozwoju paliw alternatywnych w Polsce. Pracujemy nad mapą drogową dotyczącą naszej dalszej działalności wodorowej. Razem z Polskimi Sieciami Elektroenergetycznymi uruchomiliśmy właśnie nowy projekt badawczo-rozwojowy dotyczący elektrolizerów i ich integracji na rynku energii. Wcześniej podpisaliśmy też list intencyjny z miastem Tczew na dostawy wodoru do napędu autobusów z ogniwami paliwowymi. Realizujemy także projekt „Pure H2", który otrzymał dofinasowanie ze środków unijnych. W jego ramach planowane jest wybudowanie instalacji do oczyszczania i dystrybucji wodoru oraz dwóch stacji tankowania tego paliwa wzdłuż dróg sieci bazowej TEN-T w Gdańsku i Warszawie. Przed nami jeszcze wiele ambitnych planów, które zamierzamy sukcesywnie realizować.

I tego serdecznie Państwu życzę oraz dziękuję za rozmowę.

Lista Przebojów Trójki (LP3) w połowie maja 2020 rozpaliła publicystów i polityków wszelakich opcji. Powracam do sprawy dlatego, że akurat 1 maja, na dwa tygodnie przed wybuchem afery, „Kurier WNET" opublikował mój artykuł pt. *Starczy uwiąd Trujki*. Potraktowałem wtedy temat z najwyższą kurtuazją; teraz czas na większą szczerość.

„Trujka" jako dystrybutor prestiżu

Andrzej Jarczewski

Trójka, jak starzejąca się kokota, przeżywała ostatnio trudne momenty wraz z tak czy inaczej legendowaną emeryturą swoich filarów. Kompletne załamanie dotknęło ją 15 maja 2020 r. po ustawieniu na czele LP3 piosenki Kazimierza Staszewskiego *Twój ból jest lepszy niż mój*. Ta okoliczność każe mi kontynuować refleksje na temat historycznej i współczesnej roli radia i muzyki. Zacznę jednak od innego ważnego zagadnienia, prawie tak ważnego, jak muzyka. Od… demokracji.

Oczywiście – muzyka jest ważniejsza. Znamy wszak duże połacie geografii i jeszcze większe historii, gdy o demokracji nie słyszano. A muzykę słyszano zawsze i wszędzie. Bez niej nie było na świecie żadnej cywilizacji. Przypomnę w tym kontekście tezę Jerzego Waldorffa sprzed pół wieku, że muzyka nie podlega prawom demokracji, lecz… arystokracji. Nie wolno jednak mieszać porządków. Należy oddać demokracji to, co demokratyczne, a sztuce to, co arystokratyczne. I nie dopuścić, by arystokracja się zdegenerowała, przeszła w oligarchię lub dyktaturę celebrytów.

W radiowej Trójce nowa arystokracja medialna konsekrowała się sama, wytworzyła wokół siebie prawdziwy kult i kazała się wielbić bezkrytycznie (terminy: 'konsekracja', 'dystrybucja prestiżu', 'kult' i kilka dalszych należy odczytywać przez pryzmat socjologii Pierre'a Bourdieu). Obecnie obserwujemy etap generowania zbioru męczenników sprawy i rozsławiania ich „lepszego" bólu za granicą, choć sami zadawali taki sam ból tym, których nie lubią, ale to był „gorszy" ból, niewart piosenki.

Emerytowanym oligarchom medialnym chodzi o to, „żeby było tak, jak było", a tego rodzaju konserwy młoda Polska nie pragnie, bo żyje już inną muzyką i nie szanuje infantylnych staruszków o zdrobniałych imionkach. Przy starych idolach pozostali tylko równie starzy wyznawcy i reklamodawcy suplementów na wątrobę. Młodzi mówią mniej więcej tak: „Jakiś starszy pan coś wrzeszczy do innego starszego pana. A co mnie to obchodzi!".

Zerowa reguła demokracji

Obywatele państwa demokratycznego zajmują się swoim życiem osobistym, a do zarządzania sprawami zbiorowymi od czasu do czasu wybierają swoich przedstawicieli. Ci przedstawiciele wchodzą do rad, parlamentów i rządów, które tworzą prawa i podejmują wiążące wszystkich decyzje. Jedni obywatele są z tych rządów zadowoleni bardziej, inni mniej, ale wszyscy godzą się z podstawową regułą demokracji, wyłożoną przez Peryklesa dwa i pół tysiąca lat temu: „Nasz ustrój polityczny nazywa się demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości"…

Co z takiej definicji demokracji wynika? Po pierwsze i najważniejsze: że istnieje sposób orzekania o większości. Dalsze wnioski są lepiej lub gorzej realizowane w różnych krajach i nie stanowią tutaj przedmiotu zainteresowania. Ważne jest tylko to, że w demokracji jako przedpierwszą regułę przyjmuje się oczywistość, że tam, gdzie o miejscu osoby lub dzieła decyduje większość – musi istnieć powszechnie akceptowana metoda stwierdzania większości.

Zlicza się, ile głosów padło na „A", ile na „B" czy „C"; wynik arytmetycznego sumowania podawany jest do publicznej wiadomości i ten wynik sprawia, że to, co uzyskało więcej głosów, osiąga cel, dla jakiego prowadzono głosowanie, a to, co uzyskało mniej głosów – na pewien czas przegrywa, choć może próbować szczęścia w następnym głosowaniu. Te reguły demokracji są przez nas tak głęboko zinternalizowane, że nie podejrzewamy nawet możliwości przeciwnej, czyli sytuacji, w której nie ustala się większości, a mimo to cel – zależny od większości – ktoś osiąga.

Zerowa reguła stalinizmu

Wątpię, czy Stalin rzeczywiście to powiedział, ale następująca definicja dobrze odzwierciedla to, co faktycznie realizowano w komunizmie i co nadal działa np. w Korei Północnej i – zdaje się – w Wenezueli: „Nieważne, kto jak głosuje. Nieważne, kto liczy głosy. Nieważne, czy ktoś w ogóle coś liczy. Ważne to, kogo ogłosimy wybranym!"

W rozpatrywanej teraz sprawie dyrektor Programu Trzeciego popełnił błąd pomieszania demokracji z komuną, idolatrią i dyktaturą idola. Stwierdził bowiem prostodusznie, że w ustalaniu kolejności na Trójkowej Liście Przebojów z 15 maja 2020 roku złamano regulamin i na pierwsze miejsce wstawiono piosenkę, która zdobyła mniej głosów niż kilka innych. I że to jest niewłaściwe. Dyrektor automatycznie i zapewne bezrefleksyjnie przyjął definicję peryklesowską, z której wynika, że zwyciężyć powinno to, co – zgodnie z demokratycznymi regułami – uzyskało najwięcej głosów. I tu dyrektor się strasznie pomylił. Nie zauważył, że o całej liście (LP3) decyduje REGUŁA ZEROWA, czyli ręczne sterowanie, że żadnego REGULAMINU NIE MA! Żadnego regulaminu nigdy nie było! A to oznacza, że od samego niechlubnego początku w stanie wojennym listy przebojów w III Programie Polskiego Radia były fabrykowane bez żadnej kontroli! To oznacza również, że z jednego studia centralnego sterowano nie tylko listą, ale wręcz całym rynkiem muzyki rockowej w Polsce.

Nie da się zliczyć

O niedemokratycznych procedurach przy układaniu LP3 pisałem m.in. w roku 2012, opisując rolę muzyki w życiu młodego pokolenia w stanie wojennym. Kwestia ta była przedmiotem kilku rozmów. Rzecz jasna – fakt nieistnienia regulaminu LP3 w ogóle nie był do tej pory rozpatrywany. Po prostu na coś takiego nie wpadłem. Pomijam teraz nieistotne szczegóły, by przytoczyć ciekawy argument.

Otóż każdy, kto choć raz uczestniczył w zliczaniu głosów, np. w obwodowej komisji wyborczej, wie, że jest to spora praca. W normalnych wyborach, w jakich uczestniczymy prawie co roku, obwody głosowania są tak wyznaczane, by w efekcie, po uwzględnieniu frekwencji, w urnie znalazło się nie więcej niż 2000 głosów. Oczywiście gdzieniegdzie bywa więcej, ale średnia raczej tysiąca nie przekracza. Komisja liczyła te głosy całą noc, spisywała protokół i kończyła pracę, za którą każdy otrzymywał jakieś drobne wynagrodzenie.

A teraz wyobraźmy sobie takie głosowanie nie co rok, ale co tydzień, przy czym głosy nie są oddawane na jednoznacznych kartach do głosowania. Każdy pisze, jak chce, wielu mylnie podaje tytuły piosenek, niektórzy wypisują długie, piękne listy, których oczywiście nikt nie ma czasu nawet otworzyć. I jest tego dużo, dużo więcej niż w zwykłej urnie wyborczej. Internet wiele w tej sprawie ułatwił, ale – jak przyznają sami zainteresowani – program agregujący głosy działa źle i właściwie daje tylko materiał pomocniczy. Pytanie: jak przed internetem liczono głosy? Odpowiedź: szuflą!

Utajnione liczby

W latach sześćdziesiątych, gdy wybuchała beatlemania, na całym świecie tworzono różne rankingi, którymi emocjonowała się młodzież. W krajach kapitalistycznych ułożenie listy według popularności było pracochłonne, ale względnie proste i – co do zasady – powszechnie akceptowane. Po prostu wybierano pewną grupę sklepów z płytami, a następnie pytano, ile sprzedano singli i ewentualnie longplayów. Tak powstawała słynna „Top Twenty", czy „Hot Hundred". Różne czasopisma czy stacje radiowe opracowywały różne i zmienne w czasie regulaminy, uwzględniające nowinki technologiczne (np. ostatnio Spotify).

W krajach socjalistycznych, gdzie dystrybucja płyt – jak cała gospodarka – stała na głowie, wymyślano inne systemy. Program I Polskiego Radia, jeśli dobrze pamiętam, organizował głosowania dziennikarskie w studiach regionalnych, co w żaden sposób nie odzwierciedlało popularności piosenek. Pojawiła się jednak lista prawdziwa, nadawana przez Program Pierwszy z… Lublina. Leciało to w poniedziałki o pierwszej w nocy (żeby dzieci nie słyszały), ale wszyscy studenci i być może licealiści na to czekali, a niektórzy spisywali owe listy i później o nich ze znawstwem dyskutowali.

Ta – nadawana na falach długich – lubelska lista różniła się od innych tym, że redaktor prowadzący podawał liczbę głosów, która padła na daną piosenkę. Głosowało się na kartkach pocztowych (znaczek za 40 groszy) i można było podawać 10 tytułów. W roku akademickim 1969/70 uczestniczyłem w akcji „sprawdzania demokracji" na tej powszechnie cenionej liście. Wysyłaliśmy dwukrotnie po 400 (czterysta) kartek, promujących różne piosenki, przy czym każdy uczestnik tej gry musiał obowiązkowo na pierwszym miejscu umieścić *Darling* Beatlesów, a kilka tygodni później – spadające właśnie z listy *El Cóndor Pasa* Simona i Garfunkela.

Co ciekawe, piosenka *El Cóndor Pasa* powróciła wtedy na czołowe miejsce i od tego momentu zaczęła się druga, znacznie większa niż pierwsza, fala popularności tego utworu w Polsce. Oczywiście *Darling* też na dłużej okupowało miejsce pierwsze. Ważny w tym jest fakt podawania liczby głosów, jakie dany utwór otrzymał. Można więc było obliczyć, ile trzeba dodać, żeby wejść na podium. W ten sposób – z Gliwic i Katowic – udało się sprawdzić i potwierdzić rzetelność lubelskiej listy.

Słuchaliśmy również Radia Luxemburg, a przez pewien czas wielką estymą cieszyła się lista, nadawana chyba w piątkowe lub sobotnie wieczory na falach średnich przez słoweńską Lublanę. Język zrozumiały, a piosenki prosto z Londynu i trochę z Jugosławii. Z kolei Lista Przebojów Programu Trzeciego, która od razu zdobyła ogromną popularność, nigdy (to podaję na odpowiedzialność zawodnej pamięci) nie podawała liczby głosów, choć niektórzy twierdzą, że jakąś liczbę kiedyś wymieniono. Zawsze jednak żonglowano innymi liczbami: ile tygodni piosenka utrzymuje się na liście, na którym miejscu była poprzednio, co się działo na liście ileś tam numerów temu itp. W tym gąszczu liczb podawanych ukryto jedną, której nie podawano, bo jej rzetelnie nie liczono: liczbę głosów oddanych przez słuchaczy.

Czyje koszty, czyje dochody?

Nie wiadomo, ile tych kartek i telefonów odbierano co tydzień w Trójce. Przypuszczam, że niekiedy mogły to być dziesiątki tysięcy. W latach osiemdziesiątych Warszawa była jako tako stelefonizowana, ale na prowincji rzadko kto miał telefon, a już dodzwonienie się do Radia było naprawdę trudne, jeśli nie niemożliwe. Młodzież wysyłała więc kartki. Jeżeli nikt tych kartek porządnie nie liczył, to ile pieniędzy zmarnowaliśmy przez te lata na chociażby tylko znaczki pocztowe? To by wymagało jakiejś analizy. Materiał jest olbrzymi, zjawisko społecznie ważne, a jakoś nie słychać, by pochylił się nad nim poważny socjolog. Owszem, różnych hagiografii napisano sporo, ale kosztów społecznych nie policzono.

A jakie są skutki funkcjonowania LP3 dla samych wykonawców? Zachodni artyści raczej nie interesowali się tym marginalnym dla nich rynkiem, natomiast dla polskich zespołów młodzieżowych, które zaistniały dzięki tej liście, miejsce decydowało o popularności, a za tym szły apanaże, tantiemy, stawki koncertowe, później również dochody ze sprzedaży płyt, wynagrodzenia z radia i telewizji, wyjazdy zagraniczne itd. Rzecz jasna – najlepiej promowali się prowadzący tę listę i inni prezenterzy Trójki. W radiu zawsze zarabiało się niewiele, ale wystarczyło mieć dwie godziny w tygodniu na antenie, by zyskać rozpoznawalność, a co za tym idzie – możliwość prowadzenia konferansjerki na różnych festiwalach i pomniejszych chałturach, bo tam były prawdziwe pieniądze. Nie w radiu.

Różne pojawiają się informacje na temat forowania jednych wykonawców i zamilczania innych. Na razie nikt nie pokazał ewidentnych dowodów, ale widzimy, że pokusa była niebagatelna. Nie zaprzeczam, że w Trójce pracowały same krystalicznie czyste anioły, które przez kilkadziesiąt lat nie uległy żadnej pokusie. Chciałbym w to wierzyć, ale coś jestem człowiekiem słabej wiary w cuda. Feliks Falk pokazał te „cuda" już w roku 1977 w filmie *Wodzirej* ze znakomitą rolą Jerzego Stuhra. Niewykluczone, że pokazał prawdę.

Muzyka nade wszystko

Tak jakoś jesteśmy skonstruowani, że muzyka jest nam do życia koniecznie potrzebna i odgrywa w tym życiu przeogromną rolę, choć nie lubimy się do tego przyznawać. Sam wychowałem się na Chopinie i Beatlesach, więc kompletnie nie akceptuję np. disco polo i w pełni podzielam muzyczne gusta moich 70-letnich rówieśników z Trójki. Zdaję sobie jednak sprawę, że dla innych uszu Chopin może być niezrozumiały, a Beatlesi przestarzali. Mogę nawet szydzić z prymitywnych gustów pewnych osób. Nie zmienia to faktu, że te osoby bez tej muzyki nie mogłyby tak żyć, jak żyją.

Wiedział o tym już Platon, obawiający się rewolucji idącej za zmianami w muzyce, choć to, co słyszeli starożytni Grecy, nijak nie przystaje do naszej muzycznej wyobraźni. Jakiekolwiek próby rekonstrukcji muzyki, która mogła istnieć w czasach Platona, ujawniają tak nieprawdopodobny prymityw, że wobec niego disco polo jest szczytem wyrafinowania artystycznego. Bo nie jakość muzyki decyduje, ale „mojość". To, że moja muzyka jest „mojsza niż twojsza".

Do tego żartu słownego z *Dnia świra* nawiązał Kazimierz Staszewski w piosence *Twój ból jest lepszy niż mój*. Pod względem muzycznym – słabizna. Clip – beznadziejny. Marny tekst ocieka jadem, ale szlagwort – doskonały. Tak właśnie powstają często piosenki. Szlagwort jest najważniejszy; to on zadecyduje o przyswojeniu piosenki, o jej „mojości". Ten szlagwort wprawdzie z Kazika nie zrobi herosa, ale do Herostratesa upodobni go na długie lata.

Gest Antygony

Niekiedy zdarza się nam stanąć przed zadaniem, którego wszystkie rozwiązania są trudne, niekorzystne lub wręcz dramatyczne. Wtedy najchętniej się cofamy, nie podejmujemy decyzji lub nawet udajemy, że sprawa nas nie dotyczy. Klasyczny przykład takiego problemu przedstawił nam Sofokles, piszący w epoce Peryklesa. Antygona ma do wyboru: albo urządzi symboliczny pogrzeb bratu i zginie, albo prawa nie złamie i pozostawi ciało brata na pohańbienie.

Sytuacja z 10 kwietnia 2020. Obowiązuje zakaz odwiedzania cmentarzy, ale właśnie mija 10 rocznica tragedii smoleńskiej i na grobach ofiar trzeba złożyć kwiaty, by w ten symboliczny sposób potwierdzić, że – jako Polacy – jesteśmy kontynuatorami tradycji greckiej, łacińskiej, ale i żydowskiej, która również każe szanować groby. I teraz problem: kto ma te kwiaty złożyć, kto ma odmówić modlitwę, kto ma dokonać czynu symbolicznego.

Zdobył się na to Jarosław Kaczyński nie jako brat jednej z ofiar katastrofy, ale jako rzeczywisty przywódca narodu. Tak właśnie postępują wodzowie: na ogół pracują w jakimś niewidocznym sztabie, ale gdy sytuacja tego wymaga – idą na pierwszą linię i… cóż, czasem oberwą jakimś zabłąkanym szrapnelem. Pomijam już fakt, że pod względem prawnym dopełniono wszelkich obowiązków, więc nie mamy tu do czynienia ze złamaniem prawa, ale z czynem, którego symboliczna wymowa pobudzi różnych Herostratesów do nikczemnego działania. Gest Antygony musi być ukarany! I to zostało najpierw wykonane w antypolskich mediach polskojęzycznych, a następnie przez Kazika właśnie tą piosenką, o której tu się mówi.

Licytacja na cierpienia

Twój ból jest lepszy niż mój wprowadza nową nutę do bieżących sporów politycznych i może jeszcze zabrzmieć dziwnym echem w nieoczekiwanych kontekstach. Dotychczas spotykaliśmy się bowiem z różnymi przejawami agresji „antysmoleńskiej". Były też próby fabrykowania własnych „męczenników", kładących się na ziemię, by do kamery robić za ofiary. Obecny etap wygląda raczej na regresję, jakieś zdziecinnienie, a w każdym razie na brak poważniejszej, odpowiedzialnej refleksji.

Piosenka Kazika wprost szydzi z odwiecznych ogólnoludzkich rytuałów. Piętnuje Kaczyńskiego za to, że ten wykonał swój święty obowiązek, że nie wysłał kwiatów na groby kurierem albo że w ogóle pamiętał o rocznicy tragedii. Zawsze w takich wypadkach rozpatruję podobne sytuacje w Niemczech, Rosji czy we Francji, nie mówiąc już o Arabii Saudyjskiej czy Chinach. W każdym kraju jest nieco inaczej. W Polsce jest po polsku i to powinien każdy, nawet artysta z Teneryfy, zrozumieć.

To, co zaprezentował Kazik, jest groteskową, a w konsekwencji groźną licytacją na cierpienia. Czy z powodu jakichś pozornych ograniczeń Żydzi mogą zrezygnować z upamiętnienia Holokaustu w Auschwitz? Otóż nie mogą, bo wtedy by upadła narracja, że „ich ból jest lepszy niż mój". Ale o tym Kazik nie odważy się zaśpiewać nigdy. On zna granice. Wie, do jakiego punktu może obrażać bezkarnie.

FOT. WOJCIECH SOBOLEWSKI

70 lat temu, 4 sierpnia 1950 r., zapoczątkowała nadawanie do Polski amerykańska rozgłośnia Głos Wolnej Polski Radia Wolna Europa. Audycje przygotowywano i montowano w Nowym Jorku, taśmy przewożono samolotami do Niemiec i stamtąd nadawano. Początkowo była to niecała godzina powtarzana trzy razy w ciągu dnia, a od stycznia 1951 r. – 8,5 godziny tygodniowo.

Głos wolnej Polski

formatywny okres Radia Wolna Europa

Andrzej Świdlicki

Operacja ta poprzedziła o dwa lata rozpoczęcie nadawania polskich audycji Głosu Wolnej Polski z Monachium. Nazwa była w użyciu do 1958 r., gdy zmieniono ją na „Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa", stosowaną do czerwca 1994 r., gdy RP RWE zakończyła nadawanie z Monachium.

Okres nowojorskiego monopolu na audycje Głosu Wolnej Polski był krótki i rychło poszedł w zapomnienie. Tymczasem to w Nowym Jorku powstały zręby programu i jego linia. Pierwszy dyrektor, przed wojną kierownik referatu prasowego w MSZ, Lesław Bodeński, w obliczu stalinowskich prześladowań, niewygasłych nadziei na III wojnę światową Zachodu z ZSSR oraz wciąż czynnych ognisk zbrojnego, antykomunistycznego oporu, stawiał na rozumny nacjonalizm – obronę narodowej tożsamości w sensie tradycji i religii. GWP nadał cykl prelekcji Józefa Czapskiego o mordzie polskich oficerów w Katyniu, w czasie, gdy Czapski zabiegał w USA o pieniądze na „Kulturę", upominał się o przemilczany w kraju wkład Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, „jasno i niedwuznacznie" wypowiadał się o granicy na Odrze i Nysie, która do czasu układu Warszawa-Bonn z 1970 r. była dla RWE tematem bardzo trudnym z uwagi na nadawanie z Niemiec i nieuznawanie jej przez rząd USA. Były też programy literackie i nawet satyryczne.

GWP stał na gruncie wspólnoty interesów Polski i Stanów Zjednoczonych. Wśród celów radiowej operacji Bodeński wymieniał: niedopuszczenie do tego, by Polacy okazali się nieodporni na komunistyczną ideologię i propagandę, utrzymanie ich prozachodniego nastawienia, wsparcie dla wybijania się na narodową niezawisłość. Zakładano przy tym, że Polacy, odzyskawszy wolność, będą sojusznikami USA, a tym samym wzmocnią bezpieczeństwo Zachodu. Takiej treści *brief* otrzymał Jan Nowak, trzeci z rzędu dyrektor GWP, czemu dał wyraz w memorandum ze stycznia 1952 r., napisanym na kilka miesięcy przed objęciem stanowiska w Monachium: „Szeroko rzecz ujmując, główny cel nadawania Radia Wolna Europa do krajów za Żelazną Kurtyną jest dwuwymiarowy: stworzyć tyle psychologicznych przeszkód przed sowietyzacją, ile się da, i zadbać o to, by ludność była potencjalnym sojusznikiem Zachodu". Podejście to zakładało kształtowanie politycznych oczekiwań Polaków, rozmiękczanie systemu, wsparcie dla „reformatorskiego" nurtu w PZPR, rewizjonistów i dysydentów, misję informacyjną, nagłaśnianie oddolnych inicjatyw społecznych, demaskowanie cenzury, promocję amerykańskich rozwiązań itp., ale wykluczało szeroko pojmowane nawoływanie i podżeganie.

Rozgłośnia była w tym skuteczna w sporej części dzięki temu, że do czasu pojawienia się niecenzurowanej prasy podziemnej nie miała konkurencji – dzięki turystom i uciekinierom z Polski oraz zagranicznym dziennikarzom otrzymywała zakulisowe informacje; inne polskojęzyczne rozgłośnie – Głos Ameryki i BBC – nie mogły jej dorównać skoncentrowaniem na tematyce krajowej, nie posiadały wyodrębnionego działu badań i analiz, nie nadawały w porównywalnym wymiarze czasowym, miały mniejszą swobodę kształtowania programu. Mit rozgłośni wykreowało zagłuszanie w latach 1950–1956 oraz 1971–1988, roztaczając wokół niej smak owocu zakazanego. Powstało wrażenie, że audycje były zagłuszane dlatego, że komunistyczna władza miała coś do ukrycia. RWE sprzyjało to, że toporna propaganda wykształciła w ludziach sceptycyzm i umiejętność czytania między wierszami.

Bodeński nie miał politycznego umocowania w żadnym z emigracyjnych stronnictw politycznych i został wyznaczony przez Amerykanów. Jednym z kilku jego kontrkandydatów był Jan Nowak – wówczas pracownik Polskiej Sekcji BBC w Londynie, o czym nie ma niczego w jego memuarach. Miał poparcie części działających w USA członków ugrupowania Niepodległość i Demokracja (PRW NiD), ale okazało się niewystarczające. Amerykanie bardziej liczyli się z opinią narodowców, ludowców, PPS-u i chadeków. W 1951 r. drugim dyrektorem GWP w Nowym Jorku był związany ze Stronnictwem Narodowym dziennikarz i wydawca Stanisław Strzetelski. Nowak – trzeci z rzędu dyrektor, zawdzięczający nominację Edwardowi Raczyńskiemu, po przyjściu do Monachium w 1952 r. nie był tak samodzielny, jak usiłował to przedstawić po latach. Był „młodszym partnerem" Strzetelskiego, a w Monachium miał nad sobą dział doradców politycznych kierowany przez przebojowego Williama Griffitha z CIA. Był to okres prowadzonej pod szyldem zagranicznej delegatury WiN-u (Wolność i Niezawisłość) amerykańskiej operacji wywiadowczej na Polskę, w której RWE odegrała pośrednią rolę. W bliskiej odległości od Monachium w Bergu nad jeziorem Starnberg mieściła się jedna z baz operacyjnych. Celem akcji było zbieranie informacji i stworzenie uśpionej organizacji paramilitarnej na wypadek konfliktu zbrojnego Zachodu z ZSSR. Urząd Bezpieczeństwa przechwycił siatkę kurierską, stworzył fasadową komendę WiN-u i położył kres wywiadowczej grze w grudniu 1952 r.

Zależność od Nowego Jorku stopniowo stawała się dla Monachium coraz bardziej uciążliwa: mechaniczny podział kompetencji (Nowy Jork obsługuje wydarzenia międzynarodowe, Monachium krajowe) nie sprawdzał się. W życiu emigracji polskiej w USA wiele mieli do powiedzenia korzystający z politycznej kurateli Amerykanów ludowcy S. Mikołajczyka, w Londynie niepopularni, a z Londynu wywodził się trzon pierwszego zespołu rozgłośni w Monachium. Strzetelski przeciwny był nadawaniu z Monachium – miasta, będącego kolebką nazizmu; Nowak uważał, że trzeba się z tym pogodzić, bo żadne inne miejsce nie wchodziło w grę.

Podskórne napięcia dały o sobie znać po ucieczce wicedyrektora departamentu X MBP Józefa Światły. Jedna z hipotez tego wydarzenia mówi o nim jako o podwójnym agencie brytyjskim, następnie amerykańskim, inna o tym, że został celowo wysłany dla podkopania morale aparatu partyjnego demoludów wychowanego na kulcie Stalina, by przeciągnąć go na stronę „odwilży" firmowanej przez Chruszczowa. Nie wiadomo, jak taśma z jego nagraniem trafiła na biurko Nowaka. On sam po to, by nie uchodzić za wykonawcę poleceń CIA, pisze o przypadku. Zastanawia to, że na rozmówcę Światły Nowak wybrał Zbigniewa Błażyńskiego z Monachium, a nie kogoś z biura nowojorskiego. Czy dlatego, że w Nowym Jorku nie było dziennikarza zdolnego Światłę przepytać? Czy nie mógłby zrobić tego sam Strzetelski – dziennikarz z wieloletnim stażem? Czy też powodem było to, że w Nowym Jorku uznano Światłę za schwarzcharakter, a w obsmarowywaniu przez niego dawnych towarzyszy nie dopatrzono się wartości informacyjnej? Jeśli tak, to Strzetelski nie byłby jedynym Światło-sceptykiem. Także Jerzy Giedroyć nie nadał wywiadu z nim przeprowadzonego przez Zygmunta Nagórskiego jr. Faktem jest, że Nowakowi bardzo zależało na nadaniu rewelacji zbiegłego ubeka, ponieważ można było przykryć nimi aferę wywiadowczą Bergu, ujawnioną w Londynie kilka miesięcy wcześniej. Berg był u podłoża największego kryzysu w historii powojennej emigracji żołnierskiej w Londynie, powodem politycznego rozłamu i egzystencjalnych rozterek. Nowak jako wysoka szyszka „NiD-u" – ugrupowania wywiadowczo współpracującego z Amerykanami w aferze Bergu – i dyrektor amerykańskiej stacji musiał o niej wiedzieć.

Do wyemancypowania się Monachium spod kurateli Nowego Jorku doszło kilka miesięcy później, przy okazji tzw. akcji balonowej, realizowanej od lutego 1955 do października 1956 r. Nowak twierdzi, że od początku był do niej nastawiony „bardzo negatywnie", ale uważał, że nie można odrzucać żadnego sposobu oddziaływania na kraj. Rozumiał przez to wpływanie na aparat partyjny, zwłaszcza średniego i niższego szczebla, do którego w pierwszym rzędzie skierowane były rewelacje Światły. Materiały zrzucane do Polski z balonów redagował w Nowym Jorku w porozumieniu z nim późniejszy kanadyjski politolog Adam Bromke.

> Zakładano, że Polacy, odzyskawszy wolność, będą sojusznikami USA, a tym samym wzmocnią bezpieczeństwo Zachodu.

W *Wojnie w eterze* Nowak uznał akcję za inicjatywę dobrze ustawionego, przebojowego i inteligentnego „młokosa" Samuela Walkera z działu publikacji Komitetu Wolnej Europy w Nowym Jorku. Tymczasem odpowiadał za nią zastępca dyrektora CIA ds. planowania, Frank Wisner. Nowak posłużył się „młokosem" jako zasłoną dymną, ponieważ krytykowanie Wisnera musiałoby być dla niego niezręczne. Dodatkowo miał skłonność do przypisywania sobie rozmaitych zasług, a w akcji balonowej ich nie miał. Co więcej, poparcie dla mocno wątpliwej akcji stwarzałoby wrażenie, iż nie był samodzielnym graczem politycznym, a bardzo starał się za takiego uchodzić.

W odróżnieniu od Monachium Nowy Jork, idąc za głosem emigracyjnej opinii, od początku pryncypialnie krytykował sam pomysł, ale skoro Amerykanie się przy niej upierali, to chciał, by polska polityczna emigracja miała wpływ na treść redagowanych ulotek. Nowak odciął się od takiego podejścia, tłumacząc je niemożnością wypracowania wspólnego stanowiska emigracji; nazwał je „politykierstwem" i poparł stanowisko amerykańskiego wywiadu, dla politycznej emigracji nie widzącego w balonowym przedsięwzięciu żadnej roli. Politycznie mu się to opłaciło. W marcu 1955 r. Strzetelski podał się do dymisji. Miesiąc później biuro GWP w Nowym Jorku służbowo podporządkowano Nowakowi.

Wysyłkę balonów do Polski wstrzymano w przededniu politycznego przesilenia w Polsce w październiku 1956 r., uznając, że „delikatna sytuacja polityczna" przemawiała przeciwko podgrzewaniu społecznych nastrojów.

Strzetelski okazał się mądry poniewczasie. Jako pierwszy przetestował teoretyczną zasadę polsko-amerykańskiego partnerstwa. Zakładała ona, że dyrektor Głosu Wolnej Polski RWE, jako wyraziciel opinii emigracji politycznej współpracującej z Amerykanami, w imię wspólnych celów miał autonomię w kształtowaniu programu i w polityce personalnej. W liście do gen. Andersa Nowak bezpodstawnie twierdził, że odejście Strzetelskiego nie miało związku z akcją balonową, a Amerykanie i tak chcieli go usunąć, bo raport inspektorów ujawnił jego niekompetencję. W *Wojnie w eterze* o domniemanym raporcie inspektorów nie ma słowa.

Podporządkowaniem nowojorskiego biura Monachium i uśmierzaniem wzburzonych nastrojów zajął się z zastępca Nowaka Marek Święcicki, którego po powrocie z Nowego Jorku Nowak zmarginalizował, faworyzując Tadeusza Żenczykowskiego – działacza NiD-u zamieszanego w aferę Bergu. Święcicki został oskarżony o próbę wysadzenia Nowaka z siodła i usunięty. Po nim trud porządkowania stosunków w nowojorskim biurze GWP spadł na b. kierownika polskich audycji Radia Madryt, Karola Wagnera (Pieńkowskiego). Nie obyło się bez napięć, głównie na tle zwolnień, co miało echa nawet w Kongresie.

Członek Kongresu polskiego pochodzenia Tadeusz Machrowicz w liście do Ludwika Łubieńskiego, adiutanta gen. Andersa, napisał, że największą przysługą, jaką Nowak mógłby oddać rozgłośni, byłoby podanie się do dymisji i ustąpienie pola innym: „Nie możemy tolerować jednostek, które nie umieją podporządkować osobistych ambicji dobru sprawy naszej. Niestety w mojej opinii p. Nowak jest tego rodzaju osobą" – napisał.

Strzetelski został dyrektorem Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, a wokół Nowaka zaczął kształtować się mit twórcy RWE, kryształowego patrioty, legendarnego kuriera oraz sztandarowego antykomunisty. To ostatnie jest szczególnie dziwne, gdyż Nowak nie znał komunizmu z autopsji, a RWE, choć uchodziła za antykomunistyczną, nią nie była. W Polsce dopiero w latach 80. opozycyjni intelektualiści dziwili się jego wrogości do jednego z największych polskich prozaików XX w. – Józefa Mackiewicza. Leopold Tyrmand widział w Nowaku spowiednika stalinowców przefarbowanych na liberałów. Inni zauważyli u niego obsesyjny stosunek do Mieczysława Moczara nawet wówczas, gdy lider „frakcji partyzantów" dawno był na bocznym torze. Po 1989 r. Nowak dał się poznać jako wyraziciel interesów lobby żydowskiego i rzecznik hegemonii amerykańskiej. Dawni współpracownicy, jak np. Stefan Wysocki, pisali o nim jako człowieku małostkowym i pamiętliwym, wplątanym w przegrany proces mający wybielić okupacyjną przeszłość.

Jeszcze bardziej niebywałe jest to, że po 1989 r. temat Wolnej Europy oddziaływał na historyków paraliżująco i nie zdobyli się na napisanie odmitologizowanej historii rozgłośni. Jest to tym dziwniejsze, że w okrągłym stole słusznie widzi się intrygę gen. Kiszczaka, ale nie dostrzega się, że Wolna Europa popierała ją obydwiema rękami, bo polityka Waszyngtonu stawiała na Gorbaczowa, Jaruzelskiego i tzw. ogólnospołeczny dialog.

Rozgłośnia była akuszerką schizofrenicznej rzeczywistości, którą dziś mamy w Polsce, i jej beneficjentem. Wyrazem tego były prezydenckie odznaczenia i wyniesienie (staraniem Jana Nowaka) dwóch byłych dyrektorów na ambasadorów w Szwajcarii i Belgii/NATO. Pierwszy wsławił się awanturami z kierowcą, a drugi podpisał się pod niemądrym listem byłych ambasadorów do prezydenta Trumpa, faktycznie donosem na polskie państwo maskowanym troską o praworządność. Jan Nowak ma ulice jego imienia, znaczek pocztowy ze swoją facjatą. Imieniem RWE nazwane jest jedno ze studiów Polskiego Radia oraz rondo na warszawskim Bemowie. Duże honory jak na rozgłośnię, której działalność budzi niedosyt. Wykreowała wiele fałszywych autorytetów, nie była tak niezależna, za jaką chciała uchodzić, była bezkrytyczna wobec zachodnich modeli i stała na gruncie amerykańskiej „wyjątkowości", za którą nigdy jeszcze tak wiele państw nie płaciło tak wyjątkowej ceny.

Autor wydał dwutomową pracę: *Pięknoduchy, radiowcy, szpiedzy: Radio Wolna Europa dla zaawansowanych.*

---

14 maja br. Witold Dobrowolski wygrał konkurs Grand Press Photo 2020 w kategorii Fotoreportaż – Wydarzenia. Jego nagrodzona praca dokumentuje ubiegłoroczne protesty w Hongkongu.

I nagroda Grand Press Photo 2020 dla Witolda Dobrowolskiego

Witold Dobrowolski (ur. 1992) jest dziennikarzem, fotografem, członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, absolwentem Studium Europy Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim. Przygodę z zagranicznym fotoreportażem rozpoczął zimą 2014 roku podczas Rewolucji Godności na Ukrainie. Dokumentował wojnę w Donbasie w latach 2014–2018 po obu stronach konfliktu. W 2016 roku jego wystawę fotografii z Donbasu na Uniwersytecie Warszawskim otwierał były prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko. Był srebrnym finalistą nagrody studenckiej Le Prix de la Photographie de Paris za reportaż wykonany latem 2018 roku na ukraińskiej linii frontu. Jako dziennikarz dokumentował protest żółtych kamizelek w Paryżu, masowe protesty w Libanie i w Hongkongu. (Jego zdjęcia, m.in. z Libanu i Hongkongu, ilustrowały artykuły w „Kurierze WNET").

Witold Dobrowolski FOT. JAKUB OCHNIO

Zapytany o szczególnie niebezpieczną pracę w Hongkongu opowiada: „Do Hongkongu miałem się wybrać już podczas „rewolucji parasolek", ale z różnych względów, przede wszystkim z powodu eskalacji napięcia na Ukrainie, ostatecznie do tego wyjazdu nie doszło. Obiecałem sobie wtedy, że kiedy dojdzie tam do kolejnej dużej fali protestów, to już będę je dokumentował. I tak też się stało. Masowe protesty przeciwko ustawie ekstradycyjnej wybuchły w czerwcu 2019 r. Po pierwszym krótkim wyjeździe na protesty we wrześniu mogłem ocenić sytuację oraz atmosferę protestów. Na drugi wyjazd w październiku kupiłem bilety w jedną stronę, nie wiedząc, że kolejne 3 miesiące spędzę, relacjonując najbardziej brutalne i spektakularne momenty „rewolucji naszych czasów" – jak nazywają Hongkończycy masowe protesty antyrządowe.

Mimo że każdy tydzień mojego pobytu wypełniały masowe protesty, a także starcia hongkońskiej młodzieży z policją, byłem przekonany, że rewolucja zacznie słabnąć, a swój okres największego nasilenia miała na przełomie czerwca i lipca, gdy doszło do okupacji budynku Rady Legislacyjnej. Myliłem się, a wraz z eskalacją wydarzeń w listopadzie dokumentowanie starć stało się pracą niemal całodobową, aż do momentu kulminacyjnego, jakim była bitwa o politechnikę w centrum miasta, która przerodziła się w dwunastodniowe oblężenie. Na kampusie spędziłem 7 dni oblężenia (nie licząc późniejszych dni, gdy tam wracałem), relacjonując i dokumentując sytuację dla polskich mediów. Okazało się, że byłem najdłużej przebywającym bez przerwy dziennikarzem na hongkońskiej politechnice.

FOT. WITOLD DOBROWOLSKI

Po zakończeniu oblężenia i po wygranej pandemokratycznej opozycji w wyborach do dystryktów, masowe protesty osłabły. W wyniku ponownej, listopadowej eskalacji protestów kilka tysięcy osób zostało zatrzymanych, kilkaset zostało rannych, a przynajmniej dwie zginęły w wyniku działań policji.

Na mój reportaż, który został nagrodzony I miejscem w kategorii Wydarzenia w Grand Press Photo 2020, składają się zdjęcia, które przedstawiają szereg momentów z Rewolucji Naszych Czasów, w których starałem się uchwycić najbardziej dynamiczne momenty z perspektywy samych demonstrantów. Chciałem zburzyć pewną ścianę, którą stawiała większość fotografów dokumentujących protesty z bezpiecznej odległości, by osoba mająca styczność z moimi fotografiami mogła odczuć chociaż w niewielkim stopniu emocje towarzyszące młodym demonstrantom, którzy brali udział w bezpośrednich starciach z policją lub stawali się ofiarami policyjnej przemocy".

W 1940 roku w Katyniu, Miednoje koło Tweru, Piatichatkach na przedmieściu Charkowa, Bykowni koło Kijowa i zapewne kilku jeszcze miejscach doszło do zbrodni, której skutki odczuwamy do dzisiaj. Zgładzono polską elitę. Nie tylko, jak przyjęło się powszechnie uważać – oficerów, ale także ziemian, naukowców, lekarzy, inżynierów, prawników, nauczycieli, urzędników państwowych, przedsiębiorców, przedstawicieli wolnych zawodów.

Dlaczego doszło do Katynia? (III)

Polityka narodowościowa II Rzeczpospolitej

Wojciech Pokora

Ten mord, w połączeniu z licznymi deportacjami, ale także z innymi, zaledwie kilka lat wcześniejszymi zbrodniami komunistów na Polakach, miał – a można zaryzykować tezę, że nadal ma – skutki moralne, kulturowe i duchowe w naszym narodzie. Istotne jest zatem zrozumienie, czym tak bardzo narazili się Polacy, że należało ich eksterminować na taką skalę, że do tego dzieła przystąpiły wspólnie dwa totalitaryzmy. W kolejnych wydaniach „Kuriera WNET" staram się na to pytanie odpowiedzieć, analizując politykę wschodnią II Rzeczpospolitej. Polska odrodziła się bowiem w całkowicie specyficznym okresie, w czasie krzepnięcia na Wschodzie rządów bolszewików, mających w planie rozpętanie światowej rewolucji. Plany te pokrzyżowała im Polska. W tym roku świętować będziemy setną rocznicę militarnego zwycięstwa nad bolszewikami. Jednak duża część Polaków miała jeszcze w planie zwyciężyć z bolszewikami na innych frontach, także prowadząc grę wywiadowczą, dyplomatyczną i polityczną. Idei konfederacji, którą zaczęto wdrażać na Wschodzie, zaczynając od czterech republik – Ukrainy, Białorusi, Rosji i Zakaukazia, a kończąc w momencie rozpadu w 1991 roku na piętnastu – Polska przeciwstawiła ideę federacyjną.

Koncepcję tę zaprezentował Józef Piłsudski w kontrze do promowanej przez Romana Dmowskiego idei inkorporacyjnej, zakładającej wcielanie do Polski tych ziem, której ludność dałoby się zasymilować i spolonizować. Państwo polskie miało stać się państwem unitarnym, w którym narodem panującym byłby naród polski. Mniejszości narodowe stanowiły zgodnie z tą koncepcją potencjalne niebezpieczeństwo. Dlatego jedyną dla nich drogą była asymilacja. Gdyby jednak nie przyniosła ona skutku, powinien nastąpić proces neutralizacji, co oznaczało ich zwalczanie. Elementy tej doktryny próbowano wcielić w życie po raz pierwszy w latach 1920–1922. Była to tzw. „quasi-polityka asymilacji narodowej" w polityce narodowościowej państwa polskiego. W tamtym okresie uznawano, że porządkowi publicznemu i bezpieczeństwu wewnętrznemu państwa zagrażają w pierwszej kolejności Żydzi, dalej Ukraińcy (Rusini), Białorusini, mniejszość niemiecka. Ówczesne kierownictwo MSW przyjęło stanowisko, że wszystkie żydowskie partie i organizacje społeczne stoją na gruncie walki z państwowością polską. Za główne żydowskie organizacje wywrotowe uznawano wówczas Bund, Poalej Syjon i Komunistyczną Partię Robotniczą Polski.

> Józef Piłsudski marzył o utworzeniu bloku państw skonfederowanych z Polską, utworzonych z niepodległej Litwy, Białorusi i Ukrainy. Mniejszości miały cieszyć się autonomią i dążyć do rozsadzenia ZSRR po „narodowych szwach".

Wśród mniejszości ukraińskiej zwracano wówczas głównie uwagę na jej działalność w Galicji Wschodniej, na terenie której dochodziło do zbrojnych wystąpień antypolskich – sabotaże, terror na ludności polskiej poprzez podpalanie domów, budynków gospodarczych i płodów rolnych, a także akcje terrorystyczne, jak wrzucenie granatu do mieszkania starosty w Kałuszu; interesowano się też internowanymi żołnierzami Semena Petlury. Za organizację antypolską uznano Ukraińską Organizację Wojskową (UWO).

Na odcinku białoruskim interesowano się zbrojnymi oddziałami operującymi wzdłuż granicy polsko-litewskiej, a mającymi na celu zbudowanie niezależnego państwa. Była to partyzantka podporządkowana Wacławowi Łastowskiemu, którego rząd emigracyjny miał siedzibę w Kownie.

Mniejszość niemiecką obserwowano pod kątem antypolskiej działalności jej struktur społeczno-politycznych, przede wszystkim wzięto pod obserwację Związek Niemczyzny dla Ochrony Praw Mniejszości w Polsce, w którego ramach działał Związek Niemców w Polsce. Organizacje te, według raportów MSZ, opowiadały się za pozostaniem kolonistów w Polsce i za uczynieniem ludności kaszubskiej nową mniejszością narodową, wrogą Polsce. Ponadto raportowano o prężnie działającej niemieckiej konspiracji wojskowej na Pomorzu.

Inkorporacja kontra federalizacja

Józef Piłsudski natomiast marzył o utworzeniu bloku państw skonfederowanych z Polską, utworzonych z niepodległej Litwy, Białorusi i Ukrainy. Mniejszości, które znalazły się na terytorium II Rzeczypospolitej, miały natomiast cieszyć się autonomią i dążyć do rozsadzenia ZSRR po „narodowych szwach".

Postawa ta znalazła wyraz w polityce państwowej realizowanej wobec mniejszości po zamachu majowym w 1926 roku. Rząd Kazimierza Bartla przyjął „Wytyczne dla władz rządowych w sprawie stosunku do mniejszości narodowych". Zerwano z dotychczasową polityką asymilacji narodowej na rzecz koncepcji asymilacji państwowej. Odtąd mniejszości narodowe nie były na siłę przekształcane w Polaków, a postanowiono zadbać o ich lojalność jako obywateli, z zachowaniem odrębnej tożsamości. Przyjęto założenie, ze polityka asymilacyjna powinna w pierwszej kolejności zaspokajać potrzeby mniejszości w zakresie spraw natury gospodarczej i kulturalnej. Ponadto postanowiono usprawnić administrację w ten sposób, by realizowała ona postulaty mniejszości w zakresie lokalnym. Zapowiedziano zniesienie przepisów z okresu administrowania poszczególnymi regionami obecnej Rzeczpospolitej przez państwa zaborcze, w ten sposób, by nie ograniczały już życia narodowego i religijnego mniejszości narodowych. Zastrzeżono przy tym, że państwo nie pozwoli na żadne działania mniejszości narodowych, godzące w dobro i interes państwa.

Raporty MSW z tego okresu wskazują, że mniejszości przyjęły dojście Piłsudskiego do władzy w większości z nadzieją. Mniejszość niemiecka skupiła się na rozbudowie życia wewnątrz swojej wspólnoty narodowej, niezależnie od życia społeczeństwa polskiego, bardzo mocno reagując na wydarzenia w Rzeszy Niemieckiej i na zewnątrz, w stosunkach z państwem polskim wykazując jedność (bez względu na wewnętrzne podziały polityczne pomiędzy poszczególnymi organizacjami). Istniało wówczas 7 głównych niemieckich partii politycznych na terenie Polski, z których wywodziła się reprezentacja parlamentarna, składająca się z 17 posłów i 5 senatorów.

Mniejszość ukraińska (nazywana w raportach nadal jako „ruska" lub „rusińska") także żywo reagowała na sytuację w Rzeszy Niemieckiej. Raportowano, że w napięciu reagowała na niemiecką propagandę dotyczącą rewizji granic Rzeczpospolitej, karmiąc się nadzieją, że sytuacja, gdy rosnące w siłę Niemcy zmuszą Polskę do zgody w sprawie rewizji niemieckich granic wschodnich, wydźwignie znów na arenę międzynarodową sprawę wschodnich granic Polski, w tym kwestię ukraińską. Nowa polityka władz polskich spowodowała rozwój ukraińskich organizacji i stowarzyszeń społecznych, takich jak „Proświta" czy „Ridna Szkoła", a także ukraińskiej prasy. Uaktywnił się Ukraiński Komitet centralny skupiający Ukraińców Naddnieprzańskich (petlurowców). Wciąż jednak zwalczano wszelkie przejawy ukraińskiej irredenty i obserwowano przemianę ideową obozu wojskowego. Ukraińska Organizacja Wojskowa ustąpiła miejsca Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a związani z nią przedstawiciele mniejszości ukraińskiej prowadzili przeciwko Polsce działalność wywiadowczą i szpiegowską.

Niemiecki afisz propagandowy ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ

Bardzo aktywni zrobili się Białorusini. Uznano, że skoro „na czele Polski stoi demokratyczny rząd Bartel-Piłsudski", jak pisało „Biełaruskaje Słowo", pora wrócić do koncepcji federacji polsko-ukraińsko-białoruskiej i w obliczu rozpadu Związku Sowieckiego zacząć wprowadzać reformę rolną. Szybko nastroje zaczęły się jednak radykalizować i hasło reformy rolnej podchwyciła BWR Hromada, zmieniając wektor działań na antypolski. Spowodowało to reakcję władz Polski i rozwiązanie organizacji oraz aresztowanie wywodzących się z niej posłów.

> Stosunek do państwa zmieniła mniejszość żydowska. Z jednym wyjątkiem. Żydowskie organizacje lewicowe głosiły, że należy przyjąć postawę antysanacyjną, bowiem polityka rządu przynosi korzyść jedynie warstwom bogatym.

Dużą zmianą był stosunek do ludności żydowskiej. Po przewrocie majowym kwestia żydowska przestała być uznawana za najgroźniejszą obok ukraińskiej dla bezpieczeństwa wewnętrznego państwa. Jednocześnie swój stosunek do państwa zmieniła mniejszość żydowska. Z jednym wyjątkiem. Żydowskie organizacje lewicowe głosiły, że należy przyjąć postawę antysanacyjną, bowiem polityka rządu przynosi korzyść jedynie warstwom bogatym, ogół społeczeństwa żydowskiego natomiast nie odczuwa zmian na lepsze. Mniejszość żydowska miała swoje przedstawicielstwo w Sejmie w postaci 34 posłów skupionych w Kole Żydowskim, i 12 senatorów w Klubie senatorskim.

Nowoczesne oznacza wielonarodowe

W grudniu 1928 roku wojewodą wołyńskim został Henryk Józewski. Decyzja ta była wprost związana z nową polityką Rzeczpospolitej wobec mniejszości narodowych. Józewski zresztą był jednym z najbliższych współpracowników Piłsudskiego i miał wpływ na kształtowanie tej polityki. Jego wizja nowoczesnego państwa była opozycyjna wobec polityki endeckiej i ukształtowana, jak zauważył Timothy Snyder, przez dwie tradycje – europejskie oświecenie i republikanizm istniejącej w latach 1569–1795 Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Uznał, że skupienie się na kwestii narodowościowej w takim znaczeniu, jak zrobiła to endecja, będzie oznaczać katastrofę dla państwa. Tolerancja była w jego mniemaniu siłą, a nie przyczyną upadku I Rzeczypospolitej, a strategia asymilacji narodowej już poniosła porażkę na Wołyniu, zamieszkiwanym według spisu z 1937 roku przez 348 079 Polaków (16,7%), 205 615 Żydów (9,9%) i aż 1 420 074 Ukraińców (68,1%). Próba rządzenia mniejszości większością w duchu podporządkowywania jej sobie musiała skończyć się niepowodzeniem. Każda gwałtowna reakcja wywoła gwałtowny odzew. Próba siłowego asymilowania miejscowej ludności wcześniej czy później, a raczej wcześniej, doprowadzi do zaognienia konfliktu. A na taką sytuację czekał jeszcze jeden gracz, sowiecka Rosja.

Uznano zatem kwestię narodowości za sprawę polityczną, w tym sensie, w jakim rozumiana była w I Rzeczypospolitej. Jednostka obdarzona szacunkiem władzy, mogąca kultywować swoje tradycje i kulturę, czująca instytucjonalne wsparcie, samodzielnie dokona wyboru lojalności wobec takiego państwa. Polskość nie musi być kwestią pochodzenia narodowego, a może stać się wyborem, jak to już zresztą miało w historii miejsce. Przyjęto zatem koncepcję narodowej asymilacji mającej na celu nie wynarodowianie, a wzajemne przenikanie się narodów. W takiej koncepcji proces zachodzi jednak w dwóch kierunkach, będzie zatem następować także w jakimś stopniu wzajemne przenikanie się kultur i asymilacja narodowa Polaków. Z tego powodu koncepcja ta nie mogła przypaść do gustu nacjonalistom z obu stron. Jednak w momencie, gdy Józewski obejmował swój urząd na Wołyniu, nie nacjonaliści byli największym zagrożeniem. Problemem był komunizm.

Wołyń pod polskim panowaniem nie zawsze miał szczęście do wojewodów. Poprzednicy Józewskiego nie mieli bowiem spójnej koncepcji, jak podejść do rządzenia terytorium, gdzie Polak jest przedstawicielem mniejszości. Próbowano więc np. działać metodą nakazów. Pierwszy wojewoda wołyński, Jan Krzakowski, wydał rozporządzenie nt. języka urzędowego na obszarze podległego mu województwa, budząc od razu sprzeciw miejscowej ludności. Szybko wywołał też konflikt z wojskowymi osadnikami, wydając drugie rozporządzenie, nakazujące wojsku salutowanie mu na ulicy. Rządził więc krótko, od marca do lipca 1921 roku. Z kolei rządzący Wołyniem w latach 1924–1925 Kajetan Olszewski był generałem, zatem w swojej administracji postawił na wojsko, czym zraził sobie miejscowych. Jego następca Aleksander Dębski przeprowadził polonizację szkół ukraińskich, czym dokończył dzieła zniszczenia relacji. Ludność z nadzieją patrzyła w stronę komunistów, którzy, wskazując na Ukraińską SRR, mamili ją swobodami obywatelskimi, ale też – nie bez racji – wskazywali na rozwój ukraińskiej kultury w tym państwie.

Bezpośrednio po przewrocie majowym, w którego przygotowaniach czynnie uczestniczył, Józewski otrzymał stanowisko szefa Gabinetu Prezesa Rady Ministrów Józefa Piłsudskiego. Wojewodą wołyńskim został wówczas Władysław Mach, sojusznik Piłsudskiego, który przygotował grunt pod rządy swojego następcy. Zaczął świadomie używać określenia „Ukraińcy" na miejscową ludność, przekonując do poparcia w zamian za obietnicę lokalnej polityki tolerancji narodowej, którą zaczął realizować. Przejawem tego było chociażby wprowadzenie przepisów regulujących autonomię gmin żydowskich na Wołyniu. Umożliwienie rozwoju żydowskiego społeczeństwa obywatelskiego pozwoli utrzymać tę społeczność w okolicach centrum politycznego, nie dając mu się zradykalizować. Było to generalną zasadą polityki Józewskiego, a szerzej Piłsudskiego, na Wołyniu. Dlatego też utworzony został Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem jako organizacja, która dawała alternatywę w działaniu politycznym wszystkim tym, którzy nie chcieli określać się po prawej czy lewej stronie sceny politycznej. Była to najlepsza propozycja dla przedstawicieli mniejszości.

W całej Polsce Blok był najpopularniejszy wśród Żydów, którzy w Piłsudskim widzieli alternatywę dla antysemityzmu narodowych endeków. Na Wołyniu pierwsi Żydzi trafili z list BBWR do Sejmu już w 1928 roku. W tym województwie najwięcej było bowiem syjonistów, lokujących się, co prawda, po prawej stronie sceny politycznej, ale wiążących nadzieje z rewolucją syjonistyczną mającą się odbyć w Palestynie, nie mieli zatem interesu w tym, by szkodzić nieantysemickim rządom w Polsce. Rabini nawoływali więc wiernych do głosowania na Piłsudskiego. Wołyń był dla nich etapem, gdzie mogli nauczyć się fachu, odbyć szkolenie z obchodzenia się z bronią, w czym wspierało ich Wojsko Polskie, i przygotować się do rewolucji w Palestynie. Ale to głownie na wsiach. W miastach popularny był Bund, lewicowa, antysyjonistyczna partia żydowska, której członkowie uważali, ze jedynie zmiana porządku może poprawić warunki bytowania i pozycję społeczną Żydów.

Mimo swojej lewicowości, skupieni w tej organizacji Żydzi nie widzieli sojusznika w Związku Sowieckim, chociaż na Ukrainie przez krótki czas działał Komunistyczny Bund, ale była to jedynie mniejszościowa frakcja, która w maju 1919 r. połączyła się z tamtejszymi mniejszymi żydowskimi ugrupowaniami, tworząc ukraiński Związek Komunistyczny „Komfarband". Bundyści także wspierali Piłsudskiego. Ważną rolę natomiast odgrywali Żydzi w nieżydowskiej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Co ciekawe, komunizm poparcie Ukraińców zdobywał na wsiach, a Żydów w miastach. W Łucku w 1933 roku wszyscy członkowie partii komunistycznej bez wyjątku byli pochodzenia żydowskiego. Rodziło to pokusę przyjęcia taktyki, wskazującej miejscowej ludności, że komunizm jest ideologią żydowską i w ten sposób trzymania z dala od niej Ukraińców.

> Polskość nie musi być kwestią pochodzenia, a może stać się wyborem, jak to już zresztą miało w historii miejsce. Przyjęto zatem koncepcję narodowej asymilacji mającej na celu nie wynarodowianie, a wzajemne przenikanie się narodów.

Józewski jednak nie chciał grać nastrojami antysemickimi, tym bardziej, że we współtworzonym przez niego Bloku miał żydowskich sojuszników. Generalnie w swojej polityce wcale nie chciał wysługiwać się kwestią narodową. Wybrał inną drogę. Postanowił udowodnić Ukraińcom, że Rzeczpospolita jest dla nich lepszym sojusznikiem niż partia komunistyczna. Droga ta dziś nazywana jest eksperymentem wołyńskim. Polegała na tym, żeby wspomóc narodziny nowoczesnego narodu ukraińskiego. W tym celu należało wesprzeć ukraińską kulturę i przedsiębiorczość. Ważnym elementem tego działania było także przekształcenie cerkwi prawosławnej z rosyjskiej w ukraińską. Przez swoje działania, prowadzone równolegle do realizowanego na Wołyniu eksperymentu, Józewski przyczynił się do wprowadzenia języka ukraińskiego do liturgii w Cerkwi prawosławnej i pomógł uzyskać poparcie konstantynopolskiego hierarchy prawosławnego dla stworzenia Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, by odciąć cerkiew od wpływów Moskwy.

Ciąg dalszy w kolejnym numerze.

Od kilku lat w Instytucie Pamięci Narodowej prowadzona jest kwerenda w związku z przygotowaniem książki *Światło latarni*, która stara się ukazać polskich reżyserów jako osoby, które wyświetlając swoje filmy z projektorów, niczym latarnie morskie nawigowały całe społeczeństwo w kierunku, który wyznaczała Polska Ludowa. W zamian ci ludzie otrzymywali taką swobodę, jakiej nikt nigdy z twórców filmowych na świecie nie doświadczył.

Rozbity kryształ

Paweł Zastrzeżyński

FOT. JILBERT EBRAHIMI ON UNSPLASH

Teczka TW Aktora była jednym z pierwszych udostępnionych dokumentów, które zostały poddane kwerendzie. Ten materiał zachował się w oryginale. W karcie obiegowej widnieją dziesiątki nazwisk osób, które zapoznały się z treścią tam zawartą. To te dokumenty posłużyły do przygotowania artykułu w „Gazecie Polskiej", który można uzupełnić o fakt, że TW Aktor nie był werbowany w lokalu lontaktowym (LK) „Bachus", ale był właścicielem tego lokalu. To wynika z analizy treści oraz faktu, że teczka jest założona na agenta TW i właściciela lokalu kontaktowego. Na marginesie warto wspomnieć, że Bachus (Dionizos) w mitologii greckiej to bóg płodności. W ostatniej scenie *Iluminacji*, jednego z najważniejszych filmów reżysera, bohater jawi się właśnie jako posąg grecki. W ten sposób ukazuje się Krzysztof Zanussi.

Obrona pedofilii

W 2009 r. wokół Krzysztofa Zanussiego pojawiło się wiele kontrowersji. Jednak reżyser, jak zawsze, zachował stoicki spokój, pomimo że jego słowa w obronie Romana Polańskiego oskarżonego o pedofilię, wzburzyły nawet Monikę Olejnik.

Roman Polański wówczas czekał w szwajcarskim areszcie na decyzję w sprawie ekstradycji do USA. Reżyser był oskarżany o seks z 13-latką i ucieczkę przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. W studiu TVN w programie „Kropka nad i "Krzysztof Zanussi powiedział, że Polański stał się ofiarą własnej popularności, a dziewczynka, z którą współżył, była jego zdaniem prostytutką. Reżyser „moralnego niepokoju" jednoznacznie stwierdził: „Nikt nie zauważa, że dlatego, że on jest sławny, to ta sprawa ma taki wymiar. Gdyby on nie był sławny, to fakt, że ponad trzydzieści parę lat temu w Los Angeles, które jest miastem szczególnie swobodnych obyczajów, skorzystał z usług jakiejś nieletniej prostytutki, bo chyba tak to naprawdę było"… „No nie, nie! – zareagowała Monika Olejnik. – To była dziewczynka 13-letnia, która nie była prostytutką… To nie było za pieniądze, więc to nie była prostytucja". – Krzysztof Zanussi niskim i ciepłym głosem kontynuował: „W tym świecie masę rzeczy robi się nie za pieniądze, tylko dla sławy, dla kariery. Ja znam człowieka, który wyszedł z getta, który jest tragiczny i który ma takie czarne rozdziały w swoim życiu. Myślę, że gdyby nie był znany, sprawa nie miałaby dziś żadnego przedłużenia. Nie wierzę w niewinność ofiary. Ona nie robi wrażenia, że znalazła się tam przypadkiem. W tym kręgu ludzi, którzy wszystko zrobią dla kariery i pieniędzy, wygląda na to, że sama świadomość matki, która była w to zamieszana, to była jakaś próba szantażowania Polańskiego. Wyciągnięcia z niego tego wszystkiego, co mógł dać. A czego nie dał, i to był jego praktyczny błąd. Mógł się wykupić i tego nie zrobił. Może był za bardzo pyszny, za bardzo polski".

Reżyser podkreślał, że nie chce usprawiedliwiać Polańskiego, a epizod sprzed 32 lat traktuje jako błąd swojego kolegi.

TW Aktor

Kilka miesięcy przed tym wywiadem „Gazeta Polska" opublikowała informację na temat teczki odnalezionej w Instytucie Pamięci Narodowej, z której wynika, że Krzysztof Zanussi był zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako TW Aktor. W tekście zostało umieszczone sprostowanie reżysera dotyczące treści odnalezionych dokumentów. W związku z publikacją na antenie Radia Maryja swój pogląd na ten temat wyraził Antoni Macierewicz.

„Muszę powiedzieć, że publikacja »Gazety Polskiej« bardzo mnie zbulwersowała. Zanussi dla mojego pokolenia, ludzi urodzonych pod koniec lat 40. ze swoimi filmami, takimi bardzo moralistycznymi, odwołującymi się do »struktury kryształu«, do spraw zupełnie fundamentalnych, do rozstrzygnięć moralnych, zasadniczych, był osobą istotną. Jego twórczość zwłaszcza wtedy – lat 60, 70 – była ważna. Gdy czytam jego wypowiedź przytoczoną w »Gazecie Polskiej«: »Podczas studiów w szkole filmowej cały nasz rok studiów był zapraszany na rozmowy z oficerami bezpieki i wszyscy byliśmy namawiani do współpracy. Obiecywaliśmy, że jeśli coś strasznego się zdarzy, to damy im znać. Każdy miał po dwa spotkania. Na tym się kończyło. Nie było też żadnych specjalnych nacisków. Kilkoro z nas podjęło współpracę. Jedna z osób przystąpiła do etatowej pracy w wojskowym wywiadzie«, to powiem uczciwie, że ten spokojny ton jest dla mnie szokujący. Gdy z kolei ten materiał tutaj przywołany się czyta, to widać, że jednak problem tej współpracy był dużo głębszy. Jak można było na coś się godzić i to aprobować, równocześnie robiąc filmy, zwracające uwagę na to, iż w sprawach moralnych sytuacja jest zerojedynkowa, że prawda i kłamstwo nie mogą być z sobą mieszane".

Prowadzący rozmowę telefoniczną zauważył: „Aktor to pseudonim, pod jakim Służba Bezpieczeństwa zarejestrowała Krzysztofa Zanussiego jako tajnego współpracownika. Reżyser oczywiście zaprzecza temu, ale to jest też ciekawy element biografii reżysera, gdyż była to osoba, jedna z nielicznych z w Polsce, która z jednej strony mogła z dużą swobodą i swadą robić i realizować filmy poza granicami kraju w czasach ciężkiej komuny, a z drugiej strony była obsypywana przez Moskwę bardzo dobrymi i pierwszymi nagrodami na różnych festiwalach filmowych w byłym Związku Radzieckim".

Były Szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego w odpowiedzi stwierdził: „Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że nie tylko relacjonował on sytuację w poszczególnych pismach i środowiskach kulturalnych i literackich emigracji niepodległościowej w Londynie, ale także relacjonował sytuację poszczególnych osób, ułatwiając działanie przeciwko nim Służbie Bezpieczeństwa. No przecież to jest człowiek wybitnie inteligentny i trudno sobie wyobrażać, żeby nie miał rozeznania, nie miał świadomości, jakie to może mieć konsekwencje dla tych właśnie ludzi. To pozwalało ich osaczać i niestety obawiam się, że oddziaływało skutecznie później na nich. Tak właśnie działała Służba Bezpieczeństwa, że używała jednych ludzi przeciwko innym. Każdy fragment rozmowy mógł się wydawać niewinny, a złożone razem, były często wyrokiem na daną osobę. I albo pozbawiały paszportu czy pracy, albo ułatwiały innym agentom łamanie i werbowanie następnej osoby i to jest w tym całym systemie najdramatyczniejsze. Możemy sobie wyobrazić, że Pan Krzysztof uzna, że on jest osobą, która została zmuszona i złamana, no ale następnie umożliwiała złamanie następnych kolejnych osób i w ten sposób stworzył się łańcuch ludzi złamanych i służących złej sprawie".

> Możemy sobie wyobrazić, że Pan Krzysztof uzna, że on jest osobą, która została zmuszona i złamana, no ale następnie umożliwiała złamanie następnych kolejnych osób i w ten sposób stworzył się łańcuch ludzi złamanych i służących złej sprawie.

Krzysztof Zanussi po publikacji „Gazety Polskiej" w 2009 r. jednoznacznie oświadczył: „Nie miałem żadnego pseudonimu [---]. Jeśli był nadany, to ja nic o tym nie wiem. W 1962 r. spotkałem się z oficerami dwa razy w Łodzi. Nie było perspektywy dalszych spotkań. Później, jeśli ubecy pojawiali się, to przychodzili jawnie do biura. Były to rozmowy otwarte, ale pozbawione podtekstu agenturalnego. Gdy pan Kiszczak wzywał mnie do siebie w stanie wojennym, to wcześniej zjawiał się ubek i umawiał mnie na spotkanie. To zupełnie inny tryb rozmowy".

Tajni współtwórcy

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" z 1999 r. dziennikarz zadaje pytanie: „Do dziś duże kontrowersje budzi sprawa kompromisów między władzą a środowiskiem filmowym w komunizmie. Pana często kojarzono z taką kompromisową postawą. Jak się Pan do tego odnosi?" „Od bardzo dawna rozumiem, że nie ma życia, które byłoby zupełnie bezkompromisowe. Teologicznie biorąc, każdy moment życia w sferze materialnej jest kompromisem ducha, nie ma od tego ucieczki. Dla mnie większym złem jest zakłamanie aniżeli przyznanie się w pokorze do tego, że człowiek jest niedoskonały. W mojej książce [---] umieściłem wspomnienia z czasów naszych gier z władzą, po to, by te gry zdemistyfikować. Żebym nie wypadł w nich jako bohater, tylko jako człowiek, który czasem roztropnie przechytrzył władzę. Oni zresztą często chcieli dać się przechytrzyć".

Połączenie informacji zawartych w materiałach IPN oraz analiza materiałów filmowych reżysera odkrywa zupełnie nową przestrzeń badań. Co istotne, każdy dokument ma swoje echo. I nawet jeżeli jakaś teczka została zniszczona lub ukryta, to jej cząstki są gdzie indziej. Każdy dokument zaś otwiera nowe informacje. I tak po analizie już 90 000 stron dokumentów oraz kilkuset nazwisk reżyserów i aktorów możemy dokładniej rozszyfrować teczkę TW Aktora i dowieść, że tłumaczenia Krzysztofa Zanussiego nie są jednoznaczne.

Krzysztof Zanussi w oświadczeniu opublikowanym w „Gazecie Polskiej" oraz w wywiadzie w „Gazecie Wyborczej" bagatelizuje informacje, które znajdują się w materiałach IPN. Dla niego stwierdzenie oficera, który dokonuje werbunku: „pozyskanie zostanie przeprowadzone na zasadzie dobrowolności. Przemawiają za tym lojalność kandydata, dobre wyrobienie polityczne, jak również to iż rozmawiał z nami chętnie i w miarę swych możliwości stara się pomóc", jest nic nieznaczące. Jest to część gry, w której docelowo stawia siebie jako zwycięzcę. Co istotne, w czasie gdy zainteresowała się nim Służba Bezpieczeństwa, miał 23 lata i był studentem łódzkiej Filmówki. A przecież chłopcy w jego wieku w tym samym czasie za próbę oporu przeciwko systemowi komunistycznemu byli mordowani i katowani. Wyraźnie pokazuje to przykład oddziałów „Ognia", które były dobijane w limanowskiej katowni UB. A aparat przemocy władzy komunistycznej był gorszy niż faszystowski.

We wniosku na opracowanie kandydata TW Aktor, do czego nie dotarła „Gazeta Polska", zostały rozszyfrowane pseudonimy zawarte pomiędzy akapitami tego wniosku: „TW Konrad posiada większe dotarcie na wydział aktorski niż na pozostałe wydziały (argumenty za pozyskaniem TW Aktora; PZ.) [---] do opracowania wykorzystani zostali TW Ricci, TW Wojtek, TW Konrad".

TW Konrad: „Znany historyk i teoretyk literatury prof. Jan Trzynadlowski współpracował z bezpieką" – ujawniła „Misja specjalna" w telewizyjnej Jedynce. „Trzynadlowski od 1951 r. był związany z Uniwersytetem Wrocławskim; od 1966 jako profesor. W latach 1956–1960 był dyrektorem i redaktorem naczelnym wydawnictwa Ossolineum. W Instytucie Pamięci Narodowej znajdują się trzy tomy jego meldunków. Dzięki nim m.in. zwolniono z pracy w urzędach centralnych kilka osób i udaremniono ucieczkę na Zachód dwóch naukowców".

TW Wojtek: „Andrzej Braun – polski pisarz, poeta, reportażysta. Od 1957 do 1963 roku pełnił funkcję kierownika literackiego Zespołu Filmowego *Droga*, zaś w latach 1963–1966 kierownika Redakcji Filmowej Telewizji Polskiej". Wyprodukował nieukończony film *Lenin w Polsce*.

> W filmach Krzysztofa Zanussiego bohater zmuszony jest do zaparcia się swoich ideałów. Jest to zarazem główna zasada kina moralnego niepokoju, która stoi w całkowitej opozycji do świata ewangelicznych wartości.

TW RICCI: Julian Żejmo, ros. Юлий Жеймо. Syn radzieckiej aktorki Janiny Żejmo i reżysera Iosifa Chejfica. Autor zdjęć do filmu *Siła miłości*, współpraca reżyserska Krzysztof Zanussi.

W teczce TW Aktora wśród dokumentów możemy przeczytać, jak kolega koledze podkrada listy i przekazuje bezpiece. Jest to wyciąg z informacji TW Andrzeja z 4 lutego 1963 r. Co ciekawe, pseudonim ten występuje również w materiałach związanych z Andrzejem Wajdą. Pod tym pseudonimem kryje się Ryszard Kuziemski, który studiował z Krzysztofem Zanussim na wydziale operatorskim. Współpracował też z nim przy filmie *Krzysztof Penderecki*. To pokazuje, że osoby, które w teczce TW Aktora zostały ukryte pod pseudonimami, były dla Krzysztofa Zanussiego autorytetami, kolegami, współtwórcami. On został przez nich osaczony. Jednak ten młody student w swojej naiwności był przekonany, jak każdy inny zwerbowany przez totalitarny system komunistyczny, że to on prowadzi grę, że to on wykorzystuje struktury totalitarne władzy do własnych korzyści. Do samorealizowania się. Do tworzenia swojego świata i kształtowania go. Do poczucia bycia bogiem, podczas gdy w rzeczywistości był tylko składnikiem totalitarnej władzy. Narzędziem, które służyło do wykuwania i utrwalania władzy ludowej.

Bardzo wyraźnie to oddanie się władzy widać w filmach *Struktura kryształu*, *Iluminacja* czy *Barwy ochronne*. Każdy z tych filmów niesie za sobą jednoznaczny i spójny przekaz z ideologią komunistyczną. Dla społeczeństwa polskiego te filmy pełniły taką samą funkcję, jak oficer prowadzący, który w filmach Zanussiego bardzo rzetelnie podchodzi do werbunku. Wykorzystuje wiedzę i umiejętności w celu złamania człowieka i jego zgody na współpracę.

Największą przeszkodą dla reżysera, co jasno jest ukazane w *Barwach ochronnych*, staje się sumienie. I ono musi być złamane, aby ideologia komunistyczna została przyjęta. To jest odwrócenie ewangelicznego obrazu kuszenia Chrystusa na pustyni, gdzie diabeł obiecuje wszelkie dobra na tej ziemi, a w zamian chce tylko, aby Chrystus oddał mu pokłon. W filmach Krzysztofa Zanussiego bohater zmuszony jest do zaparcia się swoich ideałów. Jest to zarazem główna zasada kina moralnego niepokoju, która stoi w całkowitej opozycji do świata ewangelicznych wartości.

Jednak dopiero dziś jesteśmy świadkami, jak ci „tajni współtwórcy" zostają zdradzeni przez ideologię, która ich zdaniem miała być wieczna. Na naszych oczach rozgrywa się dramat całego pokolenia, które było przekonane, że jest nieśmiertelne w swoich dziełach. Tutaj jawi się jeszcze większy dramat, który jest konsekwencją sięgnięcia po tę niewinność i czystość, którą najpełniej obrazuje dziecko. Dramat, który wynika z przyjętych zasad i formowania swojego życia według systemu, który był wynaturzony.

Takie czyny zostawiają ślad i mają tragiczne konsekwencje, ale aby to zobaczyć w całym spektrum, trzeba poznać wszystkie te przykłady i dokumenty, które jeszcze nie ujrzały światła dziennego. Wymienić wszystkie nazwiska, które składają się na książkę *Światło latarni*. Jednak czy ona powstanie – nie wiadomo, bo dziś, ciągle w tej „głębokiej nocy", widać tylko pobłyski współczesnych latarni, które zostały ustawione przez tych, co chcieli, abyśmy płynęli w tym samym nurcie relatywizmu moralnego. Oni nadal jawią się nam jako struktura czystego kryształu czy diamentu…

Na Wybrzeżu o koneksjach Donalda Tuska z niemieckimi służbami mówiło się od dawna. Ogólnopolska dyskusja na dobre rozpoczęła się jednak dopiero po publikacji książki Wojciecha Sumlińskiego *Niebezpieczne związki Donalda Tuska*. Jej autor szeroko opisuje mechanizmy finansowania środowiska „gdańskich liberałów" i ich roli w neokolonizacji naszego kraju. Nie wspomina wszelako o metodach niszczenia Polonii Niemieckiej i roli, jaką w tym antypolskim procederze odegrał dyrektor gdańskiego Europejskiego Centrum Solidarności, Basil Kerski.

Berliński łącznik

Krzysztof M. Załuski

Słowianie, w tym Polacy, solą w niemieckim oku byli od zarania dziejów. Rugowanie polskości z inkorporowanych stopniowo przez Niemców ziem Pomorza, Śląska, Wielkopolski i Prus z różną intensywnością prowadzone było od średniowiecza, szczególnie dotkliwie w okresie rozbiorów i w ramach kulturkampfu. Germanizacji nie zatrzymała ani klęska Niemiec w pierwszej, ani w drugiej wojnie światowej. Po upadku Hitlera zmieniła się jedynie jej forma – przestano oficjalnie mówić o „asymilacji" Polaków, zastępując ją terminem „integracja". Proces ten trwa do dziś – pomimo podpisania w roku 1991 polsko-niemieckiego Traktatu o dobrym sąsiedztwie.

Równolegle do „integracji" w obszarze państwa niemieckiego, prowadzona jest również „unifikacja narodowa" w ramach Unii Europejskiej. Wielkim jej entuzjastą jest od lat Martin Schulz – jeden z liderów niemieckich socjaldemokratów. To on i jego poplecznicy przygotowują się do budowy Stanów Zjednoczonych Europy i tzw. społeczeństwa otwartego. Oni najgłośniej domagają się od rządów krajów członkowskich przekazania uprawnień w zakresie polityki bezpieczeństwa, klimatu, migracji i podatków, a de facto podporządkowania państw narodowych rządowi w Berlinie. Jakiś czas temu Schulz otwarcie zagroził opornym, że możliwe będą wykluczenia z Unii Europejskiej.

Polacy bez pożytku

Niemcy po zakończeniu I wojny światowej zamieszkiwało około miliona Polaków – w większości skupionych na Śląsku i w Prusach Wschodnich. Największa polska diaspora na zachodzie kraju istniała w Nadrenii, tworzyło ją ćwierć miliona naszych rodaków. Rządowi Republiki Weimarskiej, borykającemu się ze skutkami przegranej wojny, hiperinflacją i próbami obalenia państwa przez komunistów, obecność obcego żywiołu narodowego nie była specjalnie na rękę. Jednak nie tylko Niemcy istnieniem mniejszości polskiej w Niemczech nie byli zachwyceni. Również władzom odrodzonego po 123 latach państwa polskiego było to nie w smak. Ówczesny naczelnik Wydziału Zachodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Gustaw Potworowski, napisał w tajnym referacie zatytułowanym *Wytyczne polityki Polski względem Niemiec z 6 sierpnia 1924 roku*, że „skupienia polskie wewnątrz Niemiec i na zachodnim ich pograniczu (np. Westfalia, Saksonia, Meklemburgia, Hamburg) (…) żadnego pożytku polskiej racji stanu nie przynoszą…". I że w stosunku do nich „ze wszech miar wskazana jest polityka likwidacyjna". Konkluzję naczelnika uzupełniała adnotacja ówczesnego wiceministra Spraw Zagranicznych, Kajetana Dzierżykraja-Morawskiego: „Zgadzam się w ogólnych zarysach".

Jeżeli nawet przyjąć, że pomysły obu dyplomatów, dotyczące „likwidacji" mniejszości polskiej w głębi Niemiec, podyktowane były nie tyle chęcią eksterminacji współplemieńców, co pragnieniem załagodzenia i tak podówczas złych stosunków z Niemcami, to nie zmienia to faktu, że z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy historycznej, referat Potworowskiego brzmi co najmniej cynicznie. Wydawać by się więc mogło, że po doświadczeniach II wojny światowej i ponownym zjednoczeniu Niemiec przestrzeganie praw mniejszości narodowych w RFN powinno być bezdyskusyjne.

Okazuje się jednak, że tak nie jest, że przykładów dyskryminacji Polaków w Republice Federalnej nadal można się doszukać, tyle że przybrały one mniej drastyczny charakter. Co niepokoi, proceder ten ma miejsce od lat za aprobatą byłego przewodniczącego Rady Europy, a wcześniej premiera RP, Donalda Tuska.

Traktat bez pokrycia

17 czerwca 1991 roku rządy Rzeczpospolitej Polskiej i Republiki Federalnej Niemiec podpisały Traktat o dobrym sąsiedztwie. Ze strony polskiej dokument sygnował – wywodzący się podobnie jak Donald Tusk ze środowiska „gdańskich liberałów" – premier Jan Krzysztof Bielecki. Niemcy reprezentował kanclerz Helmut Kohl. Umowa zakładała m.in. uregulowanie – na zasadzie wzajemności – kwestii istnienia niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce oraz polskiej w Niemczech. Wkrótce okazało się jednak, że pojmowanie symetrii praw i obowiązków obu grup narodowych jest diametralnie różne – Niemcy w RP uzyskali bowiem status „mniejszości narodowej", a Polacy w RFN jedynie „osób posiadających niemieckie obywatelstwo, które są pochodzenia polskiego albo przyznają się do języka, kultury lub tradycji polskiej".

Takie postawienie sprawy uniemożliwiło niemieckiej Polonii odzyskanie statusu mniejszości narodowej, którego została pozbawiona wkrótce po napaści III Rzeszy na Polskę. Niemcy aresztowali wówczas i wymordowali wielu polonijnych działaczy, w tym członków Związku Polaków w Niemczech – największej organizacji polskiej na terenie Rzeszy. Zarekwirowany przez niemieckie państwo majątek ZPwN szacowany jest obecnie na sumę pół miliarda euro. Reaktywowany w 1946 r. ZPwN, między innymi właśnie za sprawą litery Traktatu…, do dziś ma problem z odzyskaniem swojej własności (o uchylenie nazistowskiego rozporządzenia dyskryminującego Polaków w Niemczech, odbierającego im status mniejszości narodowej i konfiskującego mienie organizacji polskich, od roku 2009 walczył zmarły 2 maja br. mec. Stefan Hambura).

Trudno uwierzyć, że Jan Krzysztof Bielecki nie wiedział, co podpisuje, a tym bardziej, że nie zdawał sobie sprawy, iż Traktat… zawiera szereg pułapek prawnych. Jedną z nich był zapis uzależniający uzyskanie należnych przywilejów – m.in. prawo do krzewienia tradycji i nauki w języku ojczystym, dotacje państwa na działalność kulturalną i uczestnictwo w życiu społeczno-politycznym – od powołania po każdej ze stron jednolitej organizacji dachowej, która reprezentowałaby interesy mniejszości wobec władz.

O ile zjednoczenie niemieckich organizacji w Polsce okazało się formalnością, to Polacy w RFN z tym zadaniem nie potrafili sobie długo poradzić. Kiedy w roku 1998 się to wreszcie udało, okazało się, że na terenie RFN działa jeszcze jedno stowarzyszenie, które nie ma zamiaru wchodzić w struktury Konwentu Organizacji Polskich. Stowarzyszeniem tym był, sterowany przez niemieckich socjaldemokratów, Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich. Jego szefem jest obecnie poseł SPD i współpracownik Martina Schulza, Dietmar Nietan, zaś statutowym priorytetem FZTNP – integracja Polski w Unii Europejskiej. Organizacja deklaruje także budowanie wzajemnego zaufania i porozumienia między Polakami a Niemcami. Zajmuje się również organizacją konferencji i dyskusji panelowych, wydawaniem książek, roczników historii stosunków polsko-niemieckich, przyznawaniem nagród za propagowanie unijnych idei… Istotnym elementem tych prounijnych działań jest wydawanie dwujęzycznego pisma „Dialog", którego redaktorem naczelnym od roku 1998 jest bliski znajomy Donalda Tuska – Basil Kerski. Co ciekawe, polska redakcja tego pisma mieści się Gdańsku przy ulicy Szerokiej 121/122, to znaczy w tej samej kamienicy, w której swoją siedzibę ma Fundacja Liberałów.

Niemiec, ale nasz

Basil Kerski to postać pod każdym względem tajemnicza. Z matki Polak, z ojca Irakijczyk. Z wyboru Niemiec… Basil Kamil Khiry, bo takie nazwisko widniało w jego polskiej metryce, urodził się w 1969 roku w Gdańsku. Mając dziesięć lat, przeniósł się wraz z rodziną do Berlina Zachodniego. Przedtem przez trzy lata mieszkał w Polsce, a jeszcze wcześniej cztery w Iraku. W roku 1986 dobrowolnie zrzekł się polskiego obywatelstwa. W Berlinie ukończył politologię i slawistykę. Po studiach pracował w wielu amerykańskich i niemieckich instytucjach – m.in. w Bundestagu. Jeszcze jako student ożenił się z Dorotą Danielewicz, tłumaczką literatury polskiej, mieszkającą na stałe w Berlinie. Dzięki niej poznał m.in. pisarza Pawła Huellego, a za jego pośrednictwem środowisko gdańskich liberałów, w tym Donalda Tuska i Wojciecha Dudę (syna wysokiego oficera kontrwywiadu wojskowego w czasach PRL) – założycieli „Przeglądu Politycznego", wydawanego przez wspomnianą już Fundację Liberałów.

> Los uśmiechnął się do Kerskiego jedynie dzięki znajomości z Donaldem Tuskiem, którego historię „antykomunistycznej" działalności i powiązań ze STASI, na podstawie wspomnień Krzysztofa Wyszkowskiego, opisał m.in. Wojciech Sumliński.

W sferze publicznej Basil Kerski pojawił się dosyć późno, bo dopiero w roku 1998. To właśnie wtedy dostał do ręki ster Magazynu Polsko-Niemieckiego „Dialog", którego oficjalnym wydawcą jest od 1987 roku Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich. Poprzednikami Kerskiego na stanowisku redaktora naczelnego byli Günter Filter i Adam Krzemiński – publicysta postkomunistycznej „Polityki". Po przejęciu „Dialogu" przez Kerskiego pismo to zaczęło być kreowane na „polsko-niemiecką agorę w środku Europy". Sam Kerski zaś na najwybitniejszego znawcę „polsko-niemieckiego pojednania"… Szkopuł w tym, że rozumianego zupełnie inaczej, niż pojmuje to większość Polaków. W pochodzącym z 1999 roku zbiorze esejów *Otwarta brama – Niemcy między zjednoczeniem a końcem stulecia* Kerski zaprezentował się również jako gorący orędownik zintensyfikowania zagranicznych inwestycji w Polsce oraz zdeklarowany przeciwnik lustracji.

Fakty i legendy

Z oficjalnej biografii Basila Kamila Khiry ma wynikać, że do zrzeczenia się polskiego obywatelstwa został zmuszony… I że to rodzice doradzili mu tę woltę. W marcu 2011 roku Kerski ujawnił dziennikarzom „Gazety Wyborczej" powód zmiany obywatelstwa. Wedle relacji dziennika, 17-letni podówczas Basil przestał być Polakiem, ponieważ… „z takim nazwiskiem łatwo nie znalazłby mieszkania". Gazeta twierdzi również, że Kerski wcale nie chciał przyjąć niemieckiego nazwiska. Był „dumny z polskiego pochodzenia i wybrał polskie nazwisko, czym chciał zamanifestować, że jest Polakiem". Duma ta nie przeszkodziła mu jednak trzy lata wcześniej nieco inaczej definiować swoją ojczyznę – 10 czerwca 2008 r., w wywiadzie dla lewicowego „Berliner Zeitung", Kerski zadeklarował: „Ojczyzną jest dla mnie miejsce, gdzie jest moja miłość i gdzie urodziły się moje dzieci, a więc Berlin".

Mecenas Dariusz Odyniec, prezes niemieckiego Zrzeszenia Polskojęzycznych Prawników twierdzi, że w tamtych czasach nikt do zrzekania się obywatelstwa polskiego nikogo nie zmuszał, było to jednak istotnym warunkiem nadania niemieckiego obywatelstwa.

– W tamtym okresie prawo niemieckie nie przewidywało jednocześnie kilku obywatelstw – tłumaczy mec. Odyniec. – Wymagało natomiast od osób, które ukończyły szesnasty rok życia, aby złożyły wniosek o nadanie obywatelstwa niemieckiego wraz z rodzicami. Ich wniosek rozpatrywany był jednakowoż niezależnie. Po potwierdzeniu, że nastąpiła utrata innego, w tym przypadku polskiego obywatelstwa, następowało nadanie obywatelstwa niemieckiego.

Wynika więc z tego jasno, że Basil Kerski przestał być Polakiem i został Niemcem dobrowolnie i w pełni świadomie. Niemieccy Polonusi, pytani o redaktora „Dialogu", jeszcze dziś na jego wspomnienie dostają gęsiej skórki. Twierdzą, że stanowisko szefa Europejskiego Centrum Solidarności, które Kerski otrzymał na początku marca 2011 r., mogło być nagrodą za jego konsekwentną, antypolonijną działalność. Ich zdaniem Kerski przez lata promował bowiem wartości szkodzące Polonii i Polsce…

Dialog za niemieckie pieniądze

Osobną, mocno kontrowersyjną kwestią jest finansowanie samego „Dialogu". Głównymi sponsorami pisma były, od początku jego istnienia, niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej. Fundacja ta jedynie w roku 2009 na działalność trzyosobowej redakcji pisma wyłożyła ponad 600 tys. złotych. W latach 1994–2005 „Dialog" otrzymał od niej łącznie prawie 5,5 mln złotych. Kolejne 5 mln 342 tys. złotych – w tym samym okresie – wpłaciło na konto wydawcy niemieckie MSZ. Oznacza to, że rocznie organ Basila Kerskiego dostawał ok. miliona złotych subwencji. Dla porównania – pierwszy po wojnie polski kwartalnik społeczno-kulturalny „B1", rocznie ze Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" otrzymywał ok. 2000 zł wsparcia. Dofinansowanie innych polskojęzycznych periodyków również nie przekraczało kilku tysięcy złotych w skali roku. Co istotne, Niemcy na polskie inicjatywy wydawnicze z reguły pieniędzy w ogóle nie dawali.

Skąd więc ta hojność niemieckich i polskich sponsorów wobec Kerskiego? Adherenci Kerskiego odpowiadają krótko: bo to wybitny znawca polsko-niemieckiej i europejskiej problematyki… Przeciwnicy twierdzą jednak, że powód był inny. Że los uśmiechnął się do Kerskiego jedynie dzięki znajomości z Donaldem Tuskiem, którego historię „antykomunistycznej" działalności i powiązań ze STASI, na podstawie wspomnień Krzysztofa Wyszkowskiego, opisał m.in. Wojciech Sumliński. Również fotel dyrektora Europejskiego Centrum Solidarności Basil Kerski miał zawdzięczać wyłącznie koneksjom z „gdańskimi liberałami". Mianowanie obywatela Niemiec na to stanowisko przez nieżyjącego już prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza wywołało istną burzę we wszystkich środowiskach, włącznie z gdańską Platformą Obywatelską. Na znak protestu nawet Lech Wałęsa postanowił wycofać się z rady programowej ECS. Obrażeni poczuli się także ówcześni posłowie Jerzy Borowczak (PO) i Bogdan Lis (SD). Unieważnienia konkursu żądało oczywiście Prawo i Sprawiedliwość. Jak czas pokazał – bezskutecznie.

Chmury nad katedrą demokracji

Mianowanie Basila Kerskiego dyrektorem ECS w roku 2011 nie tylko doszło do skutku, lecz po upływie kadencji – w roku 2017 – niemal jednogłośnie przedłużono mu stosunek pracy o kolejne 5 lat. Przeciwko takiej decyzji komisji oponował jedynie Krzysztof Wyszkowski. Pozostawienie Kerskiego w roli dyrektora ECS nazwał „bezprawnym, grupowym zawłaszczeniem przez klikę polityczną". 30 listopada 2017 r. Wyszkowski – na znak protestu przeciwko „fałszowaniu historii przez »układ gdański«, przy jednoczesnej bierności ministerstwa kultury i Solidarności" – opuścił Kolegium Programowe ECS. Rok później, pod koniec listopada 2018 r., Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego podjęło decyzję o zmniejszeniu o trzy miliony złotych dotacji dla Europejskiego Centrum Solidarności. Jak poinformowała rzeczniczka prasowa MKiDN Anna Bocian, decyzja ta podyktowana była faktem, że dyrekcja tej instytucji „umożliwia różnym podmiotom działalność polityczną, partyjną oraz ideologiczną na swoim terenie, czym narusza zapisy własnego statutu oraz regulaminu zwiedzania, w myśl którego zakazane jest prowadzenie w ECS agitacji politycznej". Pani rzecznik podkreśliła również, że kwota czterech mln zł „stanowi wyraz adekwatnego poziomu zaangażowania finansowego w stosunku do odpowiedzialności".

Z opinią MKiDN nie zgadzali się oczywiście ani Basil Kerski, ani wiceprzewodniczący PO Bogdan Borusewicz. Kerski twierdził wówczas, że obcięcie dotacji to atak na „katedrę demokracji" – jaką według niego jest ECS – i polityczna zemsta na Pawle Adamowiczu za jego zwycięstwo w wyborach samorządowych. Borusewicz z kolei sugerował, że PiS chce „przejąć naszą pamięć, nasze życie i naszą walkę, w której uczestniczyliśmy. PiS-owi nie podoba się wystawa: za mało Kaczyńskiego i Walentynowicz". W sukurs Kerskiemu przyszła niemiecka i szwajcarska prasa. Warszawski korespondent dziennika „Neue Zuercher Zeitung" pisał miedzy innymi: „Prawicowo-nacjonalistyczna partia rządowa PiS frontalnie zaatakowała Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, krótko po tym, jak pochowany został zamordowany w połowie stycznia prezydent miasta Paweł Adamowicz, duchowy ojciec tej placówki".

Otwarta wojna

Wreszcie pod koniec stycznia 2019 r. doszło do rozmów pomiędzy reprezentantami ministerstwa, gdańskiego samorządu i władz Pomorza. Rozmowy te nie doprowadziły jednak do żadnego kompromisu. 6 lutego przedstawiciele NSZZ Solidarność poinformowali, że z powodu „czynnego uczestniczenia władz Europejskiego Centrum Solidarności w politycznym sporze oraz braku wpływu na kluczowe decyzje dotyczące funkcjonowania ECS" zawieszają prace swoich przedstawicieli w organach Centrum. W tym samym czasie strona samorządowa zorganizowała publiczne kwesty na rzecz Centrum, w wyniku których zebrano prawie 7 mln zł. W finansowe wsparcie placówki zaangażowali się również prezydenci innych miast i marszałkowie województw. Jednocześnie p.o. prezydenta Gdańska Aleksandra Dulkiewicz i Marszałek Województwa Pomorskiego Mieczysław Struk działania MKiDN stwierdzili, że są one „nieuprawnioną ingerencją w niezależność instytucji kultury, a ponadto są niezgodne z prawem, godząc w autonomię dyrektora i pełnię władzy nad powierzoną mu instytucją".

Odrobinę wcześniej na jednym z portali społecznościowych Krzysztof Wyszkowski napisał: „W 100-lecie odzyskania niepodległości historia zatacza koło – Niemcy, we współpracy z Rosją i częścią lobby żydowskiego, prowadzą wobec Polski podobną do ówczesnej wojnę propagandową i jak wówczas znajdują polskich współpracowników". I ta wypowiedź legendy antykomunistycznej opozycji jest chyba najlepszym podsumowaniem konfliktu, jaki od lat toczy się wokół Europejskiego Centrum Solidarności i jego dyrektora, Basila Kerskiego.

Krzysztof M. Załuski – pisarz, publicysta, menedżer. Przez prawie dwie dekady mieszkał za granicą, głównie w Niemczech. Publikował w rozgłośniach radiowych i prasie w Polsce, Niemczech, Holandii, Szwajcarii i Kanadzie. Ukazało się pięć jego książek prozą (w tym jedna w j. niemieckim). Prowadził kwartalnik kulturalno-społeczny „B1". Był prezesem Fundacji Energa i dyrektorem Biura Prasowego Energa S.A. Kierował również redakcją Programów Publicystycznych TVP3 Gdańsk.

ROK

Przejechaliśmy już ponad 3000 kilometrów drogami, a czasami bezdrożami Ukrainy. Odwiedziliśmy kilkadziesiąt miast, miejscowości, wiosek, cmentarzy na Kijowszczyźnie, Wołyniu i Polesiu, Podolu i w Galicji – tam, gdzie przed stu laty toczyły się walki przeciwko bolszewikom. Przy grobach polskich i ukraińskich bohaterów 1920 roku modlimy się i zapalamy znicze. Z naszej inspiracji w setną rocznicę wyzwolenia Kijowa od bolszewików dźwięk dzwonów i modlitwy w kościołach katolickich i prawosławnych cerkwiach zabrzmiał od Dniepru do Wisły.

Nasza akcja „Rok 1920 – Pamięć w czasach zarazy" się nie zakończyła i wciąż szukamy miejsc chwały polskiego i ukraińskiego oręża i miejsc pochówku naszych bohaterów.

Czas zarazy

Czas epidemii sparaliżował także na jakiś czas moją pracę reporterską. Przez pierwsze dni epidemii zgodnie z zaleceniami ograniczyłem swoją aktywność – z domu wychodziłem tylko wtedy, gdy było to niezbędne – do sklepu, apteki i po to, by móc moim Słuchaczom i Czytelnikom opisać, jak wygląda sytuacja w czasach zarazy w Kijowie. Każdy dzień zmniejszonej aktywności i opowieści o covid-19 wpędzał mnie w fatalną kondycję. Cały czas miałem też w pamięci fakt, że legną w gruzach pomysły uczczenia 100 rocznicy polsko-ukraińskiego braterstwa broni, że w setną rocznicę wyzwolenia Kijowa nie przejdzie Chreszczatykiem polsko-ukraińska parada, tak jak miało to miejsce 9 maja 1920 roku. I że nie odbędę planowanej radiowej wyprawy motocyklowej szlakiem 1920 roku na Ukrainie.

Jeszcze przed epidemią z moim druhem, ukraińskim dziennikarzem, krajoznawcą, przewodnikiem Dmytrem Antoniukiem mieliśmy też własny pomysł na uczenie 100 rocznicy wyzwolenia Kijowa z bolszewickich rąk. Plan był prosty: może w mundurach z epoki, a może z polskimi i ukraińskim flagami przejedziemy wynajętym tramwajem historyczną trasą z podkijowskiej Puszczy Wodycy do serca ukraińskiej stolicy. Dmytro już zaczął prowadzić rozmowy o wynajęciu tramwaju, zaczęliśmy kompletować grupę, która byłaby chętna do takiej akcji, ale oczywiście to wszystko ze względu na covid-19 stało się nierealne. Podobnie nierealne stały się oficjalne obchody rocznicy w ukraińskiej stolicy.

Instytut Polski rozpoczął wielką, dwujęzyczną akcję informacyjną o 1920 roku w internecie, wystawa w kijowskim metrze została przesunięta na czas po kwarantannie, ale jednak mieliśmy poczucie, że tak tej sprawy nie możemy zostawić. W czasie pierwszego naszego spotkania z Dmytrem w czasie epidemii, a stał się nim nasz wspólny wyjazd w okolice Czarnobyla w rocznicę katastrofy czarnobylskiej, sprawy potoczyły się błyskawicznie: jeśli nie możemy wjechać tramwajem, nie odbędzie się wspólna parada rekonstruktorów, to może chociaż pojawimy się w centrum Kijowa w mundurach z epoki, może we dwóch staniemy z flagami polską i ukraińską 9 maja na Chreszczatyku! To przecież nie naruszy przepisów kwarantanny. A że mundury były we Lwowie, to może jadąc po nie, odwiedzimy cmentarze, gdzie pochowani są żołnierze 1920 roku, zapalimy znicze, zmówimy modlitwę.

Gdy nasz pomysł ogłosiliśmy na antenie Radia Wnet, pierwszy odezwał się ksiądz proboszcz Stanisław Swórka z podwinnickiego Tomaszpola – z zaproszeniem i opowieścią o walkach polskiego lotnictwa w czasach Operacji Kijowskiej. Lotnisko dla poznańskich samolotów znajdowało się w Wapniarce. Wiadomość od księdza Stanisława była dla nas silnym impulsem: musimy to zrobić i nam się to uda! Pełnego wsparcia udzieliła nam Redakcja Radia Wnet pod przywództwem Krzysztofa Skowrońskiego, który na moje pytanie, co sądzi o tej akcji, odpowiedział: „Oczywiście, że jedź!". I potem zaproszenia, sygnały, kolejne historie posypały się jak lawina. Zrozumieliśmy, że 9 maja może stać się momentem kulminacyjnym akcji, ale na pewno tak samo ważne jest przypomnienie o walkach i bohaterach 1920 roku i miejscach z nimi związanych na olbrzymim obszarze dzisiejszej Ukrainy. W czasie pierwszego etapu naszej wyprawy byliśmy m.in. w Nowogrodzie Wołyńskim, Susłach, Korcu, Równym, Zdołbunowie, Lwowie, Żółtańcach, Horpinowie, Pawłowie, Łopatyniu, Nowym Witkowie, Czornuszowicah, Żurawnikach, Zborowie, Tarnopolu, Strusowie, Latyczowie, Barze, Brajłowie, Tomaszpolu, Wapniarce, Tulczynie, Strutynce, Lipowcu, Nemirowie i Winnicy. Wyjeżdżając z Kijowa, nie mieliśmy żadnego konkretnego planu – było za mało czasu na przygotowania. Wiedzieliśmy, że chcemy dotrzeć do Równego, potem Beresteczko (do którego wciąż jeszcze nie dojechaliśmy) i planowany nocleg we Lwowie.

Susły

Już w drodze Dmytro zaproponował, żeby zadzwonić do księdza proboszcza z Nowogrodu Wołyńskiego, bo przecież tam gdzieś na pewno są pochówki żołnierzy 1920 roku. W rozmowie potwierdził to miejscowy proboszcz ksiądz Jan Słowiński: jest mogiła i upamiętnienie w Susłach koło Nowogrodu. Ksiądz, zapraszając, wskazał też Huberta Kampę jako osobę, która wie najwięcej o tym miejscu. I faktycznie, przypomniałem sobie, że Huberta poznałem już kilka lat temu u ojca Serhija Dmitriejewa i mam do dzisiaj namalowaną przez niego ikonę. Hubert zapraszał mnie też wcześniej do Susłów, w których udało się odnowić mogiłę 62 żołnierzy

Paweł Bobołowicz i Dmytro Antoniuk w mundurach polskiego i ukraińskiego żołnierza z 1920 r.
FOT. OŁEH SEMENIUK

Mogiła polskich żołnierzy poległych w 1920 roku w Zdołbunowie

Kwatera polskich żołnierzy 1920 roku w Barze na Podolu

W drodze do Wapniarki – ksiądz proboszcz Sta
na cmentarzu w Komargrodzie

1920 Pamięć w czasach zarazy

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ BOBOŁOWICZ

z 13 batalionu saperów, poległych w czerwcu 1920 roku pod Zwiahlem (obecny Nowogród Wołyński). Hubert Kampa jest też autorem multimedialnego projektu niezapomniani1920.pl o tych wydarzeniach.

Do Suseł dotarliśmy z księdzem Janem. Na rozstaju dróg stoi krzyż z napisem polskim i ukraińskim: „Tu spoczywa nieznany oficer Wojska Polskiego. Poległ w 1920 roku", a na pobliskim cmentarzu jest zbiorowa mogiła żołnierzy 13 batalionu saperów. Dzięki zabiegom H. Kampy w marcu 2019 roku udało się ustalić listę 62 nazwisk spoczywających tam żołnierzy. Cmentarz jest położony na skraju wioski, przy wielkim sadzie jabłoniowym, który akurat był w pełni rozkwitu. Pierwszy kurhan, w którym żołnierze zostali pochowani przez okolicznych mieszkańców, dziś już nie istnieje, został rozebrany, a szczątki poległych zostały przeniesione do nowej mogiły. Na tym miejscu dzisiaj jest parking, trudno też ustalić, czy wszystkie szczątki zostały przeniesione.

Nazwiska na cmentarnych nagrobkach wskazują, że większość tamtejszych mieszkańców ma polskie korzenie, nawet jeśli nazwiska i inskrypcje są zapisane w języku ukraińskim. Pomiędzy nowymi mogiłami widać stare kamienne krzyże pochodzące co najmniej z XIX wieku. Na końcu cmentarza jest nowa mogiła, zadbana, z potężnym, masywnym granitowym krzyżem, dwujęzyczną tablicą informującą, że tu spoczywają polscy żołnierze 1920 roku i podpisem „Rodacy". Tak jak w każdym kolejnym miejscu, zmówiliśmy modlitwę i zapaliliśmy znicze w kolorach polskiej i ukraińskiej flagi. Nie ma tam pochowanych Ukraińców, ale odwołując się do barw obu naszych Narodów, chcemy przypominać o tym niezwykłym braterstwie broni 1920 roku.

Gdy już wracaliśmy, ksiądz Jan zwrócił naszą uwagę na nowy prawosławny grób, obłożony wieńcami, z masztem i zawieszoną na nim ukraińską flagą. Ze zdjęcia na nagrobku spoglądała na nas twarz ukraińskiego wojskowego. Zginął w walkach z rosyjską agresją w lipcu 2014 roku. Jak wielu mieszkańców tych terenów, to żołnierz 30 Samodzielnej Brygady z Nowogrodu Wołyńskiego. Przez kolejne 2 lata w okresie świąt wielkanocnych jeździłem do żołnierzy tej brygady na linię frontu i przyjaźnię się z jej kapelanem wojskowym, ojcem Serhiejem Dmitriejewem. Gdy wspominam nazwisko kapelana, ksiądz Jan się uśmiecha – od lat są dobrymi znajomymi. W brygadzie walczy wielu żołnierzy z polskim pochodzeniem. Polska dziennikarka Monika Andruszewska od lat podkreśla, że nasi rodacy mieszkający na Ukrainie walczą przeciwko nowej rosyjskiej agresji, a kilkudziesięciu z nich poległo. Ukraińcy z polskimi korzeniami przebywają też w rosyjskiej niewoli, są też tacy, których los jest nieznany. Przez całą naszą drogę na cmentarzach Ukrainy będziemy widzieli jeszcze wiele grobów z ukraińskim flagami – ofiar kolejnej wojny wywołanej przez Rosję.

Korzec

Nowogród Wołyński, czy raczej Zwiahel, po traktacie ryskim nie znalazł się w II Rzeczypospolitej. Dopiero gdzieś niedaleko Korca przekraczamy dawną granicę Sowietów i II RP. Korzec po traktacie ryskim był pierwszym miastem po polskiej stronie granicy. I jednym z pierwszych miejsc zajętych przez sowietów 17 września 1939 roku.

Gdy docieramy do Korca, pada potężny deszcz. Ale praktycznie od razu nasz nowy przewodnik, ksiądz proboszcz Tomasz Czopor, zabiera nas do barokowego kościoła pw. św. Antoniego. W czasach sowieckich był tu skład chemiczny. Ksiądz Tomasz podejrzewa, że pozostawiło to też trwałe ślady w okolicznej glebie, a w kościele do dzisiaj wyczuwa się specyficzny zapach. Z mozołem od lat odkrywane są dawne elementy zdobień kościoła i przywracany jego blask. Widać fragmenty polskich inskrypcji. Ksiądz pokazuje nam obraz Matki Boskiej, który wisiał w bocznym ołtarzu. Według niego obraz stanowi swego rodzaju zemstę na komunistach: po wyjęciu z ołtarza okazało się, że został namalowany na płycie z tekstem hymnu Związku Sowieckiego – a był namalowany jeszcze w czasach sowieckich. Wiadomo, co mogło grozić autorowi za taki pomysł. Każda opowieść księdza powoduje, że mamy świadomość, że powinniśmy do samego Korca przyjechać na kilka dni, a przecież tego samego dnia mamy dotrzeć do Lwowa, a przed nami jeszcze Równe, Zdołbunów… I już wiemy, że do Beresteczka nie dojedziemy.

Przy kościele znajduje się przedwojenne upamiętnienie poległych w walkach z bolszewikami w lipcu 1920 roku. Na masywnym cokole rozpościera skrzydła orzeł. Trochę dalej kamień z wyrytym napisem przypominającym, że w tym miejscu spoczywają prochy nieznanego polskiego żołnierza, który poległ w 1920 roku. Grób żołnierzy znajduje się na starym polskim cmentarzu w samym miasteczku. Cmentarz jest ogrodzony, co roku przyjeżdżają wolontariusze z Polski, którzy karczują krzewy, koszą trawę. Trawę też jedzą kozy – miejscowi cmentarz traktują jak pastwisko, a nie brakuje też tzw. czarnych archeologów, którzy w grobach poszukują kosztowności. Ksiądz Tomasz zwraca naszą uwagę na wykopane dziury, które w deszczu i w wysokiej trawie stają się prawdziwą pułapką. Brak szacunku dla szczątków zmarłych to niestety nie tylko osobliwość Korca. Ksiądz Tomasz opowiada podobne historie z poprzedniej jego parafii w Torczynie. I wtedy sprawa staje się jasna – z księdzem Tomaszem znamy się bowiem sprzed wielu lat, a do Torczyna na parafię przyjeżdżałem do niego z dziennikarzem Wojtkiem Pokorą, gdy zajmowaliśmy się tematem mordów NKWD we Włodzimierzu Wołyńskim.

Na końcu cmentarza znajduje się kamienny obelisk z krzyżem. Na kamieniach tabliczka z przedwojenną inskrypcją: „32 poległych za Ojczyznę", a obok nowa tablica z nazwiskami poległych ufundowana w 2018 roku przez Związek Zawodowy Funkcjonariuszy Straży Granicznej z oddziału bieszczadzkiego.

W deszczu i przy pokrzykiwaniu pary kruków zapalamy znicze i zmawiamy modlitwę.

Ciąg dalszy w następnych numerach Kuriera Wnet.

Wsparcia naszej akcji udzielili: Instytut Polski w Kijowie, Fundacja Solidarności Międzynarodowej, Konsulat Generalny we Lwowie, Związek Polaków Obwodu Żytomierskiego, parafie rzymskokatolickie w Nowogrodzie Wołyńskim, Susłach, Korcu, Latyczowie, Tomaszpolu, Prywatne Muzeum Wojskowe „Szturm" we Lwowie, Urząd Miasta Korosteń. Szczególne podziękowania za pomoc dla księdza Sławomira Wartalskiego z warszawskiej parafii pw. Świętego Krzyża, dla księdza diakona dr. Jacka Pawłowicza, duszpasterza Polaków przy parafii katedralnej pw. św. Aleksandra w Kijowie, i ojca Konstantego Hołodowa, kapelana wojskowego Prawosławnej Cerkwi Ukrainy. Dziękujemy serdecznie za pomoc i wsparcie: księdzu Stanisławowi Swórce, ojcu Serhijowi Dmitriejewowi, Jerzemu Wójcickiemu, Związkowi Polaków na Ukrainie oddział w Żytomierzu, Wołodymyrowi Iszczukowi, Wojtkowi Jankowskiemu, Aleksandrowi Radicy, Serhijowi Prowczukowi, Monice Andruszewskiej, Markowi Sierantowi, Marcinowi Pawlakowi, Marzenie Cichorzewskiej, Wołodymyrowi Wyhiwskiemu, Serhijowi Herasimowiczowi, Franciszkowi Rapackiemu i wszystkim innym, którzy nam pomagają w tym przedsięwzięciu. Akcja nie mogłaby się odbyć bez zaangażowania i pomocy Redakcji Radia Wnet.

Zapraszamy do słuchania korespondencji w radiu Wnet Pawła Bobołowicza i Dmytra Antoniuka „Rok 1920 – Pamięć w czasach zarazy".

Krzyż na polskim cmentarzu w Korcu

Równe. Kwatera polskich żołnierzy poległych w walkch pod Równem w 1920 r.

Drzwi w zrujnowanym kościele rzymskokatolickim w Czarnuszowicach

nisław Swórka przy krzyżu z polską inskrypcją

Stare krzyże z grobów Strzelców Siczowych na cmentarzu w Zborowie

Upamiętnienie żołnierzy Ukraińskiej Armii Halickiej w Barze na Podolu

CYKL AUDYCJI

Studio Wilno

w każdy czwartek o 9:15

87.8 FM
WARSZAWA

95.2 FM
KRAKÓW

WNET.FM
CAŁY ŚWIAT

SPONSOR AUDYCJI

ORLEN

75 lat temu zakończyła się druga wojna światowa. Prawdziwa pandemia o zasięgu globalnym. Wagę tej rocznicy przysłoniła inna pandemia: medialno-polityczno-gospodarcza, ni to chińska, ni amerykańska.

Polskość nie jest nienormalna

Piotr Sutowicz

Jej sprawcami mogły stać się supertajne laboratoria albo jakiś nietoperz czy inny dziwny zwierz zjedzony gdzieś przez kogoś. Na temat wywołania zjawiska koronawirusa, w realiach którego żyjemy, teorii może być tyle, co ludzi, a może nawet więcej, bo niektórzy z nas są w stanie „bić się z myślami" i w związku z tym wypracują więcej niż jedną wersję jego wytworzenia i rozpowszechnienia. Tym razem nie przyłączę się do tych głosów, choć trochę mi szkoda, bo rozważanie różnych możliwości prawdy, o której ma się znikome pojęcie, jest zajęciem nad wyraz bezpiecznym, a przez to sympatycznym. Chyba że zupełnie niechcący do owej prawdy się dotrze i ktoś, kto nie powinien, przeczyta to, co zostało napisane, a wydarzenia późniejsze potoczą się jak w klasycznym filmie sensacyjnym. A więc nie o tym.

Nienormalność

Opinię o tym, że „polskość to nienormalność", miał wyrazić pan Donald Tusk głęboko w latach osiemdziesiątych. Była ona tyle razy przytaczana przez media i używana w walce politycznej przeciw niemu, iż jest jasne, że gdyby była ona nieprawdziwa, dawno by ją zdementował. Zresztą widziałem jej zapis, co prawda na skanie, ale zdaje się wiarygodnym. Poza tym esej datowany na rok 1987 przedrukowywało tak „wiarygodne" medium jak „Gazeta Wyborcza", i to wcale nie z zamiarem kompromitowania autora tych słów, lecz wręcz przeciwnie – starając się je przekuć na oręż walki z ludźmi myślącymi kategoriami patriotycznymi. Co jest zrozumiałe, bo treściowo dosyć dobrze się on do tego nadaje. Autor, zdaje się, miał intencję wpisać się w nurt łamaczy zastanych „idei" i twórców czegoś nowego. Wcale w tym nie był oryginalny, choć na pewno chciał.

Po co o tym pisać w kontekście rocznicy zakończenia II wojny światowej? Choćby dlatego, że jej skutkiem także miało być zniszczenie wielu idei. Dla nas ważny jest fakt, że chodziło również o ideę narodu polskiego, która bynajmniej nie była nienormalnością. Naród polski mniej lub bardziej mocno opierał się na zasadach, które co prawda zmieniały się na przestrzeni wieków, ale zawsze bywały reinterpretowane przez pryzmat cywilizacji łacińskiej oraz przynależności do określonego kręgu religijnego. Być może brutalnie brzmi dziś sformułowanie, iż Polak to katolik. Nigdy zresztą nie było ono prawdziwe i nawet w czasie, kiedy na poziomie doktryny politycznej definiował ów związek religii z narodem Roman Dmowski w swej broszurze *Kościół, Naród i Państwo*, to też nie miał na myśli konfesyjności i obowiązkowości wierzenia na sposób Kościoła katolickiego. Sam autor zdaje się z tą kwestią zmagał się przez większość swojego życia, co nie jest żadną tajemnicą.

Naród określony jest więc przez idee, które wypracowuje w swych dziejach, te zaś oparte są na pierwotnych fundamentach. Gdzieś tu znowu pojawi się nam owa nienormalność. A właściwie fałsz takiego spojrzenia. Można się zmagać z takimi czy owymi pojęciami i zasadami, można też je łamać i czasami działalność taka może okazać się twórcza, wszystkie zastane doktryny bowiem powinny być reinterpretowane, a w pewnych sytuacjach porzucane. Wspólnotę narodową zresztą też można opuścić. Owszem, pociąga to za sobą bardzo mocne oceny, bywa nazywane zdradą, i to najgorszego rodzaju, bo popełnioną zarówno wobec żyjących członków wspólnoty, jak i tych, którzy budowali ją w przeszłości, a nawet tych, którzy przyjdą później i będą ubożsi o dziedzictwo tego kogoś jednego. Opuszczając wspólnotę, można sobie po prostu pójść tam, gdzie jest lepiej, ale można wspólnocie szkodzić. Zdrady bowiem często połączone są z nienawiścią i chęcią zniszczenia, która często wynika z woli wykazania się przed… no właśnie, nowymi pobratymcami, a może samym sobą; pewnie bywa z tym różnie. Określenie wspólnoty polskiej przydomkiem „nienormalności" i trwanie w tym przekonaniu jest obarczone ryzykiem takiego właśnie postępowania i początkiem szerszych działań, nazwijmy je: dywersyjno-niszczących.

Moje stanowisko w tym względzie jest jednoznaczne, ale zgadzam się, że naród nie musi być monolitem, mrowiskiem jednakowo myślących, działającym jak maszyna. Przynajmniej nie dotyczy to naszego kręgu cywilizacyjnego. Tu mimo wszystko paradygmatem jest wolność jednostki, która ustępuje jedynie przed dobrem wspólnym.

Wojna

Wojna wszystko stawia w innej perspektywie – przestawia priorytety, ale i daje okazje do zdefiniowania tego, co dla narodu jest ważne. Państwa wojujące owe ważne dla siebie rzeczy ubierają w formę celów wojennych, czyli tego, o co i za co walczą. W naszej historii dobrze zapisały się cele wojenne Stanów Zjednoczonych w okresie ich przystąpienia do I wojny światowej, upublicznione przez prezydenta Woodrowa Wilsona, ich trzynasty punkt mówił bowiem o ustanowieniu niepodległej Polski. Niektóre wszakże cele wojenne, szczególnie te z czasów II wojny światowej, przysparzają nas o dreszcze – nie tylko jako Polaków, ale po prostu jako ludzi.

Przedwojenna Polska powstała po długotrwałej niewoli, dlatego kwestia wolności znalazła się na pierwszym planie. Polacy bili się za nią od roku 1914 do początku lat dwudziestych. Budująca się ojczyzna nie była idealna, a jej rządy – często dalekie od doskonałości czy nawet sprawiedliwości. Nie dowartościowano w niej mniejszości, z którymi nie wiadomo było, co zrobić. Występowało słabe uprzemysłowienie, przeludnienie wsi, niedomagania kapitałowe, poza tym dziwne i nie zawsze skuteczne formy rządów, które lubowały się w podkreślaniu budowania potęgi, która istniała bardziej w sferze propagandy niż rzeczywistości. Niemniej Polska dwudziestolecia międzywojennego miała swoje niezaprzeczalne zasługi i pewnie z czasem rozwiązywałaby problemy. Nic nie wskazywało na to, iżby miała się stać państwem upadłym. Jej klęskę spowodowali dwaj totalitarni socjalistyczno-komunistyczni sąsiedzi, którzy widzieli ją jako kraj nienormalny, tzn. taki, którego być w tym miejscu Europy nie powinno. Wcale zresztą nie byli tacy oryginalni w swoim podejściu – ich poprzednicy w XVIII wieku myśleli podobnie.

> Opuszczając wspólnotę, można sobie po prostu pójść tam, gdzie jest lepiej, ale można wspólnocie szkodzić. Zdrady bowiem często połączone są z nienawiścią i chęcią zniszczenia.

Nie chcę wyrokować, że wojna była wynikiem światowego sporu wokół kwestii polskiej, ale coś na rzeczy jest. Polska powinna istnieć, a właściwie na naszym obszarze musi istnieć silny organizm polityczny, który może być siłą napędową środkowoeuropejskiego ładu politycznego. Taki wniosek podpowiada nam zarówno geografia, jak i demografia. Nie bez znaczenia są też argumenty ze sfery, nazwijmy je, cywilizacyjnej. Takie projekty w historii już były, mniej czy bardziej udanie realizowane. Od czasów piastowskich po postjagiellońskie polska myśl polityczna miała aspiracje jednoczenia środkowej części kontynentu. To też jest jeden z elementów dziedzictwa Wielkiej Polski, który tak chętnie wrzuca się do worka owej „nienormalności".

Na pewno mamy tu do czynienia z „nieprzekraczalnością" pojęć. Polska nie może zrezygnować ze swojej swoistości ani z wizji zaplecza politycznego zapewniającego bezpieczną możliwość realizowania „idei polskiej" jako pewnego uniwersalizmu. Nasi dwaj najwięksi sąsiedzi, bez względu na przyjętą opcję ustrojową czy ideologiczną, mają swoje cele na naszym obszarze narodowym. Najogólniej mówiąc, dążą do unicestwienia Polski jako bytu politycznego. Co by musiało się stać, by tę tragiczną sytuację zmienić? Są dwie możliwości. Wojna, która wybuchła w 1939 roku, a zakończyła się w roku 1945, żadnej z nich nie zrealizowała. Dlatego nikt nie jest z jej rezultatów zadowolony. Zresztą podobnie było po I wojnie światowej.

Scenariusz I

Wyobraźmy sobie przynajmniej dwa możliwe scenariusze II wojny światowej, które rozwiązywałyby naszą kwestię narodową. Pierwszy z nich zakłada pokonanie obu wrogich mocarstw według marzeń i koncepcji obozu narodowego. Niemcy walą się w gruzy pod ciosami aliantów, wcześniej wszakże pokonują sowiecką Rosję, która podnosi się z gruzów nie jako jedno państwo, a konglomerat różnych tworów politycznych: górali kaukaskich, muzułmanów, niepodległej Syberii, państw słowiańskich, takich jak Białoruś, poszczególnych republiki kozackich, Moskwy, Nowogrodu, Pskowa i czego tam jeszcze. Obszar Ukrainy też chyba nie wyłoniłby się z tego pod jedną postacią – zapewne powstałyby tam różne państewka, często wrogie względem siebie. Tę przestrzeń trzeba by uporządkować. W naszym interesie byłoby zaprowadzić tu porządek odwołujący się do czasów Unii Jagiellońskiej, oczywiście odpowiednio zmodyfikowanej i dostosowanej do nowych czasów. W tej wizji Niemcy też przestałyby istnieć jako byt polityczny. Niektórzy nasi stratedzy czy marzyciele snuli koncepcje ich rozbicia na państwa plemienne, a np. Karol Stojanowski zakładał reslawizację przestrzeni niemieckiej aż poza Łabę. Koncepcja może i wyglądająca na brutalną, ale w kontekście różnych planów na postniemiecką przyszłość była ona dosyć humanitarna. Ta część Europy Środkowej, która znajduje się na południe od Karpat, stałaby się zaś częścią swoistej Rzeszy Słowiańskiej, która została w niektórych pismach narodowców dość mgliście zarysowana.

Była to fantazja, ale tak możemy napisać dziś, dlatego że wojna nie skończyła się jej realizacją, a przeszłość potoczyła się inaczej. Niemcy zostały pokonane, lecz mimo pierwotnych pozorów, ich ośrodek polityczny szybko odbudowano i przywrócono mu silną pozycję. Rosja, a właściwie turańszczyzna w swej zbrodniczej, komunistycznej formie, początkowo mogła, co prawda, przystąpić do realizacji planów globalnych, mając punkty oparcia głęboko w środkowej części kontynentu europejskiego, jednak z czasem okazało się, że brak jej wystarczających środków. Szybko zużyła swe siły i w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku została zmuszona do weryfikacji planów, a w każdym razie do zmiany strategii. Wbrew początkowym symptomom, nie stała się na powrót starą, słowiańską moskiewszczyzną, lecz imperium w stanie przyczajenia. Od jakiegoś czasu obie potęgi, rosyjska i niemiecka, ewidentnie w coraz mniej skrywanej formie dążą do odbudowy swego sojuszu z lat trzydziestych, przypieczętowanego w 1939 roku nad „trupem" Polski.

Czy taką przyszłość widział pan Donald Tusk kiedy definiował ową „nienormalność" polską? Nie wiem, ale jednego jestem pewien, głupi nie jest. Jako polityk jest świadom swoich celów, na pewno w swym myśleniu wybiegał poza siermiężną rzeczywistość lat osiemdziesiątych. Jego działania polityczne każą mi myśleć, że rywalizacja rosyjsko – niemiecka i ewentualnie Polska jako terytorium z podzielonymi strefami wpływów mocarstw sąsiednich nie była jego ideałem. Prawdopodobnie myślał o innym scenariuszu.

Scenariusz II

Załóżmy, że Niemcy wygrywają II wojnę światową. Samo takie stwierdzenie jest mimo wszystko dość wieloznaczne. Dla potrzeb niniejszych rozważań przyjmuję, iż oznacza ono zwycięstwo na froncie wschodnim i trwanie na pozycjach na zachodzie, czyli stopniowe uspokojenie się sytuacji. Ameryka za cenę jakichś tam ustępstw gospodarczych akceptuje nazistowski porządek europejski, Japończycy stają się dominatami na Pacyfiku i w Azji Wschodniej. Sytuacja ta nie jest jednak wieczna. Imperia w naszych i bezpośrednio przed naszymi czasach mają tendencje globalistyczne. Nieuchronnością byłoby przetasowanie sojuszy, przebudowa ładu politycznego i kolejne wojny. Poza tym rojenia niemieckie o wszechpanowaniu na kontynencie były rojeniami właśnie. Przede wszystkim takim planom nie odpowiadał ich potencjał demograficzny. Ich rzekome zwycięstwo skończyłoby się rychłą barbaryzacją imperium, choć trudno nam to sobie dziś wyobrazić. Jednak warto zauważyć, że już w czasie wojny udział oddziałów nieniemieckich po stronie III Rzeszy był całkiem spory, a więc w przyszłości, kto wie… Biorąc pod uwagę płynność ich koncepcji rasistowskich, jestem w stanie wiele sobie wyobrazić.

Mogliby też Niemcy zrezygnować z wielkiego imperium i powrócić do swych planów panowania gospodarczego nad Europą zachodnią i wschodnią, Polską, przestrzenią pohabsburską, Bliskim Wschodem, europejską słowiańszczyzną – gdzie powstałby cały szereg politycznie i gospodarczo podporządkowanych Rzeszy państewek. Jeżeli nad tym krajem prędzej czy później władzę przejąłby któryś z kolei „krąg z Krzyżowej", pewnie tak by się stało. Dziś mielibyśmy do czynienia z czymś na kształt Unii Europejskiej, przy czym znacznie bardziej niż obecnie niemieckiej, z charakterystycznym dla nazizmu typem ustroju. Polacy jako naród musieliby zakończyć swą historię. Bez względu na to, czy by nas (naszych przodków) wywieziono na Syberię, czy wymordowano, czy też pozwolono by żyć w nowym porządku europejskim, nie moglibyśmy być Polakami, nawet jeśli zwycięski reżim pozwoliłby trwać językowi, który byłby przedmiotem wykładów na Wschodnioniemieckim Uniwersytecie w Krakowie im. Veita Stoßa, który stałby się symbolem odwieczności niemieckiej kultury w tym miejscu, a wycieczki z głębi Niemiec podziwiałyby dziś piękno jego ołtarza. Nam nic by to nie dało, polska „nienormalność" by się skończyła, stalibyśmy się Europejczykami, i tyle.

> Jeżeli dla kogoś Mickiewicz, Norwid, Sienkiewicz, Wojtyła i rzesze innych są reprezentantami polskiej nienormalności, to Bóg z nim; Polacy jednak powinni iść własną, wytyczoną drogą.

Oczywiście w historii nic nie jest na zawsze, może ktoś kiedyś przypomniałby sobie o Polsce, może jacyś myśliciele odkopaliby przeszłość; w końcu imperia słabną. Może Amerykanie lub Japończycy szukaliby jakichś sojuszników w tej części Europy, a znalazłszy potomków niemal wymarłego plemienia, zaczęliby w odnowienie jego bytu inwestować. Ale gdyby nawet tak się stało, nie wiadomo, czy owi nieliczni potomkowie polskiego myślenia odbudowaliby rzeczywiste dziedzictwo swojej historii, czy jedynie polityczny byt oparty o zachowane resztki językowe, jak chciał zrobić Stojanowski z dziedzictwem Słowian nad Łabą.

Trudne pytanie

Przy okazji ledwo co przypomnianej rocznicy zakończenia II wojny światowej mało kto zadawał publicznie pytanie: czy myśmy ją rzeczywiście wygrali, czy wręcz przeciwnie. Zarysowane pokrótce powyżej dwa fantastyczne scenariusze nie wydarzyły się, a więc nie pomogą w odpowiedzi. Polacy uratowali swój byt biologiczny, jak wskazuje inspirująca mnie wypowiedź pana Tuska. Wbrew słusznemu narzekaniu na swój stan intelektualny, uratowali znaczną część swego dziedzictwa dziejowego. Przynajmniej do lat osiemdziesiątych byli tego świadomi. Z powodu braku suwerenności politycznej i kulturalnej nie mogli pracować nad udoskonaleniem swej doktryny. Ale mają szansę, tym bardziej, że II wojna światowa i czas, jaki po niej nastąpił, dostarczyły w tym względzie wiele cennego materiału do przemyśleń.

Po pierwsze, Polacy byli i są kreatywni, są w stanie funkcjonować w różnych, także wrogich systemach. Po drugie, zachowują swój głęboki humanizm bez względu na okoliczności, a szczególnie narzucane im antyhumanistyczne doktryny. Po trzecie, nawet ulegając ateizacji, nie zapominają o swych chrześcijańskich korzeniach, potrafią sobie o nich przypomnieć w najróżniejszych okolicznościach, które tego wymagają. Wreszcie nie do końca wyzbyli się myśli o tym, że są narodem wielkim, a nie skazanym przez okoliczności i samego siebie na bezcelową wegetację w oparciu o czynniki obce. Oczywiście ma to też swoje gorsze strony – naszą irytującą megalomanię i pewien polonocentryzm, który podpowiada nam błędnie, że świat kręci się wokół nas i naszych problemów. Być może tu tkwi podstawa pretensji do świata o to, że kiedyś tam nas zdradził, że o nas zapomniał, a nam przecież „się należało".

II wojna światowa i jej konsekwencje powinny nas były nauczyć jednego – od nikogo nic nam się nie należy i nikt nic nam nie da, wszystko musimy zdobyć sami lub w porozumieniu z sojusznikami, którym akurat jest z nami po drodze. Realizacja narodowych interesów nie jest romantycznym bojem „za wolność naszą i waszą". Ta „wasza" też jest wartością, ale bliżej musi nam być do realizacji naszych celów, które należy precyzyjnie zdefiniować. Nie możemy udawać, że istniejemy gdzie indziej. Sąsiedzi, także ci, którzy nam niekoniecznie dobrze życzą, powinni dokładnie wiedzieć, czego chcemy, a my z naszych celów nie możemy rezygnować w imię np. dobrych stosunków z kimś tam. To się zawsze źle kończy. W relacjach między państwami i narodami tak niestety jest, że pod maską pięknych słów kryje się realna polityka. Jeśli ktoś nam coś daje, to znaczy, że czegoś chce – a jeśli nie zamierzamy spełnić jego oczekiwania, to nie bierzmy tego, co nam oferuje.

Nie możemy też bać się samych siebie. Przyszłość bowiem należy do posiadaczy silnej tożsamości. To z jej powodu naród przetrwał jako byt poważny, mimo olbrzymich strat gospodarczych i demograficznych, pomimo przesunięcia ośrodka politycznego na zachód. To ostatnie ma złe, ale i dobre strony. Jeżeli dla kogoś Mickiewicz, Norwid, Sienkiewicz, Wojtyła i całe rzesze innych są reprezentantami polskiej nienormalności, to Bóg z nim; Polacy jednak powinni iść własną, wytyczoną drogą. Nasza swoistość i aktywność pokazuje, że przed nami jest jeszcze kawał historii.

Sto lat temu urodził się Jan Paweł II. Akurat pamięć o nim była powszechnie odświeżana w ubiegłym miesiącu, ale warto do tych wspominek dodać i taką uwagę, że w książce *Pamięć i tożsamość* dopuścił on możliwość, iż na sądzie Boskim odpowiadamy indywidualnie, ale przed majestatem Stwórcy staną również narody. Nie wiem, jak to będzie wyglądać, ale jeśli papieska intuicja jest słuszna, to w każdym z nas tkwi część takiej ponadhistorycznej odpowiedzialności.

Znajomy dziennikarz z Ekwadoru powiedział mi: „W kraju jest źle. […] Już nie można powiedzieć ludziom »zostańcie w domu«, bo jeśli zostaną w domu, to umrą z głodu. […] Największy kryzys, który mamy teraz w Ekwadorze, to już nie jest covid. To kryzys ekonomiczny i kryzys polityczny".

Czy Ekwadorowi grozi nowa fala protestów po pandemii?

Piotr M. Bobołowicz

Pod koniec maja pandemia koronawirusa zaczęła wyhamowywać w Azji i Europie. Nowym epicentrum stała się Ameryka Łacińska. Wśród najbardziej dotkniętych krajów nie można nie wymienić Ekwadoru. Łączna liczba zakażonych w tym siedemnastomilionowym kraju pod koniec maja sięgnęła prawie czterdziestu tysięcy, a zmarło ponad trzy tysiące osób. Oficjalnie. Wiadomo jednak, że wielu ludzi nie zostało przed śmiercią zdiagnozowanych, a badań post-mortem nie było czasu wykonywać. W Ekwadorze praktycznie co trzeci test na SARS-CoV-2 daje wynik pozytywny. Dla porównania w Polsce jest to zaledwie niecałe 3% testów. Wiadomo więc, że pełna skala epidemii nie jest znana.

Kryzys epidemiczny ma jednak całkiem inne skutki, które mogą być odczuwalne jeszcze przez dłuższy czas. Bezpośrednio wywołał zapaść gospodarczą, ale stał się też iskrą, która rozpaliła uśpione niepokoje społeczne. Warto przypomnieć, że od 3 do 14 października 2019 roku trwały w Ekwadorze masowe protesty przeciwko wprowadzanym przez prezydenta Lenina Morena reformom gospodarczym. Celem zmian było ograniczenie wydatków państwa – warunek ten postawił ekwadorskiemu rządowi Międzynarodowy Fundusz Walutowy, jako niezbędny, by zaakceptować kolejną linię kredytową. Jednym ze sztandarowych pomysłów Morena było zlikwidowanie państwowych subsydiów do paliwa. Ekwador jest producentem ropy naftowej, ale importerem paliw. W latach siedemdziesiątych wprowadzono dopłaty do paliwa, żeby przeciwdziałać społecznym skutkowym kryzysu naftowego.

W październiku 2019 roku po jedenastodniowych protestach, w których główną siłę polityczną stanowili Indianie zrzeszeni w CONAIE – Konfederacji Rdzennych Narodów Ekwadoru – rząd wycofał się z kontrowersyjnej decyzji i postanowił utrzymać dopłaty. Jednocześnie rozpoczął dialog z organizacjami indiańskimi, żeby znaleźć wspólne wyjście z sytuacji.

Teraz jednak niezadowolenie społeczne wywołane długotrwałym zamknięciem – zarówno gospodarki, jak i ludzi w ich gospodarstwach domowych – i wielka skala zubożenia, związana ze specyficzną strukturą rynku pracy w Ekwadorze, owocują wzrostem napięcia i grożą poważnym kryzysem politycznym. Między 40% a 50% osób w Ekwadorze pracuje w sposób nieformalny. W dużej mierze są to drobni sprzedawcy uliczni – jedzenia, ubrań, owoców i warzyw, tak naprawdę wszystkiego – ale też pomoce domowe, kierowcy i inni. To właśnie te zawody najbardziej ucierpiały w momencie wprowadzenia w kraju stanu wyjątkowego i kwarantanny. W niektórych częściach Ekwadoru do 1 czerwca obowiązywała godzina policyjna od godziny 14.00 do 5.00 rano. Obecnie w kantonach, w których obowiązuje „czerwone światło", została ona skrócona – zaczyna się o 18.00. Przy takich ograniczeniach ludzie żyjący z dnia na dzień z doraźnego, niepewnego zarobku znaleźli się bez środków do życia. Ale nie tylko oni. Zakaz przemieszczania się między jednostkami administracyjnymi poważnie dotknął rolników, których duża część i tak żyje w biedzie. Ważną składową gospodarki Ekwadoru jest branża turystyczna – niektóre miejscowości, takie jak Otavalo, Baños de Agua Santa, Montañita czy Vilcabamba żyją przede wszystkim z turystyki – zarówno krajowej, jak i zagranicznej.

By walczyć z kryzysem ekonomicznym, Zgromadzenie Narodowe Ekwadoru przyjęło 15 maja tzw. *Ley de apoyo humanitario*, czyli ustawę o wsparciu humanitarnym. Już same prace nad nią wywoływały wiele kontrowersji. W związku z prognozowanymi stratami dla budżetu, w wysokości co najmniej 8 miliardów dolarów amerykańskich (straty mają podwójne źródło – ogólny kryzys gospodarczy, ale też spadek cen ropy), rząd proponował m.in. cięcia płac w sferze budżetowej o 10%, a także specjalne „składki" pracowników i pracodawców na rzecz pomocy pokrzywdzonym przez kryzys. Czyli podatki. Jednak propozycje te nie zostały włączone do ostatecznej wersji dokumentu.

Tymczasem plan naprawczy przewiduje drastyczne cięcia. Państwo pozbywa się ośmiu przedsiębiorstw, które nie przynoszą zysku. Na pierwszy ogień poszły linie lotnicze Tame. Dalej kolej, chociaż tu warto zaznaczyć, że kolej w Ekwadorze nie ma znaczenia w wymiarze transportowym – ani pasażerskim, ani towarowym. Pełni wyłącznie rolę turystyczną. Najbardziej może szokować, że ekwadorski rząd ogłosił zamknięcie państwowej poczty. Wywołuje to wiele kontrowersji. Krytycy tych rozwiązań wprost mówią, że jest to próba wyprzedania za niskie kwoty majątku publicznego, co umożliwi przejęcie pewnych sektorów przez podmioty prywatne. Chociażby w przypadku kolei rząd zapowiada, że nie zostanie ona zlikwidowana – operacje przejmie przedsiębiorstwo prywatne. Podobnie stanie się z usługami pocztowymi.

> Między 40% a 50% osób w Ekwadorze pracuje w sposób nieformalny. W dużej mierze są to drobni sprzedawcy uliczni – jedzenia, ubrań, owoców i warzyw, tak naprawdę wszystkiego – ale też pomoce domowe, kierowcy i inni.

Cięcia obejmą także inne ważne sektory budżetowe – edukację i służbę zdrowia (sic!). W dobie pandemii, w kraju, w którym opieka zdrowotna już jest w bardzo skomplikowanej sytuacji, rząd planuje redukcję ponad 2000 etatów administracyjnych w służbie zdrowia. Nie wprost – jest to pokłosie ukrócenia tzw. *contratos ocasionales*, czyli umów krótkoterminowych. Nie będą one mogły być przedłużane ani zawierane nowe. Oficjalnie ma to być oszczędność, która pozwoli na utrzymanie wynagrodzeń personelu medycznego. Publiczny odbiór tych zapowiedzi jest jednak mocno negatywny. Niepokoją także zapowiedzi obcięcia finansowania sektora edukacji o 100 milionów dolarów. Lokalnie ludzie już protestują na ulicach – mimo wciąż obowiązującej w kraju kwarantanny.

Konfederacja Rdzennych Ludów Ekwadoru CONAIE napisała w oświadczeniu, że wprowadzone ustawy – i ta o wsparciu humanitarnym, i druga, równie krytykowana, o uporządkowaniu finansów publicznych – nie są tak naprawdę odpowiedzią na kryzys, a kolejnym krokiem w kierunku neoliberalizmu, niezbędnym do utrzymania zysków „zacofanej prawicy". Warto bowiem wiedzieć, że organizacjom indiańskim jest niezwykle po drodze z socjalistami, często tymi skrajnymi. CONAIE nazywa te ustawy „szkodliwym ciosem w klasę robotniczą".

W czerwcu mija trzydzieści lat od pierwszego wielkiego zrywu rdzennej ludności Ekwadoru w XX wieku, o czym CONAIE przypomina na swoim profilu na Twitterze. Przypomina o przeszłości i o tym, że walka nadal trwa. Czy pod hasztagiem #LaLuchaVaPorqueVa, czyli „walka trwa, bo trwa", wybuchnie w czerwcu kolejna fala protestów? Kolejna rewolucja, która zmusi prezydenta do ewakuacji helikopterem z oblężonego Pałacu Carondelet w Quito, jak miało to miejsce, gdy obalono w 2005 roku Lucia Gutiérreza? Ucieszyłby się z tego z pewnością Rafael Correa, któremu pandemia zapewniła nieco spokoju – chociaż już w jej trakcie zapadł wyrok w jego sprawie, skazujący byłego prezydenta – i byłego współpracownika Lenina Morena – na osiem lat więzienia za łapówki. Ucieszyliby się pewnie także przyjaciele Correi, w tym wenezuelski dyktator Nicolas Maduro – więc zapewne i Moskwa, bo Moreno – mimo imienia – jest najbardziej proamerykańskim prezydentem od lat. W chwili obecnej trudno jednak przewidzieć, jaki rezultat przyniesie tym razem mieszanka gorącej latynoskiej krwi i indiańskiej determinacji Ekwadorczyków.

Nie napiszę o epidemii ani wyborach prezydenckich, bo już samo myślenie o tych sprawach powoduje u mnie symptomy przesytu oraz odruch jak po wypiciu kilku łyków mocno zasolonej wody.

Gatunki

PALEC W OKO

Adam Gniewecki

Sądzę, że Czytelnicy mają podobnie. Wszyscy wiemy, a przynajmniej domyślamy się, czyja impotentna bezsilność z domieszką bezradności, czyj interes polityczny, finansowy i jaka idea stoi za wyżej wymienionymi komediodramatami.

Nawiasem, retorycznie zapytam: co to jest, tak często wymieniany, „interes polityczny"? Czyj interes? Polityka? Osobiste interesy polityków?

Nie będę lamentował, że nasi rządzący kierują się zasadą leseferyzmu – szkoły myśli socjalno-psychologicznej oraz taktyki i strategii, stworzonej na uniwersytecie w La Défaite przez francuskich uczonych Laisser'a i Faire'a. Wyniki stosowania metody wypracowanej przez ów nurt myślenia, szczególnie w zakresie walki politycznej i zmagań społecznych, bywają zwykle skutecznie korzystne dla drugiej strony, jednocześnie powodując powtarzające się niepowodzenia jej wyznawców.

Nie będę komentował stylu aranżacji ustąpienia kandydatki KO na prezydenta ani klasy nowego pretendenta do tego urzędu. Powtórzę jedynie za Benedyktem Chmielowskim: „Koń, jaki jest, każdy widzi". Jednak, nie powstrzymam się od wyrażenia głębokiego smutku wobec alternatywy, przed jaką stoimy. Jeśli nowy kandydat KO wygrałby wybory prezydenckie – narodowa katastrofa. Jeśli przegra – ciąg dalszy warszawskiego horroru.

Nie zajmę się też, przynajmniej tym razem, planami wszczepiania ludziom, pod pozorem troski o ich zdrowie, tzw. bioczipów, co tłumaczy upór w sprawie wprowadzania, dla owego zdrowia nieobojętnego, internetu 5G, co z kolei odsłania plan nadzorowania ludzkości jak ogromnego, zakolczykowanego stada. I tu nasuwa mi się taki obrazek, a może „wyobrazek":

Nad niedopitą siedzę karafką,
Bezludnymi ulicami spacerują Orwell
z Kafką,
Widzę, jak głowami z uznaniem kiwają,
Patrz! Wyobraźnię naszą ONI przerastają.

À propos stale niedogonionych wyborów, czyli elekcji, słyszałem radiową dyskusję, w której prowadzący odkrył, że mamy „nowy horyzont wyborczy", co nasuwa mi następującą refleksję:

Horyzont, czyli widnokrąg – niezbliżalny cel podróży. Dążenie do celu, który jest jak horyzont, musi skończyć się porażką, a nie być nią może tylko, gdy celem towarzyszącym jest samo dążenie, ale bez świadomości, że cel jest nieosiągalny. Wtedy musi istnieć choć ślad nadziei na osiągnięcie celu.

Jeśli dążyć niestrudzenie do horyzontu, to obejdzie się kulę ziemską, by stanąć w punkcie wyjścia, stwierdzić, że powrót do tego miejsca to porażka i można najwyżej zacząć od nowa albo pójść w stronę innego horyzontu, by powtórzyć poprzednią turę z takim samym rezultatem. Zmiana kąta startowego to kurs na inny horyzont.

Widnokręgowiec – dąży, często jednocześnie, do wielu horyzontów. Nie stawia sobie celu, jak: szczyt góry, linia mety czy brzeg morza. Widnokręgowców nie należy mylić z utopistami, a tych z kolei z aqua-widnokręgowcami, które gonią za horyzontem morskim, co kończy się źle, w sposób określony przez proste znaczenie miana 'utopista', i tym sposobem myli.

Widnokręgowiec patrzy zawsze na swój odległy horyzont, nie zauważa mijanych celów, czasem wartych korekty kursu, a gdy je nawet dostrzeże, pozbywa się ich lub je omija jako nie te, które obrał.

Cel – punkt, do którego można się zbliżać i go osiągnąć. Dążenie do celu kończy się sukcesem w przypadku jego osiągnięcia, albo porażką, gdy dążący nie zdoła do niego dotrzeć. Porzucony cel jest tyle stratą, ile ważą czas i wysiłek poświęcone na zbliżanie się do niego.

Celnik – dąży, czasem jednocześnie, do wielu obranych celów, które rozpoznaje jako nie-horyzonty, ponieważ w miarę marszu stają się coraz bliższe. Jeśli cel celnika okazałby się horyzontem, ten albo zrezygnuje i poszuka innego celu, albo zajmie się którymś z napotkanych po drodze. Gdy w drodze do obranego celu celnik napotyka inny cel, ten może stać się przyczyną zwłoki, a nawet zmiany kursu, co oznacza obranie innego celu niż pierwotny.

Celników, przez podobieństwo miana do rzeczownika 'cela', nie należy mylić z więźniami, choć czasem osiągnięty cel lub dążenie do niego może tam prowadzić.

Kto widnokręgowce i celniki do idealistów i oportunistów przyrówna, ten, myląc i mieszając gatunki z ideologiami, błąd popełni.

Wykazano, że natura jest dwoista, a w jednym osobniku może współistnieć widnokręgowiec z celnikiem.

I tak widnokręgowiec, zbierający przydrożne cele oraz z nich korzystający, gdyż samo dążenie nie było mu celem, nie ponosi totalnej porażki, a jako celnik sprawiałby się dobrze. Zaś celnik, który mimo korzystania z przygodnych celów, ma jeszcze na oku horyzont, też nie przegrywa i o cechy widnokręgowca się wzbogaca.

Jak widać, reguła kompromisu nakazuje widnokręgowcom zniżać się do celnictwa, a celników skłania do spojrzenia horyzontalnego, przez co obie grupy sprawiedliwie wzbogaca, a widnokręgowce zgoła od porażki czasami ratuje.

Literatura wymienia także gatunek zwany ślepakami, które ani do konkretnego celu, ani do horyzontu nie dążą. Osobniki te, określane także jako zaślepieńce, zadowalają się ślepym dążeniem do przypadkowego celu. Motorem jest potrzeba działania, zaś cel i skutki nie mają znaczenia. Liczy się aktywność sama w sobie. Za przewodników ślepaki obierają gatunkowo im pokrewne, ale wyżej rozwinięte i sprytniejsze widniki, choć te jednym, na dodatek kaprawym okiem postrzegają, i to niewyraźnie, zdeformowane obrazy celów. Napędem widników jest korzyść i nagroda za przewodniczenie stadom ślepaków w drodze do celu obranego przez gatunki wyższe.

> **Nie powstrzymam się od wyrażenia głębokiego smutku wobec alternatywy, przed jaką stoimy. Jeśli nowy kandydat KO wygrałby wybory prezydenckie – narodowa katastrofa. Jeśli przegra – ciąg dalszy warszawskiego horroru.**

Drogi Czytelniku, spróbuj przyporządkować do omówionych wyżej gatunków sprawy, o których, jak zaznaczyłem na początku, postanowiłem dzisiaj nie pisać, i stojące za nimi grupy.

Wysiłki Pekinu, aby promować się jako światowy lider w walce z pandemią covid-19, w ostatnim czasie spotkały się z odrzuceniem.

„Maseczkowa dyplomacja" Pekinu

Cathy He

Aby poprawić swój wizerunek w czasie kryzysu, chiński reżim wysłał ekspertów medycznych oraz niezbędne zaopatrzenie, takie jak maseczki i respiratory, do różnych krajów, od Włoch po Peru. Początkowo kraje z zadowoleniem przyjmowały pomoc, ale pojawiły się protesty po tym, jak Holandia, Hiszpania i Turcja poinformowały w ostatnich tygodniach o wadliwym sprzęcie z Chin.

„Po początkowej fazie pozytywnego rozgłosu narracja na temat chińskiej pomocy dla Europy nieco ucichła" – powiedział „The Epoch Times" Peter Rough, ekspert w dziedzinie polityki zagranicznej USA, *senior fellow* w waszyngtońskim think tanku Hudson Institute.

28 marca Holandia ogłosiła, że zwróciła ok. 600 000 maseczek z dostawy liczącej 1,3 mln sztuk, zakupionych od chińskiego producenta tydzień wcześniej. Holenderscy urzędnicy ds. zdrowia orzekli, że maseczek nie można było dopasować lub miały wadliwe filtry. „Drugi test wykazał, że maseczki nie spełniały także norm jakościowych. Zadecydowano o nieużywaniu wszystkich produktów z dostawy" – powiedział minister zdrowia w oświadczeniu dla AFP.

Hiszpania miała podobne problemy z zestawami szybkich testów zamówionych w chińskiej firmie. Hiszpańskie Ministerstwo Zdrowia 26 marca poinformowało o wycofaniu ok. 58 000 chińskich zestawów testów po odkryciu, że ich skuteczność wykrywania wirusa jest na poziomie zaledwie 30 proc., podczas gdy przeciętny wskaźnik skuteczności wynosi ponad 80 proc. Chińska ambasada w Hiszpanii odpowiedziała na Twitterze, że Shenzhen Bioeasy Biotechnology, firma sprzedająca zestawy, nie miała licencji na sprzedaż testów.

27 marca tureccy urzędnicy ds. zdrowia poinformowali, że próbki zestawu do szybkiego testowania zakupione od chińskiej firmy nie spełniają lokalnych standardów skuteczności. Na dostawcę zestawów została wybrana inna chińska firma.

Te sytuacje, jak powiedział Rough, „rozwiały starannie pielęgnowaną w Chinach aurę kompetentności".

Odsuwanie winy

„Maseczkowa dyplomacja" reżimu stanowi część szerszej kampanii mającej na celu zmianę globalnej narracji – a jej ostatecznym celem jest ukrycie winy za złe decyzje Pekinu w początkowej fazie wybuchu epidemii, która ostatecznie przeistoczyła się w globalną pandemię.

– Zadaniem humanitarnych gestów Chin jest tuszowanie własnego udziału w rozprzestrzenianiu się wirusa, „oskubanie" państw europejskich, desperacko chwytających się każdej gospodarczej i medycznej deski ratunku, oraz pozyskanie łatwowiernych ludzi Zachodu, skłonnych ogłosić stulecie Chin – powiedział Rough. Oprócz działań humanitarnych reżim przeprowadził szeroko zakrojoną kampanię dezinformacyjną, twierdząc, że wirus KPCh, powszechnie znany jako nowy koronawirus, nie pochodzi z Chin i mógł zostać sprowadzony do Wuhan przez personel armii amerykańskiej. – W taki sposób reżimy autorytarne radzą sobie z kryzysami – powiedziała „The Epoch Times" Helle Dale, specjalistka ds. dyplomacji publicznej w waszyngtońskim think tanku The Heritage Foundation. – Mają tendencję do odbijania gniewu i krytyki na zewnątrz.

Zdaniem Dale chińskiemu reżimowi udało się wypełnić pustkę w przestrzeni międzynarodowej, ponieważ tradycyjni liderzy, tacy jak Stany Zjednoczone, byli zajęci walką z epidemią we własnym kraju. Takiej pomocy towarzyszą jednak „potężne działania propagandowe, tak aby odbiorcy pomocy okazywali wdzięczność wobec ChRL jako wybawcy" – powiedziała „The Epoch Times" Katerina Prochazkova, analityk w czeskim think tanku Sinopsis, koncentrującym się na kwestiach chińskich.

Zauważyła również, że w przeciwieństwie do większości pomocy, jaką Chiny otrzymały od innych krajów we wczesnej fazie epidemii, większość towarów dostarczanych przez reżim to sprzedaż na podstawie eksportowych umów handlowych.

Kraje w Europie i poza nią zaczęły odpierać kampanię propagandową. Szef dyplomacji Unii Europejskiej Josep Borrell w ostatnim czasie ostrzegał o „globalnej bitwie na narracje". – Chiny agresywnie wysyłają przekaz, że w przeciwieństwie do USA są odpowiedzialnym i niezawodnym partnerem – powiedział w oświadczeniu z 23 marca. – To jest komponent geopolityczny, zawierający walkę o wpływy w postaci polityki wizerunkowej oraz 'polityki hojności' – powiedział. – Uzbrojeni w tę wiedzę, musimy bronić Europy przed jej przeciwnikami.

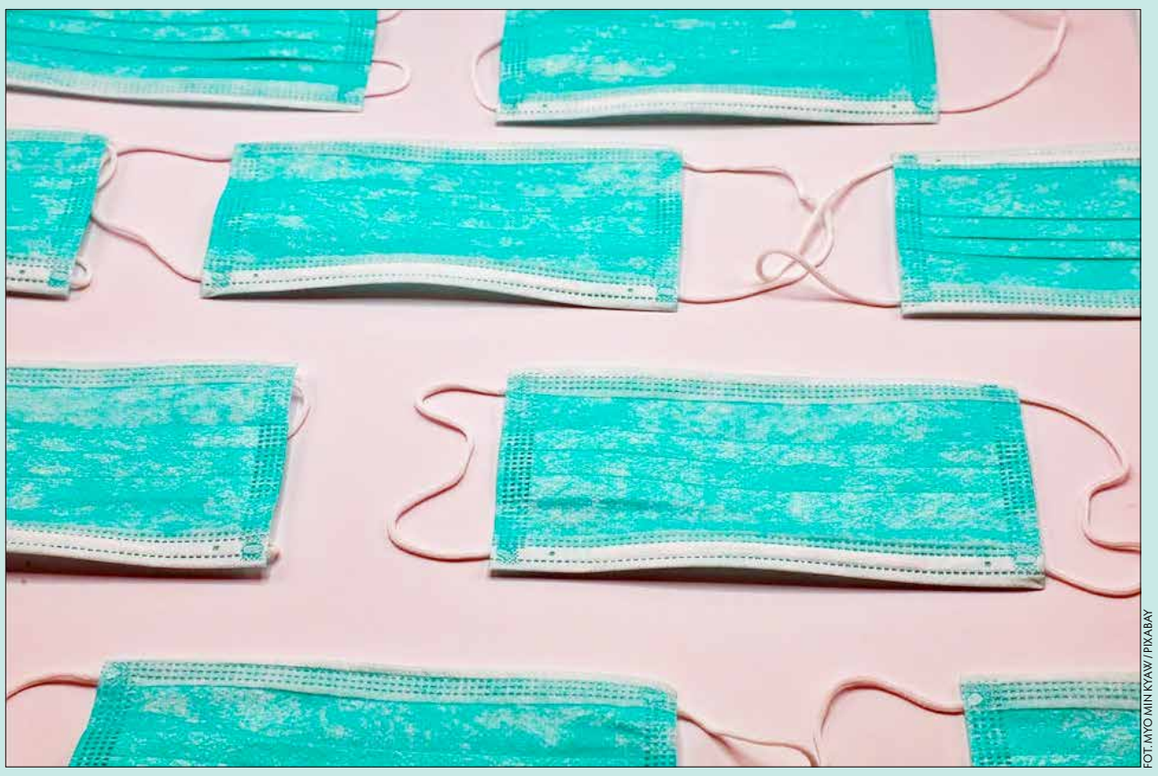

FOT. MYO MIN KYAW / PIXABAY

Wykorzystywanie globalnych niedoborów

Prochazkova zauważyła, że globalny niedobór maseczek i sprzętu ochronnego jest częściowo spowodowany tym, że reżim importował znaczne zapasy podczas szczytu epidemii w Chinach. – Te niedobory, przed którymi Chiny nas »ratują«, zostały spowodowane przede wszystkim wysyłką materiałów medycznych do Chin – powiedziała. Gdy Chiny znacznie podniosły krajową produkcję masek i sprzętu ochronnego do użytku wewnętrznego pod koniec stycznia, jednocześnie rozpoczęły kampanię pozyskiwania zaopatrzenia medycznego z zagranicy poprzez własną rozległą sieć przedsiębiorstw państwowych i powiązanych z nimi firm oraz zagranicznych stowarzyszeń chińskich. Chińska agencja celna ogłosiła 7 marca, że od 24 stycznia do 29 lutego przeprowadziła kontrolę ok. 2 mld maseczek i 25 mln kombinezonów ochronnych sprowadzonych do kraju. Chińskie media państwowe robiły także szum wokół gromadzenia przez kilka państwowych przedsiębiorstw międzynarodowych zasobów w celu wysyłki milionów artykułów medycznych do Chin. Greenland Group, globalny gigant w dziedzinie nieruchomości, którego największym udziałowcem są władze Szanghaju, jest jedną z tych wspieranych przez państwo firm, zaangażowanych w działalność międzynarodową. Agencja informacyjna Xinhua, kontrolowana przez chińskie władze, poinformowała 31 stycznia, że firma wysłała do Chin 3 mln masek, 700 000 medycznych kombinezonów ochronnych i 500 000 par rękawiczek medycznych. Pracownik Greenland Group z biura w Sydney w Australii powiedział gazecie „The Sydney Morning Herald", że zostali poinstruowani, aby odłożyć na bok bieżącą pracę i zająć się masową wysyłką materiałów medycznych do Chin:

> Chińskiemu reżimowi udało się wypełnić pustkę w przestrzeni międzynarodowej, ponieważ tradycyjni liderzy, tacy jak Stany Zjednoczone, byli zajęci walką z epidemią we własnym kraju.

– Zasadniczo wszyscy pracownicy, z których większość to Chińczycy, zostali poproszeni o pozyskiwanie wszelkich materiałów medycznych. – I dodał, że ta praca trwała tygodniami, od stycznia do lutego. Australijski rząd zakazał eksportu materiałów medycznych 29 marca.

Zaangażowane zostały także chińskie stowarzyszenia zagraniczne. Przykładowo Czech Qingtian Hometown Association, największe zagraniczne chińskie stowarzyszenie w Czechach, zebrało 780 000 maseczek, ponad 30 000 jednorazowych ubrań chirurgicznych oraz respiratorów N95 do wysyłki do Chin, według danych z 17 lutego podanych na stronie prowadzonej przez Chińskie Internetowe Centrum Informacyjne – serwis informacyjny prowadzony przez chińskie władze. Szefem stowarzyszenia jest czesko-chiński przedsiębiorca Zhou Lingjian. Według lokalnych mediów, krajowa agencja kontrwywiadu ostrzegła czeski rząd na początku marca, że chińska ambasada koordynuje operację masowych zakupów materiałów medycznych do wysyłki do Chin. 4 marca Ministerstwo Zdrowia zakazało eksportu masek i respiratorów.

16 marca czeska policja zrobiła nalot na magazyny prywatnej firmy w miasteczku Lovosice, na północnym zachodzie kraju, gdzie skonfiskowano 680 000 maseczek i 28 000 respiratorów (masek filtrujących – przyp. redakcji). Około 100 000 maseczek było oznaczonych jako dar Chińskiego Czerwonego Krzyża dla Włoch. Przejęcie było częścią operacji przeciwko handlowi ludźmi. W następstwie wydarzeń Zhou pojawił się na pierwszych stronach gazet, gdy raport śledczy Aktuálně.cz wykazał, że jest importerem towarów, które zajęła policja. W raporcie stwierdzono, że część partii maseczek znalezionych w magazynie Zhou odsprzedał lokalnemu przedsiębiorcy, który następnie próbował odsprzedać je czeskiemu rządowi za cenę dwukrotnie wyższą niż normalna. Współpracownik Zhou nie uważał tego za niewłaściwe, twierdząc, że to jedynie „nieporozumienie". Jednocześnie, jak podały lokalne media, włoska ambasada poinformowała, że władze czeskie potwierdziły, iż pomoc humanitarna przewidziana dla Włoch znaleziona w magazynie została wcześniej skradziona. Filip Jirouš, inny analityk z Sinopsis, sugerował, że zapasy zgromadzone przez Zhou wcześniej tego roku mogły być częścią dóbr przejętych z magazynu. „To zrodziło podejrzenie, że materiały [skonfiskowane w magazynie] faktycznie pochodzą z lokalnych chińskich zasobów" – napisał Jirouš w tweecie z 26 marca.

Bonnie Glaser, starszy doradca ds. Azji i dyrektor China Power Project w waszyngtońskim think tanku Center for Strategic and International Studies, powiedziała „The Epoch Times", że w ramach przeciwdziałania próbom podwyższenia przez chiński reżim jego międzynarodowej pozycji w obliczu kryzysu, zadaniem mediów jest podkreślanie, że Pekin stara się czerpać korzyści z globalnych niedoborów. Jej zdaniem środki masowego przekazu powinny „wyjaśnić, że Chiny zwiększyły zapasy masek i innych materiałów medycznych, gdy epidemia szalała w Chinach, a teraz mają duże nadwyżki, na których chcą zarabiać. Globalny popyt na inne produkty prawdopodobnie pozostanie stłumiony, więc najlepszym sposobem na zarabianie pieniędzy dzięki eksportowi jest sprzedaż materiałów medycznych".

Do powstania tego artykułu przyczynił się Milan Kajinek. Oryginalna, angielska wersja tekstu została opublikowana w „The Epoch Times" 1.04 br. Tłum.: polska redakcja „The Epoch Times".

Działania rządu w walce z epidemią spotykają się co chwila z krytycznymi uwagami z różnych stron. Większością z nich nie warto zaprzątać sobie głowy, bo redagowana jest według recepty: wszystko, co pisowskie, jest złe.

Żonglerka statystyką Andrzeja Sośnierza

Zbigniew Kopczyński

Zupełnie inną kwestią jest ostatnia wypowiedź posła Andrzeja Sośnierza opublikowana przez portal Dziennika Zachodniego 24 maja. Wypowiedź ta, ze względu na osobę autora, jego dokonania jako pełniącego ważne funkcje w ochronie zdrowia, a również autora niedawno przedstawionego planu dalszego działania w celu ograniczenia pandemii, nie może pozostać bez rzeczowej analizy. Tym bardziej, że poseł Sośnierz tym razem zbyt swobodnie operuje danymi statystycznymi, a przedstawiony przez niego obraz, właśnie ze względu na autora, może zmylić nieprzygotowanego czytelnika.

Zacznijmy od tego, że analizując dane statystyczne, obracamy się w sferze danych nie do końca pewnych, co zresztą Andrzej Sośnierz uczciwie przyznaje. Liczby zarówno zakażonych, jak i ofiar śmiertelnych można podważać i szacować na podstawie dowolnie przyjętych kryteriów i założeń. Szczególnie dotyczy to liczby osób zakażonych, gdzie pewność moglibyśmy mieć tylko wtedy, gdyby każdemu obywatelowi przeprowadzano co kilka dni stuprocentowo pewny test na obecność wirusa. A to z oczywistych względów jest niewykonalne. Znacznie pewniejsze są podawane liczby zmarłych, aczkolwiek i tu jest pewien margines niepewności. Zbyt mało jeszcze wiemy o przebiegu i drogach zarażeń w tej nowej chorobie, by jednoznacznie przyjmować, że takie a nie inne czynniki wpływają na wielkość wyżej wymienionych liczb. Oczywiście każdy ma prawo do przyjmowania swoich założeń i wyciągania z nich wniosków, jednak wygłaszanie na ich podstawie tak zdecydowanych opinii, jak czyni to Andrzej Sośnierz, jest po prostu nieuzasadnione.

Jako kryterium swoich ocen poseł Sośnierz przyjmuje przebieg krzywej zarażeń. Krzywą dla Polski porównuje z krzywymi dla Australii, Wielkiej Brytanii, Włoch i Szwecji. Przypadek Australii jest o tyle nietrafiony, że kraje dalekowschodnie przeżyły nie tak dawno epidemię SARS, spowodowaną podobnym wirusem, miały więc pewne doświadczenia i były przygotowane na nową, podobną epidemię. Poza tym położenie i możliwości techniczne pozwoliły na kontrolę ruchu granicznego i ścisłą kontrolę poruszania się i kontaktów osób zarażonych.

Jeśli spojrzymy na wykresy porównujące to, co dzieje się w Polsce, z sytuacją w krajach europejskich, to nasza pozycja na pierwszy rzut oka wygląda niewesoło. Nasza krzywa nie spada, podczas gdy w Wielkiej Brytanii i Włoszech dość znacząco obniżył się poziom zarażeń. Gdy jednak bliżej przyjrzymy się tym wykresom, zauważymy, że oprócz krzywej dotyczącej Szwecji, krzywe dla pozostałych krajów przedstawione są w skalach zupełnie innych niż krzywa dla Polski. Włoska skala jest dziesięciokrotnie, a brytyjska czternastokrotnie większa niż polska.

Gdybyśmy nałożyli polski wykres na wykres brytyjski czy włoski, zobaczylibyśmy płaską i niezbyt wykrzywioną linię mieszczącą się poniżej pierwszej kreski wykresu, czyli poniżej tysiąca zarażeń. W tej skali skoki zarażeń w Polsce byłyby niewidoczne. Widzimy wyraźnie, że nawet w fazie spadkowej zarażeń we Włoszech i Wielkiej Brytanii ich ilość jest wyraźnie wyższa niż w Polsce. Mówić więc o tym, że nasza sytuacja jest gorsza, można jedynie wtedy, gdy przedmiotem analizy jest tylko kształt krzywej, przy zupełnym abstrahowaniu od wartości, jakie ta krzywa obrazuje.

> Szwecja, kraj o dziesięciomilionowej ludności, a więc prawie czterokrotnie mniejszej niż Polska, ma prawie cztery tysiące ofiar śmiertelnych, według danych WHO na dziś. Polska natomiast niewiele ponad tysiąc zmarłych.

To właśnie ta mała ilość przypadków zachorowań w Polsce powoduje, że ogniska zarażeń, jak na Śląsku, nieporównywalnie małe z tym, co wydarzyło się w Bergamo czy Madrycie, hamują spadek ogólnej liczby zakażeń w skali kraju lub wręcz powodują jej wzrost.

Na podstawie porównań krzywych zakażeń Andrzej Sośnierz wysnuwa wniosek, że sytuacja w Polsce jest gorsza niż w Szwecji, gdzie krzywa wygląda podobnie, a nie poniesiono kosztów zamrożenia gospodarki. Kwestia ekonomicznych skutków obostrzeń to temat do zupełnie innej dyskusji, przy czym wcale nie jest tak, że Szwecja nie odczuje kryzysu. Jednak, by porównywać koszty ekonomiczne z kosztami ludzkimi, należałoby przyjąć jakiś współczynnik przeliczeniowy, na przykład, ile procent PKB jesteśmy gotowi poświęcić dla tysiąca istnień ludzkich. Cyniczne, ale bez tego takie porównania mają umiarkowany sens

Wróćmy jednak do krzywych i stwierdzenia, że Polska sytuacja jest gorsza niż szwedzka. Z wykresu wynika, że jest dokładnie odwrotnie. Szwecja zgodziła się na gwałtowny wzrost zachorowań, by szybko osiągnąć odporność stadną, co powinno doprowadzić do wygaszenia epidemii. Celem polskich władz było natomiast maksymalnie możliwe spłaszczenie krzywej, aby nie dopuścić właśnie do gwałtownego wzrostu zakażeń i sytuacji, jaką obserwowaliśmy we Włoszech i Hiszpanii, gdzie brakowało respiratorów i miejsc w szpitalach, a trumny były wożone ciężarówkami. Z przedstawionych wykresów widać, że Polska swój cel osiągnęła, a Szwecja nie. Jednak nic za darmo i ceną tego polskiego sukcesu będzie to, że zmniejszona w swej skali epidemia trwać będzie jednak dłużej niż gdzie indziej. I to też z wykresu wynika. Podsumowując tę część, musimy jednak zdać sobie sprawę, że jesteśmy wciąż w trakcie pandemii i tak naprawdę nikt nie wie, jak i czym zakończy się ona w poszczególnych krajach, więc cała nasza analiza dotyczy jedynie sytuacji na dzisiaj.

Porównując sytuację w Polsce i w Szwecji mówić, że tam jest taka sama albo nawet lepsza niż w Polsce, można tylko i wyłącznie wtedy, gdy, tak jak Andrzej Sośnierz, przyjmuje się jako jedyne kryterium kształt krzywej zakażeń, a nie ilość zgonów spowodowanych epidemią. A to diametralnie zmienia wynik analizy. Szwecja, kraj o dziesięciomilionowej ludności, a więc prawie czterokrotnie mniejszej niż Polska, ma prawie cztery tysiące ofiar śmiertelnych, według danych WHO na dziś. Polska natomiast – niewiele ponad tysiąc zmarłych. Gdyby zastosować szwedzkie proporcje, w Polsce musielibyśmy mieć w tej chwili piętnaście tysięcy zmarłych. To właśnie te „brakujące" czternaście tysięcy ofiar jest miarą polskiego sukcesu.

Dno

Stefan Truszczyński

Na dnie mórz ciągle jest wiele do odkrycia, a nawet wydobycia. Natomiast martwi, wręcz bardzo boli dno, jakie osiągnęła nasza gospodarka morska. Zniszczenie przemysłu stoczniowego na żądanie Unii Europejskiej, utopienie Polskich Linii Oceanicznych (mieliśmy 174 statki handlowe), Polskiej Żeglugi Morskiej, Polskiej Żeglugi Bałtyckiej przez nieudaczników i złodziei – zdumiewa. Jak to się stało? Mieliśmy – a nie mamy prawie nic.

Pozostały ruiny i wraki – na lądzie i… pod wodą. W naszej morskiej strefie gospodarczej na Bałtyku jest ich kilkaset, w tym kilkadziesiąt wielkich złomowisk. Niektóre wraki – tak samo jak zatopiona amunicja, bomby, gazy bojowe w rdzewiejących pojemnikach – są groźne. Może z nich wypłynąć nagle czarna maź, ropa naftowa, która rozkłada się w wodzie powoli. Jest zbita w grudy, lepka, cuchnąca. Uśmierca florę i faunę morską. Niedawno pękło w Gdańsku na Motławie, szambo wylało się do zatoki. Potem walnęła oczyszczalnia ścieków w Warszawie. Winnych nie ma.
Na co czekamy? Zatoka Gdańska może zostać zniszczona. Niebezpieczeństwo jest realne.

20 września 1943, godzina 16:13

Bałtyk, pół mili od wybrzeża półwyspu na wysokości punktu świetlnego Góry Szwedów.

U-Boot typ VII C wynurza się z wysuniętym już peryskopem.

– *Achtung! Achtung! Ein Schiff uber uns. Zusammenstosen!* (Uwaga! Uwaga! Statek nad nami. Będzie zderzenie!) – krzyczy marynarz przy okularze, ściskający uchwyty pięciometrowej w tym momencie teleskopowej rury.

– *Alarm! Schnell tauchen!* (Alarm! Szybkie zanurzenie!) – wrzeszczy kapitan.

Marynarze wiedzą, co mają robić, wszyscy biegną na dziób. 80-metrowej długości U-Boot zanurza się w głębię. Stery do zanurzenia maksymalnie uniesione w górę. Elektryczny silnik pracuje na maksymalnych obrotach. Napędzają akumulatory, bo okręt jest pod wodą. Już nie wyhamuje. Tu dno morza idzie stromo do góry. U-Boot dziobem uderza w piach. Osiada na dnie, na głębokości 54 metrów, a wraz z nim dwudziestu siedmiu podwodniaków. Kadłub ulega rozszczelnieniu.

I już tak zostanie.

Właśnie U-Booty VII C były najgroźniejsze. Dziesiątkowały w czasie II wojny światowej konwoje płynące z Ameryki do Europy. Niemcy nie mieli litości dla rozbitków. U-Booty wynurzały się i strzelano z broni maszynowej do ludzi w kamizelkach ratunkowych.

Niemcy radzili sobie z produkcją nowych podwodnych okrętów, nie nadążali jednak ze szkoleniem załóg. Wcielano do nich nawet kryminalistów, bo chętnych do tej strasznie trudnej służby było za mało. Młody oficer mógł zostać dowódcą jednostki zaledwie po dwóch–trzech rejsach. Gdy Niemcy opanowali Polskę, rejon Helu wybrano do prowadzenia szkoleń, ze względu na bliskość od brzegu dużych głębokości. Wykorzystywali port wojenny, który z wielkim trudem na krótko przed wojną wybudowali Polacy, urządzony w dogodnym miejscu od strony Zatoki w miasteczku Hel. Port był i mógł dalej być użyteczny, stąd bowiem szybciej niż z Oksywia można było wysłać okręty na Bałtyk.

8 kwietnia 1945, godzina 12:40. Tankowiec „Franken"

II wojna światowa dobiega końca. Przez Zatokę Gdańską płynie niemiecki statek-cysterna. Nazywa się „Franken". Ma 179 metrów długości, a w ładowniach kilka milionów litrów paliwa. Zostaje wypatrzony i namierzony przez dwa radzieckie myśliwce. „Franken" porusza się niezbyt szybko, kilkanaście węzłów (węzeł to mila morska na godzinę). Nie ma osłony nawodnej ani lotniczej. Stanowi łatwy cel. Wystarczył jeden nalot. Bomby z samolotów rozwalają jednostkę na dwie części, rozwleczone potem pod wodą na kilkaset metrów. Teraz całe to złomowisko leży na głębokości 72 metrów, zaledwie 9 kilometrów od cypla helskiego. Do Gdańska 4 razy więcej, do Gdyni 3 razy. Rozciągnięty pod wodą tankowiec to tykająca bomba.

13 grudnia 2017 r., wieczór

Stoję na końcu falochronu, teraz opuszczonego i niszczonego przez fale. Rujnują go także złomiarze i złodzieje kabli. Niedawno jeszcze należał do portu Marynarki Wojennej. Przyjeżdżam tu raz lub dwa razy w roku, od kilku lat. Robię zdjęcia. Dokumentacja rujnacji rośnie. Dewastacja postępuje. Na Helu nie ma już garnizonu wojskowego, zlikwidowano tu Marynarkę Wojenną. Jej dowództwo przeniesiono z Gdyni do Warszawy (a kilka miesięcy temu z powrotem, ale w praktyce tylko tabliczki na budynku przy Skwerze Kościuszki. To, co popsuto, z trudem się naprawia).

Przez ponad 30 lat jako reporter-batynauta (mam certyfikaty i wyróżnienia podwodniackie) organizowałem wyprawy na wraki Bałtyku, schodziłem pod wodę w kesonach na jedno–dwudniowe pobyty. Robiłem reportaże. Były emitowane w Telewizji Polskiej w jej najlepszych czasach. W tych inicjatywach pomagało dowództwo Marynarki Wojennej. Akcję prowadzili płetwonurkowie z wybrzeżowych klubów – „Meduzy" (ze stoczni im. Komuny Paryskiej) i „Rekina" (z Politechniki Gdańskiej). Wykorzystywaliśmy batyskafy zaprojektowane i wykonane przez genialnego konstruktora-samouka, Antoniego Dębskiego z Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi. Działaliśmy ze wsparciem okrętów „Lech" i „Piast" batalionu ratowniczego dowodzonego przez komandora Zdzisława Głowienkę. Ten doświadczony oficer wysokiej rangi dostrzegł, iż batyskafy mogą być pomocne w szkoleniu nurków wojskowych.

Dziś domorośli sprzedawcy majątku narodowego sprzeniewierzyli już co się tylko dało za marne pieniądze. Spróbujmy więc sprzedać i to, co jest Polsce zbędne. Na przykład U-Boota wbitego od lat w helski półwysep. To ostatni U-Boot spośród kiedyś najbardziej licznego wśród typów podwodnych okrętów niemieckich. Teraz jest wypełniony wodą, ale waży zaledwie 800 ton. Znajduje się bardzo blisko brzegu.

Sierpień 2018

Jadę na Hel, by zachęcić do zrealizowania pomysłu, który w ciągu ostatniego półwiecza wielokrotnie wzbudzał zainteresowanie: sprzedać Niemcom U-Boota. Zadłużony po uszy Hel liczy dziś nieco ponad 3 000 mieszkańców i szuka rozpaczliwie pieniędzy. Zamknięto i zniszczono wielkie hale produkcyjne przedsiębiorstwa rybnego Koda, które było tam głównym pracodawcą. Od lat cały teren jest w ruinie. Wygląda jak po wojennym ataku. Ludzie z Helu wyjeżdżają, szukając pracy. Exodus trwa. Nie ma też na półwyspie jednostki wojskowej. Dawała zatrudnienie również cywilom. Miasto ożywa tylko latem. Na krótko. Zresztą, jak będzie w tym roku – wiadomo, że nie wiadomo.

W reportażach telewizyjnych i artykułach prasowych od lat namawiałem: trzeba spróbować sprzedać Niemcom U-Boota. To ostatni, będący w całości okręt typu VII C. Leży pod wodą od kilkudziesięciu lat, wbity jak cierń w półwysep na wysokości Góry Szwedów. Hel może na tym zarobić. Dotychczas nikt nie potrafił doprowadzić tego interesu do końca. Choć próbowała to zrobić niezwykle ważna instytucja międzynarodowego... handlu, jaką był Cenzin. Wybuchł stan wojenny, zginął negocjator. Myślę, że przynajmniej milion euro można by wziąć za ten relikt wojennej morskiej historii. Niech to obce nam ciało dłużej już nie dźga polskiej ziemi. U-Boot, choć wypełniony wodą, przedstawia się doskonale. Przy dzisiejszych możliwościach wydobywczych podniesienie tych ośmiuset ton z głębokości 54 metrów nie powinno stanowić poważnego problemu.

27 sierpnia 2019 r. Objeżdżam helskie królestwo

Ulica Kuracyjna, prowadząca wśród drzew na cypel, pięknie teraz chroniony poprzez zamontowanie kratkowych pomostów nad wydmową roślinnością. Nikt już nie depcze oryginalnych roślin. Wydmy mają się dobrze. Unia dała, beneficjent dopłacił.

Wśród drzew przy ulicy Kuracyjnej uwagę przykuwa jedno – nazywają je „płaczące" i rzeczywiście natura przyozdobiła pień w ludzką twarz, która w dodatku ślozy leje. Nad kim to? – zastanawiam się smutnie. To śliczne miasteczko (mogłoby nim być), ta unikalna rybacka osada ma tuż obok setki od lat niezagospodarowanych hektarów. „Gniją" teraz po wycofaniu się z Helu garnizonu. Na Helu było kilka tysięcy wojskowych. Ludzie żyli przy wojsku i z wojska. Po przedstawicielach armii, którzy zostali stąd wyeksmitowani przed 10 laty, ani śladu. Dyrygował nami Układ Warszawski, a teraz najwidoczniej decyduje o wszystkim sojusznik z Zachodu. Minimalny dystans między bazami wojskowymi to 150 kilometrów, a od Helu do Bałtyjska w obwodzie kaliningradzkim jest bliżej. Tak się umówił „Wschód" z „Zachodem". Kosztem Polski.

FOT. STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Nie ma już na Helu pięknych zielonych i granatowych mundurów. Teraz tylko, na krótko, 15 sierpnia – w czasie tak zwanego D-daya, czyli inscenizacji historycznego lądowania aliantów w Normandii, maszerowali i jeździli starymi wojskowymi samochodami i pojazdami pancernymi żołnierze w mundurach z drugiej wojny światowej, również SS-mani i wehrmachtowcy. Byłem tu wtedy, patrzyłem na starych mieszkańców schowanych za roznegliżowanymi tłumami plażowiczów: mieli smutne oczy.

Rozweselmy się więc wspomnieniem, przypominając, jak to wszystko się na Helu zaczynało z polskością – słowami wielkiego reportażysty Melchiora Wańkowicza:

„Nad dachami i kominami latały mewy. W blaszanych rynnach pluskała woda. Chłapowianie stali na skraju ośnieżonego miasteczka u wylotu gdańskiej szosy i patrzyli ku Redzie. Stamtąd miała nadejść Polska. Siwy szyper przepychał się przez tłumy, aż znalazł się w pierwszym szeregu. Zdjął mucę (to kaszubska czapka) z głowy, przyłożył dłoń do oczu i stał tak wpatrzony w dal. Szosa, jak okiem sięgnąć, była pusta. Ale nagle zabarwiło się coś na śniegu. Zmrużył powieki. Tak! To oni! Bystre rybackie źrenice poznały proporce polskich ułanów. Przycisnął mucę do piersi. Krzyknął: nasi jadą! (…) Nadjechał Haller. Delegacja Kaszubów z doktorem Żyndą na czele powitała generała. Sędziwy szyper przypatrywał się temu z bliska. Przestępował z nogi na nogę. Po policzkach spływały łzy radości. Gdy skończyły się przemowy, podszedł do dowódcy i wręczył mu złote monety: – Na skarb Polski – powiedział, ocierając łzy. August Skwiercz z Chłapowa, nazywany »Hopką«, żona Płomienia z Wielkiej Wsi, Myster Jan z Jastarnii i wielu innych poszło w jego ślady. Podchodzili do generała i oddawali mu złoto, które Prusacy na próżno starali się wyłudzić na wojenną pożyczkę. Mówili przy tym: – Wilusiowi nie dałem, ale Matce Polsce nie pożałuję. Na własne oczy widzieć polskie wojsko, polskie chorągwie".

Piękne wspomnienia. A dzisiaj – kogo tu będziemy witać?

W momencie przyłączenia Helu do państwa polskiego mieszkały tu 603 osoby, z czego tylko 13 było Polakami. Zaczęli jednak napływać. W 1923 r. władze samorządowe przy wsparciu centrali rozpoczęły budowę kolonii rybackiej dla ludności polskiej. Wybudowano 60 domów, w tym kilka wielorodzinnych. W Banku Gospodarstwa Krajowego uruchomiono długoterminowe kredyty dla okolicznych polskich rybaków osiedlających się na terenie miasta. Po roku funkcjonowania programu Hel liczył 900 mieszkańców – 400 Polaków i 500 Niemców. W kolejnych latach władze polskie inwestowały. W doktrynie wojennej RP uznano strategiczne położenie półwyspu. W 1928 r. rozpoczęto budowę portu wojennego oraz innych urządzeń wojskowych. Jednak dekret o utworzeniu rejonu umocnionego zahamował rozwój turystyczny Helu. Każda inwestycja cywilna wymagała zgody władz wojskowych. Skorzystały na tym Jastarnia i Jurata.

W dniu wybuchu ostatniej wojny Hel spełnił pokładane nadzieje. Gdy Polskę zaatakowali dwaj nasi zaprzysięgli od wieków wrogowie, a „sojusznicy" nie dotrzymali umów, żołnierze i ich bezpośredni dowódcy walczyli tak długo, jak było to możliwe. A nawet dłużej. Potem jednak Niemcy wykorzystali polski potencjał wojskowy. Podczas okupacji port wojenny stał się bazą U-Bootów.

Czerwona zaraza – ta z wiersza Józefa Szczepańskiego – wyzwoliła, ale i zniewoliła. Kaszubi – często służący w Wehrmachcie, wzięci doń siłą – przez nową władzę traktowani byli okrutnie. W książce Jerzego Budzisza Opowiadania z życia Chałupian znalazłem taki barwny i wiele mówiący opis:

„W Kurzypucie się zagotowało.
– Wasze pochodzenie?
– Z Kusfeltu!
– K…a go mać, to chłopem jesteś!
– Nie, rybakiem – odpowiedział Barlasz.

Kurzyput nacisnął przycisk, do barakowego pomieszczenia wszedł porucznik Fujara z kaburą przy pasie, z paskiem pod brodą. Wyglądał groźnie. (…)

Budzisz, zanim ruszyli w kierunku Fujary, który wyjął i odbezpieczył pistolet, zaczął mówić:

– Kiedy Rosjanie wzięli nas do niewoli, a było nas 5 tysięcy wojska...
– Co, jacy Rosjanie, kiedy? Co za wojsko?
– No byłem w niemieckim wojsku na wschodnim froncie.
– No i co Budzisz tam, k…a, robiliście?
– Jak to co, walczyłem!
– Przeciw komu?
– Przeciw Ruskim!
– Strzelaliście do towarzyszy?
– Ja tam nie wiem do kogo, strzelałem w powietrze, bo nie chciałem zabić człowieka, bo do człowieka kazali mi strzelać, a człowiek wszędzie jest człowiekiem i ma duszę tak jak ja".

29 sierpnia 2019. „Pralnia" i „rejon rakietowy"

– Chce pan zobaczyć, jaki był początek Solidarności? – pyta mnie mój helski cicerone, rybak, szyper.

– Jasne, że chcę!

Przyjeżdżamy na teren portu wojennego, który – myślałem – dobrze znam. Jednak przedtem widziałem niewiele. Wskazują mi murowany parterowy pawilon w kształcie litery C. Ma kilkadziesiąt pomieszczeń. Przez szpary widać, że w środku jest całkiem zdewastowany. Była to dobrze wyposażona pralnia wojskowych mundurów i gaci.

– Powinna być tu tablica. – mówi szyper. – Ponieważ stąd właśnie zabrano do Stoczni Gdańskiej Lecha Wałęsę. Motorówką Janczyszyna. To był wówczas dowódca Marynarki Wojennej. Motorówka była jak odrzutowiec. Śmignęła przez Zatokę i w stoczni była po kilkudziesięciu minutach. Lech wyskoczył na ląd. Od strony wody żadnego płotu nie było. Tak to się wszystko zaczęło.

Idziemy dalej przez ogromny, dawniej wojskowy teren. Przedtem nie udało mi się go „zwiedzić". Przez kilka lat utrzymywano jakieś tam warty. Dzięki temu obiekty nie są jeszcze rozdrapane. Dziesiątki bloków, magazynów, rozjazdy kolejowe, kilometry płotów. Nawet jest porządek, tylko zupełnie nikogo tu nie ma. Podobno jeszcze w okresie boomu naftowego, nawet po głosowaniach czerwcowych 1989 r., pod nabrzeże podchodziły tankowce z ropą. Przepompowywano ją na cysterny i jechało to gdzieś w Polskę. Tak rodziły się fortuny zdymisjonowanej władzy. Gdyby ktoś dziś naprawdę chciał, mógłby odszukać ludzi, którzy wtedy zamieniali władzę na pieniądze. Naród budził się z niewoli. Odkrywał zbrodnie komunizmu sowieckiego i rodzimego. Oni zaś mieli pełne ręce roboty. Czas był dla nich na wagę złota.

Przed nami dawna baza rakietowa

Znad zatoki przejeżdżamy kilka kilometrów pod wydmy od strony Morza Bałtyckiego. Najpierw ulicami Steyera i Przybyszewskiego. To bohaterscy obrońcy Helu, dowódcy. Znam te okolice od dwudziestu lat, a może i więcej: ogromny budynek piętrowy to byłe kasyno wojskowe, a obok helskie kino. Dziś to miejsce nielegalnej publicznej defekacji. Wieczorem pracują tu tanie prostytutki z importu. Nie będę jednak na nie czekał. Kino przed laty kupił prezenter telewizyjny. Chyba za zasługi w okresie stanu wojennego. Podobno ostatnio kino sprzedał. A może nie, dokładnie nie wiadomo. Poza murami nic we wnętrzu już nie ma. Ziemia jednak tu coraz droższa. Kasyno tętniło życiem, ale było to dziesięć lat temu. Co będzie z tym potężnym budynkiem i byłym – jedynym na Helu – kinem, nie wiadomo. Wiadomo wprawdzie, że wojsko teraz wszystko sprzedaje.

Jedziemy dalej ulicą komandora Przybyszewskiego. Stop! Brama zamknięta i cieć – cywilny zresztą – nie puszcza. Wskazuje na wielką tablicę obok, pokazującą zdjęcie terenu. Wykreślone są działki budowlane do sprzedania. Czy ta tablica jest aktualna? Nie wiadomo. Dalej znajdują się opuszczone budynki koszarowe. Jeszcze rok temu mówiło się, że zostaną wyremontowane i przeznaczone na mieszkania komunalne. Póki co, to po prostu magazyny. Nie bardzo wiadomo czego.

I teraz zaczyna się teren szczególny. Był to obszar kiedyś ściśle tajny, czytaj: super poufny. To baza najnowszych wówczas w Układzie Warszawskim tajnych rakiet. Chyba nikt z Polaków, nawet z wojskowych, nie miał tam wstępu. Bazę okalały płoty pod napięciem. Wielkie to było i super zamaskowane. Gdy zlikwidowano „rakietowo" – jak dziś nazywają to miejsce, wygrzebano wszystko do cna.

Kilka lat temu tereny za wydmami zostały sprzedane. Za 50 milionów złotych. Wkrótce jednak deweloper wycofał się z transakcji. Agencja Mienia Wojskowego zwróciła pieniądze. Podobno deweloper udowodnił, że sprzedano mu kota w worku. Chodziło między innymi o zasilanie energetyczne – miało być, ale go nie było. Podobno chodziło również o groby niemieckich żołnierzy z ostatnich miesięcy wojny. Były to dwa długie rowy z ciałami. Ciekawe, jak to się stało, że zapomniano o tym przy sprzedaży. Później zresztą przeprowadzono ekshumację i ciała zostały przeniesione.

Co wywieziono z wojskowych helskich terenów, a co zrabowano później – dziś już nie ma znaczenia. Fakt, że ani linii energetycznych, ani wodociągowych już tam nie ma. Na Helu jest z tym właśnie kłopot. Sieci energetyczna i kanalizacyjna są już maksymalnie przeciążone. Biegnąca przez całe miasto główna rura ściekowa, wypełniona niemal po brzegi, może pęknąć w każdej chwili. Na Helu instalacja ta przebiega bez spadku i aby ścieki spływały, muszą być „popychane" poprzez pracę kilku przepompowni. Oczyszczalnia mieści się nad Zatoką, czyli dość daleko od miasta, w odległości aż kilku kilometrów, za terenem wojskowym. Wszystko to bardzo zżera prąd i podnosi koszty. Któregoś dnia nastąpi katastrofa. Hel jest długi na siedem–osiem kilometrów i szeroki na dwa–trzy. Będzie co zbierać.

W lesie przy ulicy Kuracyjnej był budynek służb saperskich Marynarki Wojennej. Wyprowadzili się i wtedy mały obiekt znacznie rozbudowano, przekształcając go w hotel. Kto na to pozwolił? – nie wiadomo, nikt się do tego nie przyznaje. Miejsce jest rzeczywiście świetne – w pobliżu historycznej latarni sprzed stu lat, wielkiej, przepięknej, z czerwonej cegły. Dodatkowe atrakcje to trzy historyczne bunkry – choć tylko jeden jest wykorzystywany

Franken

Stępka pod budowę „Frankena" została położona w grudniu 1937 r., wodowanie nastąpiło w marcu 1939. Po rozpoczęciu wojny prace przebiegały dość opieszale, ponieważ stocznia w Kilonii skupiła się na remontach innych okrętów, budowała też niemiecki lotniskowiec „Graf Zeppelin". (Notabene tenże lotniskowiec leży niedaleko, na głębokości 80 metrów, 55 kilometrów na północ od Władysławowa. Odnaleziono go dopiero 14 lat temu. Ma 250 metrów długości i chyba już na zawsze pozostanie pod wodą. Zdemontowane ma urządzenia bojowe i byłby bardzo trudny do podniesienia). Dopiero w roku 1942 kadłub „Frankena" przeholowano do stoczni w Kopenhadze i tam dokonano ostatecznego wykończenia. W marcu 1943 r. okręt wszedł do służby Kriegsmarine. Został przydzielony jako jednostka zaopatrzeniowa krążownika „Prinze Eugen", a później także dla mniejszych jednostek – trałowców, niszczycieli min, kutrów torpedowych. 8 kwietnia podczas akcji ratowniczej uratowano 98 rozbitków. „Franken" został przepołowiony, ale jego silniki już po zbombardowaniu działały, stąd znaczna odległość między dwiema częściami wraku. Około 14:40 płonący statek zatonął. Pojemniki z ropą pozostały szczelne i tak to wszystko trwa już 75 lat (szerokość 54°37'70", długość 18°58'40").

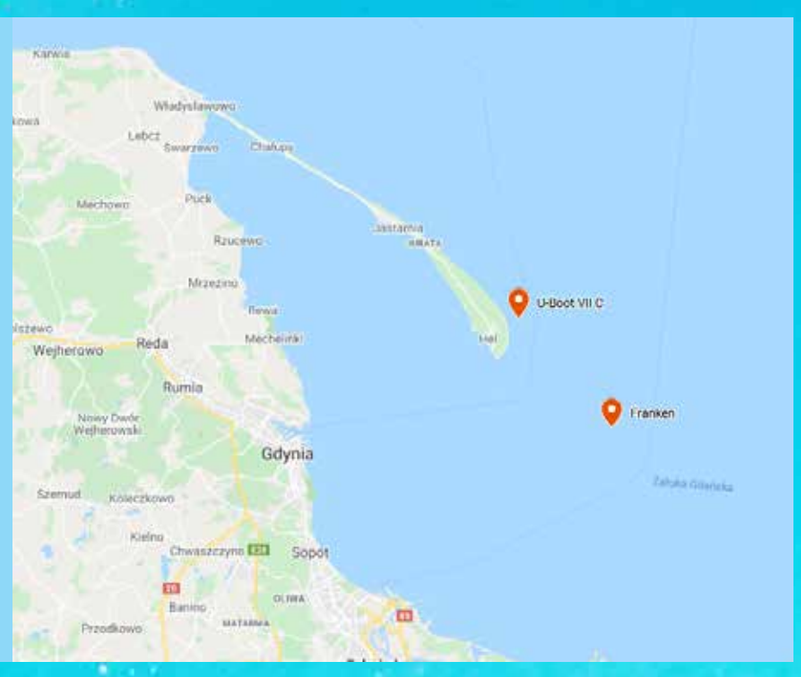

W 2020 r. świętujemy stulecie urodzin Karola Wojtyły – św. Jana Pawła II. Liczne przedsięwzięcia ku czci Wielkiego Jubilata będą przypominać jego wszechstronne oddziaływanie na kondycję moralną świata.

Popularyzacja a nauczanie w świetle spuścizny Jana Pawła II

O moralnej sprawczości czynu

Teresa Grabińska

Ten esej ma za przedmiot refleksję nad filozoficzną spuścizną Karola Wojtyły, która przenika jego nauczanie, kierowane ze Stolicy Piotrowej do szerokich rzesz wiernych, a także wyznawców innych religii. Tylko niektóre dokumenty – jak wspaniała encyklika *Veritatis splendor* – są adresowane do kościelnych hierarchów.

Każde nauczanie, jeśli jest prawidłowo prowadzone, trafia do nauczanego w taki sposób, że nie tylko powiększa zakres jego wiedzy, lecz usposabia go do jej rozwijania i stosowania. Jan Paweł II umiał to robić w sposób doskonały – tak, jakby każda fraza trafiała w oczekiwania każdego słuchającego lub czytającego, niezależnie od tego, z jakiego pochodził kulturowego kręgu. Z drugiej strony, gdy koledzy i studenci Karola Wojtyły wspominają jego akademickie wykłady i lekturę jego pism filozoficznych, rozwijających współczesny chrześcijański personalizm, to często podkreślają hermetyczność języka jego filozoficznej wypowiedzi, trudności ze zrozumieniem tez i uzasadnień. Pisząca te słowa, stanąwszy wobec skrajności w ocenie przystępności przekazu – z jednej strony – filozofa Karola Wojtyły, z drugiej zaś – Ojca Świętego Jana Pawła II, postanowiła odpowiedzieć sobie na pytanie o źródło tej dwoistości. Drogą do tego było wieloletnie studiowanie zarówno pism filozoficznych, jak i encyklik.

Każda popularyzacja wiedzy jest jakimś jej uproszczeniem, w pewnym stopniu powierzchownym dotknięciem istotnego przedmiotu tej wiedzy, jak i jej metody. Aby tej istoty dotknąć głębiej, potrzeba nie tyle sprawozdania i narracji o tym, co zostało odkryte i w jaki sposób, ile przedstawienia zasadniczych problemów, podejścia do ich rozwiązania oraz koniecznie – ukazania znaczenia wyników otrzymanych w rozwiązaniu. Chodzi o znaczenie rozwiązania problemu, po pierwsze, dla samej sytuacji problemowej, po drugie – dla pokrewnych gałęzi wiedzy lub rozstrzygnięć problemów w oparciu o inną podstawę wiedzy, po trzecie – dla praktyki ludzkiego życia.

Ktoś, wziąwszy pod uwagę postawione, zresztą rzadko kiedy spełnione, trzy warunki dobrej popularyzacji, mógłby sformułować tezę, że nauczanie Jana Pawła II jest przykładem takiej popularyzacji, i to prawdopodobnie popularyzacji jego filozofii. Byłby to jednak poważny błąd. Popularyzacja bowiem ma przede wszystkim ożywiać intelekt, a nauczanie Jana Pawła II ma w swym przesłaniu formować duchowość chrześcijańską, wzbudzać i pogłębiać wiarę w prawdy objawione.

Ponadto – zdaniem piszącej – popularyzacja spójnej filozofii nie jest w zasadzie możliwa, gdyż każda dobra filozofia jest sformułowana w szczególnym, jej tylko właściwym języku (w specjalnie przysposobionym naturalnym języku etnicznym danego filozofa). Popularyzacja zaś – zawsze jest podana w języku potocznym (stosunkowo łatwo podlegającym translacji na różne języki etniczne). Przekład języka dobrej filozofii na język potoczny jest w zasadzie niemożliwy. Co najwyżej przekazywana jest jej pewna interpretacja. Jakość tej interpretacji jest ważna i zależy od stopnia zrozumienia przez interpretatora danej filozofii i od jego predylekcji w operowaniu językiem interpretacji (czasem nawet literackim).

Z drugiej jednak strony, mocna podstawa filozoficzna (niekoniecznie w pełni uświadomiona) danego autora, mówcy, nauczyciela niejako wymusza operowanie frazami języka potocznego w taki sposób, że stają się one jakby przeźroczyste na przyjęte postulaty filozoficzne lub światopoglądowe. I dopiero w odniesieniu do tego zjawiska można mówić o podstawach filozoficznych nauczania Jana Pawła II, których nie tylko był w pełni świadom w swoim intelekcie, ale dla których odnajdował najważniejsze uzasadnienie w prawdach objawionych. A te, objaśniane za pomocą przekazu intelektualnego, wymagają odpowiedniego językowego sformułowania. W tym celu finezja językowa Jana Pawła II (filozofa i poety) pozwoliła mu precyzyjnie posługiwać się narzędziem systematycznej filozofii, które czyni jej interpretację w nauczaniu spójną w znaczeniach słów i w konsekwencjach tez.

Nauczanie Jana Pawła II odbywało się w bezpośrednim kontakcie ze słuchającymi, jak i w kontakcie zapośredniczonym czytaniem jego tekstów. Kontakt bezpośredni mniej działa na intelekt, a bardziej na emocje. W procesie formowania duchowego owe emocje są nadzwyczaj ważne, gdyż pobudzają wolną wolę do przyjęcia prawd wiary. Studiowanie jednak słowa pisanego spełnia potrzebę odkrycia ich intelektualnego wyrazu i obiektywizacji w tym stopniu, w jakim intelekt jest w stanie temu sprostać.

> Człowiek jest sprawcą czynu. *Novum* filozofii Karola Wojtyły polega na tym, że równie ważne jest sprawstwo odwrotne, tzn. wpływ każdego czynu na strukturę osobową (duchowo-intelektualną) sprawcy.

Dla Jana Pawła II podstawą filozoficzną nauczania była filozofia personalizmu chrześcijańskiego, twórczo rozwijana w XX w. na bazie trzynastowiecznej filozofii św. Tomasza z Akwinu. To Akwinata wyznaczył „topografię" współudzielania i współuzupełniania się woli i rozumu w zgłębianiu Objawienia. Jako filozof Karol Wojtyła skupił się przede wszystkim na rozumowym przedstawieniu tego, co jest objawione w ludzkim doświadczeniu. Owo doświadczenie nie ogranicza się jednak do czystej empirii, lecz wykracza ponad nią (transcenduje ją).

Centralnym punktem personalistycznej filozofii Karola Wojtyły, zaznaczonym w nazwie tej filozofii, jest *persona* – czyli osoba ludzka. Człowiek jako jedyne stworzone jestestwo ma właściwość celowego działania. Człowiek swym czynem, każdym czynem zmienia otoczenie bezpośrednio lub pośrednio, równocześnie jednak każdym swym czynem zmienia siebie samego. W związku z tą podwójną funkcją ludzkiego czynu (na zewnątrz i do wewnątrz) jego wykonawca (człowiek dojrzały) powinien być świadomy praw świata zewnętrznego (odkrywanych empirycznie). Z drugiej zaś strony powinien dbać o „jakość" własnej woli (w nakierowaniu jej na dobro), aby właściwie wybierać cel działania i środki go urzeczywistniające. Relacja osoba – czyn jest złożona. Rozwinął ją Karol Wojtyła w swej filozofii człowieka, wyłożonej w podstawowym dziele *Osoba i czyn*.

Człowiek, czyniąc, poznaje świat, przekształca go – tworzy kulturę. I jako twórca w szerokim sensie rozumianej kultury jest od zawsze przedmiotem mniej lub bardziej usystematyzowanego badania. To on swoją wolą przekształca świat, a wynik tego przekształcania świadczy o jego zdolnościach, umiejętnościach, kompetencjach. Człowiek jest sprawcą czynu. *Novum* filozofii Karola Wojtyły polega na tym, że równie ważne jest sprawstwo odwrotne, tzn. wpływ każdego czynu na strukturę osobową (duchowo-intelektualną) sprawcy. Analiza kolejnych faz powstawania decyzji o czynie jest bardzo skomplikowana i trudna. Odnosi się do szczegółowych wzajemnych przekształceń chceń (czynnik emocji i woli) i ocen (czynnik rozumowy, intelektu). Z tego powodu popularyzowanie Wojtyłowej filozoficznej koncepcji dynamizmu struktury osobowej jest bezowocne. Może być tylko przedmiotem studiowania.

Bardziej naturalne wydawałoby się ustalenie w oparciu o filozofię człowieka Karola Wojtyły tzw. wartości moralnej czynu, czyli rozstrzygnięcie, czy jest on dobry, czy zły. I nie chodzi tu o ocenę zewnętrzną, osąd otoczenia lub zgodność lub niezgodność z prawem stanowionym. Chodzi o świadomość sprawcy dobra lub zła własnego czynu. Świadomość ta – zgodnie z wykładnią Karola Wojtyły – kształtuje się w tzw. doświadczeniu moralności, a ono powstaje w poznawania prawdy zarówno w wyniku przyswajania sobie wiarą i rozumem prawd Objawienia, jak i w praktyce ludzkiego działania. Prawda o dobru jest uniwersalna, a więc jednakowa dla każdego (choć w różnym stopniu uświadomiona u poszczególnych sprawców czynu). Tworzy jądro jednej i tej samej moralności dla każdego. W języku teologicznym wyraża się zdolnością uniwersalnego sumienia do oceny moralnej czynu.

Człowiek nie jest istotą doskonałą, ale powołaną do doskonałości, „do świętości" – jak to ujmował Jan Paweł II w swoim nauczaniu. Dlatego jego losem jest podejmowanie trudu działania, gdy nie jest w stanie do końca ocenić jego skutku, i jednoznacznie zakwalifikować poszczególnego czynu moralnie. Dopiero ludzkie doświadczenie własnego czynu, idące w parze z doświadczeniem moralności, czyni człowieka mądrym, tzn. rozumiejącym otaczającą go rzeczywistość i wiedzącym, jak być czyniącym dobro, a więc człowiekiem dobrym. Ten proces doskonalenia wymaga pokornej wiary w nadprzyrodzony rys człowieczeństwa, pozwalający mu wypełniać w sobie projekt *imago Dei*, jak i umiejętnego wykorzystania intelektu.

> Dopiero ludzkie doświadczenie własnego czynu, idące w parze z doświadczeniem moralności, czyni człowieka mądrym, tzn. rozumiejącym otaczającą go rzeczywistość i wiedzącym, jak być czyniącym dobro, a więc człowiekiem dobrym.

Proces doskonalenia człowieka czynem, tak mocno rozwinięty filozoficznie w szczegółowych badaniach Karola Wojtyły, różni naukę o moralności w łacińskim kręgu kulturowym od jej wykładni także w nurcie chrześcijańskim, ale ukształtowanym w tradycji luterańskiej. W tej drugiej nazwa „dobry uczynek" zdaje się być pusta.

Artykuł 2. wśród 28 artykułów *Wyznania Augsburskiego* nadaje grzechowi pierworodnemu tak destrukcyjną funkcję, że „na trwałe naznacza ludzi skazą braku bojaźni Bożej, wiary i ufności Bogu oraz kazi naturę konkupiscencją. Tylko za sprawą Chrztu i Ducha Świętego człowiek może uniknąć wiecznego potępienia". Konkupiscencja zaś to wrodzona skłonność człowieka do zła, a nie do dobra – jak to jest w doktrynie katolickiej i w personalizmie rozwijanym przez Karola Wojtyłę oraz w głoszonym przez Jana Pawła II nauczaniu.

Artykuł 18. *Wyznania Augsburskiego* nadaje z kolei wolnej woli człowieka „bardzo ograniczony zasięg, i to wyłącznie w rozumowych osądach spraw ziemskich i w dochodzeniu sprawiedliwości cywilnej. Do osiągnięcia zaś sprawiedliwości Bożej i duchowej konieczne jest przewodnictwo Ducha Świętego".

W obu artykułach podkreślona jest konieczność pobożności chrześcijanina, ale równocześnie ogranicza się w nich zdolność intelektu do rozstrzygnięć moralnych. Ten pesymizm moralny doktryny luterańskiej nie tylko stoi w sprzeczności z optymizmem moralnym chrześcijaństwa łacińskiego, ale wpisuje się w odmienną filozofię człowieka, który – z racji zasadniczej dezorientacji w rozpoznaniu dobra lub zła własnego czynu – oddaje ocenę każdego ludzkiego działania konwencjom prawnym lub opinii publicznej. Godzi się na relatywizację ocen w zależności od doraźnej albo też i przyszłościowej użyteczności czynu w celu realizacji jakichś lub czyichś interesów. Ta sytuacja usposabia człowieka nie tyle do pokornego doskonalenia się w dobru, do mozolnego dociekania prawdy o sobie jako o ogniwie między bytem przyrodzonym i nadprzyrodzonym, ile do zabezpieczania się na wszystkie możliwe sposoby, aby zmniejszyć lęk egzystencji, u chrześcijanina – zwłaszcza lęk przed wiecznym potępieniem. Nie przypadkiem w XVII w. Tomasz Hobbes w swoim *Lewiatanie* wyśmiewał doktrynę katolicyzmu w jej filozoficznej podstawie św. Tomasza i Arystotelesa, i pisał o mizerii losu człowieka, która powoduje „bezustanny strach i niebezpieczeństwo gwałtownej śmierci. I życie człowieka jest samotne, biedne, bez słońca, zwierzęce i krótkie".

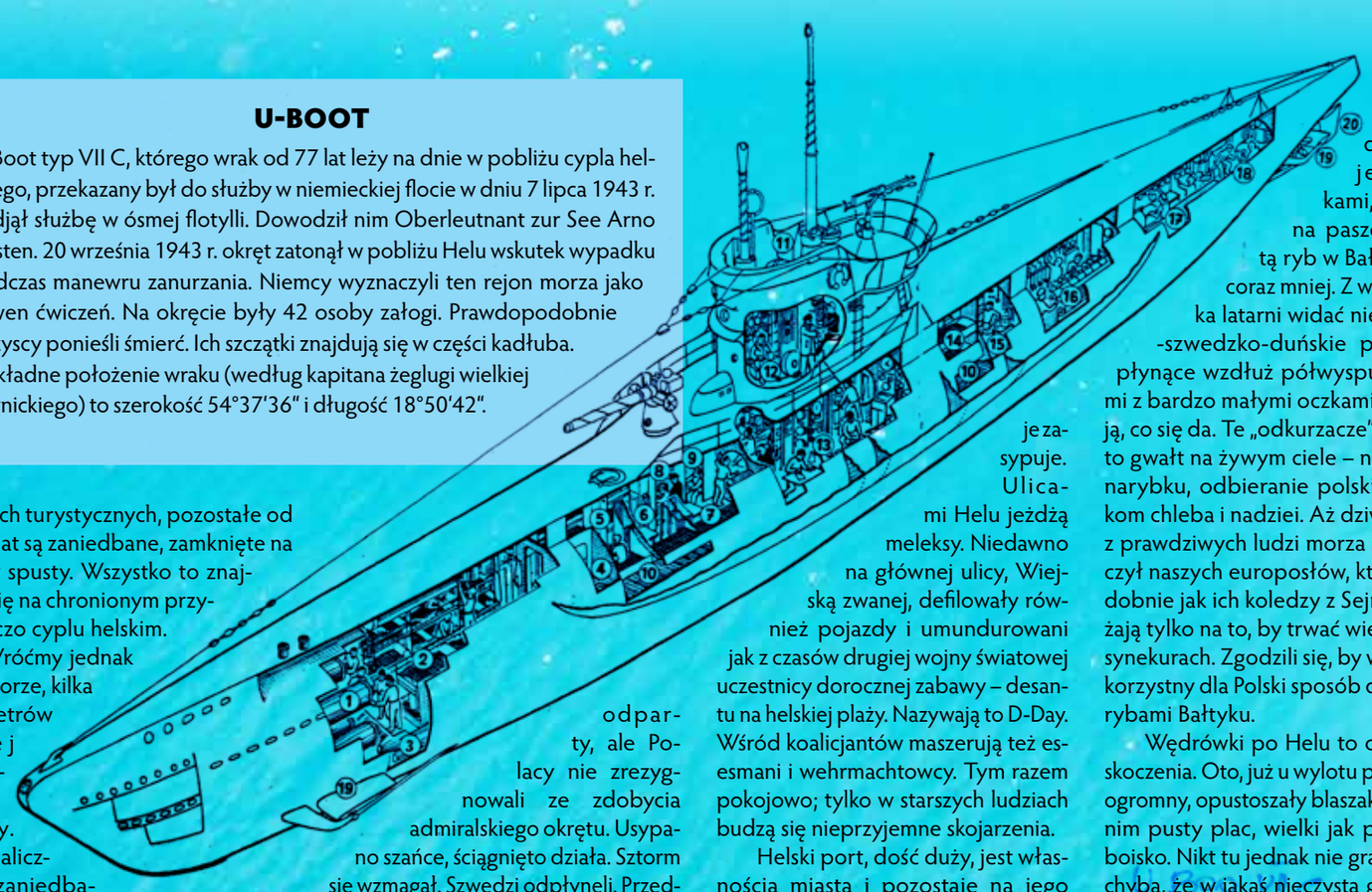

U-BOOT

U-Boot typ VII C, którego wrak od 77 lat leży na dnie w pobliżu cypla helskiego, przekazany był do służby w niemieckiej flocie w dniu 7 lipca 1943 r. Podjął służbę w ósmej flotylli. Dowodził nim Oberleutnant zur See Arno Leisten. 20 września 1943 r. okręt zatonął w pobliżu Helu wskutek wypadku podczas manewru zanurzania. Niemcy wyznaczyli ten rejon morza jako akwen ćwiczeń. Na okręcie były 42 osoby załogi. Prawdopodobnie wszyscy ponieśli śmierć. Ich szczątki znajdują się w części kadłuba. Dokładne położenie wraku (według kapitana żeglugi wielkiej Krynickiego) to szerokość 54°37'36" i długość 18°50'42".

w celach turystycznych, pozostałe od wielu lat są zaniedbane, zamknięte na cztery spusty. Wszystko to znajduje się na chronionym przyrodniczo cyplu helskim.

Wróćmy jednak nad morze, kilka kilometrów dalej w kierunku Juraty. Skandalicznym zaniedbaniem jest pozostawienie historycznego miejsca bez reklamy i popularyzowania. Chodzi o wspominaną już Górę Szwedów, a także o okopy obronne ciągnące się kilometrami wzdłuż helskich wydm.

Najważniejsza wydma mierzei to właśnie Góra Szwedów. Ma 19 metrów wysokości. W 1628 r. miała tu miejsce bitwa Polaków ze Szwedami. Sztorm zepchnął na mieliznę okręt „Christine", którym dowodził admirał Flemming. Polacy, siłami piechoty pod wodzą pułkownika Bąk-Lanckorońskiego, zaatakowali z lądu. Na pomoc przybyło 10 okrętów szwedzkich. Atak został odparty, ale Polacy nie zrezygnowali ze zdobycia admiralskiego okrętu. Usypano szańce, ściągnięto działa. Sztorm się wzmagał. Szwedzi odpłynęli. Przedtem jednak zdołali z okrętu „Christine" przejąć admirała i kilku oficerów. Lanckoroński zdobył okręt – z trzydziestoma sześcioma armatami i 200 żołnierzami. Ale na krótko – Szwedzi powrócili i odbili okręt. Nie zdołali jednak ściągnąć go z mielizny i spalili. (Wiedzę zaczerpnąłem z książki pani Aleksandry Tarkowskiej *Sekrety Półwyspu Helskiego*). Na tej górce, która przez wiele lat wskazywała drogę marynarzom i żeglarzom, w 1931 r. stanęła latarnia morska. Ta turystyczna atrakcja czeka na odkrycie, tak samo jak wielokilometrowy ciąg okopów wzdłuż plaży. Wiatr piaskiem je zasypuje. Ulicami Helu jeżdżą meleksy. Niedawno na głównej ulicy, Wiejską zwanej, defilowały również pojazdy i umundurowani jak z czasów drugiej wojny światowej uczestnicy dorocznej zabawy – desantu na helskiej plaży. Nazywają to D-Day. Wśród koalicjantów maszerują też esesmani i wehrmachtowcy. Tym razem pokojowo; tylko w starszych ludziach budzą się nieprzyjemne skojarzenia.

Helski port, dość duży, jest własnością miasta i pozostaje na jego utrzymaniu. Miasto zaś chce pozbyć się kłopotu. Port jest zbyt drogi. Magazyny wzdłuż nabrzeża, gdzie cumują wielkie kutry, mają być zamienione w luksusowe hotele. Tereny te już sprzedano. Rybacy boją się, że stracą miejsce cumowania statków. Póki co, rybołówstwo jeszcze egzystuje na Helu, ale tylko prywatne, państwowe firmy zarżnięto. Zlikwidowano wielkie przedsiębiorstwo połowowe „Koga" i całe jego ogromne zaplecze przetwórcze.

Paradoksem jest, że na Helu ryby nie kupisz. 90% tego, co się tu łowi dużymi jednostkami, idzie na paszę. Zresztą ryb w Bałtyku jest coraz mniej. Z wierzchołka latarni widać niemiecko-szwedzko-duńskie paszowce płynące wzdłuż półwyspu. Sieciami z bardzo małymi oczkami zgarniają, co się da. Te „odkurzacze" Bałtyku, to gwałt na żywym ciele – niszczenie narybku, odbieranie polskim rybakom chleba i nadziei. Aż dziw, że nikt z prawdziwych ludzi morza nie rozliczył naszych europosłów, którzy podobnie jak ich koledzy z Sejmu, uważają tylko na to, by trwać wiecznie na synekurach. Zgodzili się, by w tak niekorzystny dla Polski sposób dzielić się rybami Bałtyku.

Wędrówki po Helu to ciągłe zaskoczenia. Oto, już u wylotu portu, stoi ogromny, opustoszały blaszak, a przed nim pusty plac, wielki jak piłkarskie boisko. Nikt tu jednak nie gra w piłkę, chyba, że w jakąś nieczystą grę. Dalej – wielki, piętrowy budynek, ciągnący się ponad sto metrów, z powybijanymi szybami, dechami zabity. To właśnie niegdysiejszy zakład rybny „Koga". Dziś ta ruina to własność prywatna. Taka sytuacja trwa już od kilkunastu lat. To nie bomba atomowa walnęła w półwysep. Ta dewastacja jakby była zaprogramowana. Luksusowe hotele nic już nie uratują. Zwiększą tylko minimalnie liczbę gości. Będzie Las Vegas. Deweloperzy litości nie znają. Oni zawsze dogadają się z władzą.

Idę po pomostach na samym cyplu, zbudowanych za unijne pieniądze. Chronią wydmowe roślinki. Potem idę wzdłuż fokarium, którego rezydentki zasilają odchodami Zatokę Gdańską. Ścieki spuszczane są nocą. Nieważne, że w pobliżu są plaże dla wczasowiczów, cieszących się z kąpieli i złotego piasku.

Mewy skrzeczą jak skrzeczały, fale łomoczą po staremu. Rybę (dobrą) można kupić jedynie w prywatnym sklepiku za pocztą, przy ulicy Wiejskiej. Kiedyś tam duże sklepy rybne były, ale już ich nie ma. Ryby głosu nie mają, bo i po co.

Ktoś zapytał – początek to czy koniec Polski? Inni mówią – Hel to „kosa". Kaszubi nazywają go „il", ale Kaszubów jest coraz mniej. Wypędza ich bezrobocie. Rządzić będzie jedna z tych osób, które kandydują, a głosować – 1200 mieszkańców.

Dziś jest czas deweloperów. Działają jak konstruktor Mannlicher: *langsam, langsam, aber sicher.* Tamten jednak nie tylko powiedział, ale i skonstruował najpopularniejszy karabin z okresu pierwszej wojny światowej. A deweloperzy? W Gdyni, sąsiadującej z Helem przez wodę, walczą wspólnie z władzą o budowę wieżowca-biurowca przy historycznej ulicy 10 Lutego. Trudno zrozumieć, że nie ma protestów wobec tej architektonicznej zbrodni. Kiedyś pisałem – i dalej uważam – że szczury lądowe nie lubią morza. Teraz najwidoczniej nie chodzi nawet o szczury, a o małe szczurki.

„Morze, nasze morze – wiernie ciebie będziem strzec./ Mamy rozkaz cię utrzymać albo na dnie twoim lec". To melodia i słowa Adama Kowalskiego, który urodził się jeszcze w XIX wieku, w Rzeszowie. Zakochał się w Bałtyku. Potem walczył w II Korpusie i zmarł zapomniany w 1947 r. w Edynburgu. Prawie nikt o nim dziś nie wie, choć wszyscy znają piosenkę. Morze podobno kochamy. Tak jak kochają je foki i kormorany. Fok mamy obecnie kilkaset, a może i więcej, wyżerają narybek spływający Wisłą, u jej ujścia na mieliznach. Gniazd kormoranów było około 12 tysięcy. Dziś jest – kilkaset. Dziesiątki hektarów nadmorskich drzew zostało zniszczonych ich odchodami. Kormoran zjada dziennie prawie kilo ryb.

Cierpliwe to nasze morze. Choć mówią, że na każdym może powstać nagle tsunami.

Polska nie wie, co z Helem począć. Odzyskane, ośpiewane morze staje się coraz bardziej Ost-See, a coraz mniej jest już Bałtykiem.

A Hel to początek czy już koniec Polski?

PS Jeśli Niemcy nie kupią U-Boota, to niech wezmą go sobie za darmo, ale pod warunkiem, że wraz z wrakiem „Frankena" i milionami litrów ropy. Ten niemiecki tankowiec, zatopiony niemal na środku Zatoki Gdańskiej, to ciągle tykająca bomba. Można nawet powiedzieć – atomowa. Jeśli paskudztwo się rozleje, zniszczy brzegi miast nad Zatoką Gdańską na lata. Już niektórzy twierdzą, że widać ślady wypływania ropy z zatopionego „Frankena". Mówiono mi też, że ropne ślady zauważono nad U-Bootem wbitym w górę pod wodą na wysokości Góry Szwedów.

„…Morze, nasze morze, wiernie ciebie będziem strzec". Ładna piosenka. Szkoda, że nieprawdziwa.

...Ów Bałtyk na końcu Polski.

Polskę i Włochy wiele łączy, co dokumentują chociażby słowa hymnów, tak polskiego – gdzie mamy „z ziemi włoskiej do Polski", jak i włoskiego – gdzie mamy „krew włoską, krew polską".

Z ziemi włoskiej do Polski?

Rzecz o konieczności odwirusowania nauki

Józef Wieczorek

O polsko-włoskich związkach w domenie akademickiej można pisać całe tomy, bo właśnie na terenie Włoch powstawały pierwsze uniwersytety (Uniwersytet Boloński założony w 1088 r.), na których kształcili się też Polacy nawet po utworzeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego (np. Mikołaj Kopernik), a niektórzy byli rektorami, jak Jan Zamoyski na Uniwersytecie w Padwie (jako student! Bo to studenci wtedy byli rektorami na włoskich uniwersytetach!). Polsko-włoskie związki trwały w okresie zaborów, okupacji niemieckiej i zniewolenia komunistycznego, i przetrwały do dnia dzisiejszego.

Akademickie kontrasty

Nauka uprawiana na włoskich uczelniach od dawna nie dominuje już w Europie, edukacja wyższa od dawna szwankuje, ale to z Włoch wyszedł przed ponad 20 już laty tzw. proces boloński, mający na celu podniesienie prestiżu uczelni europejskich w stosunku do amerykańskich. W praktyce proces nie za bardzo się sprawdza, uniwersytety jakoś oderwały się przez wieki od swoich korzeni, niektóre uschły lub skarlały, wiele jest uniwersytetami/wyższymi uczelniami jedynie z nazwy, a to już prestiżu w skali światowej nie przynosi.

Widać to chociażby w Polsce, która jest potęgą jeśli chodzi o ilość wyższych uczelni bijącą na głowę pozostałe kraje europejskie, w tym Włochy – a jednocześnie bitą na głowę, jeśli chodzi o poziom nauki i edukacji wyższej, także przez kraje, które potęgami w tej materii nie są, w tym Włochy. W kolejnych „rankingach szanghajskich" co najmniej kilka, a czasem nawet kilkanaście uczelni włoskich jest wyżej notowanych od najlepszych polskich.

W dyskusji nad reformami akademickimi w Polsce na ogół słyszymy, że nie można naszych uczelni porównywać z amerykańskimi, bo przecież budżet jednej prestiżowej uczelni amerykańskiej jest większy od budżetu wszystkich polskich. Nie można, bo także nasze systemy są odmienne. To fakt. W USA konkursy na etaty są rzeczywiste i bierze w nich udział nawet ponad 100 kandydatów i przed konkursem nie wiadomo, kto w nich wygra, a u nas na etat startuje zwykle tylko jeden kandydat, wytypowany na zwycięzcę według kryteriów konkursowych do niego dostosowanych. Rzadko w takich ustawianych konkursach startuje ktoś inny. Bo i po co? Wymaga to iście heroicznej odwagi, a los takich po konkursie jest marny. Przegrał, więc jest do niczego, choćby nie wiadomo jaki miał dorobek i umiejętności. Przebieg i merytoryczne kwestie konkursów są niejawne i nie można się odwoływać – bo od czego? Oczywiście fakt braku kandydatów na takie (pseudo)konkursy jest tłumaczony rzekomą nieatrakcyjnością pracy naukowej, a to ze względu na niskie zarobki. Ale prawdą jest, że kandydatów pracujących naukowo (i to z wynikami) nawet bez zarobków nikt nie chce. Jaki z tego by mieli pożytek inni? Jeno zawstydzenie.

> Polakom mafia kojarzy się z Włochami, ale metody mafijne czy paramafijne, stosowane także w systemie akademickim, traktuje się u nas jako standard autonomicznej nauki polskiej!

Podobnie jest z grantami. W USA udostępnia się rezultaty badań prowadzonych w ramach grantów nawet obcokrajowcom, którzy na te badania nie płacą z podatków ani dolara, a u nas ten, kto by chciał się dowiedzieć, co zrobiono za jego pieniądze, jest traktowany jak nieuczciwa konkurencja!

W USA nie jest możliwa kariera naukowa od studenta do profesora dożywotnio na tej samej uczelni, a u nas jest to model kariery utrzymujący się od lat, a nawet wieków.

W USA nie ma profesorów prezydenckich ani habilitacji, a nauka jest, i to nie najgorsza, a u nas mamy mnóstwo profesorów, i to „belwederskich", ogrom „dr hab.", a nauki – co kot napłakał i nie ma woli, aby to zmienić.

Jeśli system nastawiony jest na robienie nauki, to trochę tej nauki (osiągnięć naukowych) powstaje, nawet jak brakuje pieniędzy, a pasjonaci nawet bez pieniędzy nieraz robią więcej niż ci finansowani! A jak system jest nastawiony na robienie stopni i tytułów, to mamy mnóstwo stopni i tytułów, nawet jak nauki jest niewiele, i zwiększanie wydatków na taki system przyrostu osiągnięć naukowych nie powoduje. Mamy i tak większy budżet niż w PRL, a osiągnięć naukowych liczących się w świecie – mniej! Wybitni uczeni, uformowani według innych kryteriów w II RP, odeszli, a ci, co przyszli po dostosowaniu się do nowej rzeczywistości, do socjalistycznego poziomu – niewiele znaczą w świecie.

Moim zdaniem wprowadzenie w Polsce pewnych elementów systemu anglosaskiego, takich jak wymóg rzetelnych konkursów na etaty i granty, jawność procedur, mobilność kadry i rezygnacja z nepotyzmu, a także ze swoistych stopni i tytułów – nawet przy obecnym kiepskim budżecie nauce by nie tylko nie zaszkodziły, lecz znacznie pomogły. Niestety beneficjenci obowiązującego u nas patologicznego systemu bronią się przed takimi zmianami. Wystarczy przypomnieć choćby reakcje środowiska akademickiego na próbę (niezbyt co prawda udaną) wprowadzenia ustaw antynepotycznych [mój blog – *Na froncie walki z nepotyzmem akademickim*], które rzekomo miały nas pozbawić szans na Nobla – bo przecież Maria i Piotr Curie… Nepotyzm został, a Nobla jak nie było, tak nie ma.

Patologie włoskie i polskie pod lupą

Skoro jednak porównania systemów Polski i USA natrafiają na taki opór środowiska broniącego swojego patologicznego *status quo,* spróbujmy porównać nasze standardy z włoskimi. Kontrast budżetowy w tym przypadku nie jest już tak wielki.

Nawet pobieżny przegląd informacji dostępnych w internecie pokazuje, że tak w Polsce, jak i we Włoszech patologie akademickie są problemem, ale te problemy w obu krajach są inaczej rozwiązywane.

Prasa włoska w ostatnich latach donosi o licznych aresztowaniach, w tym rektorów włoskich uczelni, z powodu ustawianych konkursów na obsadzanie etatów! Można o tym przeczytać także w społecznościowych mediach polskich i np. w „Polonia Christiana" (przed 3 laty): „Włoska policja w akcji zakrojonej na wielką skalę prowadzi śledztwo w sprawie korupcji i licznych nadużyć 59 prawników, specjalistów w zakresie prawa podatkowego. W sprawę korupcji, fałszowania wyników egzaminów na studia, wywierania presji na innych naukowców i uprzywilejowania mniej zdolnych członków rodzin prawniczych, zaangażowanych jest m.in. dwóch ministrów".

Korupcyjne praktyki przy konkursach na obsadzanie stanowisk na włoskich uczelniach, szczególnie wśród prawników, ujawnił włosko-angielski naukowiec Philip Laroma Jezzi z uniwersytetu we Florencji. Rzucił on światło na powszechny nepotyzm na uczelniach włoskich, na których można awansować nie w oparciu o kryteria merytoryczne, ale genetyczno-towarzyskie. Taką politykę kadrową zapewniają „baronowie" – szefowie wydziałów uniwersyteckich. Patologie obejmują także fałszowanie wyników egzaminów na studia czy powszechność plagiatów. W 2017 r. siedmiu naukowców z uniwersytetów w Rzymie, Neapolu, Bolonii, Sienie, Cassino, Foggii, Varese zostało aresztowanych za korupcję, a 22 pozbawiono stanowisk naukowych na okres 12 miesięcy. Media społecznościowe ogłosiły profesora bohaterem, domagając się przy tym oczyszczenia uczelni ze szkodników akademickich – czyli wielkiej czystki akademickiej.

I jak się sytuacja rozwinęła? W 2019 r. w wyniku operacji anykorupcyjnej – „Operazione Università Bandita Catania" – stwierdzono dziesiątki ustawianych konkursów, nie tylko w Katanii, ale także na wielu innych uniwersytetach włoskich. Podejrzanych jest wielu profesorów i ich listy można znaleźć w internecie. Można też trafić na dokładniejsze omówienia ustawianych konkursów i charakterystykę paramafijnych metod ich ustawiania.

> U nas nad metodami zmniejszania patologii nawet się nie dyskutuje. Przy tworzeniu Konstytucji dla nauki nie zorganizowano ani jednej konferencji poświęconej patologiom polskiego życia akademickiego.

Czyli tak, jak u nas! Rzecz w tym, że u nas wszyscy (niemal) o tym wiedzą i nikogo (niemal) to nie oburza, a organy ścigania czegoś takiego nie ścigają. Polakom mafia kojarzy się z Włochami, ale metody mafijne czy paramafijne, stosowane także w systemie akademickim, traktuje się u nas jako standard autonomicznej nauki polskiej! [sic!] Gdy porówna się działania wobec takiego procederu we Włoszech i w Polsce, można rzec: gdzie tam mafii włoskiej do naszej – przynajmniej w sektorze akademickim. Naszej nikt nie ruszy!

Przed 15 laty, kiedy trwała dyskusja nad ew. zniesieniem w Polsce habilitacji, rektorzy argumentowali, że należałoby tak zrobić, ale potrzebna jest jakaś weryfikacja kadr, a konkursy na etaty są takie, jakie są i nie stanowią należytej bariery kadrowej/awansowej. Mówiono: musimy się najpierw nauczyć organizować konkursy, a potem możemy znieść habilitację. Upłynęło już kilkanaście lat, a ówcześni rektorzy i ich następcy nie zdołali się nauczyć organizowania konkursów.

Jeśli student nie nauczy się do egzaminu, to go nie zdaje i czasem opuszcza uczelnię, ale rektorom za brak postępów w nauce nic nie grozi! Czy słyszał ktoś o rektorze, którego pozbawiono funkcji, gdy się nie nauczył organizować konkursów na obsadzanie etatów na uczelni? Będę wdzięczny za informacje o takich przypadkach, bo ja takich nie znam. Chętnie przeprowadzę wywiad z takim rektorem i opublikuję w kolejnym numerze „Kuriera WNET". Z tego, co wiem, u nas nie ogłoszono nawet projektu nauczania rektorów tego trudnego zadania. Nie wdrożono żadnych programów pomocowych, mimo szans na otrzymanie dotacji z UE. Nie zrobiono nic poza zwiększeniem władzy rektorów w ramach Konstytucji dla nauki, która problemu ustawiania konkursów na etaty nie rozwiązała. A uczelnie nijak nie potrafią się wydostać z zapaści, w której się znalazły z powodu niezdolności do organizowania rzetelnych konkursów tak na etaty, jak i na rozdział pieniędzy podatnika na naukę [*Szary obywatel nieuczciwą konkurencją?*, KW, 68/2020].

Środowisko samo się nie naprawi

Gdyby tak policja polska na wzór włoskiej współpracowała z tymi, którzy patologie akademickie ujawniają, walczą – i to od wielu lat – z degrengoladą akademicką, to może kierunek naprawiania systemu nauki w Polsce byłby inny. Póki co, jest dokładnie inaczej.

Przed 30 już laty i w Polsce miała miejsce wielka czystka akademicka [*Zapomniana wielka czystka akademicka*, KW, 55/2019], ale czyszczono wówczas środowisko nie z tych, co się do nauki nie nadawali, tylko z tych, którzy zagrażali przewodniej sile narodu w panującym systemie kłamstwa generującym pozostałe patologie. Wielkiej czystki wśród patologicznej, nadzwyczajnej kasty akademickiej, istnych baronów akademickich, nikt nie zamierza przeprowadzić. Nikt u nas nie chce wziąć przykładu z włoskich metod rozprawiania się z mafią, także akademicką. Tym samym umiłowanie patologii akademickich, a przynajmniej ich tolerowanie, skutecznie degraduje potencjał intelektualny Polaków.

> W czasie pandemii koronawirusa polscy lekarze pomagali kolegom włoskim. Może by włoscy akademicy pomogli polskim kolegom przestawić patologiczny polski system akademicki na właściwe tory?

Na włoskich uczelniach wiele już zrobiono (i nadal się robi) dla zmniejszenia powszechnych patologii (ustawiania konkursów, nepotyzmu, niemobilności kadr) i poziom włoskich uczelni znacznie się podniósł. U nas nad metodami zmniejszania patologii nawet się nie dyskutuje. Przy tworzeniu Konstytucji dla nauki nie zorganizowano ani jednej konferencji poświęconej patologiom polskiego życia akademickiego. Wyszukiwarka Google w temacie patologii akademickich wynajduje więcej informacji wytworzonych przez wykluczonego z systemu akademickiego niż przez twórców i zarządzających tym patologicznym systemem. Rzecz jasna, wyszukiwarki internetowe tym bardziej nie wykazują działań prokuratury, policji wobec powszechnie znanego procederu ustawianych konkursów. Importu włoskich metod zwalczania patologii akademickich chyba się nie przewiduje.

Z ziemi włoskiej do Polski przedostał się ostatnio koronawirus, co spowodowało zamknięcie uczelni, a nawet powstrzymanie działań Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów oraz Rady Doskonałości Naukowej na rzecz zapewnienia rozwoju kadry naukowej zgodnie z dotychczasowymi, rzekomo najwyższymi standardami. Ale jak wirus ustąpi, nasze od lat zawirusowane patologiami uczelnie [Józef Wieczorek, *System Trojana, czyli druga strona nauki polskiej*, „Najwyższy Czas", 2005] zapewne zorganizują kolejne ustawiane konkursy i kolejne patologiczne działania rozmaitych komisji, a tego wirusa – akademickiego – nikt nie będzie zwalczał. Środowisko samo się nie naprawi, a wszystkie reformy są u nas przeprowadzane pod kątem zadowolenia kadr obecnych, nie najlepszych, wyselekcjonowanych i zasiedziałych w patologicznym systemie. Kto naruszy autonomię tak funkcjonującego systemu?

W czasie pandemii koronawirusa polscy lekarze pomagali kolegom włoskim. Może by włoscy akademicy pomogli polskim kolegom przestawić patologiczny polski system akademicki na właściwe tory?

Doskonałości Doskonałych nikt u nas nie może kwestionować!

Polscy obywatele nie mają żadnych szans na naprawienie polskiego systemu. W poprzednim „Kurierze WNET" uzasadniałem konieczność doskonalenia Doskonałych, a moje argumenty przekazałem władzom akademickim. Bez reakcji. Nawet formalne wniesienie petycji o naprawę jakiegokolwiek błędu systemowego nie przynosi rezultatu. Na stronach www Senatu RP można się zapoznać z reakcją Senatu i Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na obywatelską petycję [*Decyzje CK wydane z naruszeniem zasad etycznych i współżycia społecznego. Przypadek Andrzeja Borysa*, na stronie Niezależne Forum Akademickie. Sprawy Ludzi Nauki]. Petycja z dnia 18 listopada 2019 r. dotyczyła sprawy „podjęcia inicjatywy ustawodawczej dotyczącej zmiany ustawy z dnia 3 lipca 2018 r. *Przepisy wprowadzające ustawę – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce*, w celu ustanowienia organu sprawującego nadzór nad Centralną Komisją do Spraw Stopni i Tytułów (P10-11/19)" [wykaz petycji]. W informacji czytamy „Autor petycji uzasadniając swój postulat zauważył, że decyzje Centralnej Komisji wielokrotnie wydawane były z naruszeniem podstawowych zasad etycznych i współżycia społecznego, nawet były powodem załamania się wielu obiecujących karier naukowych".

O dziwo, petycja została rozpatrzona: „10 grudnia 2019 r. petycja została skierowana do rozpatrzenia przez Komisję Praw Człowieka, Praworządności i Petycji. 12 marca 2020 r. Komisja Praw Człowieka, Praworządności i Petycji rozpatrzyła petycję i wysłuchała informacji o postulacie petycji". Z jakim rezultatem? „Uczestniczący w posiedzeniu przedstawiciel Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przedstawił negatywne stanowisko o postulacie petycji. Senatorowie w dyskusji nie podzielili argumentów autora petycji i nie uwzględnili postulatów będących przedmiotem petycji. W głosowaniu senatorowie postanowili o niepodejmowaniu dalszych prac nad petycją".

Czyli standard. Doskonali, zgrupowani w Centralnej Komisji przekształconej w Radę Doskonałości Naukowej, mogą naruszać podstawowe zasady etyczne, prowadzić do załamania wielu karier naukowych i nikomu nic do tego. Mogą i już. W końcu są doskonali! Nikt ich nie może kontrolować, bo to by podważało ich autorytet i ktoś mógłby pomyśleć, że jacyś inni mogą być od nich bardziej doskonali. To mogłoby doprowadzić do naruszenia jedynie słusznego porządku rzeczy. Każdy by chciał być doskonałym, a nawet doskonalszym od Doskonałych, a tego nasz system nie przewiduje!

Sąd Najwyższy przyznał, że jako obywatel mogę kontrolować każdą władzę, nawet władzę Sądu Najwyższego [co zresztą robię – *Kasacja niewygodnego dziennikarza, czyli proces Józefa W.*, KW 59/2019], ale nadzwyczajnej kasty akademickiej nikt kontrolować nie może, a jedynie ma obowiązek utrzymywać ją z własnej kieszeni, bo kasta doskonałych – rzecz jasna – sama by się nie zdołała utrzymać.

Czy po ustaniu pandemii koronawirusa zabierzemy się wreszcie za odwirusowanie systemu nauki w Polsce?

BAŁKAŃSKIE WSPOMNIENIA „PSA WOJNY" CZ. II

Wojna nie jest grą, a wojna domowa w szczególności. Tutaj kule są prawdziwe, urwana na minie kończyna nie odrośnie, a zgwałcona kobieta będzie nosić swoją traumę do końca życia. Wojna to rzeź, okrutna rzeź. Jeśli czytając o śmierci, ranach, okaleczeniach, obumieraniu uczuć, gwałtach, strachu, chociaż jeden z takich młodych ludzi porzuci myśl o strzelaniu za pieniądze w Donbasie, Syrii, Libii czy Jemenie, to będę uważał, że swoje zadanie wypełniłem.

Wzięliśmy wtedy wioskę, właściwie to prawą część wioski, nawet sporej, z jakąś gównianą nazwą. Nie pamiętam, a może nigdy nawet jej nie znałem. Leżała niedaleko od nas, po prawej stronie zaminowanego przez nas wzgórza. Drugą część brali Serbowie z roty, która miała pozycje na prawo od nas. Ot, taka lokalna akcja małej, krwawej wojenki.

Vesna

JOHNY B.

Dzień wcześniej wysłali mnie i drugiego snajpera, Rosjanina Kiryła. Ostrożnie przeskoczyliśmy grzbiet wzgórza, poszukaliśmy dwóch w miarę dogodnych miejsc i przejrzeliśmy uważnie cały nasz sektor w wiosce. Kilku Muslimanów kręciło się po głównej drodze, trzech siedziało przy dużym domu z czerwonym dachem. Pewnie tam było ich dowództwo. Zaraz za wioską zauważyłem dwa moździerze 82-mm, najbliżej mnie w rozwalonej chałupie na brzegu wsi obudowali workami rozwalone pierwsze piętro i zainstalował się tam gość z pkn. Pewnie z lewej było gdzieś stanowisko drugiego. Ja go nie mogłem znaleźć. Jeśli jest, Kirył go na pewno wypatrzy. I chyba tyle tego. Słabiutko, w naszym sektorze były ze dwa plutony ze słabą bronią wsparcia. Dobra, zwijam się z powrotem. Spojrzałem w lewo i zauważyłem, że Kirył pokazywał, że wracamy.

Krótko przed południem następnego dnia zaczęło się. Ja tradycyjnie siedziałem z tyłu za naszymi i przeglądałem wioskę w lunecie snajperki, ale miałem strzelać tylko w wypadku, kiedy bym zobaczył kogoś z radiotelefonem. Żeby nie wezwali posiłków. Nie zobaczyłem, nie strzelałem. Najpierw przywaliły po kilkanaście razy kompanijne moździerze, my mieliśmy akurat 120-ki. Zaczęły od pozycji ich moździerzy, które im wczoraj przekazałem. Nie trafiły oczywiście, ale widziałem przez lunetę, że tamtym od razu odeszła chęć do strzelania i zaczęli wiać do tyłu. Potem chyba Leon, jeden z naszych Francuzów, przywalił odłamkowym z RPG w miejsce, gdzie wskazałem, że jest pkm. Łuuup! Wielki gejzer ognia i kurzu. Trafił idealnie. Po pozycji ukm-u z workami piasku śladu nie było. Z lewej strony słyszałem, że nasi dają z granatników podwieszanych pod karabiny, więc pewnie zamiatali pozycję drugiego ukm-u, który wskazał Kirył. Potem nasi ostrożnie, skokami, przygięci ruszyli w dół zbocza, strzelając pojedynczymi strzałami lub trzystrzałowymi seriami. Kiedy doszli do wioski, szybko przemykali między zabudowaniami. Widziałem w lunecie, że Muslimani wyjątkowo dzisiaj nie mieli ochoty do walki, bo po prostu wycofywali się najszybciej jak mogli. Namierzyłem jednego, który biegł z rpk, i strzeliłem, ale nie trafiłem. Biegł dalej, za chwilę któryś z naszych go skosił z kałacha. Reszta za chwilę już szybko biegła przez łąkę za wioską w kierunku rzadkich zagajników. Dobra, nic tu po mnie, idę do moich, w dół, w kierunku wioski.

Wleźliśmy do wiochy, palce na spustach. Niektóre chałupy paliły się od ognia moździerzy, na ulicy leżało kilku zabitych cywilów, za chwilę trup jednego *vojnika* w muslimanskim mundurze, za chwilę jeszcze dwóch, i spokój. Z naszych dostało dwóch, ale lekko. Doszliśmy mniej więcej do połowy wioski, to już był *srpski* sektor, a tam klasyczna jatka. Właśnie się produkował jakiś *srpski zastavnik*. Nie kojarzyłem go, chociaż znaliśmy większość tych ludzi, bo jak to z sąsiadami – często razem robiliśmy jakieś drobne interesy albo po prostu chlaliśmy razem czy piekliśmy mięso na ruszcie albo *odojaka* na rożnie.

Chyba z piętnaście osób klęczało na ziemi z rękami za głową, mężczyźni i kobiety. Kilka ciał już leżało na ziemi z rozwalonymi głowami w kałużach krwi. Nie pamiętam dokładnie, ilu ich wszystkich było. A ten podchodzi po kolei do każdego z nich i klamka, głowa, pach!, klamka, głowa, pach! Zmienił sobie spokojnie magazynek w tetetce. I dalej do roboty. Coś się we mnie aż skręciło. Chyba nie tylko we mnie. Ja też strzelałem do ludzi, nawet brałem za to pieniądze, ale ot tak rozwalać cywilów strzałem w głowę, to nie to samo. Chyba na chwilę zapomniałem, że byłem na wojnie domowej, a to rzeźnia, a nie wojna. Na dodatek nie była to moja wojna.

Igor chyba zauważył, że nasi coś tacy spięci się zrobili, i od razu głośno powiedział:

– Tylko nic nie róbcie! Rozumiecie?! Nic. Zupełnie nic! To rozkaz! Przejdziemy, ja pogadam chwilę z ich dowódcą. I pójdziemy swoją drogą do naszego sektora.

A tamten podszedł i przyłożył tetetkę do głowy dziewczyny. Ładna była, chociaż było widać, że musiała się z nimi nieźle szarpać. Doskonale wiedziałem, co musiało się dziać wcześniej. Faceci na wojnie nieczęsto pytają, czy można… Prawdę mówiąc, my też zwykle zbyt delikatni nie byliśmy. I jeszcze uśmiechnął się bydlak. Nie strzelał, tylko czekał i się śmiał. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Zwykle umiałem utrzymać nerwy na wodzy. Jednak wówczas po prostu szlag mnie trafił, zagotowało się we mnie i już czułem, że nie ma wyboru. Moi od razu zauważyli, co się dzieje. Ktoś nawet złapał mnie za rękaw kurtki, ale ja zdążyłem doskoczyć do tego Serba. Raczej mnie nawet nie zauważył. Potem kolba, gęba, leży gość i trzyma się za głowę. Podniosłem momentalnie zastavę do ramienia i wycelowałem w niego. Z takiej odległości luneta przeszkadzała, a nie pomagała, ale i tak bym trafił. On też już we mnie celował ze swojej tetetki. Ze skroni ciekła mu krew. Musiało to z boku nieco zabawnie wyglądać snajper celuje z trzech-czterech metrów do gościa celującego do niego z pistoletu.

Momentalnie wszyscy celowali do siebie nawzajem z tego, co kto miał przy boku. Z naszej uroczej dwójki nikt pierwszy nie miał ochoty strzelić, chociaż widziałem po jego twarzy, jaki był wściekły, ale i zaskoczony. Ja za to byłem nieźle przestraszony, bo wiedziałem, że go zdążę sprzątnąć, ale dostanę jako następny i to pewnie w plecy albo w głowę. Może dlatego obaj byliśmy tacy nieskorzy do strzelania. Może też dlatego jeszcze nie wybuchła chaotyczna strzelanina.

– *Stoj!* Nie strzelać! Nie strzelać, mówię! – usłyszałem z prawej strony, nieco z tyłu. – Nie strzelać! Nie strzelać!

Poznałem inny głos z lewej, należał do Igora. Ten z prawej z tyłu to był Marko, dowódca ich kompanii. Znałem go dobrze, bo miał mocny łeb i często kończyliśmy nasze wspólne wojenne „imprezy" we dwójkę. No i swego czasu sprzedał mi moją ulubioną rumuńską 65-kę, czyli rumuńskiego kałacha z dodatkową rączką przed magazynkiem. Strzelanie z niego to była czysta przyjemność. Teraz wisiał przewieszony bezczynnie przez moje plecy. Bo jak dureń szedłem przez wiochę ze snajperką, zamiast z kałachem w rękach. Marko podszedł powoli i stanął między serbskim *zastavnikiem* a mną tak, że celowałem mu prosto w pierś. O dziwo, miał kałacha przewieszonego przez ramię, nie celował do mnie. Zbaraniałem.

– Marko, zdejmę cię! – To był głos Igora. – Spokojnie, nic chłopakowi nie zrobię. To on do mnie celuje.

Przewiesił broń za plecy lufą do dołu. Nic z tego nie rozumiałem. Powoli zbliżył się, uśmiechając się do mnie.

– Nic nie rób, *Poljak*. – Powoli podniósł rękę, sięgnął do prawej strony mojej zastavy, przekręcił bezpiecznik i powiedział: – Żeby z tego strzelać, *Poljak*, trzeba to właśnie tak odbezpieczyć.

Jasna cholera, tak właśnie jest, jak człowieka poniesie. Broni nawet nie odbezpieczyłem. Ten leżący serbski „bohater" mógł strzelić do mnie jak do kaczki, a ja bym nie zdążył już nic zrobić. Pstryk! Usłyszałem trzask mojego bezpiecznika. Ależ on był głośny w mojej głowie.

– Teraz możesz mnie już zastrzelić, więc może opuść już broń, młody. Na chwilę jakby wszystko się zatrzymało. – I ty też zginiesz… – dodał po sekundzie.

Z tego akurat zdawałem sobie doskonale sprawę. I nagle usłyszałem głośny rechot Igora. Za nim wszyscy zaczęli się śmiać. Opuściłem powoli broń. Za chwilę uczynili to wszyscy z obydwu stron, ale większość trzymała profilaktycznie palce na spustach. Wszyscy się śmiali oprócz tego *zastavnika* z tetetką i mnie. Marko odwrócił głowę i powiedział:

– Igor, dziewczyna jest wasza. W końcu też pewnie chcecie sobie por…ać. Chociaż widać, że młodemu w oko wpadła, więc może go najpierw spytajcie, bo już wie, jak broń odbezpieczać. Żeby was nie zdjął – zaśmiał się, nieco złośliwie. – Przejdziecie spokojnie i pójdziecie w swoją stronę. A jak za parę dni wszyscy się uspokoimy, zapraszam na rakiję i barana.

Po chwili Igor, rozluźniony już trochę odpowiedział: – Zgoda, Marko. *Poljak*, bierz ją i idziemy. Ruszać się! Szybciej, szybciej!

To ja podszedłem do niej. Złapałem ją w miarę delikatnie za rękę i pociągnąłem lekko w górę: – Wstań, proszę. Wstań. Chodźmy stąd!

– Ja Vesna.

– Dobrze – zmusiłem się do uśmiechu. – Chodźmy już stąd. Szybciej!

– Vesna, Vesna, jestem Vesna. – Była w szoku.

– Chodź, k…a, tu nadal nie jest za dobrze… Jeszcze nas mogą ubić! – Wreszcie się ruszyła. Pomogłem jej wstać i poszliśmy w swoją stronę. Kilku z naszych na wszelki wypadek szło tyłem, ale z opuszczoną bronią.

Szliśmy powoli dalej przez wieś. Nie wiem, co stało się z resztą tamtych cywilów. Pewnie dostali kulę w łeb. Tutaj żadna ze stron nie okazywała litości, a okrucieństwo było jak bułka z masłem na śniadanie. Szliśmy dalej całym oddziałem w całkowitej ciszy. Odeszliśmy już niezły kawałek. Nagle poczułem gwałtowne szarpnięcie z tyłu za kurtkę i kopnięcie pod kolano. Wylądowałem na plecach na ziemi. Ułamek sekundy i siedział na mnie Igor. Przywalił mi w twarz, że aż mi w oczach pociemniało. Potem chyba jeszcze raz i raz, jeszcze chyba z raz. Zasłaniałem się tylko jedną ręką, bo drugą przygniótł kolanem do ziemi. Wtedy straciłem jedyny (jak na razie) ząb w życiu. Na szczęście górną piątkę, która rosła poza obrębem reszty zębów.

– Ty zasrany kretynie! Co ja, k…a mówiłem?! – Chyba tak krzyczał, dokładnie nie pamiętam. Kołowało mi się w głowie. Szarpał mnie za kurtkę. I walił mnie ciągle po gębie, zasłaniałem się wolną ręką, ale był bardzo silny. Zrobił na chwilę przerwę.

– Przez to, że ci jakiejś bosanskiej dupy zrobiło się żal, mogło zginąć sporo naszych! Co ty, niebieski hełm zasrany jesteś? Czy przyjechałeś tu zarabiać na zabijaniu, idioto? A może z Czerwonego Krzyża jesteś? Co? – Przyłożył mi chyba jeszcze z raz lub dwa. – To był rozkaz, cymbale! Rozumiesz?! Chyba ja cię powinienem ubić za takie gówno! Rozumiesz to, idioto?! – Nawet, gdybym chciał, to i tak bym niewiele powiedział, bo miałem pełno krwi w ustach. Kiwnąłem głową, że rozumiem. Puścił mnie i zszedł ze mnie. – Obcinam ci stawkę za dwa tygodnie. Strzelasz za darmo.

Pozbierałem się z ziemi, wytarłem rękawem twarz, wyplułem ząb i poszliśmy dalej. Szkoda, mogłem go wziąć na pamiątkę. Wlokłem się na końcu kolumny, trochę się chwiałem na nogach, bo jeszcze mi się we łbie nieźle kręciło i jakoś tak dobrze mi było na końcu. Nie wiedziałem wtedy zupełnie, co myśleć. Po prostu wojna taka jest. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Po prostu szedłem trochę z tyłu za naszymi. Podszedł do mnie Leon, jeden z naszych Francuzów w naszej rocie. Klepnął mnie w plecy i powiedział:

– Dobrze zrobiłeś, Polak. To kurestwo, co oni tam robili.

– Jasne, dzięki – odburknąłem.

Później wielu chłopaków powiedziało mi to samo, chociaż każdy z nich mógł wtedy przeze mnie zginąć albo zostać ranny. Szliśmy dalej. Ja się gapiłem głównie w ziemię. W pewnej chwili ktoś delikatnie złapał mnie za prawą rękę. Obróciłem głowę w prawo. To była Vesna. Już chyba szok jej przeszedł.

– Dziękuję, żyję dzięki tobie. – Ładnie mówiła po rosyjsku. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc powiedziałem: – Uważaj z naszymi, oni też są niewyżyci. A ty ładna jesteś, bardzo ładna. I młoda. Uśmiechnęła się tylko: – Dziękuję. Odeszła kawałek w przód. – Vesna! – Tak? – Czy tamci, wiesz, tam w wiosce… No wiesz… Zrobili ci to? – Wtedy jej twarz zrobiła się… taka inna. Oczy nabrały zupełnie innego wyrazu, zacisnęła usta. Odwróciła się i poszła przodem. Nie musiała odpowiadać… Chyba właśnie tak patrzy zgwałcona kobieta.

Kiedy dotarliśmy do naszych pozycji, Igor wyznaczył wartowników, a ja oczywiście dostałem wysunięty patrol. Zresztą i tak snajper często takie właśnie ma zadanie. Mieliśmy kilka miejsc, na których każdego dnia zmienialiśmy się z innymi snajperami. Tym razem wszedłem po cichu prawie pod sam szczyt wzgórza na skraju naszych pozycji z lewej strony. Miałem już tam w miarę wygodne miejsce z wglądem praktycznie na całe przedpole naszych pozycji. Położyłem się na ziemi i przeglądałem od czasu do czasu teren przez lunetę. Żebym tylko nie zasnął, bo po tym, co tam odwaliłem, Igor obdarłby mnie żywcem ze skóry! Około północy przyszedł zmienić mnie Kirył, też snajper. Wyjątkowo go lubiłem i lubiłem chodzić z nim na akcje w parze. Igor to szybko zaakceptował i byliśmy taką właśnie snajperską parą. Pozostali też strzelali w parach, jeśli było to konieczne. Chociaż z reguły mieliśmy indywidualne zadania. Ale z nas się śmiali, że po wojnie się pobierzemy. He, he, teraz to zdaje się nawet jest modne, co za czasy…

Podkradł się z tyłu tak, że usłyszałem go w ostatniej chwili. Nieźle mnie wystraszył, aż chwyciłem za kałacha. Szeroko się uśmiechnął i cicho powiedział:

– Spokojnie, *Poljak*, spokojnie! To ja, Kirył. Wszystko gra? Bo chyba trochę przygłuchłeś.

– Odwal się!

Złapał mnie za głowę. Potrząsnął.

– Nic się nie martw. Wszystko dobrze było. Wiesz, tam w wiosce. Idź teraz coś zjedz i prześpij się, bo miałeś trochę wrażeń. Teraz moja kolej. Posiedzę na „lipku".

– Idź ty spać, ja i tak nie usnę. Wziąłem więcej żarcia. Posiedzę do rana. Jak chcesz zmień mnie potem.

– Na pewno?

– Tak, idź. Nie martw się.

Klepnął mnie w plecy i poszedł w dół wzgórza w kierunku naszych pozycji. A ja odsiadywałem drugą zmianę z kolei. Dopiero nad ranem, koło czwartej, poczułem senność. Zjadłem trochę podpłomyków, popatrzyłem przez noktowizor na przedpole. Nic się nie działo. Cisza, spokój, nocne odgłosy lasu.

Pach! Nagle ktoś mnie klepnął w plecy. Momentalnie rzuciłem w bok snajperkę, przekręciłem się na plecy, usiłując sięgnąć po nóż.

– Spokojnie, *Poljak*, to ja!

Boże, na szczęście zobaczyłem uśmiechniętą twarz Kiryła. Od razu zeszło ze mnie ciśnienie. Gęba mi się roześmiała, aż zabolało po łomocie od Igora.

– Idź spać. Przyszedłem wcześniej cię zmienić. Po co masz usnąć na warcie?

– Dzięki, Kirył. Ale mnie przeraziłeś!

– Bo zasypiałeś prawie. Idź spać, młody. Wyśpij się, potem zjedz coś. Zostaw mi tylko noktowizor, bo mamy go na spółkę.

Dałem mu noktowizor. Taka wielka luneta do założenia na dowolny karabin. Pasował nawet do mojej zastavy. Stary, dobry ruski NSPU. Założyłem na snajperkę swoją normalną lunetę. Kiwnąłem Kiryłowi na pożegnanie i poszedłem ostrożnie w dół.

Dochodząc do naszych pozycji, usłyszałem cichy gwizd i pytanie: – Kto?

– Żenia, Tobolsk.

Hasła oczywiście codziennie mieliśmy inne i zawsze były podwójne. Tej nocy akurat imię żeńskie i nazwa rosyjskiego miasta. Z reguły najwięcej kłopotu mieli z ich wymówieniem nasi Francuzi.

Jeszcze krótkie wyjaśnienie. Nie piszę o naszych stopniach, oficerach, podoficerach, szeregowcach itp. Normalnej, wojskowej „trepiarni". My byliśmy rotą najemną, a tam jest trochę inaczej. Jak w pracy. Strzelaliśmy za pieniądze. Była oczywiście hierarchia, struktura, jakieś plutony, drużyny, sekcje, chociaż nasz *otriad* nie był pełną kompanią. Niemniej stosunki były bardzo liberalne. Byliśmy wszyscy, poza jednym Serbem, spoza Bośni; w większości Rosjanie, ale i trochę *innostrańców*, głównie Greków, kilku Francuzów, no i ja. Wcześniej był jeszcze jeden Polak, góral spod Żywca, ale po trzech tygodniach dostał kulkę. Wszyscy byliśmy tu obcy, dlatego bardziej traktowaliśmy się jak starsi i młodsi koledzy, a nie jak szeregowi i oficerowie, jak w regularnym wojsku. Mieliśmy tylko siebie i tylko od nas zależało nasze życie, wiedzieliśmy to i szanowaliśmy. W tym chyba tkwiła też nasza siła, że za kolegów z *otriadu* dalibyśmy się wszyscy bez wyjątku pokroić. Poza tym byliśmy po prostu w pracy, tyle że dużo łatwiej można było zginąć. Poza tym bardzo wielu z nas, zdecydowaną większość, rekrutował Igor. Byliśmy jego prywatną armią. Chociaż łomot, który dostałem właśnie od niego w opisanej sytuacji, świadczył, że niewykonanie rozkazu nie było traktowane bynajmniej po koleżeńsku. Myślę, że to właśnie był drugi powód naszej dosyć dużej skuteczności i jednocześnie rozsądku, chociaż niektórzy – tacy jak ja – tak naprawdę byli amatorami, a nie zawodowymi żołnierzami. Z tego, co wiem, były po *srpskiej* stronie jeszcze takie dwie roty w Bośni, też złożone z *dobrovolców*. Profesjonalne, ale w przeważającej mierze zdane wyłącznie na siebie. To nie były czasy świetnie uzbrojonej i zaopatrzonej Orkiestry Wagnera i najemników ze Specnazu, chociaż wśród Ruskich najwięcej było byłych *desantników*, całkiem nieźle wyszkolonych.

FOT. QUENTIN KEMMEL ON UNSPLASH

REKLAMA

POMAGAJ RAZEM Z NAMI.

PODZIEL SIĘ PUNKTAMI!

Wspieraj walkę z koronawirusem.

FUNDACJA LOTOS

lotosnavigator.pl

Nr 72 Ś·L·Ą·S·K·I K·U·R·I·E·R Czerwiec · 2020

WNET

GAZETA NIECODZIENNA

Jadwiga Chmielowska
redaktor naczelna Śląskiego Kuriera Wnet

Czerwiec to początek lata. Rocznica walki Poznania o wolną Polskę. W tym roku w czerwcu będą też matury i mamy nadzieję – wreszcie wybory. Cyrk urządzany przez totalną opozycję ma nasz naród ośmieszyć w demokratycznym świecie. Historia się powtarza i znów śladami targowiczan politycy polscy szukają wsparcia na obcych dworach. Bardzo pracują na to, by zasłużyć na miano zdrajców. Szkoda, że nie obowiązuje prawo II RP i zdrajcy nie są pociągani do odpowiedzialności karnej. Staję się coraz większą zwolenniczką Piłsudskiego i jego programu sformułowanego w rozmowie z hrabią Skrzyńskim: najważniejsze – to „bić kurwy i złodziei" i jego diagnozy klasy politycznej: „Wam kury szczać prowadzić, a nie politykę robić".

Sąd Najwyższy to niezły kabaret – sędzia SN powinna wrócić do podstawówki, bo tam dzieci wiedzą, w jaki sposób zaznacza się prawidłową odpowiedź w teście. Posłowie PO również, bo już uczniowie 2 klasy czytają ze zrozumieniem, a oni mają problem z percepcją konstytucji. Ale wiadomo, że dla nich polityka to nie działanie dla dobra obywateli, a gra o własne korzyści. Niepokoi mnie też fatalnie przeprowadzona przez ministra Gowina reforma szkolnictwa wyższego, niszcząca wielowiekowe tradycje uniwersyteckie, i godząca w czasopisma naukowe „punktoza". Ostatnio pojawiły się plany likwidacji Polskiej Akademii Nauk. Włączenie tej struktury do uniwersytetów obciąży pracowników naukowych dydaktyką. Hasła o potrzebie innowacyjności polskiej nauki pachną czczą retoryką. Przemysłowe, branżowe instytuty badawcze padły już jakiś czas temu.

Europa stanęła na głowie. Polska jest krytykowana za rzekome nieprzestrzeganie wolności słowa, a w Niemczech cenzura trwa od lat. Poprawność polityczna nie pozwalała podać informacji o gwałtach w Kolonii, bo sprawcami byli emigranci muzułmańscy. Nie przeszkadza do jednak dziennikarzom produkować fake newsy o Polsce. Teraz cenzura dotarła do Francji.

„Pod pretekstem walki z »nienawistnymi« treściami w internecie (ustawa Avia) ustanawia system cenzury równie skuteczny, jak niebezpieczny… Nienawiść jest pretekstem systematycznie używanym przez tych, którzy chcą uciszyć odmienne zdanie… Demokracja godna swojej nazwy powinna zaakceptować wolność słowa" – protestował w końcu maja br. Guillaume Roquette, szef redakcji „Le Figaro".

Największym jednak zagrożeniem jest wprowadzona pod osłoną epidemii covid-19 powszechna inwigilacja. Po ataku 11 września rozpoczęła się trwająca już 20 lat walka z terroryzmem i tym tłumaczone są wszelkie obostrzenia, a teraz po cichutku zbliżamy się do systemu reżimu chińskiego pełnej kontroli obywateli. Wprowadzone aplikacje powinny być ostrzeżeniem dla obywateli wolnego świata. Jakoś w Polsce nie słychać dyskusji o zaprzestaniu finansowania przestępczej organizacji WHO, co już zrobiło kilka państw. Dużo mówi się o przezwyciężaniu kryzysu gospodarczego po epidemii, są apele, by kupować towary polskiej produkcji, spędzać urlopy w kraju, wspierając rodzimą branżę turystyczną, a tymczasem Chińczykom powierza się budowę kolei. „Jednej z chińskich firm – Sinohydro, która najpewniej będzie przebudowywała za kilka miliardów złotych tory z Warszawy do Białegostoku – międzynarodowe organizacje wytykały korumpowanie urzędników w państwach afrykańskich" – alarmował „Dziennik Gazeta Prawna". Sinohydro buduje elektrownie wodne na całym świecie. Uchybienia przy ekwadorskiej Coca Codo Sinclair szeroko opisywała prasa.

Czyżby Polska odwracała sojusze? Zamiast ściągać do Polski amerykańskie inwestycje wycofywane z Chin, rozwijamy współpracę państw Europy Wschodniej z Chinami – „17+1"?

To, że od wielu lat trwa wojna światowa, pisałam wielokrotnie. Jest hybrydowa; papież Franciszek określił ją jako segmentową. Napiszę o niej szerzej w lipcowym wydaniu „Kuriera WNET".

Chiny od bardzo długiego czasu pracują nad systemem oceny obywateli. To było marzeniem komunistów – całkowite panowanie nad człowiekiem. Chiński „System Zaufania Społecznego" sprawia, że każdy obywatel staje się pionkiem w koszmarnej grze, z którym można zrobić wszystko.

Walka światów

To się Orwellowi nawet nie śniło

Jadwiga Chmielowska

Osoby z oceną A są na czerwonej liście, pozostałe na czarnej. Te na czerwonej liście są traktowane preferencyjnie, na przykład w odniesieniu do przyjęć do szkół, osiągnięć społecznych czy np. ubezpieczeń. Grupa C jest monitorowana dokładniej i codziennie. Otrzymuje pisemne instrukcje o pewnych ograniczeniach. Może to być na przykład zmniejszenie pomocy społecznej. Najniższa klasa to D. Ci ludzie nie mogą zajmować kierowniczych stanowisk, otrzymują zredukowane usługi i nie mają już zdolności kredytowej" – tak opisuje chiński system informatyk Zhang Chengwei.

W ciągu dwóch lat Chińczycy staną się uczestnikami koszmarnego eksperymentu. Kiedy przyjdzie czas na nas? I co wtedy z tym zrobimy?" – pytał już w marcu 2018 r. chip.pl – branżowy portal technologiczny piszący o komputerach i informatyce.

Władze Chin tłumaczą swoje decyzje ułatwieniem przyznawania np. kredytów bankowych. Czyli używają języka ludzi demokratycznego Zachodu, aby uśpić czujność. W nowomowie komunistycznej słowa nabierają zupełnie innego znaczenia. Znane wszystkim żyjącym w kręgu wpływów Związku Sowieckiego określenie 'demokracja socjalistyczna' znaczyło tyle, co całkowity brak demokracji.

Z projektu chińskiego Systemu Zaufania Społecznego nikt się nie wymiga. „Ani człowiek, ani instytucja. Uczestnictwo w tworzonym programie jest obowiązkowe. Nikt i nic nie ukryje się w czeluściach internetu, bo ten już jest ściśle monitorowany. Jakby tego było mało, chiński rząd pracuje nad zmianami w przepisach, dzięki którym jakikolwiek ruch internetowy będzie ściśle powiązany z tożsamością konkretnej osoby. Permanentna inwigilacja? Tak. Przy okazji prowadzona za pomocą istniejącej już aplikacji Zhima Credit (nazwa angielska to Sesame Credit), opracowanej przez jedną z firm chińskiego koncernu Alibaba. System Zaufania Społecznego powstaje więc w ramach czegoś, co moglibyśmy nazwać specyficznie pojętym partnerstwem publiczno-prywatnym" – czytamy dalej na portalu chip.pl.

To nie jest sprawa nowa. Dziwi mnie to, że tak mało znana w Polsce i wolnym świecie. No cóż, koledzy dziennikarze wolą zajmować się błahostkami i nic nieznaczącymi politykami i ich głupawymi gierkami. Nie wiem też, co robią nasze służby specjalne. Dowiedziałam się właśnie, że portal, z którego czerpię te informacje, przestał publikować w lutym 2020 r. Udało mi się jednak, w niezależnych źródłach, potwierdzić wszystkie fakty podane w artykule. Dlatego pozwalam sobie cytować duże fragmenty, zanim tekst zniknie z internetu. Wszak wpływy chińskie są wszechobecne. „W czerwcu 2014 r. Rada Państwa ChRL wezwała do utworzenia ogólnokrajowego systemu śledzenia w celu oceny reputacji osób fizycznych, przedsiębiorstw, a nawet urzędników państwowych. Celem jest, aby do 2020 r. każdy obywatel Chin miał przypisany sobie plik, w którym zawarte byłyby informacje dotyczące praktycznie każdego aspektu życia, pochodzące zarówno ze źródeł publicznych, jak i prywatnych. Rada Państwa nazwała ten pomysł systemem kredytowym obejmującym całe społeczeństwo".

Choć wydaje się to bajką lub opowieścią sf, to: „rząd chiński chce nadzorować absolutnie każde działanie swojego obywatela w sieci, niezależnie od tego, czy za pośrednictwem sieci prowadzi on działalność komercyjną, kupuje prezenty dla rodziny, wypożycza rower czy poszukuje partnera. Każda czynność wykonywana przez internet będzie nie tylko monitorowana, ale także oceniana. Zarówno monitorowanie, analiza, jak i ocena obywatela odbywać się będzie za pomocą wysoce zautomatyzowanego systemu klasyfikacyjnego. Baza danych podlegających analizie jest na tyle olbrzymia, że nie dałoby się tego zrobić w inny sposób".

I tu dochodzimy do systemu 5G. Ten system jest potrzebny do inwigilacji obywatela i przejęcia kontroli nad jego życiem. Aby wykorzystać w pełni sztuczną inteligencję, musi być możliwy szybki przesył wielu informacji. Oczywiście obywatele wolnego świata będą kuszeni samochodami, które będą same się prowadzić i różnymi udogodnieniami w gospodarstwie domowym i ułatwieniami w życiu. Już teraz korzystamy z nowoczesnych zdobyczy techniki. Ale są pułapki. To, w czyich rękach pozostawimy możliwość wpływu na nasze zachowanie i czy będziemy zawsze kontrolować, kto i dlaczego posługuje się naszymi prywatnymi danymi, będzie wyznacznikiem naszej wolności. Podejrzewam nawet, że te różne GIODO i RODO miały uśpić naszą czujność, że jesteśmy bezpieczni, a faktycznie nieuczciwi pracownicy banków sprzedawali firmom marketingowym nasze dane. Praktycznie systemy te tylko utrudniały życie i kontakty międzyludzkie.

Perfidią komunistów jest nawet nazwa „System Zaufania Społecznego" i sugerowanie, że chodzi o kredyty bankowe, co pokazuje nazwa firmy prowadzącej system Zhima Credit. „W rzeczywistości jednak oczekuje się, że system pozwoli zbadać, na ile wiarygodna i szczera jest dana osoba lub instytucja. Co więcej ocena tej szczerości i dane klasyfikacyjne obywatela czy firmy mają być publicznie dostępne, a na pewno dostępne władzom. Taka konstrukcja i założenia projektowe sprawiają, że nietrudno dostrzec, iż system ma charakter wyraźnie dyscyplinujący. Niczym surowy rodzic mówiący do dziecka „zachowuj się!". Wszelkie działania prowadzone w trybie online będą podlegały ocenie czy są dobre, czy są złe i wskaźnikiem, czy zrobiłeś dobrze czy źle, nie będzie Twój własny kręgosłup moralny, lecz narzucony przez władze światopogląd. Zabawne. Może. Ale nie w kraju, w którym obywatele masowo korzystają z aplikacji służącej do ścigania się, kto szybciej pogratuluje prezydentowi Xi Jinpingowi przemówienia, a potem swój zachwyt przemówieniem wrzuci do sieci" – czytamy dalej w artykule.

Chiński pomysł wzbudza same kontrowersje. Słuszne są obawy ludzi na całym świecie przed wprowadzeniem systemu 5G, zwłaszcza chińskiego. Niestety szwedzki Ericsson, tak promowany w Europie, korzysta ze sprzętu chińskiego. Jak to się stało, że nawet w Polsce już uruchamia się te technologie, nie sprawdzając dokładnie producenta? Chiny potrafią korumpować decydentów!

Ludzie w wielu krajach instynktownie boją się tej nowej technologii. Być może rozpuszczana jest przez Chiny plotka o olbrzymim zagrożeniu dla zdrowia, by potem wyśmiać obawy i zwalić na „ciemnogród". Tego nie wiem. Wiem natomiast to, że absolutnie niedopuszczalna jest jakakolwiek technologia chińska. Mam nadzieję, że wolny demokratyczny świat będzie wprowadzał technologię amerykańską.

Już teraz widać chiński lobbing. Różni pseudogeostratedzy, np. Jacek Bartosiak i Bartłomiej Radziejewski, usiłują wmówić Polakom, że to tylko konkurencyjna walka mocarstw o dominację w świecie. Nie, Panowie, to walka światów – wojna cywilizacji. Mamy do wyboru bycie wolnymi ludźmi albo niewolnikami. Nie podejrzewam szanownych panów doktorów o brak wiedzy. Obawiam się, że robią to z pełną premedytacją. Tu nie chodzi o konkurencję hegemona. Tu chodzi o przyszłość ludzkości. Walka USA i Komunistycznych Chin nie jest walką dwóch demokratycznych państw. Gdyby o światowe przywództwo walczyły USA z Australią, Kanadą, czy Szwajcarią, to ja osobiście kibicuję Szwajcarii. Jej ustrój demokratyczny mi się podoba.

Nie znam chińskiego i nie docierają do mnie informacje bezpośrednio z tego strasznego „Imperium Zła". Ale walka o swoją wolność milionów mieszkańców Hongkongu, którzy najlepiej znają Chiny kontynentalne, mnie przekonuje. Wolą nawet być martwi niż czerwoni!

Miesiąc próby sił i nerwów

opr. Stanisław Florian

Związkowcy WZZ „Sierpień 80" nerwowo reagują na sytuację po zawarciu kompromisowego porozumienia z udziałem ministra Sasina. Dowodzi tego informacja na stronie internetowej tego Związku:

Warunkowe porozumienie w PGG

Związki zawodowe działające w Polskiej Grupie Górnicze podpisały dziś (8 maja 2020 r.) warunkowe, próbne i czasowe porozumienie z zarządem spółki. Zakłada ono, że przez najbliższy miesiąc wszystkie piątki wolne będą od pracy, co niesie za sobą obniżenie wynagrodzeń o 20%. To porozumienie tylko na miesiąc, a nie na trzy. jak chciał zarząd PGG. (…) uzależniamy zgodę na dalsze skrócenie tygodnia pracy pod warunkiem, że do 10 czerwca PGG przedstawi program dalszego funkcjonowania spółki do końca bieżącego roku. (…) jesteśmy skłonni ponosić wyrzeczenia, jednak nie na darmo, ale pod warunkiem gwarancji pracy. (…) poszliśmy na ustępstwa, bo chcemy uratować tę firmę i miejsca pracy.

Musi być program naprawczy! Musi być naprawa, poprawa i wyeliminowania patologii. Samym centrum tej patologii jest centrala Polskiej Grupy Górniczej. To w siedzibie PGG w Katowicach kwitnie kolesiostwo, układy, biurokracja i marnotrawienie pieniędzy. Gdy w kopalniach PGG zmniejszano zatrudnienie górników, w siedzibie PGG i w administracjach kopalń je zwiększano. Zatrudnia się tam znajomych królików, radnych, różne gwiazdy i gwiazdeczki. Nic nie robią, mają się jak pączki w maśle i korzystają z różnych przywilejów. Trwa rozpasanie urzędasów PGG. To klasa próżniacza. zbędna, mało wartościowa. Ale za to z niemałym wynagrodzeniem. Przez lata nic nie robią, tylko się pasą i poszerzają swoje przywileje. PGG ma obecnie imponującą flotę leasingowanych samochodów. Jest ich jakieś 50-60. Do tego wszystkiego pozatrudniani kierowcy, alby wozili zadki prezesów, dyrektorów i innych nierobów. Biuro zarządu PGG to według różnych szacunków nawet 1000 pracowników. (…) Parzykawy, pierdzistołki, nositeczki, armia asystentów. Trzeba przebić tę ich bańkę.

W siedzibie PGG w Katowicach kwitnie kolesiostwo, układy, biurokracja i marnotrawienie pieniędzy. Gdy w kopalniach PGG zmniejszano zatrudnienie górników, w siedzibie PGG i w administracjach kopalń je zwiększano.

(…) Przez kolesiostwo nie wprowadzono po dziś dzień masowego odsyłania na zasłużoną emeryturę tych pracowników, którzy od dawna mają nabyte prawa emerytalne. Doskonałym tego przykładem jest kopalnia Wujek. Ma ogromne problemy i jest na liście tych, które mają być likwidowane, ale nasycenie emerytów na metr kwadratowy w tej kopalni jest największe w całej PGG. Nie inaczej jest w innych kopalniach spółki. Emeryci, choć mogliby odejść, cały czas biorą ogromną kasę, bo to głównie wyższy dozór i kierownicy kopalń. Porządek trzeba zrobić także ze spółkami zewnętrznymi, które zatrudniają emerytów, odbierając nam pracę. Nie może być tak, że natychmiast po tym, jak ktoś uzyskuje emeryturę, zatrudnia się w takiej spółce i wraca na kopalnię. Robotę po takich spółkach i tak musimy wykonywać my!

Co z Wami w centrali jest nie tak? Centrala PGG zaczyna przypominać klub towarzyski (żeby nie użyć innego sformułowania). Jeśli zarząd sobie nie radzi, to niech skorzysta z dobrej rady klasyka i zmieni pracę. Kredytu brać nie musi, bo przez ostatnie lata panowie prezesi obłowili się niemało, robiąc bardzo mało.

Dokończenie na str. 4

Katastrofa górnicza na szybie „Zimnol"
„Świętochłowice stały się sławne przez nieszczęście w kopalni i gazety całego świata o nich piszą". Niezwykłą, bo szczęśliwie zakończoną katastrofę górniczą z końca XIX w. opisuje **Renata Skoczek**.
2

Tworzywa sztuczne a środowisko
Tworzywa sztuczne są na biegunach, w stratosferze, w organizmach morskich, lądowych, w tym ludzkich, w śniegu i deszczu. Jak radzić sobie z tymi pożytecznymi przecież materiałami, radzą **Jacek**, **Karol** i **Michał Musiałowie**.
3

Marksizm kulturowy w zakrystii (III)
Ks. Tischner: „Kie jedyn i drugi chce dójść prowdy, to z tego ino bitki powstojom. Nie prowdy sukoj, ale kolegów". Łacińska sentencja: „Platon przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda". **Herbert Kopie**c o groźbie „słabego myślenia".
5

Górny Śląsk a wojna polsko-bolszewicka na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej"
Jaroslav Hašek ukształtował stereotyp „Lechity" nad Wełtawą, prezentując Naczelnika w krzywym zwierciadle przesądów i niewiedzy oraz obaw o czeski stan posiadania na Śląsku Cieszyńskim. **Zdzisław Janeczek** opisuje emocje wokół Śląska przed plebiscytem.
6, 7 i 12

Rosyjsko-czeski konflikt pamięci
Armia Czerwona weszła do już wolnej Pragi. NKWD rozstrzelało rannych w walkach z Niemcami rosyjskich żołnierzy ROA. Zaczęto tropić czeskich antykomunistów. Historyczne tło zaognienia stosunków rosyjsko-czeskich rysuje **Mariusz Patey**.
8–9

Przyszłość Ukrainy: „niemiecki garnuszek" czy przyjaźń z Polską?
Wielu mieszkańców współczesnej Ukrainy nie wie, kim jest — badania socjologiczne w 1994 r. w Doniecku wykazały, że największa grupa w tym mieście to „ludzie radzieccy". Zakończenie cyklu opracowań **Stanisława Orła** o dziejach nacjonalizmu ukraińskiego.
9

Wołodymir Oskiłko – rywal Symona Petlury
Postać ukraińskiego patrioty, zwolennika współpracy z Polską, który dwukrotnie – bez powodzenia – usiłował zająć miejsce Symona Petlury i został zamordowany przez nieznanych sprawców w tym samym czasie, co on, przypomina **Sergij Porowczuk**.
12

ind. 298050

W czerwcu 1884 r. Świętochłowice trafiły na pierwsze strony gazet. Wydarzeniem, które spowodowało, że mała osada przemysłowa na Górnym Śląsku, licząca niespełna siedem tysięcy mieszkańców, stała się temat licznych doniesień prasowych, była niezwykła katastrofa górnicza na szybie „Zimnol" w kopalni „Deutschland". Górnośląska prasa informowała czytelników, że „Świętochłowice stały się sławne przez nieszczęście w kopalni i gazety całego świata o nich piszą".

Katastrofa górnicza na szybie „Zimnol"

Renata Skoczek

Szyb wydobywczy „Zimnol", nazwany tak od dawnego właściciela gruntu Szymona Zimnola, wchodził w skład kopalni węgla kamiennego „Deutschland" i znajdował się na terenie dzisiejszego centrum miasta w okolicach Plant i ulicy Bytomskiej. Wyrobisko o głębokości około 70 metrów było na tyle płytkie, że górnicy schodzili pod ziemię i wychodzili na powierzchnię po drabinach. Czerwiec 1884 roku na Górnym Śląsku był zimny i deszczowy. Pomiędzy 18 a 20 dniem tego miesiąca padało niemal bez przerwy. Na skutek opadów deszczu poziom wody w rzece Rawie oraz znajdującym się nieopodal stawie, do którego spływała woda wypompowywana z kopalni, znacznie się podniósł. W piątek 20 czerwca o godzinie 15.30, kiedy górnicy kończyli dniówkę i zaczęli przygotowywać się do wyjścia na powierzchnię, ziemia znajdująca się pod ogromnym rozlewiskiem wodnym osunęła się. Woda zmieszana z piaskiem i ziemią – tak zwana kurzawka – przedarła się w głąb ziemi, powodując zawalenie się chodników kopalnianych i ich zamulenie grubą warstwą szlamu.

W pierwszych godzinach po zawale nie była znana dokładna liczba zasypanych górników. Wkrótce ustalono, że pod ziemią zostało 43 mężczyzn. Czternastu z nich pochodziło ze Świętochłowic, pozostali mieszkali w osadach z terenu dzisiejszej Rudy Śląskiej. Wieść o katastrofie szybko obiegła okolicę i na miejscu tragedii zebrał się tłum, a w nim rodziny i bliscy zasypanych górników. Następnego dnia do Świętochłowic zjechał właściciel kopalni hrabia Guido Henckel von Donnersmarck oraz przedstawiciele władz państwowych i urzędów górniczych, którzy rozpoczęli prace nad planem akcji ratunkowej. Prawdopodobieństwo uratowania zasypanych górników było niewielkie. Rozmiary zniszczeń na kopalni pozwalały przypuszczać, że jeśli nie zginęli podczas zawału, to grozi im śmierć głodowa lub z braku powietrza, zanim kolumna ratunkowa zdoła usunąć wodę i oczyści korytarze. Ostatecznie pod wpływem proboszcza z parafii św. Augustyna w Lipinach, ks. Józefa Michalskiego, oraz tłumu błagającego o ratunek, zdecydowano o podjęciu próby dotarcia do zasypanych ludzi, żywych lub umarłych.

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTAŃ ŚLĄSKICH W ŚWIĘTOCHŁOWICACH

Górnicy uratowani z katastrofy na szybie „Zimnol"

Na miejsce katastrofy przyjechały jednostki straży pożarnej z pobliskiej Królewskiej Huty i Bytomia, z Mikulczyc sprowadzona została specjalna pompa wodna, która dniem i nocą pompowała z szybu wodę. Rządowe kopalnie i huty z najbliższej okolicy dostarczyły sikawek, węży, maszyn do wpuszczania powietrza i innego sprzętu. Po trzech dniach wytężonej i nieprzerwanej pracy szyb „Zimnol" został osuszony. Drogę do zasypanych górników odgradzały jednak ogromne masy ziemi i mułu. Po pięciu dniach żmudnej i ciężkiej akcji ratowniczej dyrekcja kopalni – z uwagi na wysokie koszty – wydała decyzję o wstrzymaniu dalszych prac, pomimo błagań ze strony rodzin. Urzędnicy byli przekonani, że nie ma szans na odnalezienie żywych górników. Ks. Michalski osobiście podjął się negocjacji z władzami górniczymi i udało mu się nakłonić dyrekcję kopalni do przedłużenia akcji ratunkowej o dwadzieścia cztery godziny.

Kiedy zbliżała się ostateczna godzina zakończenia poszukiwań, pięciu ratowników natrafiło na ślady zasypanych górników. Po przeszukaniu chodnika i głośnych nawoływaniach usłyszeli głosy żyjących kolegów. 26 czerwca około godziny 13 odnaleziono ośmiu wyczerpanych, ale żyjących górników, którzy spędzili pod ziemią sześć dni i siedem godzin. Dzięki informacjom uzyskanym od jednego z uratowanych ratownicy dowiedzieli się, że pozostali mężczyźni uniknęli śmierci i czekają na pomoc. Akcja ratownicza ruszyła ze zdwojoną siłą i w piątek około godziny 7 rano odnaleziono pozostałych 35 robotników. Uratowanych ludzi wydobyto na powierzchnię w obecności kilkutysięcznego tłumu. Wyczerpanym górnikom tuż po dotarciu do nich podano czerwone wino, a na powierzchni otrzymali gorący posiłek – zupę z mięsem i jajkami. Radca górniczy z Wrocławia wygłosił mowę, a tłum odmawiał modlitwy dziękczynne i śpiewał pieśni po polsku i niemiecku. Górnicy zostali odwiezieni do domu sypialnego, gdzie zbadał ich lekarz. Następnego dnia przewieziono ich do szpitala w Królewskiej Hucie, gdzie zostali poddani szczegółowym badaniom. Uratowani nie mieli obrażeń zewnętrznych, lecz byli bardzo osłabieni, a jeden z nich chorował na tyfus.

W niedzielę 30 czerwca w kościele św. Barbary w Królewskiej Hucie zostało odprawione nabożeństwo dziękczynne za szczęśliwe uratowanie górników. Takie samo odbyło się tydzień później w kościele parafialnym w Lipinach. Uczestnicy akcji ratunkowej, oprócz podziękowań od cesarza Wilhelma I, otrzymali odznaczenia, a właściciel kopalni przeznaczył dla ratowników niebagatelną kwotę 1000 marek jako nagrodę. Rekonwalescenci przebywający w szpitalu stali się sławni na całym świecie, a gazety informowały szczegółowo o stanie ich zdrowia. 10 i 11 lipca wszyscy mężczyźni opuścili szpital i przemaszerowali w odświętnych mundurach górniczych do miejscowego zakładu fotograficznego, gdzie fotograf Julius Tschentscher wykonał każdemu z nich zdjęcie portretowe. Dwa tygodnie później miejscowa gazeta informowała, że atelier opuściło okazałe tableau z wizerunkami 43 górników oraz ich ratowników, które miało upamiętniać zakończoną sukcesem akcję ratunkową. 19 lipca górnicy zostali razem sfotografowani na zdjęciu wykonanym przez innego fotografa, który pracował na zlecenie cesarzowej Augusty. Żona cesarza Wilhelma I opłaciła zdjęcia dla każdego z ocalałych górników, aby otrzymali je jako pamiątkę tragicznych wydarzeń i cudownego ocalenia. W sierpniu wszyscy górnicy powrócili do pracy w kopalni, a miejscowa gazeta rozpoczęła drukowanie w odcinkach obszernej relacji po tytułem *Dzieje górników zasnutych w kopalni przez nich samych spisane*.

FOT. ZE ZBIORÓW GRZEGORZA WYSOCKIEGO

Kościół pw. Świętych Piotra i Pawła w Świętochłowicach

Tuż po katastrofie na nowo odżyły starania mieszkańców Świętochłowic o wybudowanie własnej świątyni, bo do tej pory uczęszczali do oddalonego o 3 km kościoła pw. św. Barbary w Królewskiej Hucie. Pomysł narodził się kilka lat wcześniej, ale dopiero cudowne ocalenie 43 górników pozwoliło zintensyfikować działania. 29 czerwca 1884 roku w święto Piotra i Pawła na posiedzeniu zarządu kościelnego parafii królewskohuckiej zapadła decyzja, że zostanie postawiony kościół wotywny pod wezwaniem tychże świętych. Po kilku latach i wielu trudnościach związanych ze zgromadzeniem niezbędnych funduszy, udało się rozpocząć budowę świątyni, a 29 września 1891 roku odbyło się poświęcenie kościoła, którego dokonał ks. Józef Michalski z parafii w Lipinach. Dziesięć lat po katastrofie na szybie „Zimnol" w 1894 roku kardynał Kopp utworzył dla gminy Świętochłowice samodzielną parafię pod wezwaniem Apostołów Piotra i Pawła z wszystkimi prawami i przywilejami.

W cieniu wyborów prezydenckich na polskich uczelniach wyższych dokonują się, niemal w ciszy, wybory władz akademickich. Fakt, że w czasach zarazy trzeba nosić maseczki, a głośne mówienie skutkuje rozsiewaniem wirusa, ale czy milczenie nie jest czasem wywołane obawą o rozpowszechnienie wirusa prawdy?

Pandemiczne wybory akademickie

Józef Wieczorek

Zapewne z tej przyczyny trwające wybory rektorskie odbywają się niemal w ciszy medialnej. Lepiej, jak się o nich nie mówi, lepiej, jak na stanowiska rektorskie jest tylko po jednym kandydacie, bo inaczej w walce o fotele coś by mogło zostać ujawnione. A tak, głosząc w dobie pandemii nadrzędność dobra wspólnego, można na lata opanować fotel rektorski i decydować o tym, co może, a co nie może wyjść na światło dzienne. Wielkie osiągnięcia w tej materii ma wzorcowa dla innych uczelnia, najstarsza w Polsce – zwana perłą w koronie nauki polskiej.

Od lat ma miejsce degradacja uniwersytetów, elit na nich formowanych – co widać i przy wyborach prezydenckich, gdzie jest co prawda wielu kandydatów, ale i tak nie ma z kogo wybierać. Takie mamy elity.

Od ponad 30 lat żyjemy podobno w wolnej już Polsce, ale archiwa akademickie Polski zniewolonej w czasach PRL jeszcze wolności nie odzyskały. Są uczeni, którzy argumentują słusznie, że „dostęp do zbiorów archiwalnych jest nie tylko barometrem swobody badań naukowych, lecz i demokracji" („Kurier WNET", 65/2019).

Skoro więc nie ma dostępu do zbiorów archiwalnych, i to ważnych dla poznania funkcjonowania uniwersytetu w systemie zniewolenia, to znaczy, że nie odzyskaliśmy swobody badań naukowych i na uniwersytecie nie funkcjonuje system demokratyczny. Baronowie nauki polskiej nawet się z tym nie kryją, twierdząc, że nauka nie jest demokratyczna, lecz arystokratyczna, korzystają z tego, a nawet zabezpieczają sobie prawnie taki stan rzeczy. U nas arystokratów (naukowych) tylko arystokrata może opiniować, a demokrata (naukowy) lepiej niech siedzi jak mysz pod miotłą, bo inaczej arystokratą nigdy nie zostanie!

Ten system, funkcjonujący od lat, jeszcze umocnił za pomocą tzw. Konstytucji dla nauki, zainstalowanej przez b. ministra nauki Jarosława Gowina – tego, który oświadczył, że będzie się kładł Rejtanem w obronie ideologii (gender), nie mając przy tym zamiaru nawet palcem w bucie ruszyć w obronie nauki degradowanej patologiami, zasłaniając się brakiem kompetencji, o którą, tworząc Konstytucję dla nauki, nawet nie zabiegał.

Żeby nie być posądzonym o jedynie subiektywne odczucia, przytoczę opinię jednego z profesorów: „Rektor może z pracownikiem zrobić wszystko: zwolnić go pod byle pretekstem, przenieść na niższe stanowisko, zabrać mu zakład lub katedrę, zablokować pieniądze na projekt badawczy, nie przyznać nagrody etc. Na szczeblu wydziałów namiestnikami rektorów stali się, mianowani przez nich (w praktyce) dziekani… Senaty sprowadzane są coraz mocniej do roli ciał dekoracyjnych (uroczystości akademickie, togi, łańcuchy, berła etc.), a ich członkowie (z pewnymi wyjątkami) milczą. Większość pracowników naukowych boi się więc narazić władzom uczelni i też milczy. Strach jest potężny i wszechobecny" (prof. Wojciech Polak, fronda.pl, 17.05.2020). Taką opinię osobiście podzielam i wiem, że wielu – i to nawet z naukowego Olimpu – ma podobne zdanie.

Rzecz w tym, że na uczelniach „strach jest potężny i wszechobecny", stąd takie opinie rzadko trafiają do mediów, które zresztą koncentrują się na ukazywaniu/potęgowaniu strachu przed wszechobecnym koronawirusem, potęgę wszechobecnego strachu akademickiego niemal lekceważąc.

Wybory akademickie w toku, wielu rektorów już wybrano, choć wybory rektorskie bywają fikcją, podobnie jak konkursy na stanowiska uczelniane, bo do wyborów (podobnie jak do ustawianych konkursów) staje na ogół tylko jeden kandydat. Uczelnią musi kierować rektor, więc samojeden kandydat musi być wybrany, bez względu na to, co sobą reprezentuje i co z niego uczelnia, a przede wszystkim nauka w Polsce, mieć będzie. Tak się dzieje od lat i od lat ma miejsce degradacja uniwersytetów, elit na nich formowanych – co widać i przy wyborach prezydenckich, gdzie jest co prawda wielu kandydatów, ale i tak nie ma z kogo wybierać. Takie mamy elity.

W wyborach na wzorcowej polskiej uczelni było co prawda na początku dwóch kandydatów na rektora, ale jeden z nich, argumentując, że uniwersytet powinien stanowić dla społeczeństwa wzór, jak wychodzić z kryzysu, podjął decyzję, aby w czasach pandemii wycofać swą kandydaturę.

Zatem wzorcem wyborów ma być brak możliwości wyboru akademika najlepiej nadającego się na rektora, z wyjątkiem tego jedynego kandydata, który w wyborach startuje. A jak zostanie wybrany, ma to znaczyć, że jest najlepszy. Czyli tak, jak się dzieje na ogół w wyborach/konkursach, także na nierektorskie stanowiska akademickie. Najlepsi to ci, których wybrano w ustawianych na nich konkursach.

I taki stan rzeczy jest niemal powszechnie, tzn. demokratycznie akceptowany. Co prawda kadencja rektorska trwa teoretycznie tylko cztery lata, ale często przedłuża się na lat osiem, bo możliwy jest wybór rektora na drugą kadencję i zwykle tak się dzieje. Nader często wybierani rektorzy mają już za sobą jedną, a zwykle dwie kadencje prorektorskie, a nierzadko bywali już rektorami na innych uczelniach. Mamy zatem coś w rodzaju wykształcania się zawodu rektora, podobnie jak wcześniej zawodu profesora i są nawet związki zawodowe profesorów, powstające zapewne po to, aby bronić profesorów sprawiających zawód swoim poziomem, tak intelektualnym, jak i moralnym. Można zatem oczekiwać, że i związki zawodowe rektorów też powstaną. Póki co rektorzy skupieni są w Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (KRASP), stojącej m.in. na straży dobrych praktyk akademickich, których sami bynajmniej nie mają zamiaru przestrzegać, o czym wielokrotnie w tym, a także poprzednim wieku pisałem i rektorom do wiadomości i pod refleksję przekazywałem. (vide: Blog akademickiego nonkonformisty). Bezskutecznie!

Po opanowaniu/ustaniu pandemii zmniejszy się wszechobecny strach przed koronawirusem, ale można sądzić, że wszechobecny strach przed władzą akademicką/rektorską nie ustąpi. Pozostanie na lata. Nakazu noszenia maseczek już nie będzie, ale nawyk milczenia pozostanie, obowiązujący nawet wtedy, kiedy należałoby krzyczeć wobec niegodziwości akademickich. I będzie to autonomiczny, demokratyczny wybór korporacji akademickich zarządzanych przez akademickich arystokratów. Tak sądzę.

Zmarł st. saper Roman Figiel, jeden z ostatnich żołnierzy gen. Maczka

FOT. MAŁGORZATA LUBBERS-DĄBROWSKA

Kolaż: Roman Figiel jako młody żołnierz i weteran, mieszkaniec Bredy

Roman Figiel urodził się 6 stycznia 1926 r. w górniczej rodzinie w Janowie (dziś dzielnicy Katowic). Po wybuchu wojny wraz z ojcem i dwoma braćmi został wysłany na roboty do Niemiec. Najstarszy z braci, gdy dowiedział się o współpracy swojej żony z Niemcami, podjął próbę ucieczki, pobił Niemców i został zastrzelony. Roman wraz z drugim bratem przedostał się na zachód Europy. Bratu udało się dostać do armii kanadyjskiej, ale on sam został schwytany przez Niemców. Jednak w czerwcu 1944 r. uciekł znów i trafił do Szkocji, do batalionu saperów 1 Dywizji Pancernej pod dowództwem niepokonanego (nie przegrał żadnej bitwy) gen. Stanisława Maczka. Walczył we Francji i w Holandii, a jego zadaniem była budowa i odbudowa mostów oraz ich rozminowywanie. To właśnie było jego główne zajęcie w Bredzie, wyzwolonej przez polskich żołnierzy 29 października 1944 r., gdzie Polacy przebywali przez 5 miesięcy. Po wojnie w tej właśnie Bredzie Roman Figiel pozostał i założył rodzinę.

Żołnierze gen. Stanisława Maczka są niezwykle szanowani w Holandii, a świadczą o tym choćby tłumy wdzięcznych Holendrów na uroczystościach wyzwolenia Bredy i wzruszające oprawy-hołdy przygotowywane z tej okazji przez holenderskich kibiców na stadionie piłkarskim.

Roman Figiel zmarł 10 maja 2020 roku. (sm)

Ś·L·Ą·S·K·I K·U·R·I·E·R WNET GAZETA NIECODZIENNA

Redaktor naczelny Kuriera Wnet Krzysztof Skowroński
ŚLĄSKI KURIER WNET
Redaktor naczelna Jadwiga Chmielowska · tel. 505 054 344
mail: slaski@kurierwnet.pl
Adres redakcji śląskiej ul Warszawska 37 · 40-010 Katowice

Stali współpracownicy Dariusz Brożyniak, dr Rafał Brzeski, dr Bożena Cząstka-Szymon, Barbara Czernecka, Piotr Hlebowicz, dr hab. Zdzisław Janeczek, Andrzej Jarczewski, Zbigiew Kopczyński, dr Herbert Kopiec, Tadeusz Loster, Stefania Mąsiorska, Jacek Musiał, Stanisław Orzeł, Mariusz Patey, Renata Skoczek, Józef Wieczorek, Peter Zhang

Korekta Magdalena Słoniowska
Projekt i skład Wojciech Sobolewski
Reklama reklama@radiownet.pl
Wydawca Spółdzielcze Media Wnet/Wnet Sp. z o.o.
Dystrybucja dystrybucja@mediawnet.pl

Nr 72 · CZERWIEC 2020 (Śląski Kurier Wnet nr 67)
Adres redakcji ul. Zielna 39 · 00-108 Warszawa redakcja@kurierwnet.pl
Data i miejsce wydania Warszawa 30.05.2020 r.
Nakład globalny 10 000 egz.

ISSN 2300-6641 06
9 772300 664015
ind. 298050

Ten artykuł nie ma na celu potępienia plastików. Tworzywa sztuczne to materiały cechujące się unikalnymi właściwościami i łatwością obróbki. Inne surowce: metale, drewno i ceramika również wnoszą negatywny wkład do środowiska. Postulowane przez ekologistów wycofanie tworzyw, które przecież trzeba by czymś zastąpić, może spowodować znacznie większe szkody.

Tworzywa sztuczne a środowisko

Jacek Musiał · Karol Musiał · Michał Musiał

FOT. JACEK MUSIAŁ JR

Tworzywa sztuczne, popularnie zwane plastikiem, to najczęściej polimery uzyskiwane z ropy naftowej, gazu ziemnego lub gazu syntezowego w dziale przemysłu chemicznego, zwanym wielką syntezą, i w większości są pochodnymi węglowodorów. Część tych związków chemicznych spotykana jest naturalnie w przyrodzie, choć w znikomych ilościach. Obok metali, drewna i ceramiki, tworzywa sztuczne są podstawowym i tanim surowcem z wielorakimi zastosowaniami.

Jak się szacuje, do dnia dzisiejszego na świecie wyprodukowano około 10 mld ton tworzyw sztucznych. Z czasem wszystkie materiały i przedmioty z tworzyw sztucznych ulegają zużyciu technicznemu lub tzw. moralnemu i trafiają na wysypiska. Z uwagi na niezbyt dużą gęstość (masę właściwą), a szczególnie tzw. gęstość nasypową tworzyw sztucznych (proszę sobie wyobrazić w tym miejscu górę nawet sprasowanych butelek lub innych opakowań z tworzyw sztucznych), są one niezwykle dokuczliwe na wysypiskach śmieci. Drugim problemem, jaki stwarzają masowo produkowane tworzywa, są zanieczyszczenia pyłowe (mikroplastik) oraz uwalniane do atmosfery gazowe produkty ich rozpadu. Dokonuje się to podczas celowego ich spalania w instalacjach bądź na wysypiskach jako zdarzenie niezamierzone lub przestępcze. Z jednej strony do poważnych szkód ekologicznych prowadzi utylizacja tworzyw sztucznych. Z drugiej strony, począwszy od etapu wydobycia gazu ziemnego lub ropy naftowej do uformowania ostatecznej, plastikowej rzeczy, pojawia się cały szereg innych zagrożeń, może nawet jeszcze większych. O pomijanych, niewygodnych faktach tego początkowego etapu będzie innym razem.

Zamiatanie problemu pod dywan

Eksport odpadów z tworzyw sztucznych jest klasycznym zamiataniem problemu pod dywan, choć mniejszym niż przenoszenie fabryk do innych krajów z powodu emisji CO2 (jakby ten znał granice międzypaństwowe w atmosferze). Eksport plastikowych odpadów to albo prosty transfer tworzyw z wysypisk krajów bogatych na wysypiska krajów biednych, albo… w przypadku transportu morskiego odpady te nie zawsze docierają do oficjalnego kraju przeznaczenia, lecz znikają po drodze i stanowią cegiełkę w budowaniu tzw. wielkiej oceanicznej wyspy śmieci, obecnie już prawie 2 razy większej od Polski. Dopiero niedawno Międzynarodowa Konwencja o Zapobieganiu Zanieczyszczaniu Morza przez statki (MARPOL, zał. V z 31.12.1988 r.) oficjalnie zakazała wyrzucania odpadów z tworzyw ze statków do morza, lecz jej przestrzeganie jest trudne do weryfikacji. Obecnie główny spływ tworzyw sztucznych w postaci makro- i mikroplastiku odbywa się rzekami. Prym wiodą rzeki azjatyckie (Chiny, Indie, Indonezja, Filipiny, Wietnam). Według szacunków Scientific American, Chiny odpowiadają za zrzut do oceanów przynajmniej 30% zanieczyszczeń plastikiem w ilości 2,5 mln ton rocznie, zaś bardziej pesymistyczne dla Chin szacunki podają, że sama Jangcy wprowadza co oceanu 2,75 mln ton, co miałoby stanowić ponad 50% tworzyw sztucznych wprowadzanych do oceanów. W Europie największymi eksporterami plastików do krajów biedniejszych w 2018 roku były Niemcy (700 tys. ton), Francja i Belgia (po ponad 400 tys. ton).

> W przypadku transportu morskiego odpady nie zawsze docierają do oficjalnego kraju przeznaczenia, lecz znikają po drodze i stanowią cegiełkę w budowaniu tzw. wielkiej oceanicznej wyspy śmieci, już prawie 2 razy większej od Polski.

Wszechobecny mikroplastik

Najbardziej widowiskowe i rozpoznawalne społecznie są prezentacje, w których ekolodzy przedstawiają duże zwierzę morskie, np. żółwia, które zadławiło się większym kawałkiem makroplastiku. Makroplastik to tylko wierzchołek góry lodowej problemu tworzyw sztucznych w środowisku. Większym problemem są tryliony tych mniejszych, czasem niewidocznych gołym okiem fragmentów tworzyw sztucznych – mikro- i nanoplastiku. Zgodnie z przyjętą na świecie definicją, za mikroplastik uważa się fragmenty tworzyw sztucznych o arbitralnie przyjętych rozmiarach, których długość nie przekracza 5 mm. Mniejsze kawałeczki plastiku, poniżej 1 mikrometra [µm], określa się mianem nanoplastiku (gdyż wymiary jego podaje się w nanometrach [nm]).

Mikroplastiki dzieli się na pierwotne i wtórne. Pierwotne to takie, które już jako małe wprowadzane są do środowiska, na przykład w kosmetykach, pastach do zębów, jako mikrokuleczki nadające pożądane właściwości produktowi. Mikroplastiki wtórne to te, które już w środowisku powstają z procesów wietrzenia lub rozdrabniania większych kawałków. Szacuje się, że w oceanach obecnie znajduje się kilkaset tysięcy ton mikroplastiku w postaci kuleczek lub włókien, który, przypominając plankton, spożywany jest przez organizmy wodne kolejnych ogniw pokarmowych. Najważniejszym źródłem mikroplastiku w środowisku są zużywające się opony miliarda samochodów, uwalniające m.in. cząstki syntetycznego, styrenowo-butadienowego kauczuku. Źródłem podobnych cząstek jest też zużywające się obuwie noszone przez 7 miliardów ludzi na Ziemi. Drugim źródłem nieco innych drobin mikroplastiku są ścieki. Trafiają do nich włókna tkanin, obecnie często syntetycznych, oraz mikroperełki zawarte w mydłach, eksfoliantach, pastach do zębów, środkach do szorowania. Wprawdzie oczyszczalnie wyłapują ponad 90% mikroplastiku, jednak pozostałość trafiająca do rzek i mórz jest pokaźna. Ponieważ osady z oczyszczalni wykorzystywane są do nawożenia gleb, wspomniane 90% wraz z osadami trafia na pola i stąd uwalniane jest do środowiska.

Mikroplastik wtórny uwalniany jest z legalnych i nielegalnych wysypisk śmieci, z budowli krytych farbami i zawierającymi syntetyczne żywice tynkami, z makroplastików trafiających do oceanów, w tym opakowań po środkach chemicznych. Zawiera na swoich powierzchniach zanieczyszczenia w postaci farb, smarów, resztek substancji toksycznych, np. pestycydów. W pomieszczeniach mieszkalnych stężenie mikroplastiku jest kilkadziesiąt razy większe niż poza domem. Jego źródłem jest odzież oraz fragmenty tworzyw pochodzących z procesu wietrzenia farb pokrywających ściany, meble i ze zużycia przedmiotów domowych wykonanych z tworzyw sztucznych. Należy wspomnieć, że współcześnie nie odnawia się ścian jak dawniej – warstwą wapna malarskiego, lecz pokrywa się łatwiejszymi w użyciu i trwalszymi kolorystycznie produktami syntezy chemicznej – farbami, będącymi w istocie tworzywami sztucznymi.

Nierozwiązanym i niedocenianym zagrożeniem są pyły tworzyw sztucznych. Zaledwie po 100 latach obecności na Ziemi tworzyw sztucznych znajdywane są one nawet na biegunach, obecne są w stratosferze, w organizmach morskich, lądowych, w tym w tkankach ludzi. Stwierdzane są w opadach atmosferycznych śniegu i deszczu. Pyły mikroplastiku, obok innych pyłów pochodzenia antropogenicznego, tworzą w atmosferze aerozol cząstek stałych o nieokreślonym wpływie na klimat. Podobnie też tworzą jądra kondensacji dla pary wodnej. Wpływ antropogenicznych aerozoli na pogodę, a w przypadku wieloletniego występowania – na klimat może być korzystny lub niekorzystny. Możliwe, że obserwowane pewne globalne ocieplenie, z którego dobrodziejstw korzystamy w ostatnich latach, jest właśnie skutkiem emisji pyłów przez człowieka. W sytuacji jednak, gdy połączone lobby gazu ziemnego, energetyki jądrowej i tzw. OZE, zgodnie ze starym przysłowiem: „kowal zawinił, Cygana powiesili", wyznaczyły fikcyjnego sprawcę – dwutlenek węgla – lekceważy się wszystkie inne, bardziej prawdopodobne przyczyny globalnego ocieplenia.

Mikroplastik a zdrowie człowieka

Człowiek narażony jest na mikroplastik drogą kontaktową, pokarmową i wziewną. Przede wszystkim, stojąc na szczycie łańcucha pokarmowego, spożywa pokarmy roślinne i zwierzęce, w tym owoce morza, które wcześniej różnymi sposobami same włączyły mikroplastik w swoje organizmy. Człowiek spożywa mikroplastik zawarty w soli morskiej, ale również w pożywieniu, gdzie jego fragmenty trafiły w procesie produkcji z maszyn i opakowań. Fakt ten potwierdzono badaniami kału mieszkańców różnych krajów. Mikroplastik obecny jest w napojach w butelkach z tworzyw – powszechnie znana jest szkodliwość bisfenolu A (BPA). Woda pitna pochodząca z rurociągów wykonanych z tworzyw sztucznych, w początkowym okresie ich użytkowania również zawiera pewne ilości drobin tworzyw sztucznych.

Większe zagrożenie dla człowieka stanowi mikroplastik wchłaniany drogą oddechową. Szczególnie niebezpieczny wydaje się tu być tzw. nanoplastik, którego cząsteczki mogą migrować przez barierę włośniczkowo-pęcherzykową płuc do krążenia. Ten mikroplastik może na swojej powierzchni transportować przylepione o wiele bardziej toksyczne substancje. Nie można wykluczyć, że powszechna i narastająca obecność mikroplastiku stała się przyczyną światowej eksplozji chorób alergicznych. Mikroplastik podejrzewa się również o wywoływanie chorób nowotworowych, chorób psychicznych i autyzmu. Mikroplastik jest wszechobecny. Wydaje się (a może to tylko pozory), że populacyjnie jest jeszcze tolerowany. Ponieważ narażenie na mikroplastik jest w medycynie relatywnie nowe, na wnioski obserwacji naukowych przyjdzie nam jeszcze poczekać. Decydujące dla organizmu najpewniej okażą się dawka jednorazowa jak i dawka kumulacyjna.

Unikanie

Specjaliści od gospodarki odpadami od lat głowią się wspólnie z naukowcami, co zrobić z rosnącą górą odpadów tworzyw sztucznych. Najlepszym ekologicznie rozwiązaniem, proponowanym m.in przez Pawła Głuszyńskiego, przedstawiciela organizacji Zero Waste, jest tzw. unikanie lub zaniechanie, polegające na rozsądnym ograniczeniu własnych zachcianek, strojów, ozdób, ulegania chwilowej modzie, ideom hedonizmu, rezygnacja ze zbyt częstych zmian wyposażenia i malowania mieszkań i biur, częstsze zaś korzystanie z produktów trwałych, niejednorazowych.

Segregacja w granicach rozsądku

Po unikaniu, najważniejszym działaniem jest sortowanie odpadów. Wiele tworzyw sztucznych nadaje się do powtórnego wykorzystania, nawet 6-krotnego, choć za każdym razem w mniej odpowiedzialnych zastosowaniach, a najczęściej – jako dodatek do nowego surowca. Jednakże sortowanie ma swoje ograniczenia. Wiele tworzyw jest wielowarstwowych i niemożliwe jest ich rozdzielenie. Bywają trwale połączone z innymi materiałami, takimi jak papier lub metale. Wiele współczesnych produktów jest (niestety) wielowarstwowych – mają dzięki temu np. dobre parametry wytrzymałościowe, ale są koszmarem dla recyklingu.

Segregacja nie jest procesem zautomatyzowanym – nie zbudowano dotychczas robota potrafiącego rozdzielać różne rodzaje tworzyw sztucznych, na dodatek często występujących w trwałych połączeniach, np. zgrzanych. Ciężka i niewdzięczna praca, w warunkach towarzyszącego odoru, wykonywana jest manualnie przez robotników, a i im trudno rozróżnić poszczególne rodzaje tworzyw. Idealnej segregacji nie można przeprowadzić także z powodu wspomnianej wielowarstwowości wyrobów. Na wszystko nakładają się jeszcze zanieczyszczenia. Im dokładniej chcielibyśmy posegregować tworzywa do recyklingu, tym znaczniej ponosi się koszt. Do powtórnego wykorzystania idealnie nadają się jednorodne, czyste odpady przemysłowe. Do depolimeryzacji do oligomerów paliw najlepsze są tworzywa poliolefinowe: polietylen, polipropylen i polistyren. Nie nadają się zaś np. PCV czy żywice syntetyczne. Zawsze pozostanie sterta tworzyw, które nie wiadomo jak posortować lub z powodu zanieczyszczeń nie można na nie znaleźć nabywcy. I to chcieliby opodatkować unijni urzędnicy – teoretycy, którzy, jak się wydaje, nigdy osobiście nie byli na pierwszej linii w sortowni odpadów. A może istnieją inne rozwiązania?

Paliwa z odpadów plastikowych

Skoro tworzywa sztuczne powstają z polimeryzacji węglowodorów, to być może da radę zamienić je na powrót w węglowodory? Jest to jak najbardziej możliwe poprzez depolimeryzację do oligomerów metodami znanymi pod nazwą krakingu. Niestety bywa to kosztowne i zależy od rodzaju i jednorodności utylizowanego tworzywa. Na arenie europejskiej najlepiej o swój wizerunek recyklingu tworzyw sztucznych dba niemiecki koncern chemiczny BASF. Nie odbierając sławy tej firmie, należy zauważyć, że nie jesteśmy gorsi – od wielu lat odnośne technologie znane są też w Polsce. Kilka polskich instytutów naukowych badało i skutecznie testowało to zagadnienie, szczególnie w czasach i kontekście obaw o znaczny wzrost cen gazu ziemnego i ropy naftowej. Z ekonomicznego punktu widzenia opłacalność procesu wystąpiłaby dopiero w przypadku kilkakrotnego wzrostu wspomnianych cen. W ostatnim dziesięcioleciu jednak ceny paliw płynnych mają tendencję zniżkową. W Polsce bardziej znanym posiadaczem patentu na technologię jest firma Handerek Technologies, oferująca jednocześnie zdolność do przerobu odpadów tworzyw sztucznych na paliwa silnikowe w rozsądnej cenie, choć wciąż wyższej od paliw z ropy naftowej. W obecnych realiach ekonomicznych z odpadów tworzyw sztucznych wytwarzane są dodatki/komponenty do paliw (ponadto dodatki do farb, lakierów, smarów).

Na większą skalę produkcja paliw płynnych z tworzyw byłaby do sfinansowania, tak w Polsce, jak i na świecie, tylko w przypadku znaczących dotacji, co mogłoby nastąpić drogą decyzji polityków. Pomimo szczytnych haseł działań „proekologicznych" byłoby to jednak wbrew zasadom ekonomii i profesjonalnej ekologii. Obecne (rok 2020) kalkulacje produkcji paliwa płynnego z odpadów tworzyw sztucznych można zobrazować tak, jakby ktoś chciał z 3 litrów ropy naftowej zrobić 1 litr. Ponieważ ekologiści i część polityków, w tym europejskich, wydają się być dalecy od rozumienia zasad ekonomii i techniki, wyobrażalny jest każdy scenariusz.

Kompostowanie tworzyw sztucznych

Do rozkładania tworzyw sztucznych można wykorzystać drobnoustroje i organizmy wyższe. W naturze obserwowana jest erozja biologiczna materiałów budowlanych z tworzyw sztucznych. Zjawisko biologicznego rozkładu plastiku obserwuje się na wysypiskach i w zbiornikach wodnych. Dla celowej utylizacji nie nadających się do powtórnego wykorzystania tworzyw problemem jest powolność tych procesów. Zaangażowane muszą być różne organizmy, ostatecznym produktem jest CO_2 i (nie zawsze) metan lub wyższe węglowodory. Przemiana do CO_2 nie jest pożądana i to nie z powodu histerii strachu przed dwutlenkiem węgla, który jakoby miał spowodować wieszczone przez Ala Gore'a śmiertelne globalne ocieplenie, lecz jest czystym marnotrawstwem energii. Opracowanie bioreaktorów zdolnych do szybkiego przetwarzania nie nadających się do recyklingu tworzyw sztucznych do metanu (lub innych paliw) jest przedmiotem intensywnych badań instytutów biotechnologii. Teoretycznym niebezpieczeństwem, jakie może w przyszłości być związane ze zmutowanymi drobnoustrojami zdolnymi do szybkiej destrukcji tworzyw sztucznych, jest ich wydostanie się z reaktorów do środowiska.

Spalanie odpadów

Jak przedstawiliśmy, produkcja paliw z odpadów tworzyw sztucznych jest i prawdopodobnie będzie przez najbliższe 20 lat nieopłacalna. (Nie można wszakże wykluczyć, że po tym czasie wzrost cen nośników energii, globalne oziębienie oraz postęp biotechnologii odwrócą sytuację). Pozostaje zatem spalanie odpadów tworzyw sztucznych. Przede wszystkim nie jest wtedy wymagane precyzyjne ich sortowanie. Przestają być problemem tworzywa mieszane i wielowarstwowe. Nie przeszkadza, jeśli tworzywa są brudne, a nawet wymieszane z innego rodzaju odpadkami (śmieciami). Wartość energetyczna tworzyw sztucznych jest zbliżona do wartości energetycznej węgla. Są zatem pożądanymi surowcami energetycznymi. Wraz z innymi odpadami wykorzystywane są w spalarniach działających na zasadzie kogeneracji, to znaczy dostarczających i energię elektryczną, i ciepło użytkowe, czyli pracujących jako elektrociepłownie. W XX wieku największy problem podczas spalania tworzyw sztucznych stwarzały groźne zanieczyszczenia gazowe, w tym dioksyny i wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne. Przez lata stanowiły one zmorę spalarni i ich sąsiedztwa oraz barierę dla ich upowszechnienia (polecamy nasz artykuł o spalarniach odpadów, marcowy „Kurier WNET" 69/2020). Współcześnie budowane spalarnie to prawdziwe zakłady chemiczne, które skutecznie minimalizują zanieczyszczenia gazowe, powstające podczas spalania odpadów.

> Oczyszczalnie wyłapują ponad 90% mikroplastiku, jednak pozostałość trafiająca do rzek i mórz jest pokaźna. Ponieważ osady z oczyszczalni wykorzystywane są do nawożenia gleb, wspomniane 90% wraz z osadami trafia na pola.

Skup odpadów tworzyw sztucznych

Pełni funkcję ekologiczną, przyczyniając się do ograniczenia rozproszenia tworzyw sztucznych w środowisku. Pełni rolę ekonomiczną. Poprzez recykling przyczynia się do zmniejszenia zapotrzebowania na nowy surowiec, zmniejsza parcie importowe, a po posortowaniu cenniejszych frakcji dostarcza surowca energetycznego do elektrociepłowni. Najbardziej pożądanym surowcem do recyklingu byłyby odpady poprodukcyjne, gdyż jest to

Dokończenie na str. 4

Dokończenie ze str. 1

Miesiąc próby sił i nerwów

opr. Stanisław Florian

Jeszcze ostrzej brzmi tekst z 12 maja:

W górnictwie dramat i kpina, Eksportować Sasina do Putina!
Rząd Mateusza Morawieckiego w rzici ma górnictwo, górników, kopalnie i nasz węgiel. Nie obchodzi go to wcale. Zajmują się wyborami prezydenckimi, kolportażem, drukiem, pierdołami. Zrobią wszystko, by utrzymać się u koryta. Po trupach do celu, tu w sensie dosłownym. Po trupach kopalń i górnictwa. A może i górników…

Górnicy się poświęcili, oddali część swoich pensji. A co dał od siebie branży rząd Morawieckiego? Rząd „posła ze Śląska" ani myśli ratować kopalnie. Prędzej je pozamyka. W rządzie Mateusza Morawieckiego nie ma jednego inteligentnego i wartościowego człowieka, który na poważnie zająłby się górnictwem i energetyką. Jest za to cała armia miernych, ale wiernych i na synekury pazernych. O tak, to politykom (niezależnie od opcji) zawsze dobrze wychodziło. Poobsadzać wszystko swoimi ludźmi, niech dorwą się do tętnic i wysysają krew.

Rząd Morawieckiego obiecywał, zarzekał się, zaklinał na wszystkie świętości. Dziś chce zamykać kopalnie, zwalniać górników, a węgiel ochoczo brać od Putina lub z innej Kolumbii. Gotową energię elektryczną ze Szwecji lub od Merkelowej. Taka polityka zagraniczna. Bo rząd Mateusza Morawieckiego miłuje dziś Unię Europejską. Eurokraci, euroentuzjaści, brukselskie pieski. Europejski Zielony Ład? Oczywiście. Dekarbonizacja? Ależ proszę. Neutralność klimatyczna? Spoko. OZE? Naturalnie. Liżą buty UE i padają przed nią na kolana. Gest Lichockiej pokazują górnikom. Staniemy w obronie naszych miejsc pracy, naszego środowiska, naszej społeczności lokalnej, naszych wartości i sposobu życia.

Rząd posła „ze Śląska" jest winny dramatycznej sytuacji górnictwa węglowego. Absolutnie winny! Milczy o górnictwie także prezydent Andrzej Duda. Milczy albo „rapuje". Tu nie czas na rapy, gdy na Śląsku prawdziwe dramaty. Nie tak dawno pan prezydent gościł na karczmie piwnej górniczej Solidarności jako „Pierwszy Gwarek RP". Ostatnio zaś przewodniczący NSZZ Solidarność Piotr Duda, podpisując porozumienie wyborcze z prezydentem, powiedział w laudacji na cześć prezydenta, że „przez te pięć lat zawsze mogliśmy w trudnych sytuacjach liczyć na pana prezydenta". To jaka dziś jest sytuacja na Śląsku i w górnictwie, jeśli nie trudna? Jest bardzo trudna, zła i dramatyczna. Zaś panowie Morawiecki oraz Andrzej i Piotr Dudowie milczą.

Piotr Duda, podpisując porozumienie wyborcze z prezydentem, powiedział, że „przez te pięć lat zawsze mogliśmy w trudnych sytuacjach liczyć na pana prezydenta". To jaka dziś jest sytuacja na Śląsku i w górnictwie, jeśli nie trudna?

Ponosicie winę i odpowiedzialność za żniwo, które zbiera koronawirus pośród górników i ich rodzin. To na waszym sumieniu spoczywać będzie każda ofiara tej sytuacji, każda zarżnięta kopalnia. Bo woleliście zajmować się wyborami, zamiast zająć się górnictwem i ochroną ludzi. Bo mówiliście, że górnikom nic nie grozi, podparci zamówionymi przez siebie idiotycznymi ekspertyzami.

Hejt, jaki dziś wylewa się na Śląsk i górnictwo, jest olbrzymi. Faszyzacja języka względem Ślązaków i górników przeraża. Górnicy już wcześniej często byli chłopcami do bicia, czarnym ludem, ofiarami niesprawiedliwych ocen. Górnicy to nie zupa pomidorowa, by nas lubić lub nie. My jesteśmy ludźmi ciężkiej, niebezpiecznej, lecz uczciwej pracy. Ale dziś cierpią także nasze rodziny. Nasze żony, którym każe się przynosić zaświadczenia, że są zdrowe, bo inaczej nie będą dopuszczone do pracy. I nasze dzieci, które wytykane są palcami i traktowane jak zadżumione, jak roznosiciele zarazy, jak gorszej kategorii. I to tylko dlatego, że rodzic pracuje na kopalni. Proszę wytłumaczyć naszym dzieciom, że nie są gorsze, że nie są złe. Proszę im powiedzieć, że to wy zawaliliście, bo zajmowaliście wszystkim innym, lecz nie ochroną obywatela.

Czas zabawy się skończył. Musicie wiedzieć, że walczyć będziemy o każdą kopalnię i o miejsca pracy w nich. O przyszłość górnictwa i polskiego węgla spalanego w polskich elektrowniach, dających polską energię. A także o godziwe wynagrodzenia, byt dla naszych rodzin i szacunek do naszego zawodu, który dziś z waszej winy jest tak bardzo pomiatany.

Inny wymiar koronawirusowego kryzysu w kopalniach odsłania pismo z 17 maja wiceprzewodniczącego Komisji Zakładowej tego związku w Polskiej Grupie Górniczej, Rafała Jedwabnego do minister Marleny Maląg, ministrów Łukasza Szumowskiego i Jacka Sasina, wskazujące konkretne restrykcje prawne, ograniczające możliwość oddawania krwi i osocza w celu zwalczania epidemii przez górników-ozdrowieńców:

„Szanowni Państwo Ministrowie,
Komisja Krajowa Wolnego Związku Zawodowego „Sierpień 80 wyszła z inicjatywą apelu do górników-ozdrowieńców z covid-19/SARS-CoV-2 oraz koordynacji akcji oddawania osocza dla celów ratowania zdrowia i życia wielu ludzi zakażonych koronawirusem. Niezbędne są jednak zmiany legislacyjne. Oczekujemy tu natychmiastowego wsparcia i pomocy.

Masowe testy przesiewowe wykonywane pośród górników zatrudnionych w kopalniach węgla kamiennego na Górnym Śląsku wykazały bardzo dużą liczbę zachorowań pośród tej grupy zawodowej. Jednocześnie cieszy fakt, że górnicy przechodzą chorobę w sposób lekki, niezagrażający życiu i szybko powracają do zdrowia. Wyleczeni mogą uratować życie wielu innych osób. Jak powszechnie wiadomo, osocze pobrane od osoby z przebytym zakażeniem koronawirusem może być wykorzystane do leczenia innych, w szczególności w 3. fazie choroby. W terapii wykorzystane są przeciwciała, które wytworzył układ immunologiczny tej osoby w odpowiedzi na zakażenie. Górnicy mogą w tym pomóc.

WZZ Sierpień 80, działający w górnictwie węgla kamiennego, po dzisiejszej konsultacji i wspólnym briefingu prasowym z doktorem Zbigniewem Królem, Dyrektorem ds. Klinicznych i Naukowych Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie, który to briefing odbył się przed Kopalnią Węgla Kamiennego Murcki-Staszic w Katowicach, gotów jest do wsparcia akcji zachęcania górników-ozdrowieńców do oddawania osocza.

Niestety sprawy me ułatwia nam fakt, ze górnicy jako jedyna grupa zawodowa w Polsce muszą odrabiać każdy dzień poświęcony (m.in.) na honorowe krwiodawstwo, celem uzyskania uprawnień do emerytury. Jest to olbrzymi skandal i niesprawiedliwość, a odbywa się to w sytuacji, gdy krwi brakuje. Górnicy, znani ze swojej ofiarności i solidarności, dziś hejtowani za masowe testy i szokujące statystyki zakażeń, muszą mieć tę zachętę do oddawania osocza i krwi, aby anulować im (tak jak wszystkim innym) przymus odrabiania dnia wolnego poświęconego honorowemu krwiodawstwu. Należy zwrócić pracownikom zakładów górniczych wcześniejsze uprawnienia. Oddawanie własnej krwi celem ratowania zdrowia i życia innych osób nie może spotykać się z represjami. Chyba to Państwo rozumiecie i podzielacie nasz punkt widzenia?

Oczekujemy natychmiastowej reakcji w tej sprawie".

Natomiast w wywiadzie dla „Super Expressu" przewodniczący WZZ Sierpień 80 Bogusław Ziętek stwierdził, że „rząd, zamiast reagować na takie sytuacje, bawi się w jakieś porównania Śląska do Lombardii. Dla mnie jest to karygodne, bo górnicy, który teraz są zarażeni, nie chwycili wirusa w ogródkach piwnych, tylko podczas pracy, na dole, w kopalniach, bo tam zostali wysłani. Nie przygotowano jakichkolwiek procedur na tego rodzaju sytuacje, bo nie przygotowano się na tego rodzaju zdarzenia w dużych zakładach pracy. I teraz dochodzi w nich do masowej erupcji zakażeń. Dochodzi, bo musi dochodzić w tak dużych skupiskach ludzi. Jeszcze nie tak dawno mister odpowiedzialny za górnictwo bredził o jakiejś opinii, w myśl której w kopalniach nie może dojść do zarażeń, bo tam panują takie warunki, w których koronawirus nie może się rozwijać".

Po ogłoszeniu porozumienia programowego Solidarności z Prezydentem – w artykule dla „Tygodnika Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ Solidarność" Bogusław Mączka, przewodniczący Solidarności w kopalni Sośnica, gdzie już w połowie kwietnia związkowcy Solidarność-80 zgłaszali zagrożenia epidemiczne, powiedział m.in.: „Obawialiśmy się, że zakażenia pojawią się wśród pracowników kopalni, choć mieliśmy nadzieję, że mimo wszystko jakoś nas to ominie. Podjęte środki bezpieczeństwa naprawdę mogły robić wrażenie, ale z drugiej strony, każdy, kto pracował na dole, wie, że pewnych sytuacji nie można uniknąć. To nie jest szpitalna sala operacyjna"…

O tym, że oprócz nerwowych reakcji górniczych związków zawodowych atmosferę w kopalniach próbują podgrzać „nieznani sprawcy", świadczą plotki, że w tejże kopalni Sośnica, całej PGG i Jastrzębskiej Spółce Węglowej ci górnicy, u których potwierdzono zakażenie, zaczęli dostawać wypowiedzenia. Ludzie jakoby się skarżą, że masowe badania i następujące niby po nich zwolnienia to represje na górnikach za to, że związki zawodowe nie zgodziły się na wyjściową propozycję Zarządu PGG i ministra Sasina w sprawie porozumienia koronakryzysowego. Jednak związkowcy nie potwierdzają takich sygnałów, zaprzeczają też władze PGG. Potwierdza to fejkniusowy charakter tych plotek.

Może to świadczyć albo o narastającej wśród górników frustracji, albo o próbach wywołania wybuchu społecznego w kopalniach, aby go wykorzystać do nędznych gierek politycznych przed ponownie ogłoszonymi wyborami prezydenckimi. Trzeba mieć nadzieję, że w takie manipulacje górnicy nie pozwolą się wkręcić!

Będziemy się bacznie przyglądać tej nadzwyczajnej sytuacji…

Rozmowa z Przewodniczącym Komisji Krajowej NSZZ Solidarność-80, Markiem Mnichem, o koronakryzysie w kopalniach węgla kamiennego na Śląsku.

FOT. KOMISJA KRAJOWA ZWIĄZKU ZAWODOWEGO SOLIDARNOŚĆ 80

Stanisław Florian: **Czy Solidarność-80 jest zaskoczona skalą zachorowań na koronawirusa w kopalniach?**

Marek Mnich: Komisja Krajowa NSZZ Solidarność-80 nie jest zaskoczona skalą zachorowań na koronawirusa w kopalniach. Jako przewodniczący, a zarazem pracownik kopalni, mam na co dzień styczność z sytuacją wewnątrz kopalni. Doskonale znam specyfikę pracy górnika, w której bardzo trudno jest zachować odpowiednie środki ostrożności narzucone przez Państwową Inspekcję Sanitarną. Dlatego obawiałem się, że prędzej czy później do zachorowań na kopalniach dojdzie. Pewne sugestie z tym związane, kierowane ze strony związków zawodowych, niekoniecznie były brane pod uwagę przez Zarząd PGG i wojewódzki sztab kryzysowy.

Kiedy mieliście pierwsze sygnały, że są zachorowania wśród górników? Kogo o tym informowaliście i jakie były reakcje?

Pierwsze sygnały mieliśmy w końcu kwietnia, kiedy pracownicy zwracali się do nas z informacjami, że sami stwierdzili u niektórych podawane przez media symptomy zakażenia koronawirusem. O sygnałach od pracowników niezwłocznie informowaliśmy kierownictwo kopalni, a kierownictwo kopalni tę informację przekazywało dalej, do specjalnie powołanego w Polskiej Grupie Górniczej sztabu. Otrzymywaliśmy informacje o powziętych działaniach związanych z ograniczeniem wydobycia, ograniczeniem ilości pracowników, zachowywaniem odpowiedniej odległości między pracownikami w łaźniach, klatkach szybowych, środkach transportu, w których przemieszczają się na stanowiska pracy, oraz na samych stanowiskach pracy.

Co może być przyczyną takiej liczby zachorowań wśród górników?

W tym momencie trudno jednoznacznie stwierdzić, co jest przyczyną takiej liczby zachorowań wśród górników, ponieważ należy pamiętać, że nie zostali oni odizolowani czy skoszarowani, a co za tym idzie, czynnie uczestniczyli w codziennym życiu społecznym, np. robili zakupy, przemieszczali się do zakładu pracy i z zakładu pracy różnymi środkami komunikacji. Tak więc mogli się zarazić w wielu innych miejscach, nie tylko na kopalni.

Czy jest, według Was, związek między sygnalizowanym przez górników – na przykład w wywiadzie dla Onetu – początkowym lekceważeniem problemu przez władze PGG a presją na związki, aby podpisały porozumienie o obniżeniu czasu pracy i wynagrodzeń?

Moim zdaniem nie powinno się tych dwóch wątków ze sobą łączyć, ponieważ presja zarządu i rządu na związki zawodowe, aby podpisać porozumienie mówiące o 4-dniowym tygodniu pracy i obniżeniu wynagrodzeń o 20%, była spowodowana ogłoszeniem epidemii covid-19, co nie ma bezpośredniego wpływu na ilość zachorowań wśród górników, a wiąże się z trudną sytuacją całego sektora węgla kamiennego, wynikającą z obniżenia zapotrzebowania na energię elektryczną spowodowanego wstrzymaniem produkcji w wielu zakładach i przedsiębiorstwach. Co jednak nie przeszkadza to spółkom Skarbu Państwa w importowaniu węgla z zagranicy, a w szczególności z Rosji.

Porozumienie, które zawarliśmy w PGG na jeden miesiąc, mówiące o obniżeniu wynagrodzenia, jest uwarunkowane przedstawieniem przez Zarząd PGG informacji, w jakim kształcie widzi on funkcjonowanie tejże spółki do końca roku 2020. Na tym etapie nie jesteśmy w stanie powiedzieć, jakie dalsze kroki podejmą centrale związkowe.

Jak zareagujecie, kiedy porozumienie wygaśnie, a stan epidemii będzie nadal trwał?

Warunkiem w miarę normalnego funkcjonowania w tych realiach kopalń, na których stwierdzono większą ilość zachorowań, jest podwójny wynik ujemny pracownika, który miał wykonany wymaz. Informacje medialne, że w związku ze zwiększoną ilością zachorowań na Śląsku, a w szczególności wśród górników, rząd może planować kolejne łagodzenie obostrzeń w innych województwach, a zaostrzanie rygorów w województwie śląskim, mogą oczywiście spowodować niepokój społeczny. Jestem przekonany, że gdyby wykonano taką jak na Śląsku ilość testów w województwach, które mają mniejszą liczbę zachorowań, to na pewno ogniskiem tychże zachorowań nie byłby Śląsk i górnicy. Mogłoby się okazać, że w pozostałych województwach jest porównywalna lub też większa ilość osób zakażonych.

Czy nie obawiacie się, że ponowne badanie 15 tys. górników wywoła niekontrolowany protest społeczny na Śląsku albo może być wykorzystane do antyrządowych manipulacji przed wyborami prezydenckimi? Jak zareaguje górnicza Solidarność-80 w takim przypadku?

Będziemy się bacznie przyglądać tej nadzwyczajnej sytuacji i na bieżąco reagować na wydarzenia. W stanowisku Komisji Krajowej skierowanym do Pana Premiera i Prezydenta RP wyraziliśmy swoje obawy i zarazem troskę o zdrowie obywateli i stan polskiej gospodarki.

Dziękuję za rozmowę.

Dokończenie ze str. 1

Tworzywa sztuczne a środowisko

Jacek Musiał · Karol Musiał · Michał Musiał

materiał najczęściej jednorodny. Niestety lwią część odpadów stanowią te pochodzące od tysięcy mieszkańców, z pierwotnej lub wtórnej ich selekcji.

Cło – akcyza – podatek od tworzyw sztucznych – dotacje

Wymienione w podtytule powyżej narzędzia to podstawowe finansowe mechanizmy regulacyjne, jakimi dysponuje państwo. Pozostaje jeszcze system zakazów i nakazów. Forsowany niedawno w organach Unii Europejskiej pomysł podatku od niepodlegających recyklingowi tworzyw sztucznych już w swoim założeniu jest błędny. Dotychczasowe obserwacje gospodarki odpadami w świecie prowadzą do następujących wniosków: lobby surowców wtórnych naciska na polityków, by kierowali szeroki strumień dotacji właśnie do nich. Faktycznie ich działalność jest najczęściej pożyteczna dla środowiska. Skrajni liberałowie zaś postulują pełne urynkowienie obrotu surowcami wtórnymi – całkowitą eliminację wszelkich dotacji, co jest jednak mało realne. Cała sztuka roli nadzorczej państwa polega na dotowaniu w niezbędnych dziedzinach na minimalnym poziomie, a jeszcze lepiej – manewrując podatkami. Zbyt duże dotacje są prostą drogą do nadużyć: karuzel handlu odpadami, eksportu i importu fakturowego, a jeśli faktycznego, to wiąże się to z transportem, który pożera kolejne tysiące ton paliwa. Również podatek od niepodlegającego recyklingowi plastiku stwarza drogę do nadużyć. Można go nazwać „podatkiem na wyjściu", w odróżnieniu od sensowniejszego „podatku na wejściu". Ten ostatni mobilizuje do wspomnianego wcześniej unikania, czyli do redukcji strumienia wprowadzanych tworzyw sztucznych.

Podstawowy mechanizm regulacyjny powinien opodatkowywać tworzywa sztuczne już na początku, czyli surowce wychodzące z syntezy lub z importu. W gruncie rzeczy w Polsce istnieje podobny system podatkowy. Jest on od lat udoskonalany. Ma jeszcze pewne wady. Najważniejszą chyba stanowią zwolnienia z danin, tzw. wyjątki, które są skutkiem działania lobbystów, wśród nich także te populistyczne, dotyczące tworzyw dla zastosowań medycznych lub zabawek. Kolejną jest przypisanie akcyzy do ograniczonej liczby konkretnych wyrobów, naliczanej od sztuki, a nie od masy. Każdy produkt złożony zawierać może procentowo dużą, ściśle określoną masę tworzywa sztucznego, co w przypadku importu łatwo jest określić i opodatkować. Jak cały system podatkowy w Polsce, także ten dotyczący tworzyw sztucznych wymaga upraszczania. Zalecał to już wiek temu Albert Einstein: „Wszystko należy upraszczać jak tylko można, ale nie bardziej". Odpowiednio konstruowane daniny od tworzyw sztucznych powinny być ważnym źródłem dochodu państwa, ochroną rynku własnego, działaniem mobilizującym do recyklingu we własnym zakresie – nie na zasadzie dotacji!

Po wyeksponowaniu w jednym z przyszłych artykułów argumentów o szkodach środowiskowych powstających jeszcze przed wytworzeniem tworzywa sztucznego jako surowca, potrzeba rozszerzania danin od tworzyw okaże się jeszcze pilniejsza (podatek Pigou).

Ironia losu

Pod koniec 2018 roku Parlament Europejski wyszedł z inicjatywą zakazu sprzedaży jednorazowych sztućców, talerzy, kubków, słomek i patyczków kosmetycznych, który w pełni ma wejść w życie w 2021 roku. Dyrektywa ta uderza ekonomicznie przede wszystkim w Chiny, głównego eksportera tych produktów. W związku z ogłoszeniem pandemii wirusa przeziębienia, w okresie 5 miesięcy 2020 roku (czyli rok przed wejściem dyrektywy w życie) cały spanikowany świat zaimportował z Dalekiego Wschodu kilkakrotnie więcej jednorazowych rękawiczek i maseczek, aniżeli jednorazowych sztućców rocznie.

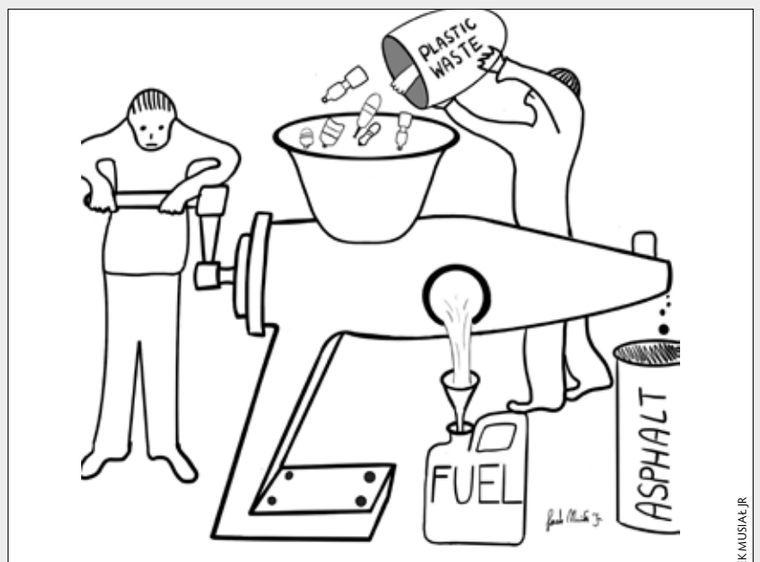

Paliwo z tworzyw sztucznych
RYS. JACEK MUSIAŁ JR

REFLEKSJE NIEWYEMANCYPOWANEGO PEDAGOGA

HERBERT KOPIEC

„Kiedy kapłan jest święty, powierzeni jego opiece wierni są prawdziwie pobożni; kiedy kapłan jest tylko pobożny, wierni stają się letni; kiedy kapłan staje się letni, wierni stają się zepsuci"– mawiał św. Jan Maria Vianney (1786–1859), francuski ksiądz, święty katolicki, patron proboszczów i kapłanów. Przywołuję to spostrzeżenie w związku z bulwersującą informacją o związkach księdza profesora Józefa Tischnera (1931–2000) ze Służbą Bezpieczeństwa PRL.

Marksizm kulturowy w zakrystii (III)

Przed rokiem na łamach „Gazety Wyborczej" ukazał się tekst poświęcony tej zasmucającej i przykrej sprawie (*Kac na Podhalu po IPN*, „Magazyn Świąteczny", 29–30 VI 2019). Sławomir Cenckiewicz – członek Kolegium IPN, na początku czerwca 2019 r. na Twitterze zamieścił krótki wpis: „Przykra ta rejestracja ks. Józefa Tischnera w kategorii KO (kontakt operacyjny) i konsultanta Departamentu IV MSW. Szkoda". Dołączył do tego skan z poświęconym podhalańskiemu kapłanowi fragmentem wydanej właśnie przez IPN książki *Kryptonim Klan. Służba Bezpieczeństwa wobec NSZZ Solidarność w Gdańsku*: „27 lipca 1983 roku zarejestrowany pod nr 81208 przez Departament IV MSW w kategorii kandydat, następnie KO. Od 13 października 1988 r. konsultant. Został wyrejestrowany w 1990 roku".

„Gazeta Wyborcza" tak skomentowała informację Sławomira Cenckiewicza: „Podhale prawie stanęło w ogniu". Określiła ją jako chwyt niegodziwy i szkalowanie księdza profesora przez prawicowego historyka. „Oburzenie górali jest tym większe – argumentował dziennikarz – gdyż wielu z nich poparło obecne rządy w Polsce. Górale wiele wybaczą rządzącej prawicy, ale nie atak na Tischnera". Pikanterii sprawie nadaje fakt, iż w obronę księdza profesora zaangażował się nawet ubek, który rozpracowywał środowisko podhalańskich księży: „Poznałem księdza Tischnera. Z punktu widzenia operacyjnego był bezużyteczny. Ale choć niczego się od niego nie dowiedzieliśmy na temat opozycji, to rozmowy zawsze były mocnym przeżyciem. Od niego biła jakaś taka siła i mądrość". Charyzmie księdza profesora najwyraźniej uległ także autor artykułu, a świadczyć o tym może efektowna puenta tekstu, w której wykorzystał najbardziej znaną postmodernistycznie pojętą „mądrość" księdza Tischnera: „Są trzy prawdy: święta prawda, tys prawda i gówno prawda". Czytelnik „Gazety Wyborczej" dowie się, że wpis odnoszący się do agenturalnej przeszłości postępowego księdza Tischnera to ta trzecia prawda.

Mam świadomość, że wkładam przysłowiowe palce między drzwi i wprowadzę zapewne w stan poirytowania wielu tzw. porządnych ludzi emocjonalnie związanych z Kościołem katolickim. Zrobię to jednak, chcąc być konsekwentnym (a chcę!) w uwyraźnianiu przeprowadzanej podstępnej strategii destrukcji tradycyjnego świata o niewinnie brzmiącej nazwie „zmiana społeczna", próby stawiania świata na głowie poprzez psucie Kościoła i religii katolickiej od wewnątrz. Pisałem w poprzednich felietonach, że sukcesy laicyzacyjne katolickich ongiś społeczeństw zachodnich w ostatnich dziesięcioleciach były/są następstwem tego, iż dominujące w świecie lewoskrętne/marksistowskie/komunistyczne siły postępu przycupnęły w Kościele katolickim, przybierając obłudne oblicze „zakrystiana", a także roli, jaką spełniał i nadal spełnia tzw. kler postępowy i idea Kościoła otwartego. W walce z religią i kościołem wykorzystywane bywają ironia, żart i dowcip. Komuniści sięgnęli do tej strategii dopiero wówczas, gdy zdali sobie sprawę, że bezpośredni fizyczny atak na religię i Kościół, próby opanowania/destrukcji Kościoła od zewnątrz są mało skuteczne. Na gruncie tak uświadomionej niemocy zrodziła się koncepcja zniszczenia tradycyjnego świata wartości, zwana „marszem przez instytucje", prosta, ale z perspektywy historycznej niezwykle wyrafinowana i skuteczna. Jej podstawowa myśl sprowadza się do tego, że jeśli instytucje starego systemu okazały się trwałe i odporne na ataki rewolucji, to należy wprowadzić do tych instytucji swoich ludzi (czyli owych „zakrystianów"), którzy je zniszczą od środka. „Marsz przez instytucje" wymaga więc zakorzenienia się w kościele i w długim procesie powolnego wnikania aktywistów lewicy laickiej do Kościoła zmienia religię i reprezentujący ją Kościół. Mogą tego dokonać – zauważyli lewacy – stosunkowo nieliczne, dobrze wyszkolone kadry, ponieważ dezorganizowanie jest zwykle łatwiejsze od organizowania.

Zarysowana strategia – jak się okazuje – była/jest strzałem w dziesiątkę. Przekonuje o tym także między innymi to, że nie brakuje dziś obserwacji, z których wynika, że „szatan przeniknął już do Kościoła do tego stopnia, iż można zobaczyć kardynałów sprzeciwiających się innym kardynałom i biskupów występujących przeciw innym biskupom" (*Postmodrernizm w teologii*, „Polonia Christiana" 59/2017). Dostrzegalne sukcesy szatana w myśl zasygnalizowanej strategii należy szybciutko zmarginalizować, ośmieszając prawdy Kościoła i religii. Jak się to robi? Zilustrujmy to pierwszym lepszym przykładem, na który natrafiłem w blogu prof. Bogusława Śliwerskiego. Mamy tu do czynienia z ośmieszaniem dogmatu religijnego odnoszącego się do piekła: na rysunku przedstawiającym lekcję matematyki poświęconą liczbom parzystym włożono w usta ucznia siedzącego samotnie przed laptopem następujące rozumowanie: „W piekle jest ogień, ogień parzy, więc liczba 666 jest liczbą parzystą" (666 to liczba Bestii). Prawda, że śmieszne?

Miał niestety rację Nicolás Gómez Dávila, który zauważył, że „postępowy kler zastąpił sobie wiarę w Boga wiarą w człowieka". Oto dziennikarki tygodnika „Wprost" wspominają Józefa Tischnera – profesora Papieskiej Akademii Teologicznej – jako „katolickiego wolnomyśliciela, godzącego chrześcijańską ortodoksję z czysto ludzką tolerancją, szermierza Kościoła otwartego". Czy ten kompromis, na który poszedł „katolicki wolnomyśliciel", wyszedł światu i wiernym na dobre?

Pupil postmodernistycznych środowisk

Autor tekstu o krakowskim „filozofie w sutannie" mówi o nim jako o przyjacielu „Wyborczej". I tu moim zdaniem jest pies pogrzebany, bo na status przyjaciela tej lewicowej gazety ksiądz Tischner zasłużył sobie podważaniem zaufania do siebie jako osoby duchownej. Wielokrotnie wyznawał bowiem, że jest „bardziej filozofem niż księdzem". Trudno, aby ta deklaracja nie budziła sympatii takiej gazety.

Ksiądz Tischner jako filozof uosabiał postmodernistyczne spojrzenie na Kościół i teologię. Jako politycznie poprawny pupil postmodernistycznych: „Tygodnika Powszechnego" i „Gazety Wyborczej" odwdzięczył się Adamowi Michnikowi, współuczestnicząc z nim m.in. w rozmowie „Między panem a plebanem". Broni w niej życia nienarodzonych, ale w wydanej po śmierci książce *Spotkanie* wypowiada się na ten temat pokrętnie. W tej samej książce z satysfakcją wzmiankuje, że to Wydawnictwo „Znak" jako pierwsze w Polsce publikowało myśliciela, którego on sam często cytuje – Hansa Künga, (ur. 1928), szwajcarskiego herezjarchy, który został pozbawiony przez Ojca św. Jana Pawła II prawa do nauczania w imieniu Kościoła katolickiego za wypowiedzi niezgodne z nauką katolicką.

Myślę, że warto w tym kontekście przywołać słowa świętego Pawła, który mówi jasno: „Gdyby wam kto głosił Ewangelię różną od tej, którą od nas otrzymaliście – niech będzie przeklęty!" To nie przypadek, że były komunista A. Kwaśniewski odznaczył Orderem Orła Białego ks. Tischnera, „antyklerykała w sutannie", jak go nazywał. Zresztą na łamach kobiecego pisma „Viva" ksiądz profesor sam zapewniał: „Gdybym nie został księdzem, byłbym marksistą" (*Szatan w Europie – krótka historia zła*, „Opcja na prawo" 12/2005). Poznańska redakcja, z którą był zaprzyjaźniony, tak relacjonuje jego wizytę: „Sypał dowcipami, o poważnych sprawach mówił z ironią. – Jak to jest z wiarą wśród duchownych? – spytaliśmy w pewnym momencie. Ksiądz Tischner się zadumał, szeroko uśmiechnął i rzucił: „Nie badałem tego dogłębnie, ale z tego, co wiem, wśród księży też zdarzają się osoby wierzące". Na pytanie, co sądzi o celibacie, odpowiedział natomiast: „Gdy jestem piekielnie zmęczony i zasypiam kamiennym snem, na drzwiach wieszam kartkę: Budzić tylko w wypadku wojny albo zniesienia celibatu".

Zobaczmy też, co ksiądz Tischner mówi o sobie: „Wybrałem, aby być ciasnym i tępym filozofem Sarmatów. Staram się im wymyślać i dobrze im radzić. Na szczęście niezbyt mnie słuchają, więc i wina moja nie będzie zbyt wielka. Czasami się śmieję, że najpierw jestem człowiekiem, potem filozofem, potem długo, długo nic, a dopiero potem księdzem". To w takim „humanistycznym" klimacie nawet tradycyjny katolik zaczyna zachowywać się według schematu opisanego przez Nicolása Gómeza Dávilę: „Najpierw się oburza, potem trwoży, a na końcu wybucha śmiechem". W ten oto sposób znany i lubiany kapłan i filozof mącił w umysłach katolików, siał wątpliwości. W *Historii filozofii po góralsku* pisał np.: „Kie jedyn i drugi chce dójść prowdy, to z tego ino bitki powstojom. Nie prowdy sukoj, ale kolegów". Lewicowi teoretycy postmodernizmu w imię projektu „zmieniania człowieka" twierdzą, że nie ma definitywnej wersji rzeczywistości i ostrzegają, że „wola osiągnięcia prawdy jest wolą zdobycia władzy", a tu zazwyczaj dochodzi do bijatyki. Jak zauważył współczesny myśliciel Paul Johnson: „Prawda jest tym, co lewica zawsze tłumi w imię własnej, wyższej prawdy". Tą „wyższą prawdą" jest rzekomo niepewność i ambiwalencja.

A jakie jest prawdziwe oblicze księdza Tischnera? Pomóc może przyjrzenie się pełnionym przez niego funkcjom w międzynarodowych organizacjach oraz nazwiska najbliższych współpracowników „postępowego" kapłana. Był on wieloletnim prezesem Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Mający zdecydowanie lewoskrętne/komunistyczne korzenie Instytut został założony przez filozofa Krzysztofa Michalskiego, ucznia Leszka Kołakowskiego i przyjaciela Józefa Tischnera. Członkami rady naukowej instytutu są zaś m.in. Timothy Garton Ash, Marcin Król, Aleksander Smolar, a kuratorami m.in. Giuliano Amato, Ralf Dahrendorf, George Soros i Joschka Fischer. Niektórzy z nich w młodości byli działaczami radykalnych ugrupowań komunistycznych. Joschka Fischer np. w 2002 został wyróżniony przez „Gazetę Wyborczą" tytułem Człowieka Roku, a laudację na cześć laureata wygłosił nasz towarzysz Włodzimierz Cimoszewicz, który ostatnio ubrał się w garnitur Europejczyka i postanowił uczyć Polaków tolerancji i demokracji.

Ksiądz Tischner, dzięki swojej wielkiej charyzmie i popularności nie tylko pośród górali, mógł zrobić dla Kościoła i religii katolickiej dużo dobrego, bronić tradycyjnego świata wartości przed lewackim przewrotem antropologicznym, polegającym m.in. na zmianie języka. Pozostają słowa, ale powoli dokonuje się ich dekonstrukcji. Nic to, że brzmią tak samo, ale zaczynają znaczyć coś zupełnie innego. Ma to wpływ na myślenie i rozumienie rzeczywistości, przy czym im mniej to zjawisko jest uświadamiane, tym jest niebezpieczniejsze. Oto najważniejsze słowa świata: miłość, rodzina, matka, ojciec, szczęście, prawda, fałsz, dobro i zło stały się najbardziej zakłamanymi słowami świata, doczekały się niezliczonej ilości podróbek (*Słowa są ważne*, „Nasz Dziennik", styczeń 2020).

Koledzy ważniejsi od prawdy?

W swojej poczytnej książce *Historia filozofii po góralsku* ks. Tischner napisał: „Nie prowdy sukoj, ale kolegów". Wątek wartościowania prawdy i kolegi/przyjaciela odnajdujemy w znanej łacińskiej sentencji: „Platon przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda". Myślę, że zadurzonych w księdzu Tischnerze „podhalańskich górali" może być rzeczywiście sporo. Niektórzy zapewne nie są świadomi zniewolenia relatywizmem, w jaki popadli, nie dostrzegają, komu go „zawdzięczają" i nadto nie widzą w tym nic złego. Dla porządku odnotujmy, że do istnienia powszechnej fascynacji księdzem Tischnerem warto się odnieść z pewną rezerwą. Przyjaciółka kapłana od lat dziecięcych, Wanda Czubernatowa, nazywa go „bratem-łatą, opiekunem, pomocnikiem na drodze do nieba" i nie skrywa swojego zauroczenia jego sposobem bycia, tym, że „nie narzucał się ze swoim kapłaństwem; na siłę nie zapędzał do kościoła i nigdy nie patrzył krzywo na jej niedowiarstwo". Przyznała też, że w ostatnich latach życia nie był rozumiany w Kościele i nie za bardzo go Kościół szanował. Jej podobało się natomiast w Tischnerze to, co nazywane bywa „myśleniem słabym". Przyjrzyjmy się temu myśleniu nieco bliżej.

Atrakcyjność tzw. myślenia słabego

'Słabe myślenie', 'słabe chrześcijaństwo' – to myślenie bez konieczności, bez słuszności, bez prawdy, która by się miała narzucać. W oparciu o słabe myślenie powstaje słaba ontologia, mająca zająć miejsce dotychczasowej metafizyki. Słabe myślenie godzi się na zachwianie fundamentów klasycznej filozofii (jasności i wyrazistości), a właściwie na całkowity brak tychże. Myślenie to jest otwarte, dopuszcza wielość rozwiązań, stroni od konieczności i jedynej słuszności. Wygląda na to, że kapłan J. Tischner jako filozof przestaje więc poszukiwać adekwatności z rzeczywistością; zamiast tego skupia się na interpretowaniu, a jak pisał Nietzsche: „Nie ma tekstów, są tylko interpretacje"– ponieważ tradycyjne metafizyczne pojęcia podmiotu i przedmiotu tracą ważność. „Myśliciele słabi", celebrując swą niechęć i niezdolność do poszukiwania podstaw dla swych najkonieczniejszych moralnych i politycznych wyborów w życiu, otwarcie pysznią się „słabością" swojego myślenia. Mimo tej pychy odnajdujemy ich po stronie tych, którzy mocno schlebiają wszystkiemu, co służy tryumfowi pewności, iż człowiek żyje tu i teraz. Nieprzypadkowo przykazaniem numer jeden „społeczeństwa otwartego", nowej utopii, która zastąpiła komunizm jako wizja powszechnej harmonii i szczęśliwości, jest dogmat, że nie ma dogmatów ani prawd bezwzględnych.

Umberto Eco twierdzi, że „jedyna prawda to uczyć się, jak uwolnić się od chorej namiętności do prawdy". Namiętność do prawdy może być (i jest) dzisiaj uznana za stygmat fundamentalizmu. Przypominają o tym zwłaszcza niewierzący i obłudnie zatroskani o Kościół katolicki. Wykładnią polityki owego zatroskania są słowa Jana Turnaua, „Jonasza" z „Gazety Wyborczej": „Atakujemy Kościół, aby go bronić!". Jonasz – odpowiednik naszego zakrystiana – podgryzał wieloryba od środka. Natomiast na gruncie „słabego myślenia" zagrożenie fundamentalizmem znika. Można bowiem być zarazem katolikiem, ewangelikiem, maoistą, socjalistą, postmodernistą i chrześcijaninem. Sekularyzacja i upadek wpływów Kościoła stają się czymś pozytywnym. Bunt i sprzeciw wobec pogardy dla chrześcijaństwa traktowany jest jako „mowa nienawiści", a lekceważenie tych nihilistycznych dogmatów jako znak choroby umysłowej. Tak oto powstaje świat chaosu i pomieszanych znaczeń. „Słabe myślenie" w zachowaniach kapłana Tischnera oznacza rozstanie się ze wszystkim, co wyraźne, co zmusza do samookreślenia, do przyjęcia na siebie odpowiedzialności za określone poglądy. Żaden wszak pogląd nie jest przecież prawdziwy, a drogowskazem nie są prawdy absolutne, lecz hedonizm i prywatny interes. Każda pewność to rzekomo przesąd, który pachnie przymusem i grozi bijatyką, przed którą ostrzega kapłan Tischner.

Nawiązując do typologii kapłaństwa (kapłan święty, kapłan pobożny i kapłan letni), sporządzonej przez patrona proboszczów i kapłanów św. Jana Vianneya, możemy się pokusić o ocenę owoców duszpasterskiej opieki księdza Tischnera. Sugestywną ilustracją rzeczywistych efektów kapłańskiej posługi bohatera dzisiejszego felietonu mógłby być wiersz Wandy Czubernatowej: „W pewnej parafii był proboszcz / Z jasną, otwartą głową. / Cudak! Wieść gminna głosi / – Wcale nie ma gosposi! / Słowo!".

Myślę, że krotochwilna podopieczna księdza Tischnera, będąca na bakier – jak sama przyznaje – z pobożnością, w pełni potwierdza intuicję św. Jana Vianneya. Mogę nieskromnie powiedzieć, że uwiarygodnia też trafność moich poszukiwań skuteczności dowcipu i żartu w psuciu religii i Kościoła. Ostateczna ocena należy oczywiście do Czytelników.

I jeszcze jedno. Byłbym zapomniał o odnotowaniu kolejnej góralskiej mądrości, na którą ks. Tischner wskazał w swojej *Historii filozofii po góralsku*: „I w piekle dobrze mieć stryka" (s. 51). Muszę przyznać, że na mnie, moherowym katolu, zrobiła mocne wrażenie.

Kościół katolicki potrzebuje obrońców

Kościół katolicki potrzebuje obrońców, bodaj jak nigdy dotąd. Podobnie jak Cenckiewicz myślę, że ksiądz Tischner mógłby tu być wyjątkowo przydatny. Mam na myśli jakże przecież pilną potrzebę sprzeciwu wobec wzmiankowanej ideologii gender – ideologicznego koszmaru, który, mimo absurdalności swoich założeń, jest dziś jedną z nauk akademickich. Przeciętny zjadacz chleba nie ma zielonego pojęcia, że w 1997 roku Unia Europejska uczyniła ideologię gender swoją główną polityką kulturową i społeczną. Jest ona również narzucana za pośrednictwem Organizacji Narodów Zjednoczonych. Mamy też do czynienia ze zmasowanym atakiem na tradycyjną kulturę i tradycyjne wartości na gruncie prawa.

No cóż, tylko ślepy mógłby zaprzeczyć, że do Kościoła wkrada się chaos, zamieszanie i niepewność, skutkiem czego wierzący wprowadzani są w błąd, jak osiągnąć zbawienie. Kościół/kapłan, który nie poświęca uwagi doktrynie, odnosi się do niej nonszalancko, nie staje się dzięki temu bardziej duszpasterski, lecz jedynie bardziej ignorancki, a przez to „rozmiękcza" powagę Kościoła i religię katolicką. (*Postmodernizm w teologii*, „Polonia Christiana" 2017). Kościół musi być otwarty tak, jak Jezus był otwarty na wszystkich, ale zarazem zamknięty na zło. Trzeba być otwartym, ale otwartym krytycznie. Przestałby istnieć dom, gdyby ktoś w nim wyważył drzwi i okna i pozwolił, żeby wszyscy tam wchodzili. Słowem: do Kościoła może wejść każdy, kto ma dobre intencje, ale przed wrogami trzeba się bronić (*Otwarcie jako niemądry slogan,* „Gazeta Warszawska", maj 2020).

W tym trudnym czasie Józef Piłsudski udał się do Paryża celem wynegocjowania sojuszu polsko-francuskiego, który nie bez znaczenia był dla sprawy śląskiej, także w wymiarze propagandy plebiscytowej. „Gwiazdka Cieszyńska" opisała to wydarzenie z dużą dozą nadziei i radości, wskazując równocześnie na trudności, jakie musiał pokonać polski mąż stanu.

Górny Śląsk a wojna polsko-bolszewicka

na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej" cz. V

Zdzisław Janeczek

Wizyta Naczelnika Państwa we Francji

Naczelnik państwa przybył nad Sekwanę w czwartek 3 II 1921 r. Pierwotnie zakładano, iż miał jechać przez Berlin, jednak w ostatniej chwili Niemcy skierowali pociąg na Chodzież i Kolonię. Według relacji korespondenta gazety śląskiej, paryski dworzec Gare du Nord był na tą okazję „przystrojony trofeami, chorągwiami, dywanami i chodnikami". Piłsudskiego przyjęli premier Aristide Briand i gen. Maxime Weygand oraz licznie zebrana publiczność, wśród której było wiele znakomitości i paryska Polonia. Naczelnik udał się następnie do Hotelu de Crillon, położonego w odległości 300 metrów od ogrodów Tuileries i Pól Elizejskich, nieopodal Luwru. Towarzyszyły mu entuzjastyczne okrzyki: Niech żyje Polska! Niech żyje Francja! W południe odwiedził prezydenta Republiki Alexandre`a Milleranda w Pałacu Elizejskim i odbył z nim półtoragodzinną konferencję. Po południu gościła go kolonia polska. Następnie złożył wieńce u grobu Nieznanego Żołnierza, gorąco oklaskiwany przez publiczność. Ponadto zaproszono go, jako „żywą legendę" polskich walk niepodległościowych, na spektakl do Comedie Française.

Ważnym wydarzeniem był wydany przez J. Piłsudskiego dla prezydenta A. Millerande`a obiad, w którym wzięło udział 40 zaproszonych osób. Warto podkreślić, iż Rada Miasta Paryża 5 II aż dwukrotnie gościła autora „Cudu nad Wisłą". Był on także dostojnym gościem Sorbony. Naczelnik przypatrywał się z zainteresowaniem „ćwiczeniom tanków i aeroplanów" oraz odwiedził pobojowiska w okolicach miasta Verdun, które wyróżniło J. Piłsudskiego tytułem „Honorowego Obywatela".

Sympatykami niezwykłego gościa byli przede wszystkim zwolennicy polityki „twardej ręki wobec Niemiec": prezydent Alexandre Millerand, wrogo nastawiony do Republiki Weimarskiej, były premier Louis Barthou, prezes Międzysojuszniczej Komisji Odszkodowań Wojennych i szef sztabu generalnego gen. Edmond Alphonse Leon Buat. Francja przyjęła Naczelnika „okazale". „Gwiazdka Cieszyńska" zwracała uwagę, iż gazety „poświęciły mu zaszczytne artykuły", a „wiele zamieściło portret" J. Piłsudskiego. Do wyjątków należały nieprzychylne artykuły w prasie lewicowej. Ponadto zarządzono, aby we wszystkich szkołach odbyły się wykłady o Polsce.

W podróży dyplomatycznej J. Piłsudskiemu towarzyszyli: minister spraw zagranicznych ks. Eustachy Sapieha, minister spraw wojskowych Kazimierz Sosnkowski oraz grupa dziennikarzy. Gospodarze uhonorowali gości najwyższymi odznaczeniami państwowymi. Naczelnika państwa udekorowano Wielkim Krzyżem Legii Honorowej, natomiast K. Sosnkowskiego i E. Sapiehę – Krzyżami Oficerskimi Legii Honorowej. Legia Honorowa dostała się także ppłk. Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu i posłowi II RP Janowi Zamorskiemu, politykowi Narodowej Demokracji, wiceprezesowi Rady Naczelnej Związku Ludowo-Narodowego, który na wniosek Agencji Lozańskiej rekrutował żołnierzy do Armii Polskiej z Polaków – jeńców austriackich. W odpowiedzi na takie honory J. Piłsudski wręczył prezydentowi A. Millerandowi Order Orła Białego I klasy; odznaczenie to otrzymał również były premier Louis Barthou. Krzyże Virtuti Militari dostały się marszałkom: Ferdynandowi Fochowi i Maxime`owi Weygandowi oraz bohaterskiemu miastu Verdun. Na wzór Cesarza Napoleona I Marszałek udekorował Focha orderem odpiętym z własnego munduru.

Wizyta ta jednak, wbrew pierwszemu, emocjonalnemu i entuzjastycznemu przekazowi „Gwiazdki Cieszyńskiej", budziła niepokój zarówno wrogów Polski, jak i przeciwników politycznych J. Piłsudskiego, którzy podjęli się próby dyskredytacji jego osoby i zniweczenia dyplomatycznego sukcesu. Trudno się dziwić, że na pokrzyżowaniu polskich planów w pierwszym rzędzie mogło zależeć Niemcom, walczącym o utrzymanie Górnego Śląska w swoich granicach, Rosji sowieckiej, tracącej ziemie nabyte podczas II rozbioru Rzeczypospolitej, oraz Czechosłowacji, która w styczniu 1919 r. siłą zagarnęła Śląsk Cieszyński. Także w kręgach francuskich wojskowych nie brakowało przeciwników sojuszu z Polską, który w ich mniemaniu mógł wciągnąć Francję w wojnę z Niemcami i Rosją oraz wzbudzić zastrzeżenia Pragi. W gronie tym znaleźli się: marszałek Ferdynand Foch, generałowie Maxime Weygand i Henri Niessel oraz sekretarz generalny Ministerstwa Spraw Zagranicznych w randze ambasadora, republikanin Philippe Berthelot. Negatywne opinie o Józefie Piłsudskim były rozpowszechniane we Francji jeszcze podczas wojny za pośrednictwem niektórych dzienników francuskich, m.in. „L'Avenir", „Le Journal" i „Le Petit Parisien". Ich inspiratorem była wówczas endecja i jej lider Roman Dmowski. Później zaktywizowali się Czesi i Litwini. Z kolei Anglicy nie życzyli sobie wzrostu wpływów francuskich w Europie Środkowej ani wizyty J. Piłsudskiego w Londynie, a więc również nie byli admiratorami tego wydarzenia.

Mogło więc być kilka źródeł prowokatorskich oszczerstw, wśród których znalazło się pomówienie o antysemityzm, zarzut braku kwalifikacji wojskowych oraz obraźliwe epitety: „nicpoń", „awanturnik", „bandyta" czy „kondotier", a nawet podważanie statusu głowy państwa.

Nieprzypadkowo Jaroslav Hašek, który wrócił do ojczyzny po pięcioletnim pobycie w Rosji, jako współpracownik lewicowych gazet: „Tribuna" i „Rudé právo", sfabrykował na bieżące potrzeby czeskiej polityki E. Beneša zjadliwy pamflet, filipikę pt. *Z cestovního deníku maršála Pilsudského* (*Z dziennika podróżnego marszałka Piłsudskiego*), napisaney w formie dziennika, rzekomo zagubionego w trakcie powrotnej podróży z Paryża do Polski. Tekst ten był zabarwiony nie tylko niechęcią do J. Piłsudskiego, ale nasycony lekceważącym, prześmiewczym, plebejskim stosunkiem do Polaków (spadkobierców szlacheckiej kultury), który – jak pisała „Gwiazdka Cieszyńska" – wyrażał się w określeniu statystycznego mieszkańca kraju nad Wisłą terminem „Pan Tadeusz". W ten sposób J. Hašek wpłynął na kształt stereotypu „Lechity" nad Wełtawą: poprzez prezentację Naczelnika w krzywym zwierciadle przesądów i niewiedzy oraz obaw, po Bitwie Warszawskiej, o czeski stan posiadania na Śląsku Cieszyńskim.

„Gwiazdka Cieszyńska" tak skomentowała wszystkie prasowe napaści na Rzeczpospolitą: „Mimo to, że nasi socjaliści krociowe pieniądze rządowe wydali na propagandę zagraniczną, pojętą w duchu byłego ministra [Ignacego – Z.J.] Daszyńskiego, dzienniki radykalne socjalistyczne i bolszewickie nazywają Polskę »bankrutem«, piszą, że »Piłsudski przyjechał do Paryża żebrać« i gwałtownie występują przeciw sojuszowi Francji z Polską, jako państwem imperialistycznym, reakcyjnym i będącym przeszkodą pokoju europejskiego. Samego Naczelnika Państwa nazywają pachołkiem reakcji, pogromcą Żydów, mordercą czerwonych i tym podobnymi wyzwiskami".

Przyczyny takiej reakcji gazeta śląska dopatrywała się w doniosłości wydarzenia, jakim było zbliżenie polsko-francuskie. „Rządy Francji i Polski, w jednakim stopniu dbając o utrwalenie swego bezpieczeństwa, jak również pokoju Europy, ponownie uznały wspólność interesów, łączących oba zaprzyjaźnione kraje, przy czym zgodne [były] w stwierdzeniu woli skoordynowania swych wysiłków w celu utrzymania najściślejszego kontaktu dla obrony swych najwyższych interesów". Premier Aristide Briand, przyjmując ambasadorów Anglii, Japonii i Włoch, natychmiast im zakomunikował powyższą deklarację.

Korespondent „Robotnika" (z 6 II 1921) w Paryżu – Hieronim Kon, w *Liście z Paryża* podkreślał, iż przyszłość Górnego Śląska zależała od rokowań J. Piłsudskiego. Również „Kurier Warszawski" (z 6 II 1921) akcentował związek pobytu Naczelnika we Francji ze sprawą Górnego Śląska, a regionalna prasa uwypuklała antyniemieckie ostrze tej wizyty. W Rydze wysłannik J. Piłsudskiego Leon Wasilewski, pod wpływem rozwoju sytuacji na Górnym Śląsku, dążył za cenę ustępstw do szybkiego zakończenia rokowań. Przygotowywano się już do trzeciego powstania; część wojsk, w liczbie 18 dywizji, zaczęto przerzucać ze wschodu na południe. Traktat ryski zawarty 18 III 1921 r. pozwalał na zaangażowanie wszystkich polskich sił w obronę granicy zachodniej. Jeszcze w marcu gen. Stanisław Szeptycki opracował projekt okupacji wojskowej Górnego Śląska przez Polskę. 2 V 1921 r. w Belwederze odbyła się „ważna narada" z udziałem J. Piłsudskiego, która wytyczyła linię postępowania rządu polskiego wobec wypadków na Górnym Śląsku.

Działania te były pokłosiem wyprawy nad Sekwanę i zawartego przez J. Piłsudskiego sojuszu z Francją. Moc szczególną miała zaś tajna konwencja wojskowa, w której oba państwa zobowiązywały się do udzielenia sobie „skutecznego i szybkiego wsparcia" w przypadku niemieckiego ataku przeciwko jednemu z nich. Gdyby zaś doszło do wojny polsko-sowieckiej, Francja zobowiązywała się do pomocy, która polegałaby na dostawach sprzętu i materiałów wojskowych oraz na zbrojnym szachowaniu Niemiec, co miało im uniemożliwić zaatakowanie od zachodu Polski w trakcie jej wojny z Rosją. Było to nawiązaniem do francuskiej polityki antypruskiej w dobie powstań narodowych 1831 r. i 1863 r.

„Gwiazdka Cieszyńska" do czasu Bitwy Warszawskiej oszczędna w słowach wyrażających uznanie dla osoby Naczelnika Państwa, po jego paryskiej wizycie pisała: „Polepszyło się stanowisko Polski przez podróż Naczelnika

FOT. NAC

Powyżej: wizyta Józefa Piłsudskiego we Francji w 1921 r. Z prawej: Józef Piłsudski dekoruje Focha orderem Virtuti Militari

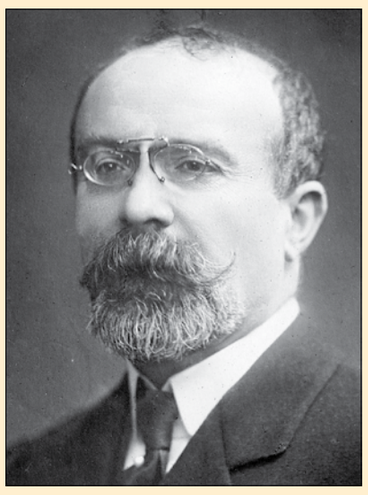

Premier Francji Louis Barthou

Walter Simons, niemiecki polityk

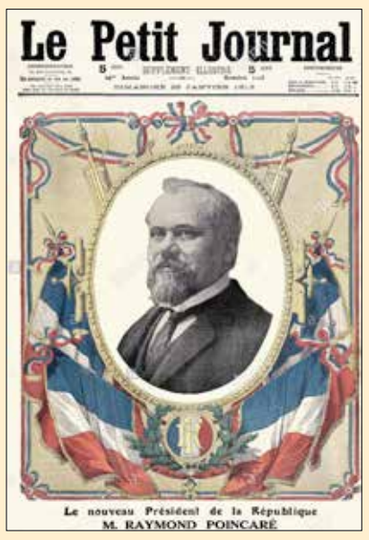

Raymond Poincare, prezydent Republiki na okładce „Petit Journal"

Bp krakowski Adam Stefan ks. Sapieha

Kardynał Aleksander Kakowski

Arcybiskup Józef Teodorowicz

Karykatura przedstawiająca grę mocarstw wokół sprawy Górnego Śląska

Piłsudskiego do Paryża. Przez tę podróż rozwiał Piłsudski ostatnie niedowierzania i udowodnił, że Polska nie uznaje polityki enkaenowskiej, polityki Jędrzeja Moraczewskiego, którego jednym z pierwszych zarządzeń było sprowadzenie posła niemieckiego do Warszawy. Zyskaliśmy sprzymierzeńca, który tak bardzo jest pożądany ze względu na Wschód i Górny Śląsk".

Opłata pocztowa zapłacona gotówką. Numer pojed. 4 M. wzgl. 1·50 Kč.

GWIAZDKA CIESZYŃSKA

Pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie.

Wychodzi we wtorek i piątek.

Opętani.

Za dwa tygodnie plebiscyt na Górnym Śląsku! Spełniłeś swój obowiązek? Złóż czemprędzej jak najhojniejsze ofiary!

Nummer 14 · 3. Jahrgang — Kattowitz, am 5. Februar 1921

DER SCHWARZE ADLER

Erster unparteiischer Führer für alle Heimat- und reichstreuen Oberschlesier

Die Milliardenvergeudung Korfantys

U góry: „Gwiazdka Cieszyńska" nawołująca swoich czytelników do wypełnienia swojego obowiązku wobec plebiscytu na Górnym Śląsku; niżej: „Der Schwarze Adler" wypominający Korfantemu miliardowe niedobory

Episkopat wobec Górnego Śląska

W działania publiczne na rzecz Górnego Śląska włączyli się także polscy hierarchowie: prymas Królestwa Polskiego ks. Aleksander Kakowski, biskup krakowski ks. Adam Stefan Sapieha i arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego, ks. Józef Teofil Teodorowicz, który 10 II 1919 r. wygłosił słynne kazanie w katedrze św. Jana w Warszawie na rozpoczęcie obrad Sejmu Ustawodawczego. Ich aktywność nie uszła bacznej uwagi redakcji „Gwiazdki Cieszyńskiej", co znalazło odzwierciedlenie w doniesieniu z Paryża, iż ks. arcybiskup J.T. Teodorowicz i ks. biskup krakowski A.S. Sapieha, bawiący w stolicy Francji oświadczyli korespondentowi paryskiemu „Gazety Warszawskiej", że papież po wysłuchaniu zażaleń polskiego episkopatu upoważnił kler polski na Górnym Śląsku do wzięcia udziału w propagandzie plebiscytowej, znosząc w ten sposób znane rozporządzenie kardynała Adolfa Bertrama, członka pruskiej Izby Panów. Ojciec święty oświadczył ponadto polskim biskupom: „Polska może być pewną mojej najgłębszej miłości. Jeżeli niekiedy wskutek braku dokładnych informacji zachodzą wypadki, które zdawałyby się dowodzić czegoś przeciwnego, nie dajcie się unosić, ale przychodźcie do mnie pewni, że zawsze was wysłucham i nie pozwolę na to, żeby Polsce zrobiono krzywdę".

Perła w Koronie czy pruska kuźnia zbrojeń?

Według „Gwiazdki Cieszyńskiej" Niemcy nie chcieli zaakceptować jakichkolwiek dalszych ustępstw terytorialnych. Autor artykułu pt. *Rada Najwyższa, Niemcy a Polska* sądził, iż zrozumiał ducha narodu i charakter jego instytucji, stawiających na czele jako zadanie nieustępliwość wobec wysuwanych żądań sprzymierzonych. „Niemcy musiały już odstąpić Alzację i Lotaryngię, Poznańskie i Pomorze. Za żadną cenę nie chcą jednak wydać Śląska, twierdząc, że w tym wypadku byłby byt Niemiec zagrożony". Dr Walter Simons, minister spraw zagranicznych, przedstawiciel Niemiec na konferencji Rady Najwyższej w Londynie, zaprezentował kontrpropozycje na postulaty koalicji w sprawie odszkodowań. Oświadczył on swoim rozmówcom, że Niemcy gotowe są zapłacić 50 miliardów marek w złocie, jednak jako warunek spełnienia tych propozycji żądają, aby plebiscyt na Górnym Śląsku wypadł na ich korzyść. Jak pisała „Gwiazdka Cieszyńska", żądania były tak wygórowane, że Lloyd George, „znany przyjaciel Niemiec, miał się wyrazić: Kończmy już te obrady, bo gdybyśmy te warunki przyjęli, tobyśmy jeszcze Niemcom musieli dopłacić".

„Tymczasem prawdą jest, że Niemcy nawet bez Górnego Śląska były jedną z największych potęg ekonomicznych w Europie, że były w rzeczywistości bardziej wypłacalne niż […] Francja w 1871 r. Terytorium niemieckie pozostało niemal nietknięte przez stopę nieprzyjacielską. Niemcy tedy nie musiały odbudowywać swego kraju ani wynagradzać szkód wojennych na swoich obszarach. A zresztą – komentowała »Gwiazdka Cieszyńska« – Niemcy nawet bez Górnego Śląska zajmowały co do produkcji węgla drugie po Anglii miejsce w Europie, a trzecie po Ameryce i Anglii miejsce na świecie. […] co do produkcji żelaza, zajmują pierwsze miejsce w Europie, a drugie po Stanach Zjednoczonych w świecie. Co do ołowiu zajmują drugie miejsce po Hiszpanii – w Europie, a trzecie po Australii i Hiszpanii miejsce na świecie. Co do produkcji cynku zajmowały pierwsze miejsce w Europie i drugie po Stanach Zjednoczonych w świecie. Co do produkcji miedzi zajmowały drugie po Hiszpanii miejsce w Europie. To wszystko bez Górnego Śląska. […] Przemysł niemiecki, chemiczny zwłaszcza, nietknięty i niemal nie osłabiony przez wojnę (gdy z winy i z woli Niemiec podcięty został przemysł francuski, a także polski), należał do pierwszych w świecie, pamiętajmy wreszcie, że Niemcy w razie przyznania Górnego Śląska Polsce – zapewniony miały dla siebie, rzekomo niezbędny dla przemysłu niemieckiego kontyngent węgla górnośląskiego, a pojmiemy jasno, że Niemcy i bez Górnego Śląska były aż nadto wypłacalne i że z tego powodu nie mogły się opierać ustępstwom terytorialnym na Górnym Śląsku".

W tej sytuacji „Gwiazdka Cieszyńska" stawiała pytanie „o co chodzi?" i odpowiadała na nie czytelnikowi: „Niemcy nie chcą się zgodzić na rozbrojenie ani na zapłatę odszkodowań, powołując się we wszystkim na Górny Śląsk. Najpierw co do rozbrojenia: Dnia 13 I [1921 r.] wysłał rząd niemiecki zachwycająco bogatą w szczegóły i odkrycia notę do sprzymierzonych o polskich zbrojeniach i bojówkach na Górnym Śląsku, równocześnie niemieccy minister wojny p. [Otto Karl – Z.J.] Gessler (1875–1955) i minister spraw zagranicznych p. [Walter – Z.J.] Simons (1861–1937) opowiadali ochoczo o wywiadach, czy kto chciał, czy nie, o rozmieszczeniu wojsk polskich, a dzienniki niemieckie dzień w dzień uzupełniają ten dział wiadomości nowymi wymysłami. Były to z palca wyssane bajki, które natychmiast sprostował rząd polski. Niemcy jednak wiedzą, że ludzie każdemu oszczerstwu choć trochę wierzą i dlatego wołają: jakże mamy się rozbrajać, skoro grozi nam napad polski na Górny Śląsk?"

Podobnie rzecz miała się ze sprawą odszkodowań, którą Berlin ściśle łączył z kwestią przynależności Górnego Śląska. Obwieszczali światu, iż „jeżeli nie dacie nam Górnego Śląska, wtedy wam nie wypłacimy odszkodowania. I głos ten – konstatowała »Gwiazdka Cieszyńska« – niestety znajdował wiarę u niektórych państw koalicji. Sam były prezydent Francji [Raymond – Z.J.] Poincare oświadczył: »jedyną pewną rzeczą wydaje się to, że rząd angielski w dalszym ciągu pragnie uzależnić określenie długu niemieckiego od plebiscytu na Górnym Śląsku«".

Sprawę wypełnienia zobowiązań nałożonych traktatem wersalskim łączyli więc Niemcy ściśle ze sprawą polską, zwłaszcza na Górnym Śląsku. Mimo tak wielkich przeszkód redakcja „Gwiazdki Cieszyńskiej" żywiła nadzieję, iż premier Francji [Aristide – Z.J.] Briand, znany jako zwolennik realizacji postanowień traktatowych, „będzie zwalczał wykręt niemiecki".

Na koniec śląska gazeta przypominała i ostrzegała, iż względem Niemców nie można kierować się odruchami dobroci, szlachetności i miłości bliźniego. „Jeżeli Rada Najwyższa nie upokorzy nareszcie Niemiec, to wzrosną w jeszcze większą butę. Wszystkie siły skierowują one do tego, by zdobyć Górny Śląsk, bez względu na głosy oddane przy plebiscycie. Ale gdyby to się Niemcom udało, wtedy wkrótce przyjdzie czas, kiedy Niemcy wyciągną rękę i po Alzację, i po Lotaryngię, i po morze, i po kolonie. O tym powinna Rada Najwyższa pamiętać, nie śmie dopuścić do tego, by Niemcy wzrosły na siłach kosztem Polski, na ponowne niebezpieczeństwo dla Europy".

W rywalizacji o Górny Śląsk z silniejszym konkurentem dyplomacja polska musiała wykazać się dużą zręcznością i aktywnością. Aby stawić czoło wszystkim wyzwaniom, minister spraw zagranicznych książę Eustachy Sapieha odwiedzał kolejno najważniejszych partnerów toczącej się gry politycznej. W Londynie odbył konferencję z premierem Lloydem George`em oraz ministrem spraw zagranicznych, lordem George`em Nathanielem Curzonem i z sekretarzami stanu. Podczas tych obrad rozważano wszystkie sprawy tyczące się Polski. Lloyd George oświadczył wysłannikowi Warszawy, że plebiscyt górnośląski odbędzie się jak można najrychlej. Według „Gwiazdki Cieszyńskiej", brytyjski mąż stanu przekonywał, iż „o losach Górnego Śląska nie podobna mówić przed wyjaśnieniem wyników plebiscytu. Prócz rezultatów głosowania, przy decyzji o przyszłości Górnego Śląska będą musiały być wzięte pod uwagę jeszcze inne czynniki, w sprawie konfliktu polsko-litewskiego.

Niemieckie plakaty propagandowe

Anglia obawiała się – przypuszczała śląska gazeta – […] protestu Sowietów przeciwko obecności wojsk międzynarodowych na Wileńszczyźnie". Poruszono także kwestię Galicji Wschodniej i „mandatu militarnego" w Gdańsku. Z Londynu książę E. Sapieha wrócił do Paryża i tu także zajął się problematyką Górnego Śląska i pruskimi prowokacjami. Wkrótce jednak musiał wyjechać do Bukaresztu i negocjować sojusz polsko-rumuński na wypadek nowej wojny z bolszewikami.

Wieści napływające z Górnego Śląska nad Sekwanę nie były budujące. Niemcy dopuszczali się coraz większych gwałtów. W Borkowicach, Polskiej Cerkwi, Dobrosławicach miały miejsce krwawe starcia, wywołane napadami niemieckich bojówek. „Doszło do walk orężnych, które spowodowały ofiary w zabitych i rannych". Ponadto „Gwiazdka Cieszyńska" w artykule *Znowu zmiana w sposobie głosowania* wskazywała na nowe niedogodności dla polskiej strony. „Rada Najwyższa, która rozpoczęła obrady w Londynie, postanowiła, że na Górnym Śląsku i miejscowa ludność, i emigranci będą głosowali w tym samym dniu. Uchwałę tę przeprowadzili delegaci angielscy. Uchwała ta jest niekorzystna dla nas, gdyż dopuszcza możliwość nadużyć ze strony emigrantów, których nie będzie można należycie kontrolować. Toteż na Górnym Śląsku panuje słuszne oburzenie na Anglię, która w niedwuznaczny sposób proteguje Niemcy".

Oprócz politycznego szantażu i terroru Berlin skutecznie w antypolskiej propagandzie wykorzystywał wszelkie niepowodzenia Rzeczpospolitej w konflikcie militarnym z bolszewikami, a później temu celowi służyły przedłużające się rokowania pokojowe w Rydze. Skutek tego był taki, iż wielu Polaków na Górnym Śląsku głosowało za Niemcami z obawy przed nową wojną z Rosją. „Wprawdzie pokój został podpisany – pisała »Gwiazdka Cieszyńska« – dwa dni przed plebiscytem, lecz to położenia na terenie plebiscytowym nie zmieniło, bo do wielu gmin ta wieść nie dotarła ani jej też nie można było wyzyskać".

Dzienniki niemieckie straszyły mieszkańców Górnego Śląska „rzekomo smutnym losem Poznańskiego". „Drożyzna, głód, ciężkie choroby miały tam panować wszechwładnie". Polska jawiła się jako sezonowy kraj bez przyszłości, skazany na rychłe samounicestwienie. Według poszczególnych relacji, ziemie polskie przypominały Kartaginę, po zdobyciu przez Rzymian obróconą w stertę kamieni posypanych solą. Autor artykułu pt. *Polska bez pokoju*, zamieszczonego na łamach „Dzwonu", celem odstraszenia górników i hutników od myśli głosowania w plebiscycie za „burżuazyjną" Polską, nakreślił przed oczyma śląskiego czytelnika apokaliptyczną wizję „Macierzy". Pisał on: „Polska powstaje do życia na gruzach starej Europy. Dosłownie na gruzach. Nie mówiąc już o zachodzie, teren samej Polski przedstawia typowe powojenne rumowisko. Powiewem śmierci zgaszone wznoszą się skargą w niebo nagie kominy fabryczne, od dawna już nieozdobne pióropuszem dymu. Czarne pogorzeliska pokrywają cały kraj. Zamarłe w chwili wybuchu wojny, do dziś stoją martwe tysiączne rozpoczęte już prace i chociaż fala wojny już powraca w łożysko pokoju – życie Polski wciąż stoi na martwym punkcie".

Następnie propagandysta zwrócił uwagę na zależność między brakiem postępu a wojną i podkreślił jej klasowy charakter. Straszył, iż „Wojna na wschodzie dawno przestała być świętą walką o wolność kraju – przeciwnie, stała się narzędziem w ręku reakcji, narzędziem powrócenia własności obszarnikom, wśród których na Rusi jest 49% Polaków, o tę to ziemię dla obszarników ma się bić jako żołnierz polski rolnik i chłop, żądający wywłaszczenia obszarników u siebie. By ziemię tę wydrzeć ukraińskiemu chłopu – ma on ginąć lub okaleczać się!". Próbowano niechęć górnośląskiego ludu do niemieckich książąt Hohenlohe oraz hrabiów Ballestremów i Henckel von Donnersmarcków przekierować na „pańską" wojnę polsko-bolszewicką.

Dla wielkości Polski Ty, górnośląski Niemcu, staniesz się polskim mięsem armatnim! – niemiecki plakat propagandowy

ZE ZBIORÓW T. LOSTERA

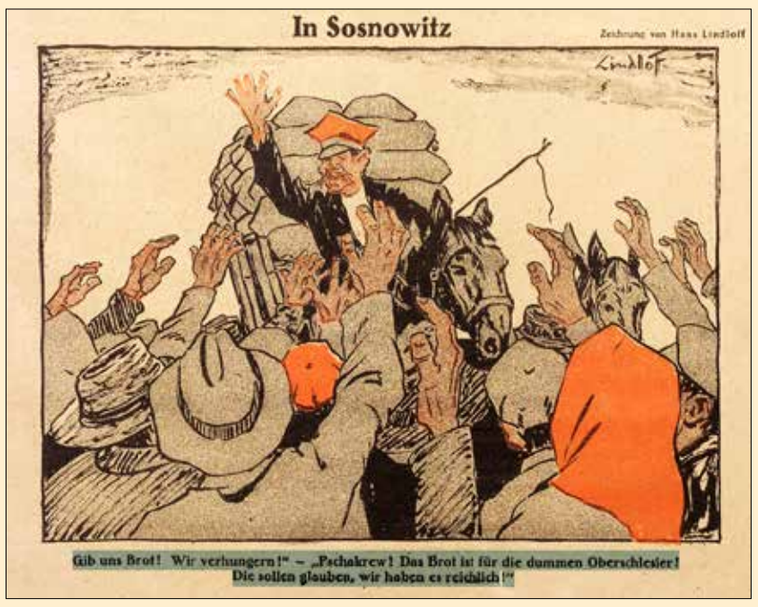

Pieron nr 19 z 20 XI 1920. Ryc. *Sosnowiec*. W Zagłębiu głodujących informuje się, iż chleb jest tylko dla Górnoślązaków, żeby myśleli, że w Polsce jest go pod dostatkiem

Niemcy dobrze pamiętali, jak mieszkańcy ziem nadodrzańskich reagowali na skutki działań wojennych w latach 1916–1918, gdy do miast i wsi śląskich docierały informacje o utracie osób bliskich na dalekich frontach oraz pojawiło się widmo głodu. Rosło niezadowolenie z powodu coraz większych kłopotów aprowizacyjnych. Chłopi odmawiali płacenia podatków i sabotowali dostawy artykułów żywnościowych.

W dobie kampanii plebiscytowej obłudni politycy berlińscy głosili, że Górnoślązacy już dość nawojowali się na frontach pierwszej wojny światowej. Jeśli chcą żyć w pokoju, powinni głosować za Republiką Weimarską. Na niemieckich plakatach pokazały się upiorne postaci polskich panów i karbowych oraz sugestie, że kolejnymi ofiarami ich ucisku będą Górnoślązacy. Uruchomiono potężna machinę propagandową. Ulubionym obiektem ataków był Polski Komisarz Plebiscytowy Wojciech Korfanty.

Na jego temat drukowano oszczercze pamflety i liczne rysunki satyryczne, obraźliwe dla Polaków. Polskiego Komisarza Plebiscytowego portretowano na różne sposoby: a to jako polskiego kelnera w Hotelu „Lomnitz", malwersanta, właściciela mlecznej krowy lub skazańca zakutego w dyby. W „gadce" *Korfaniys terminus* nakreślono nawet jego żywot pośmiertny, gdy udławił się „własną złośliwością" i udał wprost do nieba, by zostać strąconym w czeluść Lucyfera. „I postąpił naprzód z dawną pewnością do bram nieba i jego lśniącej chwały. Tam święty Piotr szlochał między zaśnieżonymi żywopłotami chmur, słusznie tnąc »Górnośląską Gazetę Graniczną« (»Oberschlesische Grenzzeitung«) do sanitariatów. Zapytał: »Czego chcesz, przyjacielu?« […] Zawsze modliłem się pobożnie na ziemi do wszystkich świętych. Dlatego pragnę uczestniczyć w wiecznych radościach aniołów. Następnie Święty Piotr spokojnie odezwał się do szlachetnego Pana Korfantego: »Przepraszam, ale niebo nie jest dla *Tutti quanti*. Chodź, chcę ci pokazać spektakl!« Drzwi niebios otworzyły się na znak jego ręki. I powoli niekończący się korowód minął próg. Dźgniętych nożami, rozdartych granatami ręcznymi. Jego ofiary powitały niegdyś spragnionego krwi potentata. Starcy, kobiety, dzieci, pobici, zmięci, zmaltretowani. Otwarte rany sączyły się na widok szlachcica. Przemówiły do niego adresowanymi, strasznymi i okropnymi, nigdy nie słyszanymi przekleństwami. Korfanty stał się blady i drżał jak czeladnik. Pojechał do piekła [..] Tam, przy bramie, […] usłyszał powitalne przemówienie: »Pierona, proszę bardzo! Czekam tutaj na Ciebie długo! […] Będziesz moim asystentem!«".

Na Górnym Śląsku ukazywało się ponad sto tytułów gazet i czasopism niemieckich o łącznym nakładzie około 500 000 egzemplarzy. Ich wydawcy dysponowali bardzo dobrze zorganizowanym kolportażem. Do najbardziej znanych należały: „Kattowitzer Zeitung", „Oberschlesische Morgenzeitung", „Oberschlesische Anzeiger", „Königshütter Tageblatt", „Oppelner Zeitung" i „Ostdeutsche Morgenpost". Dostępne były także publikatory dolnośląskie, jak wrocławski „Schlesische Heimat" i „Das Neue Schlesien". Wszystkie one podkreślały cywilizacyjną rolę Niemców na Górnym Śląsku i ostrzegały przed rządami polskimi, które doprowadzą do regresu dziejowego.

Ostry ton wypowiedzi był wymierzony nie tylko w Górnoślązaków opowiadających się za Polską. Czasami niektóre tytuły były zawieszane z racji publikowanych artykułów obraźliwych dla Francuzów czy Amerykanów. Dla zmylenia czytelników niechętnych polityce germanizatorskiej drukowano pisma popularyzujące w języku polskim hasła separatystyczne, a równocześnie antypolskie. Prym wiodły „Dobra rada dla Ludu Górnośląskiego", „Wola Ludu", „Głos Górnośląski" czy antypolski tygodnik satyryczny „Pieron". Były to periodyki w języku polskim, lecz z ducha niemieckie. Patronat nad nimi sprawowały tak potężne instytucje, jak *Die Pressestelle des Hauptausschusses für die Östlichen Abstimmungsgebiete* (Ośrodek Prasowy Wydziału Głównego dla Wschodnich Terenów Plebiscytowych) oraz *Die Pressestelle der Arbeitsgemeinschaft zur Erhaltung Oberschlesiens bei Deutschland* (Ośrodek Prasowy Wspólnoty Pracy dla Utrzymania Górnego Śląska przy Niemczech).

Czasopisma te codzienne donosiły kłamliwie, „jakoby polska prasa „gwałtownie występowała przeciw państwom sprzymierzonym". W dezinformacji specjalizowały się między innymi: „Der Schwarze Adler" i „Dzwon". Polacy próbowali się bronić. Józef Alojzy Gawrych, pracujący w „Gazecie Opolskiej", założył propolskie pismo „Der Weiße Adler". W tej sytuacji „Gwiazdka Cieszyńska" konkludowała: „Miejmy nadzieję, że mimo nieżyczliwości Anglii, jako też terroru i kłamstw prasy niemieckiej, wynik plebiscytu dla Polski będzie korzystny".

Ponadto nadal skutecznym elementem walki była świadoma celu germanizacja. Nacjonalizm łączono z regionalizmem, skoncentrowanym wokół pojęcia niemieckiej kultury – *Heimatu*, tj. małej ojczyzny, splotu natury z kulturą, krajobrazu z historią. Zadaniem pism i broszur propagandowych było od *Heimatpflege* (pielęgnowania stron ojczystych) do *Heimatpolitik* (polityki w ich interesie). Ideę tę wyrażały

Dokończenie na stronie 12

Maria Salzman

Rachunek sumienia narodu

Czas przypomnieć – ewaluować – nasze wartości jako narodu, jako Polaków. Jesteśmy u progu epoki nowej technologii, a niektórzy twierdzą, że nastała epoka orwellowska.

W ciągu ostatnich 100 lat w trzech wojnach i w czasach PRL Polacy oddawali życie, broniąc wartości, wiary, honoru, tracili dorobek całych pokoleń, nie podpisując list, by nie stać się rękoma reżimu, rękoma zła. Dziedzictwo, które przekazali, to honor, prawość, lojalność, niezłomność w swojej wierze. W tym roku mija setna rocznica Cudu nad Wisłą, bitwy, w której – by bronić własnych wartości, wiary, Polaków i całej Europy przed bolszewikami, przed czerwoną zarazą – Polacy gotowi byli oddać swoje życie na froncie. Towarzyszyła temu głęboka wiara i modlitwa. Jak pisze biuro prasowe Jasnej Góry: „W sercu Kościoła i Narodu, na Jasnej Górze, modlitewne napięcie osiąga swoje szczytowe natężenia w nowennie błagalno-pokutnej rozpoczętej 7 sierpnia 1920 r. Liczba wiernych była tak wielka, że nabożeństwo przeniesiono z bazyliki pod Szczyt. Tysiące ludzi leżało krzyżem na wielkim placu przed Jasną Górą, błagając Matkę Bożą Królową Polski o wstawiennictwo i ratunek dla Ojczyzny". Stwórca daje mądrość i jasność umysłu.

Co się teraz stało z moją ukochaną Polską, że mamy zwrot o 180 stopni? Jeszcze w tym roku dumnie głosi się, że jesteśmy liderami 16+1 (obecnie 17+1) projektu komunistycznego reżimu Chin, polegającego na ekspansji militarnej, złapaniu państw w pułapkę długu i zwiększaniu wpływów, własności, strategicznych portów, dróg i transportu na świecie.

Rozumiem, że wiele krajów mogło się nabrać na piękne słowa i olbrzymie sumy obiecywanych pieniędzy na nieznanych warunkach umowy. Ale przecież Polacy pamiętają but reżimów. Pamiętają fantastyczne drogi i koleje budowane przez Hitlera, po których później jechał sprzęt wojskowy, by zniwelować Polskę i wyeliminować Polaków. Przecież pamiętamy, że komuniści nigdy nie napadali, lecz zawsze „wyzwalali" od agresorów, od niewoli, od ciemiężycieli… Tak dobrze im to uwalnianie szło, że dziesiątki milionów wyzwolili z ciał ludzkich i posłali do Nieba. Obecnie, zamiast bronić ignoranckiego Zachodu, polski rząd, zaślepiony pieniędzmi, którymi sypią Chiny, elektronicznymi gadżetami, pięknymi słowami chwalącymi i obiecującymi, że bez wysiłku Polska stanie się supermocarstwem, z dumą głosi, że jesteśmy bramą do Europy dla komunistycznego reżimu Chin. Polski rząd podpisuje, ale nie wiem o żadnej partii w Polsce, która by się sprzeciwiała i nawoływała do potępienia Komunistycznej Partii Chin i jej wpływów w Polsce.

Jak to się stało, że cały świat budował gospodarkę reżimu Chin? Jak to się stało, że właśnie Polacy nie ostrzegali Zachodu, że teoria ekonomiczna mówiąca, że bogactwo ekonomiczne doprowadzi do demokracji Chińską Republikę Ludową, to bzdura, bo jak demokracja może istnieć bez wartości?

Reżim Chin, zdjąwszy mundurki Mao i ubierając się u Armaniego, nie zmienił swojej natury. Przeciwnie, zastrzyk zachodniego kapitału umożliwił mu stworzenie wyrafinowanej masowej technologii inwigilacji, ciemiężenia i zabijania swoich obywateli. Liczne organizacje rządowe i pozarządowe na świecie, takie jak Amnesty International i Human Rights Watch oraz coroczny raport Departamentu Stanu USA o przestrzeganiu praw człowieka ogłaszały, że Chiny są

> Rozumiem, że wiele krajów mogło się nabrać na piękne słowa i olbrzymie sumy obiecywanych pieniędzy na nieznanych warunkach umowy. Ale przecież Polacy pamiętają but reżimów.

państwem, gdzie popełniane jest najwięcej zbrodni – od prześladowania osób zabiegających o demokrację do prześladowania ludzi wiary. W 1999 r. Jiang Zemin – ówczesny pierwszy sekretarz KPCh – (bo w Chinach nadal tylko ona ma władzę) na walnym zgromadzeniu, takim, jakie Polacy znają z czasów Związku Sowieckiego, oświadczył, że „prawda, życzliwość i cierpliwość nie są zgodne z zasadami partii komunistycznej, w związku z czym są nielegalne, a ludzi, którzy je kultywują, należy wyeliminować fizycznie, finansowo i zrujnować ich reputację". To akurat odnosiło się głównie do bardzo ówcześnie popularnej i promowanej nawet przez ministerstwo zdrowia, starożytnej chińskiej praktyki samodoskonalenia – Falun Gong (Falun Dafa), podobnej do Taj Chi. Nastąpiło to, co sami Chińczycy określali jako kampania rangi rewolucji kulturalnej, w której przed laty, jak w szaleńczym transie, mordowano ludzi kultury i niszczono wszystkich i wszystko, zgodnie z głoszonym sloganem „4 starych": stare idee, starą kulturę, stare zwyczaje i stare nawyki.

Zastanawiałam się wtedy, jak można zdelegalizować zasady moralne? Na jakiej podstawie można współpracować ekonomicznie z kimś, kto nie ma zasad, tradycji? Przecież świat stanie się okropny. Teraz zbieramy tego żniwo. Temat zbrodni KPCh został już szeroko opisany i szacuje się, że w czasie rewolucji kulturalnej i w innych kampaniach politycznych reżimu zginęło od 60 do 100 milionów ludzi. A tu jeszcze na progu nowego tysiąclecia 24 h na dobę, dzień w dzień, we wszystkich mediach prowadzona była kampania oczerniania, szykanowania zasad i osób praktykujących Falun Gong (proszę cierpliwie czekać dalej, aż to dotknie nas wszystkich!). Około 100 milionów ludzi (tak mówiły statystyki podane przez reżim chiński) wówczas praktykowało Falun Gong w samych Chinach. Każdy miał rodzinę, był pracodawcą lub miał pracodawców. Nocami ludzi aresztowano, na pokazowych przesłuchaniach skazywano na 16 lat więzienia, bez wyroków zsyłano do obozów pracy (z których ludzie nie wychodzą żywi, jak np. z obozu Masanija), na resocjalizację – czyli pranie mózgu. Majątki konfiskowano, dzieci nie mogły chodzić do szkoły.

Tak do tego czasu również prześladowano osoby, które chciały wierzyć w Boga: chrześcijan z tzw. kościołów domowych, buddystów, Tybetańczyków, muzułmanów i zwłaszcza chrześcijan – ludzi, którzy nie chcieli przynależeć do Ludowego Kościoła Katolickiego, w którym można czcić Boga, ale pierwszy sekretarz – jest nad Boga, a na ołtarzu zamiast świętych widnieje duży wizerunek Pierwszego Sekretarza. Ale dopiero stopień brutalności specjalnego biura 610, stworzonego do prześladowania praktykujących Falun Gong, zszokował świat, bo kampania szykanowania i oczerniania ich była niespotykana nie tylko w Chinach, ale i na świecie. Przedstawiciele KPCh rozdawali materiały i książki pełne sfabrykowanych informacji na spotkaniach ONZ i w swoich ambasadach we wszystkich krajach. Instytucje Kościoła katolickiego, międzynarodowe, pozarządowe i rządowe krajów demokratycznych, zaalarmowane sytuacją praktykujących Falun Gong na całym świecie, podjęły dochodzenia. Wszystkie jednoznacznie wykazały, że jest to bezpodstawna propaganda nienawiści i oczerniania, a praktyka jest prawa i szlachetna. W maju 2002 r. Święty Jan Paweł II błogosławił Falun Dafa na całym świecie. W krajach Zachodu jednogłośnie przyjęto wiele rezolucji potępiających reżim chiński za prześladowania Falun Gong i wszystkich innych więźniów sumienia. W tym roku podniesiono flagi na Kapitolu Stanów Zjednoczonych na cześć pana Li, twórcy tej praktyki, a pochwałę ujęto w słowach: „Dziedzictwo, które Pan przekazuje, będzie wzruszać i napawać odwagą kolejne pokolenia przywódców na całym świecie".

W 2006 r. opublikowano raport „Krwawe żniwo" o grabieży za pieniądze i na zamówienie organów od żywych ludzi – sankcjonowaną przez władze. Chińczycy od tysiącleci wiedzieli, że medytacja poprawia stan zdrowia, a nowoczesna medycyna dopiero w ostatnich dekadach to potwierdziła. Tu chciałam zwrócić uwagę, że wielu biznesom lub rządom nie przeszkadzała wiedza o zbrodniach na ludziach, których sposób medytacji był nieznany, więc reżim szlifował swoje praktyki, szkolił swoich lekarzy transplantologii na uniwersytetach medycznych świata (również w Polsce). Ze wzrostem technologii grabież organów w Chinach stała się branżą wartą 9 miliardów USD rocznie (wyrok niezależnego trybunału można przeczytać tutaj https://chinatribunal.com/).

Dlaczego Polacy nie byli pierwsi, domagając się zaprzestania tych praktyk? Zostało to przyjęte przez reżim jednoznacznie: „jeśli nie opowiadacie się za wartościami uniwersalnymi, to i nie będziecie się opowiadać za swoją wiarą ani wartościami wolnościowymi". Teraz jest to systemowo nakazana procedura eliminowania nie tylko praktykujących Falun Gong, ale i chrześcijan, buddystów, Ujgurów-muzułmanów.

Wraz z piorunującym rozwojem technologii w ostatnich 5 latach KPCh używa technologii sztucznej inteligencji do rozpoznawania twarzy, mikroemocji; zbiera wszystkie dane przepływające przez intranet – internet wewnętrzny Chin, a od 2017 r., zgodnie z ustawą, wszystkie informacje znajdujące się na urządzeniach firm chińskich lub przepływające przez nie (styki, routery, telefony, komputery, anteny 5G…), jak i urządzeniach firm zagranicznych znajdujących się na terenie Chin (serwery chmury), mają być dostępne dla reżimu chińskiego. System oceni obywateli za wszystko, co robią lub czego nie robią (nie piją – źle, bo mogą być wierzący; piją za dużo – też źle, bo są nieproduktywni), z kim się spotykają, a wszystko jest nagrywane milionem urządzeń znajdujących na 984 m2, czyli na niecałej 1/10 ha, który obsługuje jedna antena chińskiego 5G. Jak ta najnowsza technologia jest używana do gnębienia

> Dlaczego ani razu publicznie polski rząd nie zaapelował o zaprzestanie chociaż prześladowań katolików, chrześcijan, jeśli już nie chce się wypowiadać o prześladowaniach kultur tradycyjnych dla Chin?

demokracji, można zobaczyć w ostatnich miesiącach w Hongkongu, gdzie nawet maski noszone przez studentów nie wystarczyły, by ich chronić przed zidentyfikowaniem i wyeliminowaniem w klasyczny dla reżimu, brutalny sposób.

Mogę zrozumieć naiwność czy głupotę ludzi w krajach, które nie doznały reżimu komunistycznego, które nie znają siły propagandy i niszczenia „wrogów narodu". Ale my, Polacy? Pamiętamy pokazowy proces sądowy ks. Popiełuszki. Pamiętamy, że III Rzesza była potęgą ekonomiczną swoich czasów. Pamiętamy, że wielkie firmy światowe dopracowywały efektywność zabijania w niemieckich obozach hitlerowskich, że wbrew ostrzeżeniom i informacjom, co naprawdę się tam dzieje, inwestowały i zarabiały. Pamiętamy, jak pięknie się nabrał Czerwony Krzyż, wizytując pokazowy niemiecki obóz hitlerowski. Pamiętamy, że za dostarczanie informacji lub współpracę z reżimami były większe lub mniejsze, ale korzyści. Pamiętamy, że elity komunistyczne żyły w luksusie w porównaniu z resztą społeczeństwa, a to, że luksus kiedyś wyglądał zupełnie inaczej niż teraz, nie znaczy, że system się zmienił.

Teraz na topie jest temat 5G. Warto pamiętać, że 70% patentów i standardów komercyjnie dostępnego 5G jest chińskich. Gdy zachodni świat rozwijał technologie 3G i 4G, Chiny postanowiły zdominować 5G. Ale to nie jest kolejny krok technologii komórkowej: antena 4G obsługuje około 2000 urządzeń na 984 m2, a antena 5G – 1 milion! Tak, to usprawni przepływ danych do użytku prywatnego, ale nie po to jest. Jest po to, aby urządzenia się ze sobą komunikowały – samoprowadzące się samochody, wszystkie kamery, mikrofony – te z naszych telewizorów i telefonów również – aby ich dane były analizowane przez sztuczną inteligencję. Taki otwarty system, gdzie operator i firmy, z których korzystamy, miały prawo do naszych danych, funkcjonuje w krajach demokratycznych. Facebook, Amazon, a obecnie większość firm istniejących w sieci, włącznie z medialnymi, używają sztucznej inteligencji do zbierania i analizowania wszystkich danych – tych z naszego ekranu, jak i tych nagranych przez mikrofony, kamery czy różne aplikacje. Te dane są sprzedawane do analizy, bo firmy mają lepsze wyniki sprzedaży, precyzyjnie określając klienta. A ten otwarty, zbierający wszystko o wszystkich system, jest używany w jedynym słusznym celu przez władze ChRL.

Znane jest, że Chiny mają 100-letni plan przejęcia świata do roku 2049 i że do tej pory wykorzystywały i wykorzystują każdą okazję w tym kierunku. Została opublikowana na ten temat książka *Unrestricted Warfare* (tłum. wykorzystujące wszystko działania wojenne). Biorąc to wszystko pod uwagę, używanie urządzeń firm chińskich – Huawei, ZTE, Xiaomi – powinno być co najmniej podejrzane. Pytam, dlaczego to Stany Zjednoczone obudziły się pierwsze, choć co prawda z ręką w nocniku? Dlaczego to nie Polska trąbiła o niebezpieczeństwie, że zbieranie informacji i chińska współpraca w ich wymianie z Rosją stanowi śmiertelne zagrożenie dla Polski? Dlaczego to konserwatywny prezydent Stanów Zjednoczonych (warto pamiętać, że i Obama, i Hillary Clinton byli uczniami i wyznawcami Saula Alinsky'ego, znanego amerykańskiego komunisty żydowskiego pochodzenia) zwraca uwagę Polakom na zagrożenie z Chin i chce wzmocnić sojusz, uniezależnić Polskę od wpływów reżimu?

Dlaczego polski rząd podpisał umowę o współpracy szkoły Policji w Szczytnie ze słynnymi ze swojej „prawości i humanitaryzmu" służbami ChRL, których ostatnie akcje mogliśmy oglądać na prodemokratycznych studentach w Hongkongu? Dlaczego nie mówi się, że Chiny to reżim? Dlaczego ani razu publicznie polski rząd nie zaapelował o zaprzestanie chociaż prześladowań katolików, chrześcijan, jeśli już nie chce się wypowiadać o prześladowaniach kultur tradycyjnych dla Chin? Dlaczego wyrocznią stały się źródła chińskie? Co znaczy wielowektorowość – to, że raz się ma wartości, a raz nie, że raz jesteśmy ramieniem reżimu, a innym razem – państwem demokratycznym? Dlaczego nadal ludzie wierzą bardziej chińskiej propagandzie, że Falun Gong to coś podejrzanego, a nie używają rozumu, uwzględniając fakt, że praktykujący Falun Gong na świecie to przekrój całego społeczeństwa, że Jan Paweł II nawoływał do zaprzestania prześladowań Falun Gong? Jak można zdelegalizować zasady moralne: prawdy, miłosierdzia i cierpliwości, jak również te „4 stare", niszczone za czasów Mao? Czego można oczekiwać od reżimu, który zdelegalizował i usunął

> Jakie wartości przyświecają decydentom? Czy one naprawdę służą interesom Polaków? Czy naprawdę chcemy przejść do historii jako naród, który nie poddał się najeżdżającym nas reżimom, natomiast się im sprzedał?

takie wartości?

Faustowskie umowy, dające chwilowe zyski nie są dobrem dla Polski. Eliminując wartości z polityki, umów, ekonomii, stajemy się gorsi niż ci inwestujący w Hitlera, bo my doznaliśmy tej krzywdy, znamy tę historię i mamy wiedzę. Jak można kontynuować współpracę z reżimem, gdy demokratyczni sojusznicy oferują nam swoją technologię wojskową, zapisaną na 19. stronie Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych, technologię 5G, która całkowicie zapewnia prywatność danych użytkownika w stopniu wręcz dla nas niepojętym? Dlaczego wprowadzony przez Plus system 5G jest kompatybilny tylko z urządzeniami producentów chińskich, którzy są wykluczeni lub uznani za instytucje służb nieprzyjaznego kraju? Firma oferująca te urządzenia raczej nie dba o bezpieczeństwo danych swoich klientów. Dlaczego Chiny są uważane za sojusznika Polski, pomimo że sojusznikami ChRL są Rosja, Korea Północna i Iran? Dlaczego, wbrew powszechnie publikowanym na Zachodzie powyższym informacjom, w Polsce ufa się bardziej propagandzie chińskiej? Dlaczego, wbrew temu, że koronawirus pochodzi z ChRL i już ponad 100 krajów domaga się pociągnięcia KPCh do odpowiedzialności za szkody śmiertelne i ekonomiczne, Polska się do nich nie przyłącza? Dlaczego, wbrew znanym danym, że wirus ten utrzymuje się na powierzchniach, zwłaszcza plastikowych, nawet powyżej 3 dni, zamawiamy dostarczany samolotem sprzęt ochronny z Chin, i to z Wuhan? Dlaczego, wbrew informacjom z innych krajów o felerności chińskich produktów ochronnych i testów, nadal zamawiamy je z Chin? Czy to nie jest marnowanie polskich funduszy i narażanie naszego personelu medycznego?

Dlaczego nie wzmacnia się czynem hasła „Kupuję u polskich producentów"? Cały amerykański łańcuch dostaw bezpieczeństwa narodowego i, jak się okazało, medyczny też, zależy od Chin… Polski również. Dlaczego obecny prezydent USA nakazał przeprowadzenie fabryk z powrotem do Stanów i kupuje rodzime towary? Polska też nie jest w stanie produkować sama leków, bo większość składników pochodzi z Chin, nie mówiąc już o tych szkodliwych. Który przemysł w Polsce lub w krajach demokratycznych jest w pełni zdolny do niezależnego funkcjonowania?

Jakie wartości przyświecają decydentom? Czy one naprawdę służą interesom Polaków? Czy naprawdę chcemy przejść do historii jako naród, który nie poddał się najeżdżającym nas reżimom, natomiast się im sprzedał? Może w tej tragicznej chwili pandemii powinniśmy znaleźć czas na szczerą modlitwę, pokutę, wyznanie win i wyrzeczenie się żądz pychy i władzy, natychmiastowego zbicia majątku. Czas modlić się o to, by Bóg dał nam szansę pójść prawą drogą, dał mądrość rozróżniania dobra od zła, odwagę, by potępić zło i wspierać dobro, by zaprzestać siać waśnie. Bóg jest miłosierny. Zostaniemy osądzeni przez historię za to, po której stronie stanęliśmy. Słuchajmy naszych sumień i zbierajmy informacje z różnych źródeł. Wiele instytucji medialnych i naukowych zostało zinfiltrowanych, przekupionych, ale niezależne informacje jeszcze są dostępne w internecie.

Uważam, że stosowne jest w 100 rocznicę urodzin Świętego Jana Pawła II przytoczyć znane na całym świecie słowa, wypowiedziane za czasów PRL:

„Nie lękajcie się. Miejcie odwagę, odwagę wiary!".

Niedawno byliśmy świadkami sporu o pamięć historyczną między władzami FR a burmistrzem Pragi, którego tłem była decyzja o usunięciu pomnika gen. Koniewa. Dla Polaków to, że FR próbuje narzucać swoją wizję historii, nie jest niczym nowym.

Rosyjsko-czeski konflikt pamięci

Mariusz Patey

Każde usunięcie z polskiej przestrzeni publicznej pomnika apologizujacego totalitarny reżim stalinowski, wywołuje nerwową reakcję ze strony Rosji. Ostatnio doszło także do zaognienia do tej pory dobrych stosunków czesko-rosyjskich.

Co się stało? Grupa czeskich patriotów od dłuższego już czasu zwracała uwagę na niestosowność upamiętniania akurat w Pradze sowieckiego generała, który przygotowywał inwazję na Czechosłowację w 1968 roku. Wcześniej, w 1956 r., był on jednym z dowódców oddziałów radzieckich dokonujących krwawej agresji na Węgry. Zginęło wtedy kilkadziesiąt tysięcy cywilów. Tysiące musiało uciekać, pozostawiając często cały swój dobytek i rodzinę. W czasach komunistycznych funkcjonował mit wyzwolicielskiej Armii Czerwonej. Generał Koniew miał być tym, który przyniósł Czechom wolność od nazizmu.

Przypomnijmy, że 6 maja 1945 r. wybuchło powstanie w Pradze. Jego celem miało być przechwycenie władzy, przed wejściem Armii Czerwonej, przez organizacje konspiracyjne związane z rządem Czechosłowacji z siedzibą w Londynie. Być może chciano sprowokować 3. armię gen. George'a Pattona do zajęcia stolicy Czechosłowacji i tym samym dokonać korekty ustaleń alianckich w Jałcie, poddających Czechosłowację pod władzę ZSRR. Duży wpływ miały także emocje ogółu mieszkańców zmęczonych niemieckimi porządkami. Paradoksem jest, że Pragę pomagali oczyścić z oddziałów niemieckich Rosjanie, tyle że z Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA), którzy odwrócili „sojusze" i wsparli czeskich powstańców, gdy ci wystąpili przeciw Niemcom. Nic dziwnego, że Czesi mają sentyment do gen. Sergieja Buniaczenki. To jego oddziały wyzwalały Pragę, wjeżdżając na czołgach z wypisanym hasłem śmierć „Stalinowi i Hitlerowi!". Armia Czerwona była za daleko, by mieć wpływ na przebieg wydarzeń.

Już wiosną 1945 r. sowieckie rozgłośnie nadające w języku czeskim wzywały Czechów do powstania przeciwko Niemcom. Wiedząc, że w Czechach stacjonowała Grupa Armii Środek, mająca do dyspozycji 900 tys. żołnierzy, czołgi i samoloty, łatwo sobie wyobrazić skutki. Czy chodziło o to, by rękami Niemców pozbyć się niewygodnych zwolenników prezydenta Benesza, głowy oficjalnie uznawanego przez Stalina rządu Czechosłowacji? Czy szykowano podobny scenariusz, jaki został zrealizowany w 1944 roku w Warszawie? Być może. Czesi jednak czekali na odpowiedni moment.

Na pewno czescy antykomuniści zdawali sobie sprawę z zagrożenia, jakie niosło sowieckie

Dokończenie na sąsiedniej stronie

W 1926 r. D. Doncow opublikował broszurę *Nacjonalizm*, w której stwierdził, że między narodami toczy się darwinowska walka o byt. Przetrwać mogą tylko najsilniejsi, dlatego trzeba sięgać po radykalne środki, odrzucając moralność i etykę.

Przyszłość Ukrainy

„Niemiecki garnuszek" czy przyjaźń z Polską?

Stanisław Orzeł

Naród miał stać się najwyższą wartością nie tylko w sferze polityki, ale miała mu zostać podporządkowana wola życia człowieka. Według niego tożsama z pojęciem narodu wola życia miała zostać osiągnięta poprzez przemoc, gdyż „bez przemocy i bez żelaznej bezwzględności niczego w historii nie stworzono. Przemoc, żelazna bezwzględność i wojna – oto metody, którymi wybrane narody szły drogą postępu". Doncow odrzucił humanizm oraz racjonalizm na rzecz fanatyzmu i nienawiści, tłumacząc, że „żadne zasady nie mogą zabronić, aby silniejszy uległ przemocy słabszego". W miejsce racjonalizmu proponował mistycyzm, który według niego był osadzony w „potrzebach nacji, jej nieumotywowanej, irracjonalnej woli życia i panowania" (S. Błażejewska, *„Trzeba terroru – uczyńmy go piekielnym!" Powstanie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów*, PolskieRadio.pl, 27.01.2020). Konsolidację ruchu nacjonalistycznego oraz jego ukierunkowanie na bezwzględną walkę z Rzeczpospolitą w myśl tych zasad przyśpieszyło ponowne objęcie przywództwa nad organizacją przez Konowalca, który po zabójstwie Petlury w 1926 r. [w Paryżu zastrzelił go Szolem Szwarcbald, prawdopodobnie z inspiracji sowieckiego OGPU – S.O.] stał się autorytetem dla nacjonalistycznej młodzieży ukraińskiej.

Wyrazem zmian był Kongres Ukraińskich Nacjonalistów w Wiedniu 27 stycznia – 3 lutego 1929 r. Głównymi organizacjami, które w nim uczestniczyły, były: UWO, Związek Ukraińskiej Młodzieży Nacjonalistycznej oraz Legia Ukraińskich Nacjonalistów. W wyniku obrad ustalono, że na ich bazie powstanie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Jej głównym celem miało być „odzyskanie, budowa, obrona i powiększenie niezależnego, zjednoczonego państwa narodowego" na terytoriach „ukraińskich ziem etnograficznych" rozumianych jako tereny, które już w średniowieczu były zamieszkałe przez Ukraińców. OUN została zdominowana przez młodzież [wśród niej zaczął się wyróżniać Stepan Bandera – S.O.], która pod wpływem Doncowa doprowadziła do przyjęcia jego doktryny za ideową podstawę Organizacji. Podczas zjazdu ogłoszono, że Ukraina znajduje się w stanie „wrogiej okupacji", którą można znieść „narodową rewolucją", prowadzącą do „umocnienia państwa".

Przeciwko „zajmańcom" (zaborcom), czyli Polakom i Rosjanom, miała być toczona bezwzględna walka, podczas której należało zapomnieć o wszelkich zasadach humanitarnych. By osiągnąć cel, należało stworzyć własne siły zbrojne i pozyskać sojuszników. Kierując się zasadą, że „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem", za takiego sojusznika oficjalnie uznano Niemcy. Ideologię OUN skodyfikował latem 1929 r. Stepan Łenkawśki w „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty":

„Ja – duch odwiecznego żywiołu, który uratował Ciebie przed tatarskim potopem i postawił na granicy dwóch światów, aby tworzyć nowe życie:

1. Zdobędziesz państwo ukraińskie albo zginiesz w walce o nie.
2. Nie pozwolisz nikomu plamić chwały ani czci Twojego Narodu.
3. Pamiętaj o wielkich dniach naszych Walk Wyzwoleńczych.
4. Bądź dumny z tego, że jesteś spadkobiercą walk o chwałę Włodzimierzowego Tryzuba.
5 Pomścisz śmierć Wielkich Rycerzy.
6. O sprawie nie rozmawiaj tylko z tym, kim można, ale z tym, z kim trzeba.
7. Nie zawahasz się wykonać największego przestępstwa, jeśli będzie tego wymagać dobro sprawy.
8. Nienawiścią i podstępem będziesz przyjmował wrogów swej Twojej Nacji.
9. Ani prośby, ani groźby, ani tortury, ani śmierć nie przymuszą Ciebie do wyjawienia tajemnicy.
10. Będziesz dążyć do poszerzenia siły, chwały, bogactwa i przestrzeni Państwa Ukraińskiego nawet w drodze zniewolenia obcych".

Początkowo OUN była sponsorowana przez ukraińską emigrację z USA i Kanady, jednak Wielki Kryzys w październiku 1929 r. załamał ten kierunek finansowania. Szukając nowych źródeł, w latach trzydziestych członkowie OUN nasilili akcje ekspropriacyjne na terenie Polski. Po wejściu do OUN, UWO postanowiła przypomnieć o sobie we wrześniu 1929 r. podczas Targów Wschodnich we Lwowie: zorganizowano wtedy trzy zamachy bombowe na pawilony handlowe, próbowano podpalić Dworzec Główny i dokonać zamachu na Ministra Przemysłu i Handlu, Eugeniusza Kwiatkowskiego. W 1931 r. UWO planowała prowokację międzynarodową: wysadzenie pociągów w korytarzu pomorskim, co miało sprowokować atak armii niemieckiej na Polskę. Czuć tu wpływ kontaktów Konowalca z pułkownikiem F. Bredowem…

Roman Suszko i Osyp Dumin

Źródłami, które potwierdziły polskie dochodzenia i ostatecznie kompromitują działalność nacjonalistów ukraińskich w czasach II RP, są: wspomniany memoriał Dumina sporządzony dla Abwehry i przejęte w 1934 r. tzw. archiwum Senyka. W latach 1928–1929 Omelan Senyk był komendantem UWO, w 1929 r. delegatem na I Kongres Ukraińskich Nacjonalistów w Wiedniu, a w latach trzydziestych – członkiem czteroosobowego zarządu OUN. W 1930 r. dla zdobywania funduszy na działalność organizacji odbył szereg podróży służbowych do USA, Kanady, Argentyny i Brazylii. Był podejrzany przez współtowarzyszy o zdradę, ale trybunał OUN tego nie potwierdził (Wikipedia).

Po 1927 r. władze czechosłowackie stopniowo wycofywały aktywne wsparcie dla Ukraińców, a całkowicie przestały wspomagać ukraińską irredentę, gdy odkryły, że część ludzi Konowalca prowadzi działalność wywiadowczą skierowaną przeciw Czechosłowacji. Wówczas aresztowano m.in. I. Martynicia za współpracę z wywiadem niemieckim. W 1934 r. policja czechosłowacka podczas przeszukań lokali zajmowanych przez działaczy ukraińskich przejęła materiały, a wśród nich wspomniane Senyka, zawierające 418 oryginałów i 2055 fotografii dokumentów (maszynopisów i rękopisów) o podziemnej działalności UWO/OUN. Pozwoliło to na aresztowania wielu nacjonalistów ukraińskich, a przekazane stronie polskiej – akta te były jednym z głównych dowodów podczas procesu warszawskiego Stepana Bandery, M. Łebiedia i spółki (1935/1936).

Po ujawnieniu archiwum Senyka Polska i Czechosłowacja nawiązały współpracę wywiadowczą, która zaowocowała powstaniem placówki wywiadowczej o kryptonimie „Olaf" (Wstępna ocena ruchu terrorystycznego, CAW, Oddz. II SG, sygn. I.303.4.6908, s. 3–4; Placówka „Olaf", CAW, Oddz. II SG, sygn. I.303.4.2345; za: D. Gibas-Krzak, jw., s. 181). Z przekazanych Polsce akt archiwum Senyka wynikało, że rząd litewski kwartalnie wypłacał na rzecz OUN kwoty rzędu 1500–2000 dolarów. W aktach Senyka znalazł się m.in. list Iwana Gabrusewicza (Habrusewycza) do Konowalca: „UWO jest rozsadnikiem destrukcji, kolosalnym rozpętaniem instynktów, aby tanim kosztem stać się bohaterem. Z większości jego członków wyrastają bandyci" (Ł. Karpiel, *Zanim nad Wołyniem położył się cień* – rozmowa z dr Lucyna Kulińską, PCh24.pl, 2013. 07.07). Wynika z niego, że założyciele OUN od początku mieli świadomość jej skrajnie destrukcyjnego charakteru. Z przejętych pism wynikało, że „OUN nie dopuści, by na ziemiach ukraińskich znajdujących się pod okupacją [czyli w Polsce – S.O.] zapanował spokój". Analiza *Memoriału* Dumina i archiwum Senyka wykazuje, że od 1921 r. organizacje ukraińskich nacjonalistów UWO i OUN – jak pisze Lucyna Kulińska w *Działalności terrorystycznej…* – „pełniły w Polsce rolę V kolumny. UWO, a potem i OUN, dostarczały polskie dokumenty wojskowe i państwowe nie tylko Niemcom, ale także Sowietom i Litwinom (…). Sprzedawano wykradzione dokumenty wojska polskiego każdemu, kto był w stanie za nie zapłacić – czasem kilku stronom naraz. Ten handel stanowił podstawowy sposób utrzymania rezydujących w Berlinie członków UWO. (…) *Memoriał* [Dumina – S.O.] to materiał z jednej strony kompromitujący, a z drugiej obnażający całą amoralność przywódców ruchu, którzy bez wahania szafowali przyszłością i życiem młodzieży ukraińskiej, która im zawierzyła bez reszty". Dumin już w pierwszych słowach nie pozostawia złudzeń co do tego, jaki jest cel walki i wszelkich innych przedsięwzięć UWO: „Zadaniem UWO była nieustanna i bezwzględna walka przeciwko Polsce. Celem UWO było zniszczenie polskiego panowania we wszystkich ukraińskich dzielnicach, podkopanie polskiego autorytetu państwowego, materialne i moralne niszczenie polskich organów władzy państwowej, a wreszcie zdobycie i ustanowienie własnego niezależnego państwa ukraińskiego" (L. Kulińska, *Działalność terrorystyczna…*, jw., s. 123).

Jednak głównym źródłem finansowania UWO pozostawał wywiad niemiecki. Do dalszego zbliżenia z Abwehrą doszło w roku 1933, kiedy wdrożono na szeroką skalę program szkoleń ukraińskich agentów. Niemcy utworzyli nawet „ośrodki badań ukrainistycznych", które oficjalnie zajmowały się zgłębianiem ukraińskiej historii i kultury, a pod pozorem prowadzenia badań Abwehra wysyłała do Polski „naukowców", którzy bezpośrednio kontaktowali się z ukraińskimi politykami, działaczami i naukowcami (S. Błażejewska, jw.). Pod koniec 1938 r., po akcji policji i wspierających ją jednostek wojskowych na Wołyniu oraz likwidacji wołyńskich struktur OUN, nasiliło się zaangażowanie Ukraińców we współpracę z hitlerowcami. Jej gorącym orędownikiem był A. Melnyk. Doszło wówczas do zintensyfikowania pracy wywiadowczej, polegającej na uzyskiwaniu danych o jednostkach Wojska Polskiego, ich uzbrojeniu, dyslokacji oraz stopniu wyszkolenia. Odnotowywano coraz częstsze przypadki zakupu broni i materiałów wybuchowych, co świadczyło o wzmożonej akcji tworzenia terrorystycznych i dywersyjnych struktur konspiracyjnych. „Dzięki" nacjonalistom ukraińskim przed II wojną światową „teren całej Rzeczypospolitej pokryty był siecią wywiadu wojskowego, a jego szlaki prowadziły przez Kraków, Warszawę, Poznań, Gdańsk lub Królewiec do Berlina. W opracowaniach polskiego wywiadu przyznawano: „Nasze zagadnienie obronności kraju, nasz potencjał militarny, wojskowy przemysł wojenny, nawet życie polityczne i gospodarka w ogóle były przedmiotem penetracji czynników obcych przy pomocy wojskowych elementów ukraińskich. Procesy sądowe o szpiegostwo i nasz wywiad wojskowy dostarczały coraz to nowych wiadomości o rozmiarach prowadzonej na Ziemiach Polskich akcji". Podkreślano też „absolutną ciągłość personalną w strukturach OUN po wybuchu II wojny światowej" (Ł. Karpiel, jw). W kontakcie z Abwehrą Ukraińcom udało się doprowadzić do utworzenia 250-osobowego oddziału (Legion Ukraiński/Ukrainische Legion, krypt. Berg-Bauern Hilfe, BBH; Wikipedia), którego dowódcą został płk Roman Suszko. Jednak z danych wywiadowczych wynikało, że na propozycje Abwehry dotyczące wywołania powstania na tyłach polskiej armii w przypadku wybuchu wojny, A. Melnyk miał odpowiedzieć negatywnie. Ostatecznym czynnikiem, który zadecydował, że Niemcy we wrześniu 1939 r. nie wykorzystali komórek terrorystycznych OUN w Polsce, było podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow. Mimo to w kampanii wrześniowej odnotowano liczne przypadki ataków Ukraińców na posterunki polskiej policji oraz grupy polskich żołnierzy (D. Gibas-Krzak, D. Gibas-Krzak, *Działalność terrorystyczna i dywersyjno-sabotażowa nacjonalistów ukraińskich w latach 1921–1939*, „Przegląd Bezpieczeństwa Wewnętrznego" 3/10, s. 185–186). To, co wydarzyło się później, było już tylko ostatecznym rezultatem hodowania i tresury nacjonalizmu ukraińskiego przez nacjonalistów niemieckich, których pobił największy nacjonalista wielkoruski, Josip Wissarionowicz Dżugaszwili, a obecnie wykorzystuje nowy nacjonalista rosyjski – Władimir Władimirowicz...

Czy mieszkający i pracujący dziś w Polsce Ukraińcy, ci ze Związku Ukraińców w Polsce i ci, którzy przyjeżdżają „na zarobek" (a było ich chwilami 3 miliony), są inni niż przed okupacją niemiecką i zd/radziecką? Autor jednej z najobiektywniej napisanych historii Ukrainy, Jarosław Hrycak, widzi swój naród bardzo podzielony pod wieloma względami: językowym, wyznaniowym, kulturowym itd. Przyznaje, że 'Ukrainiec' jest dzisiaj pojęciem politycznym, a nie etnicznym, i że wielu mieszkańców współczesnej Ukrainy w rzeczywistości nie wie, kim jest – badania socjologiczne przeprowadzone w 1994 r. w Doniecku wykazały, że największą grupę w tym mieście stanowią „ludzie radzieccy". „Wszystko to (…) przemawia za tezą, że proces formowania się narodu ukraińskiego nie został ostatecznie zakończony, że przekształcanie się tego »substratu narodowego« w rozwinięte społeczeństwo obywatelskie, złączone nie tylko wspólną przeszłością, ale też atrakcyjnym projektem wspólnego życia w przyszłości – wciąż jeszcze trwa" (B. Stoczewska, *Od „substratu etnicznego" do narodu (na marginesie książki Jarosława Hrycaka, Historia Ukrainy 1772–1999. Narodziny nowoczesnego narodu, Lublin 2000)*, „Przegląd Historyczny" 92/1, s. 107). Natomiast w Polsce, która nie jest już „pańska", sprawę ukraińską w dwudziestoleciu międzywojennym powinniśmy – jak mówi L. Kulińska – potraktować „nie jako wyjątek, ale jeden z takich dramatów, których przebieg wskazuje na nieuchronność krwawej rozprawy ze strony wywodzących się z mniejszości etnicznych przeciwników państwa (szczególnie gdy znajdzie się ono w trudnej sytuacji międzynarodowej lub ekonomicznej), jeśli mniejszość jest wystarczająco liczna, a na dodatek znajdą się w niej ugrupowania kierujące się skrajnie szowinistyczną ideologią odrzucającą metody określane przez kulturę Zachodu jako 'cywilizowane'…"

Dlatego, spoglądając na tragiczne skutki uzależnienia się nacjonalistów ukraińskich od niemieckich źródeł finansowania, warto, aby nasi ukraińscy sąsiedzi, słowiańscy pobratymcy najbliżej może związani z losami Polski, kontynuując procesy przekształcania „substratu narodowego" w rozwinięte społeczeństwo obywatelskie Ukrainy, odpowiedzieli sobie na pytanie, czy da się ufundować trwałą „Samostijną", hodując nadal szowinistyczny nacjonalizm na obcym żołdzie…? Czy przyszłość Samostijnej to niemiecki garnuszek, czy obywatelski patriotyzm XXI wieku i przyjaźń z Polską? Nie ulega według mnie wątpliwości, że losy Ukrainy, Polski, a kto wie, czy nie stabilność całej Europy będą zależały od tego, jaką odpowiedź Ukraińcy dadzą na tak postawione pytania.

> Przeciwko „zajmańcom" (zaborcom), czyli Polakom i Rosjanom, miała być toczona bezwzględna walka, podczas której należało zapomnieć o wszelkich zasadach humanitarnych.

> Pod koniec 1938 r., po akcji policji i wspierających ją jednostek wojskowych na Wołyniu oraz likwidacji wołyńskich struktur OUN, nasiliło się zaangażowanie Ukraińców we współpracę z hitlerowcami.

---

wyzwolenie, i chcieli wywrócić postanowienia jałtańskie metodą faktów dokonanych. Powstanie w Pradze miało sprowokować wojska amerykańskie – które zatrzymały się stosunkowo blisko stolicy Czech, znacznie bliżej niż wojska sowieckie – do dalszego marszu i wyzwolenia Pragi. A pod Pilznem stacjonował gen. Patton, znany ze swej niechęci do czerwonych. Niestety na wieść o powstaniu Amerykanie się nie ruszyli, zachowując lojalność wobec ustaleń jałtańskich. I wszytko wskazywało, iż źle uzbrojeni i przeszkoleni powstańcy zostaną zmasakrowani przez doborowe jednostki niemieckie. Czeskie podziemie zaczęło szukać ratunku. Niedaleko Pragi, bo niecałe 50 km, stacjonowała dywizja ROA. To do niej dotarli czescy konspiratorzy z prośbą o pomoc.

Rosjanie po podpisaniu stosownych umów z grupą czeskiego ruchu oporu „Bartosz" wyruszyli w składzie 16 tysięcy dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy frontowych na pomoc Pradze. I tu należy odnotować smutny fakt, iż członkowie sztabu innego zgrupowania ROA, zmierzający do Pragi celem wsparcia walczących Czechów, zostali zatrzymani przez grupę czeskich komunistów i zamordowani.

Bez udziału Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej po stronie Czechów, Praga podzieliłaby zapewne los Warszawy. Oddziały Waffen SS już zaczynały masowe egzekucje i niszczenie miasta. W walkach z Niemcami zginęło 300 żołnierzy ROA.

Po częściowym wyparciu Niemców oddziały rosyjskie wyszły z Pragi 8 maja, na skutek nieporozumień z czeskimi komunistami, którzy to zdążyli zdominować Czeski Komitet Wyzwoleńczy – ciało koordynujące działania powstańcze. W tym samym dniu także Niemcy, w wyniku porozumienia z Czeskim Komitetem Wyzwoleńczym, opuścili Pragę. Armia Czerwona pod dowództwem gen. Koniewa weszła do już właściwie wolnej Pragi 9 maja. Po zajęciu Pragi przez wojska radzieckie NKWD rozstrzelało rannych w walkach z Niemcami żołnierzy rosyjskich. Zaczęto także tropić czeskich antykomunistów.

Było to zapewne skutkiem znamiennego zapisu w umowie o współpracy wojskowej między Rosyjską Armią Wyzwoleńczą a czeskim podziemiem powiązanym z emigracyjnym rządem prezydenta Beneša, w którym strony uzgodniły, że „będą walczyć z narodowym socjalizmem i bolszewizmem".

Nie zdziwiłbym się, jeśli w Czechach (bo w samej Federacji Rosyjskiej są uważani za zdrajców) ktoś postawi pomnik żołnierzom ROA – „Wyklętym Rosjanom".

> Bez udziału Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej po stronie Czechów, zapewne Praga podzieliłaby los Warszawy. Oddziały Waffen SS już zaczynały masowe egzekucje i niszczenie miasta.

W stolicach państw zwycięskich w I wojnie światowej trwały przepychanki, czy pieniądze ważniejsze, czy honor. Czy bezpieczeństwo na kontynencie, czy doraźne wpływy gotówki. Musiano także się już liczyć z opinią publiczną, poruszoną dwoma powstaniami na Górnym Śląsku.

Liczyć można tylko na siebie, czyli destruktorzy robią swoje

Historia powstań śląskich • Część XIX

Jadwiga Chmielowska

Polska dyplomacja w Paryżu, zdominowana przez endeków, zapatrzona była w zwycięską Francję i Anglię. Trzeba pamiętać, że Roman Dmowski był posłem do rosyjskiej Dumy, więc jego obecność w Komitecie Narodowym Polskim (KNP) przy boku państw Ententy (sprzymierzonych z Rosją), w czasie jeszcze toczącej się wojny, nie była w Rosji odbierana negatywnie. KNP miał orientację prorosyjską. Powstał zaraz po wybuchu wojny w listopadzie 1914 r. w Warszawie. Nawoływał Polaków do biernego oporu wobec Niemiec i Austrii – pozostałych zaborców. Rosja mgliście obiecywała po skończonej wojnie przyłączenie reszty ziem polskich do Polski, lecz pod berłem cara. Kreml wspominał nawet o jakiejś formie polskiej państwowości. Zapleczem politycznym KNP było Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne oraz Stronnictwo Polityki Realnej, a siłami zbrojnymi – Armia gen. Hallera. Do dziś niektórzy endecy bredzą o tym, że powstanie styczniowe było niepotrzebne i wywołane na niemieckie zlecenie. Każde więc powstanie było dla tego środowiska czymś niepotrzebnym i zgoła niebezpiecznym. Te same dwa stronnictwa założyły w 1917 r. w Paryżu przedstawicielstwo, pod tą samą nazwą KNP. Od jesieni 1917 r., czyli już po rewolucji lutowej w Rosji, KNP był przez Francję, Anglię, Włochy i USA uznawany za oficjalnego reprezentanta odradzającej się państwowości polskiej. Endecy nie uznawali rządu ani Ignacego Daszyńskiego, ani Jędrzeja Moraczewskiego. Wprowadzone powszechne prawo wyborcze (obejmujące również kobiety), ustanowienie ośmiogodzinnego dnia pracy, gwarancja legalności związków zawodowych i strajków, powołanie inspekcji pracy oraz ubezpieczeń chorobowych były dla endeków zbyt radykalnymi, wręcz rewolucyjnymi zmianami. Ciekawostką jest, że KNP uznał dopiero powstały 16 stycznia 1919 r. rząd, na czele którego stanął Ignacy Paderewski – ich człowiek. Również w sprawach Śląska środowisko endeckie, z którymi był związany Korfanty, bało się panicznie rewolucji. Powstanie zbrojne było dla Korfantego rewolucją i choć pochodził ze Śląska i znał konserwatyzm i religijność śląskiego ludu, uległ ówczesnej myśli endeckiej. Wierzył, że postawa klientystyczna wobec mocarstw jest słuszna.

Tymczasem realiści nie chcieli czekać na jałmużnę „wielkich". Myśleli nie tylko o zwycięstwie, ale o tym, jak sprawić, by w walce nie wykrwawić śląskich bohaterów.

> Powstanie zbrojne było dla Korfantego rewolucją i choć pochodził ze Śląska i znał konserwatyzm i religijność śląskiego ludu, uległ ówczesnej myśli endeckiej. Wierzył, że postawa klientystyczna wobec mocarstw jest słuszna.

Kpt. Tadeusz Puszczyński, aby jego zamiar odcięcia Śląska od pomocy wojskowej z Niemiec powiódł się, a zarazem członkowie oddziałów destrukcyjnych przeżyli, musiał nie tylko wprowadzić konspirację w konspiracji, ale także po dotarciu na miejsce działania uniemożliwić kontakty między grupami. Nie było też wiadomo, jak długo bojowcy będą musieli czekać na rozpoczęcie walk. Puszczyński w każdym oddziale wyznaczył tzw. wychowawcę. Funkcja ta była tajna. Musiał on mieć łatwość nawiązywania kontaktów międzyludzkich. Szczególnie szybko Ślązacy polubili i uznali za swego Bohdana de Nissau. Innych ochotników trzymali na dystans. Rola wychowawcy była szczególnie ważna w oddziałach, które miały słabszych dowódców.

W oddziałach destruktorów przeważali Ślązacy. Najbardziej znani z nich to sierż. Jerzy Gomółka, kpr. Wiktor Wiechaczek, szeregowi: Wilhelm Chrobok, Herman Jurzyca, Filip Copik, Józef Wocka, Piotr Synowski, Alojzy Damboń. Wspomagali ich ochotnicy, głównie peowiacy i legioniści, z całej Polski: por. Włodzimierz Dąbrowski, dowódca grupy „G", podporucznicy: Lucjan Miładowski, Stefan Nowaczek („Koryński"), podchorążowie: Stanisław Czapski, Tadeusz Meissner („Tadek"), Henryk Pasterski, Stanisław Pelc, sierż. Kazimierz Nożyński i Ludwik Kuroczko („Magyar").

Już od połowy grudnia 1920 r. gromadzono materiały i broń. Do kpt. Kierzkowskiego trafiło wtedy pierwsze zamówienie: 2000 kg ekrazytu w kawałkach, 1000 szt. spłonek pobudzających, 10 zwojów lontu wolnopalnego, zwój lontu detonującego oraz dokładne mapy terenu w skali 1: 100 000. Zamówienie, jak widać, wiązało się z planami wysadzenia mostów i obiektów strategicznych. Była to dostawa dla dwóch oddziałów grupy opolskiej. Już w grudniu przyjęto kryptonim: Akcja Główna Unieruchomienia Niemców. Początkowe litery stały się nazwami grup. Pierwsza utworzona – opolska – otrzymała kryptonim „A". Grupa „G" obejmowała teren na styku powiatów prudnickiego i opolskiego. Grupa „U" działała na terenach powiatu głubczyckiego i prudnickiego. Natomiast Grupa „N" pracowała na północy, w powiecie kluczborskim.

Pomimo opracowania kilku kolejnych planów operacyjnych, wciąż miały one charakter defensywny. Główna baza Referatu Destrukcji nadal mieściła się w Sosnowcu. Tu przechodzili szkolenia i tu gromadzony był sprzęt i materiały dostarczane autonomicznym grupom.

„Omal nie doszło do dekonspiracji grupy opolskiej »A«, a to tylko dlatego, że miejscowi działacze śląskiej organizacji bojowej dowiedzieli się o istnieniu oddziału o specjalnym przeznaczeniu. Kierownictwo referatu podjęło konieczne w takich przypadkach środki ostrożności. Prace grupy opolskiej przerwano na dwa tygodnie, by zorientować się, czy wywiad niemiecki wpadł na jej trop. Członkom zespołu wydano kategoryczny zakaz wszelkich kontaktów z miejscowymi Polakami i polskimi instytucjami. Ograniczono również kontakt z kierownictwem Referatu Destrukcji. Wszczęte postępowanie ujawniło, iż w gronie opolskich peowiaków znajdował się agent niemieckiego wywiadu" – czytamy w książce Zyty Zarzyckiej *Polskie działania specjalne na G.Śl. 1919–1921*, s. 79. Ten incydent spowodował wydanie specjalnej instrukcji o zasadach konspiracji. Np. materiały wybuchowe transportowano drogami okrężnymi z Warszawy, a nie z pobliskiego Krakowa. Wprowadzenie bardzo sztywnych zasad uchroniło przed wieloma wpadkami.

Agenci byli nie tylko po niemieckiej stronie granicy. Był przypadek, że transport materiałów wybuchowych zatrzymała polska Straż Graniczna. Ochraniający transport zdołali na szczęście zbiec. Prowadzone przez polską policję śledztwo skończyło się niepowodzeniem; winowajcy pozostali na szczęście nieuchwytni. Później okazało się, że jeden z komisarzy był niemieckim agentem w polskiej policji.

Destruktorzy odczuwali nieufność wobec sztabu Dowództwa Obrony Plebiscytu. Tylko Puszczyński i Charaszkiewicz utrzymywali z nim kontakt. Ciekawostką jest to, że im bardziej rozwijały się prace inspektoratu, tym większy sceptycyzm panował w podległym Korfantemu Dowództwie Obrony Plebiscytu. „Prędzej wszystkie ryby w Odrze wyzdychają, niż Puszczyński wysadzi choć jeden most" – twierdzili niektórzy oficerowie DOP. Czyżby prowokowali, by uzyskać szczegółowe informacje? Niestety ilość wtajemniczonych w istnienie zakonspirowanej dywersji rosła. Na szczęście Puszczyński i Baczyński stracili zupełnie zaufanie do Sztabu DOP po przygodzie, jaka ich spotkała.

„W marcu 1921 roku Parytetyczna Policja Plebiscytowa w Katowicach otrzymała meldunek, iż w miejscowym hotelu Monopol zatrzymali się dwaj niebezpieczni przestępcy kryminalni przybyli z Polski, których należy niezwłocznie aresztować. Jako nazwiska podano pseudonimy obydwu oficerów. Istotnie obydwaj znajdowali się wówczas w pokoju hotelowym, zajęci omawianiem szkiców przeznaczonych do zniszczenia mostów, ponieważ było to po powrocie z inspekcji terenów położonych na lewym brzegu Odry. Mieli przy sobie również wykazy kwater oddziałów dywersyjnych z nazwiskami Polaków – właścicieli lokali. Ostrzeżeni o wizycie policji przez kpt. Jana Ludygę-Laskowskiego, który w owym czasie służył w katowickiej sotni Policji Plebiscytowej, odkomenderowany tam po II powstaniu, zdołali zbiec, zniszczywszy uprzednio kompromitujące materiały. O wspomnianej inspekcji terenowej wiedziało z narady sztabu co najmniej kilka osób" – na podstawie *Studium Puszczyńskiego*, rozdz. I *Niebezpieczeństwo dekonspiracji w pracach przygotowawczych na terenie grupy opolskiej*, napisała w swojej książce Zyta Zarzycka.

W marcu we wsi zamieszkałej tylko przez Polaków ostrzelano czekającego na przewodnika kpt. Puszczyńskiego. O planowanym spotkaniu wiedziało w Sztabie DOP jedynie kilka osób. O tym, że ktoś doskonale znający wszystkie tajniki donosił Niemcom, świadczy publikacja w „Ostdeutsche Morgenpost" 13 stycznia tekstu pt. *Polski plan strategiczny akcji na Górnym Śląsku*. Autor tego artykułu donosił: „Podczas głosowania oddziały winny poprzecinać natychmiast przewody telefoniczne, obsadzić urzędy pocztowe, dworce, urzędy telegraficzne i inne instytucje rządowe, następnie wysadzić mosty i w ogóle dążyć do uniemożliwienia wszelkiej komunikacji z Niemcami (…) POW G.Śl. zostanie teraz wzmocniona przez bojówki z armii regularnej dla plebiscytu, którzy przed wyjazdem na G.Śl. są w sosnowieckim obozie specjalnym szkoleni w walce wręcz, wysadzaniu torów kolejowych itp. (…) Także dla członków formacji technicznych rozpoczęły się w Sosnowcu kursy przeszkolenia w pracach destrukcyjnych i wysadzaniu odpowiednich obiektów (…) W odnośnych instrukcjach są wyraźnie wypowiedziane zamiary wysadzenia lub uszkodzenia mostów i torów kolejowych. Przekazanie materiału technicznego, potrzebnego do tych celów, załatwione zostanie przez kierownictwo w Warszawie. Tymczasem znajduje się on w składnicach polskich bezpośrednio przy granicy górnośląskiej".

> Puszczyński i cały jego zespół zdawał sobie sprawę z tego, że muszą być gotowi przed 20 marca – przed plebiscytem. Potem, po niesprzyjającej decyzji mocarstw, wszystko mogło potoczyć się bardzo szybko.

Pomimo tej informacji Puszczyński kontynuował prace przygotowawcze. Jednak alianci obsadzili mosty i to utrudniało działalność w terenie. Referat Destrukcji zamówił więc mundury francuskie wraz z ekwipunkiem i uniformy Policji Parytetowej. Wyznaczono krótki, 12-dniowy termin realizacji zamówienia. Najpierw poinformowano Warszawę, a dopiero później Bytom. Zażądano też jednoosobowej odpowiedzialności. Równocześnie poszło zamówienie przysłania do referatu oficerów i podoficerów-saperów z biegłą znajomością języka niemieckiego i francuskiego. W lutym na Śląsk przybyli kpt. Czesław Pobóg-Prusinowski i ppor. Juliusz Jarosławski oraz podoficerowie-poznaniacy: sierżanci Antoni Ciepły, Antoni Dąbrowski, Teodor Strugarek, plutonowi Jan Nowaczyk, Antoni Smyrczyński i kpr. Wojciech Cegłowski. Byli oni świetnymi konspiratorami i żołnierzami.

Puszczyński i cały jego zespół zdawał sobie sprawę z tego, że muszą być gotowi przed 20 marca – przed plebiscytem. Potem, po niesprzyjającej decyzji mocarstw, wszystko mogło potoczyć się bardzo szybko. Należało móc rozpocząć powstanie w każdej chwili.

Referat destrukcji dysponował samochodem, trzema motocyklami z koszem, 10 rowerami, odzieżą, kompasami, busolami. Wyposażenie nadesłane z Warszawy bezpośrednio lub przez Poznań było znakomite. Tylko w jednej dostawie trafiło 30 karabinów mauser z 50 000 naboi, 21 pistoletów brownig z 2 000 naboi, 1500 granatów, 5000 kg ekrazytu, 200 spłonek pobudzających, 100 m lontu detonującego, 50m lontu prochowego, 500 petard.

„W pierwszych dniach lutego w Referacie Destrukcji było 9 oficerów, 4 podchorążych, 4 sierżantów, 5 plutonowych, 2 kaprali i 22 szeregowych. Kierownictwo tworzyli: dowódca – kpt. Tadeusz Puszczyński („Wawelberg"), zastępca dowódcy – por. Stanisław Baczyński („Büttner"), z-ca dowódcy ds. technicznych i łącznik z Dowództwem Obrony Plebiscytu – por. Teofil Morelowski („Johann Schmidt"), oficer gospodarczy – por. Edmund Charaszkiewicz („Eugeniusz") oraz por. Jerzy Paszkowski („Thiele"). W marcu tego ostatniego zastąpił ppor. Wacław Bardaszko, który został adiutantem Referatu, por. Paszkowski zaś objął stanowisko instruktora wojskowego organizacji na powiat bytomski" – podała Zyta Zarzycka w swej pracy.

Po wstępnym rozpoznaniu terenowym poszczególne grupy dywersyjne przechodziły szkolenia. Nie wszyscy znali bowiem tajniki sztuki minerstwa. Do Sosnowca przyjechał najlepszy specjalista w tej dziedzinie, Tadeusz Szturm de Sztrem („Mały"). Towarzyszyli mu saperzy MSWojsk. oraz bojowcy PPS z bogatym stażem działań specjalnych: Józef Kobiałko („Walek"), Władysław Lizuraj („Poniatowski"), Antoni Portal („Szczerba"), Franciszek Konieckiewicz („Śliwiński"). Bracia Grobelni prowadzili już od dłuższego czasu wytwórnię bomb i granatów w tym mieście. Wszyscy oni mieli bogate doświadczenie bojowe jeszcze z czasów rewolucji lat 1905–1907. Każdy oddział był szkolony osobno. Kursy trwały od 10 dni do trzech tygodni. Grupy liczyły do 5 ludzi. Szkoleni byli też Ślązacy, którzy choć sami nie byli w oddziałach, ale współpracowali z Referatem Destrukcji i chronili destruktorów przed dekonspiracją.

Kursy miały część teoretyczną i praktyczną. Zapoznawano się z historią działań specjalnych, znaczeniem Śląska dla Polski, przebiegiem i oceną dwóch poprzednich powstań. Na ćwiczeniach uczono się zasad obchodzenia się z materiałami wybuchowymi, orientacji i zachowań w terenie, niszczenia urządzeń telekomunikacyjnych. Na zajęciach z psychologii trenowano odwagę. Każdy kursant musiał umieć sam skonstruować bombę z zapalnikiem czasowym – zegarowym, chemicznym i elektrycznym, posługiwać się lontem. Opracowano dwie broszury szkoleniowe ze szczegółowymi pytaniami w rodzaju: „Jak poznać psucie się dynamitu czy piroksyliny i co z nimi zrobić?" czy „Co to jest ekrazyt, melinit, szimoza?"; „Jak się robi i do czego używa rtęć piorunującą?" Ćwiczenia przeprowadzano nocami. Najpierw 6-kilometrowy marsz przez pola z 30-kg ładunkiem, później 20 min. na założenie ładunków. Każdy musiał umieć dublować pozostałych. Wszystko było w praktyce wypróbowane przez doświadczonych bojowców PPS.

> Kursy miały część teoretyczną i praktyczną. Zapoznawano się z historią działań specjalnych, znaczeniem Śląska dla Polski, przebiegiem i oceną dwóch poprzednich powstań.

Szturm de Sztrem wprowadził ćwiczenia na odwagę. Polegały one na „rzucie puszek wypełnionych ekrazytem, które imitowały granaty. „Były to sześcienne blaszanki wypełnione ekrazytem, w górnej pokrywie był otwór, w którym umieszczało się spłonkę. Rolę detonatora pełniły zapałki wetknięte w górny otwór spłonki. Wybuch następował bardzo szybko. Wystarczyło potrzeć zapałką o pudełko, a płonąca zapałka dotykała już znajdującego się w spłonce lontu prochowego" – tak opisała szkolenia w swojej książce Zyta Zarzycka (s. 97). W momencie podpalenia zapałki należało rzucić tym granatem, aby nie wybuchł w rękach. Dowódcy obserwowali swoich podkomendnych. Puszczyński, zawsze obecny na ćwiczeniach, rozpoczynał kolejkę rzutów. Czasami zdarzały się nieprzewidziane, ale i zabawne historie. Puszczyński w swoich wspomnieniach tak pisze: „Zastałem grupkę ćwiczących na bagnistej łączce, otoczonej ze wszystkich stron stawem, do którego wrzucano puszki ekrazytu po zapaleniu lontu. Był początek marca. Dął zimny wiatr, od którego kostniały i grabiały ręce. Kazałem dać sobie kilka cięższych puszek i zacząłem rzucać. Dwa pierwsze rzuty udały się w zupełności. Gdy jednak zapaliłem zapalnik trzeciej puszki i skostniałymi rękami rzuciłem ją przed siebie, zdziwiło mnie, że na powierzchni stawu nie mogłem dojrzeć kręgów wodnych, jakie zwykle powstają po wrzuceniu jakiegoś przedmiotu. Nagle usłyszałem za sobą rozpaczliwe krzyki reszty ćwiczących, którzy stali o kilkanaście kroków, już na stałym lądzie. Rozejrzałem się i z przerażeniem stwierdziłem, że puszka z dymiącym lontem leży u moich stóp. Nie namyślając się więc długo, skoczyłem do lodowato zimnej wody, ratując się przed wybuchem. Nic mi się wprawdzie nie stało, ale zamiast jechać na Śląsk, musiałem w przemokniętym do bielizny ekwipunku kupca pierwszej gildii wracać co prędzej na swoją kwaterę w Sosnowcu…"

Wiele problemów stwarzały transporty materiałów wybuchowych. Zamówienia realizował kpt. Kierzkowski z Oddziału II Sztabu MSWojsk. Do Sosnowca z Warszawy supertajne przesyłki przewożono koleją. Po nocnym rozładunku umieszczano je w piwnicach koszar Traugutta lub na terenie kopalni Renard. Następnie trzeba było wszystko przemycić przez granicę, wystrzegając się zarówno niemieckiej, jak i polskiej straży granicznej i umieścić w magazynach przygranicznych. Później było jeszcze trudniej. Transport na miejsce przeznaczenia odbywał się przez cały obszar plebiscytowy – najczęściej kilkadziesiąt, ale nawet przeszło sto kilometrów w rejony Opolszczyzny. Na dworcach kolejowych i w pociągach były stałe rewizje. W styczniu wpadł pchor. Tadeusz Meissner („Tadek") z grupy „A". Udało mu się jednak uciec. Wyskoczył w biegu, z pociągu, którym konwojowano go do opolskiego więzienia.

Mniej pilnowana granica okazała się pod Częstochową. Tam transporty odbywały się dzięki pomocy komendanta organizacji bojowej powiatu lublinieckiego. W Opolu najzwyczajniej zarejestrowano konną firmę przewozową. 420 kg melinitu ukrytego w sianie i ziemniakach trafiło z Kamienicy Polskiej do Opola. Niestety czwarty transport został ostrzelany przez niemiecką policję w pobliżu Koszęcina. Poległ wtedy Filipczyk – 17-letni peowiak współpracujący z grupą „A". Później wpadły dwa kolejne transporty. 300 kg melinitu utopiono w Odrze, ale ludzie wpadli. Był wśród nich dowódca grupy „A", ppor. Miładowski. Dzięki znakomitej obronie polskiego adwokata, dr Lehra, zostali skazani jedynie na 2 miesiące. Sprawa stała się jednak głośna. Współpracujący z Korfantym polski konsul generalny w Opolu, Daniel Kęszycki, interweniował w MSZ przeciwko działaniu śląskiej organizacji bojowej. Kęszycki był zwolennikiem walki czynnej i brał udział w powstaniu wielkopolskim. Mieszkając w Opolu, był narażony na napady bojówek niemieckich, nosił więc przy sobie kastety, których często używał w obronie własnej. Dziwna więc była jego reakcja.

Grupę „N", działającą na terenie powiatu kluczborskiego, zaopatrywał Poznań. Z Kępna przerzucano materiał do Byczyny, a stamtąd furmankami do magazynu głównego we wsi Wierzchy w pobliżu Kluczborka. Szefostwo Inżynierii i Saperów Dowództwa Okręgu Generalnego w Poznaniu dostarczało jako materiał wybuchowy perdit.

Cały Śląsk czekał na rozwój wydarzeń. Dodawano sobie otuchy śpiewem. Trzeba pamiętać, że Ślązacy lubią i potrafią śpiewać. Powstawały coraz to nowe pieśni. W tym czasie już powszechnie znana i śpiewana na Śląsku była ludowa pieśń z I powstania w 1919 r. *Słonko jasne*.

Słonko jasne

Słonko jasne za te czarne góry nam się uchyliło,
Powstańcy, powstańcy,
Ubodzy Ślązacy, śląscy szeregowcy
Znów idą na wojnę.
Złączyli się do jednej brygady,
Bo wiodło ich serce,
Aby obsadzili cały Górny Ślązek,
I jego granice.
Na granicy Górnego Śląska
Jest przepaść wielka,
Tam niejedna piękna panieneczka śląska
Utraci kochanka.
Góry, lasy i niebo wysokie
Są nam przyjaciele,
Ci nam już nie wrócą, którzy z nami byli,
O dziewczęta miłe.
Jak nam zacznie wojskowa muzyczka
Z Opola pięknie grać,
Wtenczas jeszcze będzie ta dziewczyna śląska płakać i narzekać.
Tę piosenkę składali powstańcy,
Śląscy szeregowcy.
W dziewiętnastym roczku, w tem wielkiem powstaniu
Przy jasnym miesiączku.

Pierwotna wersja artykułu ukazała się w niewychodzącej już „Gazecie Śląskiej".

Kiedy poddani Jej Królewskiej Mości w brytyjskiej Wspólnocie Narodów powstają, by odśpiewać *God Save the Queen* przed meczem piłki nożnej podczas rozgrywek Pucharu Świata, niewielu wierzy w to, w co wierzono może jeszcze 400 lat temu – w boskie prawo monarchini, Jej Królewskiej Mości Królowej, do sprawowania rządów.

Portret Mao Zedonga na placu Tiananmen w Pekinie
FOT. ZIBIK / PIXABAY

PETER ZHANG

Pięta achillesowa Pekinu

Marksizm-leninizm jest słabym fundamentem legitymizacji społecznej i politycznej

Za panowania Jakuba I Stuarta (1566–1625), znanego również jako Jakub VI i I, teologiczne podstawy monarchii przynajmniej częściowo zyskały na wartości dzięki osobistemu poparciu doktryny przez króla Jakuba. W swoim traktacie *The True Law of Free Monarchies* (Prawdziwe prawo wolnych monarchii) król Jakub argumentował, że boskie prawo królów do panowania w Szkocji, a później w Anglii, ma swe uzasadnienie w przedłużeniu sukcesji apostolskiej. Można się było spodziewać, że potomkini Jakuba Elżbieta II zostanie obdarzona wielkimi względami i będzie się cieszyć szacunkiem należnym monarsze, kiedy w 1952 r. została głową Wspólnoty i królową panującą w siedmiu niepodległych krajach. Wszak monarchia konstytucyjna jest zasadniczym elementem brytyjskiego dziedzictwa kulturowego.

Dziś legitymizacja obywatelska w dużej mierze zastąpiła legitymizację boską w państwach narodowych na całym świecie, z wyjątkiem kilku krajów komunistycznych i tych, w których istnieje monarchia konstytucyjna (Wielka Brytania) lub monarchia absolutna (dynastia królewska Saudów). Aby zapewnić wszystkim równość, uczciwość i sprawiedliwość, Organizacja Narodów Zjednoczonych opracowała dla państw członkowskich oficjalne instrumenty, takie jak Powszechna deklaracja praw człowieka i Międzynarodowy pakt praw obywatelskich i politycznych. Między innymi te dwie międzynarodowe umowy wyznaczyły standardy dla cywilizowanych społeczeństw i legitymizacji politycznej.

Chiny

Konfucjusz (551–479 p.n.e.) powiedział: „Kiedy nazwa nie jest podana poprawnie, to, co się mówi, nie jest akceptowane; kiedy to, co się mówi, nie jest akceptowane, sprawy nie są realizowane".

Przez 5000 lat historii Chin władcy każdej dynastii starali się uzasadnić swoje panowanie poprzez koncepcję boskiego prawa lub Mandatu Niebios. Cesarze byli postrzegani jako Synowie Nieba aż do 1911 r., kiedy to Sun Yat-sen położył kres cesarskiej dynastii Qing i utworzył Republikę Chińską. W 1949 r. marzenie ludzi z Państwa Środka o demokratycznych Chinach, wzorowanych na Ameryce, zostało rozwiane, gdy partia komunistyczna Mao Zedonga obaliła nacjonalistyczny rząd. Niemniej Mao miał przez całe swoje życie stawiać czoła politycznej legitymizacji władzy. W 1938 r. wypowiedział on słynne słowa: „Każdy komunista musi zrozumieć prawdę, że siła polityczna wyrasta z lufy karabinu". Mao, zapalony miłośnik historii Chin od czasów, gdy był asystentem bibliotekarza na uniwersytecie w Pekinie w 1918 r., wkrótce zdał sobie sprawę, że po dojściu do władzy będzie potrzebować czegoś więcej niż broni, aby utrzymać się przy sterze.

W poszukiwaniu legitymizacji

Biorąc pod uwagę fakt, że marksizm odrzuca religię i duchowość, Mao nie mógł powoływać się na jakiekolwiek boskie prawo ani Mandat Niebios do kierowania krajem. Nie mógł też starać się o legitymizację z innych powodów. Pod rządami komunistycznymi powszechne głosowanie lub wybory są niedozwolone, na każdym poziomie. Według Johna Locke'a (1632–1704), filozofa i polityka z epoki oświecenia: „Rząd nie jest legalny, dopóki nie działa za zgodą rządzonych". Autorytet Mao nie wywodził się zatem z systemu demokratycznego ani z woli ludu. Rządy sprawowane przez ludzi z pominięciem boskiego prawa lub bez zgody rządzonych udzielonej w głosowaniu powszechnym sprawiły, że Mao czuł się bezbronny. W latach 50. XX w. wymyślił zatem maoizm, znany również jako Myśl Mao Zedonga, aby uzasadnić swoją dyktaturę. Maoizm charakteryzują głównie tezy postawione przez Mao, że na początkowym etapie socjalizmu rewolucja trwa pod dyktaturą proletariatu. Utrzymywał zatem, że co pewien czas powinna być przeprowadzana walka klas w formie kampanii politycznych. Czyniąc to, Mao był w stanie dzięki rewolucyjnemu zapałowi pozbyć się swoich politycznych rywali i odwrócić uwagę mas od problemów społecznych. Chiny, będąc odizolowanym krajem komunistycznym, działały pod rządami Mao jak społeczeństwo orwellowskie, w którym maoizm stał się ideologią, którą indoktrynowano masy, i dla ochrony został zamknięty w relikwiarzu chińskiej konstytucji jako marksizm-leninizm zastosowany w chińskich realiach.

Kiedy w 1978 r. Deng Xiaoping doszedł do władzy, zainicjował reformę gospodarczą zwaną „socjalizmem o chińskiej specyfice", w której odszedł od ugruntowanej ścieżki maoistów i umożliwił przeprowadzanie w Chinach zagranicznych inwestycji bezpośrednich. Podążając śladami Mao, Deng zdołał włączyć swoją „teorię Deng Xiaopinga" do chińskiej konstytucji, aby potwierdzić swoją polityczną legitymację. Przywódcy Komunistycznej Partii Chin nie wahali się naśladować Denga, aby zapewnić swojej władzy legitymizację polityczną. Jiang Zeminowi udało się dodać do konstytucji „zasadę trzech reprezentacji", choć nie znalazło się tam jego imię. Hu Jintao zrobił to samo ze swoją „koncepcją naukowego rozwoju". Podobnie jak Mao, Xi Jinpingowi udało się wprowadzić do konstytucji swoje imię i „Myśl Xi Jinpinga o socjalizmie z chińskimi cechami charakterystycznymi dla nowej ery". Owe wysiłki liderów partii do zmiany konstytucji w taki sposób wyraźnie wskazują na słabą legitymizację polityczną ich władzy.

Współcześni przywódcy KPCh, następujący po Mao i Dengu, nie walczyli w wojnie rewolucyjnej, która ustanowiła Chińską Republikę Ludową, ani nie przysłużyli się państwu partyjnemu żadnymi wybitnymi osiągnięciami. W związku z tym byli jeszcze bardziej podatni na pytania dotyczące legitymizacji politycznej.

Zuchwałe twierdzenia o legitymizacji

Dzięki nowoczesnym narzędziom telekomunikacyjnym, takim jak internet, świat staje się globalną wioską. Globalny trend sprawia, że obecni przywódcy KPCh czują się mniej bezpiecznie w obliczu światowego dążenia do demokratyzacji. Aby zyskać uznanie społeczności międzynarodowej, KPCh zaczęła w 2014 r. organizować doroczne wydarzenie: „KPCh w dialogu ze światowymi partiami politycznymi podczas spotkania na wysokim szczeblu". Według Guo Yezhou, wiceministra Departamentu Międzynarodowego Komitetu Centralnego KPCh, około 200 partii politycznych z ponad 120 krajów pojawiło się na konferencji w 2017 r. w celu „poprawy wzajemnego zrozumienia i komunikacji".

9.09. 2015 r. Wang Qishan, prawa ręka obecnego przywódcy KPCh Xi Jinpinga, jako pierwszy urzędnik chiński poruszył podczas spotkań z niektórymi zagranicznymi delegatami, w tym z byłym prezydentem RPA Thabo Mbeki i byłym premierem Australii Kevinem Ruddem, kwestię politycznej legitymizacji KPCh. Wang stwierdził: „Legitymizacja polityczna KPCh wywodzi się z historii, woli ludu i wyboru narodu". Bezczelne wypowiedzi Wanga wywołały powszechną krytykę i kpiny ze strony chińskich internautów. W pewnym poście na Twitterze zapytano go: „Skąd znasz wolę i wybór ludzi, skoro nigdy nie pozwolono nam głosować?". Hu Ping, chiński komentator z Nowego Jorku, porównał uwagi Wanga do przymusowego małżeństwa bez zgody drugiej strony i zauważył: „Wolność wypowiedzi powinna sprzyjać dyskusji na temat politycznej legitymizacji".

W sprzeczności z cnotami konfucjańskimi

Jednak największym wyzwaniem dla politycznej legitymizacji KPCh są jej podstawy teoretyczne: marksizm i leninizm – ten pakiet został zaimportowany z zagranicy i jest powszechnie potępiany na całym świecie ze względu na ogromne cierpienie zadane ludziom przez dyktatury komunistyczne. Inspirowana przez Boga, licząca 5000 lat chińska cywilizacja zasadniczo stoi w sprzeczności z ateistyczną doktryną komunizmu. Podstawą ideologii komunistycznej jest idea „walki klas", podczas gdy podstawowymi elementami tradycyjnej kultury chińskiej są harmonia, cnota i życzliwość.

Mao twierdził: „Komunizm nie jest miłością. Komunizm to młot, którego używamy do miażdżenia wroga". Konfucjusz opowiadał się za „moralnymi rządami". Ale obecnie szerzy się korupcja i stała się ona podstawą funkcjonowania społeczeństwa. Według chińskiego serwisu finansowego Caixin, w domu urzędnika pracującego w branży węglowej znaleziono ponad 100 mln juanów w gotówce. Gdyby ułożyć te banknoty tak, by stykały się krótszymi końcami, to utworzyłyby linię długą na 150 km. Aby obliczyć wartość znaleziska, śledczy użyli 16 maszyn do liczenia gotówki, z których każda potrafiła przeliczyć 1000 banknotów na minutę. W trakcie tego procesu cztery urządzenia uległy awarii. Tego rodzaju doniesienia, o przekupstwie i korupcji, nie są dziś niczym niezwykłym w Chinach.

Język chiński, chińskie zwyczaje i formy sztuki mają powiązania z duchowością przekazywaną przez wiele pokoleń. Przykładowo konferencje KPCh często kończą się słowem „Yuan Man" (uwieńczenie), ale bezbożna KPCh nie potrafi nawet zauważyć tego, że koncepcja „Yuan Man", czyli uwieńczenie, wywodzi się z buddyjskiej idei osiągnięcia nirwany, czyli ostatecznego etapu oświecenia. Język chiński skrywa głębsze znaczenia tych znaków, kulturowe i religijne. Nawet zagorzali komunistyczni propagandziści nie mogą uwolnić się spod wpływu przeszłości Chin!

Konfucjusz sprzeciwiał się polityce partyjnej. W *Analektach* napisał: „Ktoś szlachetnego rodu jest dumny, lecz nie agresywny, przyjacielsko nastawiony, ale nie stronniczy". Słowo 'partia' (stronnictwo – przyp. redakcji) w tradycyjnym chińskim piśmie ma wbudowany znak 'ciemność', przez co ma negatywną konotację. W 1954 r. Mao założył Komisję Reformy Pisma Chińskiego, a tradycyjne słowo oznaczające partię zostało, co nie dziwi, uproszczone poprzez usunięcie z niego znaku 'ciemność'. Tysiące tradycyjnych znaków uproszczono z przyczyn rewolucyjnych. Obecnie w Chinach kontynentalnych słowo 'partia' odczytuje się lub pisze w formie uproszczonej, a tradycyjne chińskie znaki są nadal używane poza Chinami kontynentalnymi, w takich miejscach jak Tajwan, Makao i Hongkong.

Przez kilka ostatnich dziesięcioleci niektórzy zachodni naukowcy, politycy i liderzy przedsiębiorczości beztrosko próbowali i dalej próbują pomóc KPCh w legitymizacji władzy wśród społeczności międzynarodowych, za co Pekin sowicie ich wynagradza. Próbują tego przy użyciu tak zwanej legitymizacji wykonawczej, niektórych inicjatyw politycznych, a nawet „modelu azjatyckiego". Głosy te zasadniczo pomogły uratować państwo-partię za pośrednictwem zagranicznych inwestycji bezpośrednich i transferu technologii do Chin. To z kolei umożliwiło temu czerwonemu smokowi powoli się umocnić, tak że dziś rzuca wyzwanie demokracjom i próbuje zmieniać porządek światowy. Można się zastanawiać nad słusznością popularnego przekonania, że gdyby społeczeństwa zachodnie powstrzymały komunistyczne Chiny na samym początku, tak jak stało się to w przypadku Układu Warszawskiego, to Państwo Środka byłoby teraz praworządnym, otwartym społeczeństwem dobrobytu i odpowiedzialnym członkiem społeczności międzynarodowej.

W ramach misji zbudowania zupełnie nowego „imperium zła" KPCh połączyła wszystkie elementy rodzime i zagraniczne, które sprzeciwiają się ludzkości. Legitymizacja takiego orwellowskiego reżimu oznacza legalizację organizacji przestępczej, prawdopodobnie dziesięć razy gorszej. Konfucjusz ostrzegł kiedyś: „Bardziej niż tygrysa trzeba się bać opresyjnego rządu". Churchill przypomniał: „Dyktatorzy jeżdżą tam i z powrotem na tygrysach, z których nie ośmielają się zsiąść. A tygrysy robią się głodne". Być może w tej właśnie sytuacji znajdują się przywódcy KPCh. Przyczynienie się do legalizacji tak drapieżnego reżimu jest ostatnią rzeczą, jaką mógłby zrobić przyzwoity człowiek. KPCh istnieje bezprawnie i zawsze tak było, i nie powinna mieć prawa bytu na tej planecie.

PETER ZHANG ZAJMUJE SIĘ EKONOMIĄ POLITYCZNĄ CHIN I AZJI WSCHODNIEJ. JEST ABSOLWENTEM PEKIŃSKIEGO UNIWERSYTETU STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH, FLETCHER SCHOOL OF LAW AND DIPLOMACY I HARVARD KENNEDY SCHOOL. ORYGINALNA, ANGIELSKA WERSJA TEKSTU ZOSTAŁA OPUBLIKOWANA W „THE EPOCH TIMES" 28.12.2018 R. TŁUM.: POLSKA REDAKCJA „THE EPOCH TIMES".

Nie wolno ufać reżimowi, który odrzuca wszystko, za czym się opowiadamy, i wykorzystuje powiązania łańcucha dostaw, aby zmusić nas do porzucenia naszych własnych zasad.

Chiński reżim wykorzystuje swoją szansę

EVA FU I JAN JEKIELEK

Zdaniem Roberta Spaldinga, eksperta ds. Chin, gdy świat boryka się z kryzysem zdrowotnym, Komunistyczna Partia Chin posługuje się pandemią do zwiększenia swoich wpływów ogólnoświatowych. – Chiński reżim użył skutków pandemii do rozszerzenia kontroli nad globalnym łańcuchem dostaw oraz do zdjęcia z siebie odpowiedzialności za powstanie katastrofy – powiedział Robert Spalding, generał brygady w stanie spoczynku Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i autor książki *Niewidzialna wojna. Jak Chiny w biały dzień przejęły Wolny Zachód*, w wywiadzie dla „The Epoch Times". Określił to mianem 'wojny totalnej', prowadzonej z pełną mocą. Strategia wojny totalnej, opracowana przez chińskich urzędników wojskowych pod koniec lat 90., polega – jak wyjaśnił w swojej książce – na zastosowaniu szeregu niekonwencjonalnych taktyk wojennych zaprojektowanych do osiągnięcia celów wojennych bez faktycznej walki.

– Realizując tę kampanię, reżim połączył różne elementy działań wojennych: gospodarczych, handlowych, politycznych i informacyjnych – aby „stworzyć konwergencję wyzwań" dla Stanów Zjednoczonych i innych zachodnich demokracji – powiedział Spalding. – Ludziom trudno jest pojąć, jak potężny jest ten nowy rodzaj działań, ponieważ przywykliśmy do tradycyjnego rodzaju wojen z samolotami, statkami, bombami i czołgami.

Ostatnio na froncie wojny informacyjnej chińscy dyplomaci i media państwowe usilnie rozpowszechniają teorie spiskowe, w których spekulują na temat pochodzenia wirusa, zrzucając winę na Stany Zjednoczone. Jednocześnie powiązane z Pekinem fałszywe profile, działając jak „cheerleaderki władz", zalały Twitter swoimi wpisami. – Maskują prawdę, tworząc na podstawie tego własną „prawdę" i nowe „fakty" – powiedział Spalding. – Ponieważ kontrolują dane na temat koronawirusa, czyli wirusa KPCh, wszystko odbywa się zgodnie z narracją, którą sami tworzą.

Czerpanie zysków z kryzysu

Epidemia obciąża globalny system opieki zdrowotnej i łańcuchy dostaw artykułów medycznych, dlatego istnieją podejrzenia, że Chiny wykorzystują to duże zapotrzebowanie na dostawy, aby czerpać z niego zyski. Doradca ekonomiczny Białego Domu Peter Navarro powiedział w marcu w wywiadzie dla telewizji Fox Business, że Chiny gromadzą zapasy masek filtrujących N95 i nałożyły ograniczenia eksportowe. W międzyczasie miliony masek płyną z Chin do krajów europejskich w ramach pakietów pomocowych.

– Państwa uzależnią się od nich w zakresie zaopatrzenia medycznego, bo jako jedyni będą mieć czynne fabryki – powiedział Spalding. – Chcą doprowadzić do tego, by Komunistyczna Partia Chin była wybawcą Europy Zachodniej.

Według danych z raportu Kongresu USA z listopada 2019 roku, Stany Zjednoczone są w dużej mierze uzależnione od dostaw medycznych z Chin, największego na świecie producenta substancji czynnych, a rozprzestrzeniający się patogen tylko zaostrzył problem. Podczas gdy chińscy urzędnicy zaprzeczali, że wprowadzono oficjalny zakaz eksportu, od końca stycznia do lutego chińscy producenci sprzętu ochronnego mieli obowiązek sprzedawania swoich produktów na rynku lokalnym. Dodatkowo przed wybuchem epidemii połowa światowej produkcji masek była realizowana w Chinach.

Na początku marca chińska agencja informacyjna Xinhua, kontrolowana przez władze państwa, przekazała ukrytą groźbę, że Stany Zjednoczone „zanurzą się w potężnym morzu koronawirusa", jeśli Chiny zdecydują się na kontrolowanie eksportu środków medycznych. – Wyprowadziliśmy je za ocean, już ich nie mamy. Nie jesteśmy w stanie ich wyprodukować nawet dla nas samych – powiedział Spalding. Wiele krajów, w tym Hiszpania, Turcja i Holandia, skarżyło się ostatnio na wadliwość eksportowanych z Chin środków medycznych do zwalczania wirusa.

Tymczasem od lutego Pekin nakreśla działania polityczne mające na celu wzmocnienie jego ambicji gospodarczych, o czym poinformowała w raporcie Horizon Advisory, niezależna firma konsultingowa z siedzibą w USA. „Pekin zamierza wykorzystać globalną dyslokację i spowolnienie, aby przyciągnąć inwestycje zagraniczne, przejąć strategiczny udział w rynku oraz zasoby – zwłaszcza te, które wymuszają zależność [od Chin]" – napisano w raporcie. Władze miasta Chengdu, stolicy prowincji Syczuan, oświadczyły na łamach lokalnej gazety, że „możliwe jest przekształcenie kryzysu w szansę – zwiększenie zaufania i zależności wszystkich krajów na całym świecie od tzw. Made in China. Rada Państwa (władza wykonawcza w ChRL – przyp. redakcji), organ podobny do Gabinetu Stanów Zjednoczonych, wymieniła również technologię 5G i sztuczną inteligencję – kluczowe narzędzia wszechobecnej inwigilacji prowadzonej przez chińskie władze – jako swoje dwa główne cele strategiczne.

– W czasach, gdy panuje strach, wydaje się to atrakcyjne, ale w ten sposób pozwoliliście im praktycznie jeszcze głębiej wniknąć w tkankę waszego społeczeństwa – powiedział Spalding. – Ich celem jest zdobycie represyjnej władzy nad całym światem i używają wirusa KPCh, aby zdecydowanie to przyspieszyć, pogłębić i utrwalić.

Przepisywanie historii

– Reakcję Pekinu na wybuch epidemii można scharakteryzować jako sieć ukrywania faktów, zaprzeczeń i kłamstw, co dowodzi, że jest niewątpliwym winowajcą – uważa Spalding. – Z absolutną, stuprocentową pewnością możemy stwierdzić, że Komunistyczna Partia Chin wywołała globalną pandemię.

Zgodnie z doniesieniami Caixin, chińskiej grupy medialnej, co najmniej dwa razy – 1 stycznia i 3 stycznia – urzędnicy ds. zdrowia z Hubei i krajowych służb kazali chińskim laboratoriom, by wstrzymały prowadzenie testów i zniszczyły istniejące dowody. Chociaż od 6 stycznia federalne organy służby zdrowia USA wielokrotnie proponowały wysłanie naukowców do Chin, ostatecznie tylko dwóch zostało wpuszczonych do tego kraju – ponad miesiąc później. Zanim w Wuhan wprowadzono blokadę miasta 23 stycznia, ponad 5 mln mieszkańców wyjechało z niego bez poddawania się badaniom zdrowotnym, przenosząc wirusa do innych części świata. Następnie w marcu, kiedy epidemia w Stanach Zjednoczonych stała się poważna, chińscy dyplomaci rozpoczęli agresywną kampanię dezinformacyjną, w której oskarżyli armię USA o sprowadzenie wirusa do Wuhan.

Według Spaldinga w centrum natury reżimu leży potrzeba kontroli: – Kiedy [reżim] zobaczył, że wirus się pojawił, martwił się o legitymizację swojej władzy. Dokumenty wewnętrzne otrzymane przez „The Epoch Times", a także relacje osób mających dostęp do informacji poufnych wskazują, że chińscy urzędnicy nadali najwyższy priorytet kontroli narracji o epidemii, zarówno w Chinach, jak i poza nimi.

Spalding krytycznie odnosi się do nazwy, jaką Światowa Organizacja Zdrowia nadała chorobie wywołanej przez wirusa. Nazwa 'covid-19' – według WHO oznaczająca 'chorobę koronawirusową z 2019' – nie wskazuje jednoznacznie, że pochodzi ona z Chin, co pozwala chińskiemu reżimowi wybielać swoją nieudolnie przeprowadzoną reakcję na wybuch epidemii.

– W pewnym sensie utrwalamy propagandę Komunistycznej Partii Chin, ponieważ pozwalamy im tak to nazywać – stwierdził Spalding. – Nazywanie rzeczy ma wielką moc.

Jego zdaniem kryzys ukazuje także ograniczenia w światowym handlu i znaczenie samowystarczalności w produkcji kluczowych produktów. – Nie wolno ufać reżimowi, który odrzuca wszystko, za czym się opowiadamy, i wykorzystuje [...] powiązania łańcucha dostaw, aby zmusić nas do porzucenia naszych własnych zasad – powiedział.

ORYGINALNA, ANGIELSKA WERSJA TEKSTU ZOSTAŁA OPUBLIKOWANA W „THE EPOCH TIMES" 1.04 BR. TŁUM.: POLSKA REDAKCJA „THE EPOCH TIMES".

94 lata temu został zabity pobliżu Równego Wołodymyr Oskiłko – generał chorąży armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Wołodymyr Oskiłko (ur. 1892 w Horodku koło Równego, zm. 19 czerwca 1926 tamże) był ukraińskim działaczem społecznym i wojskowym, atamanem i generałem chorążym armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, organizatorem i dowódcą północnej grupy wojsk URL, a także jednym z przywódców Ukraińskiej Partii Socjalistów-Niepodległościowców. Przy wsparciu jej członków zorganizował nieudany zamach stanu w Kijowie.

Wołodymir Oskiłko – rywal Symona Petlury

Sergij Porowczuk

Wołodymyr Oskiłko ukończył gimnazjum, następnie seminarium nauczycielskie. Pracował jako nauczyciel ludowy we wsi Zołote koło Dubrowicy w obwodzie rówieńskim. Od 1914 r. służył w imperialnej armii rosyjskiej; szybko awansował do stopnia podpułkownika. Po rewolucji lutowej i obaleniu caratu został komisarzem Rządu Tymczasowego w Tule. Pod koniec 1917 r. powrócił na rodzinny Wołyń, gdzie aktywnie uczestniczył w ukrainizacji jednostek wojskowych i zyskał dużą popularność wśród żołnierzy. Na początku 1918 r. był komisarzem Ukraińskiej Rady Centralnej w powiecie rówieńskim. Za rządów hetmana Pawła Skoropadskiego pełnił funkcję szefa bezpieczeństwa strategicznie ważnego węzła kolejowego Korosteń. W listopadzie 1918 r. zorganizował na Wołyniu powstanie przeciw hetmanowi. W grudniu 1918 r. został pułkownikiem sił zbrojnych Ukraińskiej Republiki Ludowej, w styczniu 1919 r. generałem chorążym i dowódcą północnej grupy wojsk Dyrektoriatu URL, której łączna liczba zbliżała się do 40 tys. żołnierzy. Północna grupa wojsk, dowodzona przez 27-letniego wówczas Wołodymyra Oskiłkę, z powodzeniem działała na Wołyniu i Polesiu, powstrzymując ofensywę bolszewicką w czasie tzw. powstania poleskiego, pozostając najbardziej zdyscyplinowaną i gotową do walki jednostką armii URL.To właśnie na Wołyń w kwietniu 1919 r. wycofały się pozostałe siły Dyrektoriatu URL, a Równe stało się tymczasową stolicą Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Spory z Petlurą i próba zamachu stanu

Wiosną 1919 r. sytuacja militarno-strategiczna na Ukrainie była trudna. Zdaniem generała Oskiłki, bolszewiccy agenci z Czeka infiltrowali aparat państwowy i dowództwo armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, a ich działalność wywrotowa doprowadziła do serii porażek Ukraińców na frontach. Oskiłko nie uważał Symona Petlury za agenta Moskwy, jednak uznawał go za osobę pozbawioną charyzmy i niekonsekwentną, która uległa wpływowi „zdrajców generałów".

12 kwietnia 1919 r. powołano nowy gabinet ministrów URL, na czele stanął ukraiński socjaldemokrata Boris Martos, który ogłosił utworzenie „republiki rad robotniczych" i oświadczył o swoim zamiarze zawarcia pokojowego porozumienia z bolszewicką Rosją. Kilka partii ukraińskich: socjaliści-niepodległościowcy, socjaliści-federaliści i republikanie narodowi – powierzyło generałowi Oskiłce zadanie przekazania Petlurze memorandum w sprawie natychmiastowego odwołania rządu Martosa. 20 kwietnia w Zdołbunowie memorandum zostało przekazane, ale Petlura publicznie podarł ten dokument.

Pod koniec kwietnia 1919 r. Petlura dwukrotnie wystosował rozkaz dla generała chorążego, aby udał się ze swoimi żołnierzami na front bolszewicki, ale Oskiłko zignorował oba rozkazy głównego atamana. Ponadto Petlura wystosował rozkaz o odwołaniu generała Agapiewa ze stanowiska szefa sztabu Frontu Północno-Zachodniego, ale generał chorąży odmówił wykonania tego polecenia. Stało się jasne, że Wołodymyr Oskiłko ostatecznie wypowiedział posłuszeństwo głównemu dowództwu wojskowemu.

28 kwietnia 1919 r. Oskiłko otrzymał kolejny rozkaz naczelnego wodza, zgodnie z którym powinien był przekazać dowództwo generałowi Żelichowskiemu. 29 kwietnia 1919 r., przy wsparciu Ukraińskiej Partii Socjalistów-Niepodległościowców i Ukraińskiej Partii Ludowo-Republikańskiej, podjął próbę przewrotu, aresztując kilku ministrów i wysokich oficerów rządu URL. Buntownicy zażądali zwołania Zgromadzenia Ustawodawczego i usunięcia Petlury z kierownictwa spraw wojskowych.

Grób uWołodymira Oskiłko pod Równem FOT. GAZETA DZWIN

Oskiłko wysłał także swoich przedstawicieli do Polski w celu prowadzenia negocjacji pokojowych.

Szef rządu Boris Martos, większość ministrów i generał Żelichowski zostali aresztowani, jednak aresztowanie Petlury nie było możliwe, ponieważ w tym czasie nie było go w Równem. Przebywał na stacji kolejowej Zdołbunów. Generał nakazał dowódcy dużego oddziału kawalerii, Semenowi Gryzło, aresztować Głównego Atamana Dyrektoriatu URL. Rebelianci spodziewali się, że w Zdołbunowie nikt nie wie o buncie, ale gdy tylko Semen Gryzło zbliżył się do stacji, jego oddział natychmiast został otoczony przez jednostki lojalne wobec Petlury. Dowódca oddziału postanowił nie uczestniczyć w bitwie i wrócił do Równego.

Wkrótce Oskiłko powtórzył próbę aresztowania Petlury, wysyłając do Zdołbunowa jeden ze swoich najlepszych oddziałów, kierowany przez Atamana Bielousowa, ale on również zawiódł. Tymczasem Równe zostało zaatakowane przez oddziały Korpusu Strzelców Siczowych, oddziały Straży Polowej Petlury i pociąg pancerny. O dziesiątej rano 30 kwietnia bunt został stłumiony, a Oskiłce z kilkoma współpracownikami udało się uciec z Równego i 12 maja zgłosić do przedstawicieli polskich władz. Został skierowany do obozu dla internowanych, następnie wyjechał do Wiednia.

W 1921 r. wrócił do Równego i zajął się wydawaniem gazety „Dzwin" (pol. „Dzwon"). Na jej łamach głosił program porozumienia z Polską i lansował hasło przyszłej federacji polsko-ukraińskiej. Kierował utworzoną przez siebie Ukraińską Partią Ludową (UPL), która sprzeciwiała się polityce asymilacji narodowej reprezentowanej przez endecję i opowiadała się za reorganizacją II Rzeczypospolitej na zasadach federalistycznych.

UPL z zadowoleniem przyjęła przewrót majowy Józefa Piłsudskiego, mając nadzieję na realizację federalistycznych idei deklarowanych przez Marszałka. 25 maja 1926 r. Zarząd Ukraińskiej Partii Ludowej postanowił „domagać się przekazania najwyższej władzy w państwie w ręce marszałka J. Piłsudskiego" i wysłał telegram: „Zarząd w imieniu Ukraińskiego Ludu Ziem Wschodnich wita Ciebie, Wodzu, w tym historycznym punkcie zwrotnym, kiedy obrona naruszonej prawdy i sprawiedliwości została osiągnięta za pomocą broni. Naród ukraiński uważa, że nowa Polska nie będzie dla niego macochą, a on otrzyma pełnię swoich praw zagwarantowanych

FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

w autonomii narodowo-terytorialnej ziem wschodnich". W 1924 r. Wołodymyr Oskiłko opublikował swoje wspomnienia pt. *Miż dwoma syłami*.

19 czerwca 1926 r. został skrytobójczo zabity w swojej rodzinnej wsi Horodok przez nieznanych sprawców. Zabójstwo nastąpiło w miesiąc po zamordowaniu w Paryżu Symona Petlury. O zamach na Oskiłkę podejrzewano sowiecki wywiad.

O nieprzeciętnych cechach Oskiłki wspomniał bratanek Petlury, Stepan Skrypnyk, późniejszy pierwszy patriarcha Kijowa i całej Ukrainy Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego – Mścisław, który w tamtych latach pełnił funkcję zawodowego sierżanta na głównej frontu północno-zachodniego: „ataman Oskiłko był bardzo interesującą osobą, kulturalną, o silnej woli".

Dokończenie ze str. 7

Górny Śląsk a wojna polsko-bolszewicka

Zdzisław Janeczek

Z lewej: *Górnośląskie Święta Bożego Narodzenia*, „Pieron" 1920. Wyżej: tenże „Pieron": *Boże Narodzenie po polsku*. Polski św. Mikołaj przynosi tylko obietnicę autonomii i spotyka się z ostrą odprawą

także niemieckie plakaty plebiscytowe i zachowawcza *Heimatliteratur*. Ważną rolę odgrywała wysokonakładowa prasa różnych frakcji politycznych, od organu śląskiego Centrum „Schlesische Volkszeitung" po skrajnie antypolskie: mieszczańską „Schlesische Tagespost", która w Reichswehrze widziała lekarstwo na wszelkie śląskie bolączki, robotniczą „Schlesische Arbeiter-Zeitung" oraz komunistyczną„Die Rote Fahne". Wszystkie periodyki były krytyczne wobec ententy, a w powstaniach dopatrywały się działań „na zgubę śląskich mas pracujących" lub starcia polskiego i niemieckiego nacjonalizmu.

Stanisław Ligoń jako oręż do walki z przeciwnikiem wykorzystywał satyrę i śląski humor. „Kocyndrowa" Klachula dowcipkowała: „Moi złoci! Co się tez to człowiek nagorsy i nagniewo, jak te rozmajte gazety i cajtungi cyto. Casem to tak az mnie mory bierom i jakbych tak zapadła do niektórych redakcje, tobych tym redachtorom do pysku napluła.[…] Jo jest prosto baba ze wsi, ale to wom padom, że jobych i mondrzy pisała i też mondrzy cyganiła. Co taki »Schwarzer Adler« albo taki »Dzwon« pise, to ślepy krykom namaco, ze to są zapłacone pierdoły". Wtórował jej Gustlik, nucąc na melodię *O Zuzanna* śpiewkę *O pieronie* o emigrantach z Rzeszy:

Tyś nie jest Kocynder,
Tyś nie jest Kocynder –
Tylko luj berliński – Schinder –
O pieronie, kaj mosz ten śląski „Witz"?
O pieronie, pocałuj nos w żić!

Spór zaostrzył się, gdy doszło do niekorzystnej interpretacji wyników

Ks. Karol Milik

plebiscytu. Polacy oczekiwali, że zgodnie z aneksem do art. 88 traktatu wersalskiego głosy będą zliczane nie globalnie, a gminami, których za Polską głosowało 44,7%, jednakże wbrew ustaleniom, w Komisji Międzysojuszniczej przewagę zaczęła zdobywać koncepcja brytyjsko-włoska oparta na globalnym liczeniu głosów i przyznająca Polsce tylko 25% obszaru plebiscytowego, tj. powiaty pszczyński, rybnicki i przylegające do nich lub polskiej granicy skrawki powiatów: raciborskiego, toszecko-gliwickiego, katowickiego, bytomskiego, tarnogórskiego i oleskiego. Wytyczona granica podziału, nazwana od nazwisk komisarzy Anglii i Włoch linią Percivala-de Marinisa, nie zadowalała żadnej ze stron. 5 V 1921 r. na posiedzeniu Rady Ambasadorów miała się odbyć dyskusja nad ostatecznym rozstrzygnięciem, z uwzględnieniem korzystniejszej dla Polski koncepcji gen. Henri'ego Le Ronda (1864–1949). Wiadomo już jednak było, że z powodu stanowiska Anglii i Włoch zapadnie postanowienie krzywdzące dla Polski.

Odpowiedzią na nowe zagrożenia oraz wyrazem buntu i sprzeciwu wobec dyktatu mocarstw był opublikowany na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej", wiersz śląskiego księdza Karola Milika pt. *Uwierzą*…

Uwierzą

Polsko! dlaczego na Piastów ziemicy
Dzieci twe dotąd cierniową koroną
wieńczysz i dławisz chlebem niewolnicy?
Prusak bezkarnie hańbi twe łono
Pod okiem sędziów, co się mienić ważą
Narodów świata sprawiedliwą strażą!
Polsko! Zrzuć krwawe męczeństwa szkarłaty,
w które stroją Cię państw zwycięskich bogi!
Wzgardź tą wolnością, spłacaną na raty.
Zejdź z plebiscytów ich żebraczej drogi!
Niech Cię interes handlarzy nie mami,
Bo krwią go dzieci opłacasz i łzami.
Oni nie wierzą, że twe śląskie dzieci,
Rózgą za polskie smagane pacierze,
Choć im pod nogi wróg pieniędzmi śmieci,
Przecież wytrwały w swoich ojców wierze;
I choć się świadczą ranami i blizny,
Oni nie wierzą, że chcą do Ojczyzny.
Chociaż przysięgli, że im twierdzą będzie
Próg chat ojcowskich przed wroga przemocą
Nim się na polskim zagonie osiądzie
Prusak! Choć się już w walce szamocą
I zemsty sztyletem w pierś krzyżaka mierzą,
Że to twe dzieci – mówią, że nie wierzą.
Powstań więc Polsko! I koroną rdzawą
Piastów Swe skronie ozdób! Gromowładna!
Miecza skinieniem wypisz twoje prawo,
A przed potęgą Twą narody zbledną.
I gdy na alarm w zgodny czyn uderzą
miliony! Że Śląsk nasz uwierzą.

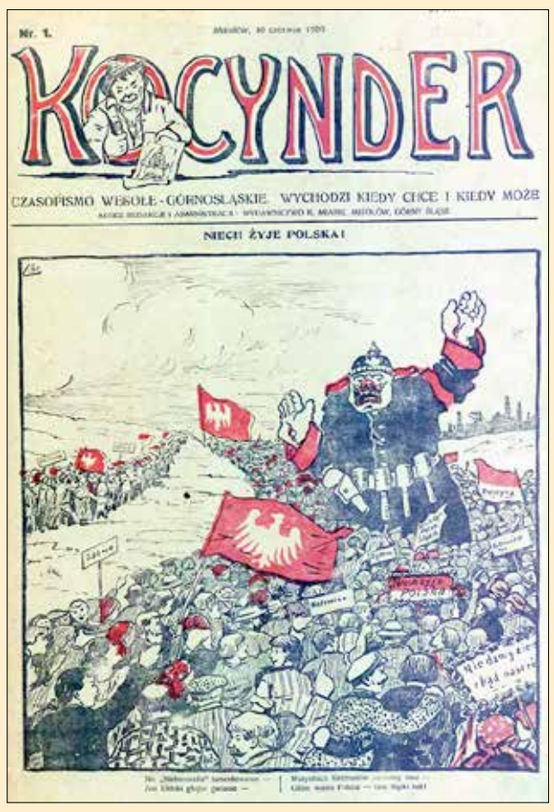

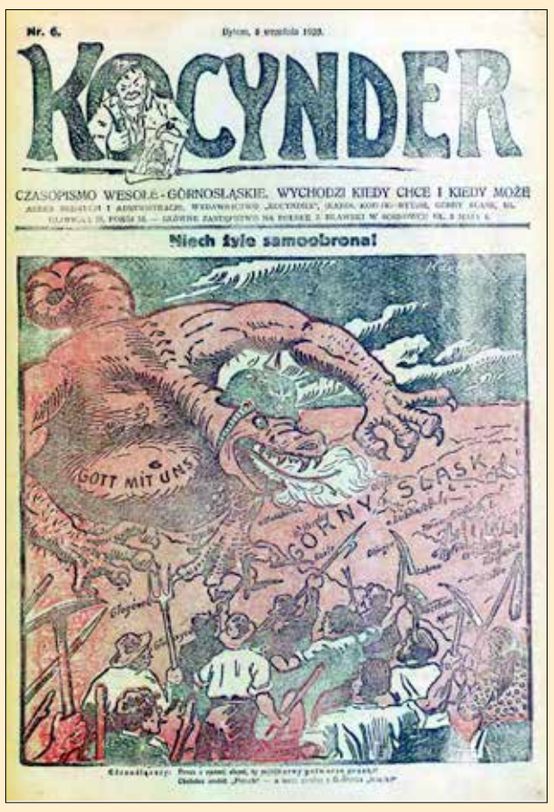

„Kocynder" nr 1 z 10 VI 1920. Niech żyje Polska!; „Kocynder" nr 6 z 5 IX 1920. Niech żyje samoobrona!

Spis ilustracji: Ilustracja nr 2. .-Wizyta-Józefa-Piłsudskiego-we-Francji-w-1921-r.-Fot.-NAC; nr 10. le-petit-journal-le-nouveau-president-de--la-republique-m-raymond-poincar-HDMNJK; nr 9. Bundesarchiv_Bild_102-12279,_Walter_Simons; nr 1, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 11, 12, 13, 14, 24 Zbiory Biblioteki Śląskiej; nr 17 Muzeum Górnośląskie w Bytomiu; nr 19-23 zbiory autora.

Nr 72 W·I·E·L·K·O·P·O·L·S·K·I K·U·R·I·E·R Czerwiec · 2020

Jolanta Hajdasz
redaktor naczelna
Wielkopolskiego Kuriera Wnet

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej i gdziekolwiek indziej słyszała tak głośno i pięknie śpiewające ptaki, jak w tamtym lesie. Był to prawdziwy leśny koncert, od wczesnych godzin rannych po zmierzch. Zaczynał jeden ptaszek, a potem wtórował mu drugi, trzeci, dziesiąty, pięćdziesiąty, czy setny… jakby ktoś rozpisał im partyturę. Dźwięk kojący uszy, ukazujący piękno natury w pełnej krasie. Byłam tam w czerwcu, więc bujna zieleń świeżo rozwiniętych listeczków na dębach i młodych igieł na świerkach i sosnach atakowała oczy z każdej strony. Na miejsce dojeżdża się tam długą, leśną drogą pełną zakrętów, zza których co chwila wyłania się nowy, piękny widok.

To Komańcza, miejsce, które zawsze będzie mi się kojarzyło ze słowami „raj na ziemi", choć przecież wiem, co tam się działo i co się wydarzyło prawie dokładnie 65 lat temu. W czerwcu nie potrafię nie wracać wspomnieniami do Komańczy, a konkretnie – do klasztoru sióstr Nazaretanek, gdzie od października 1955 roku przez prawie dokładnie rok internowany był prymas Stefan Wyszyński. Dziś można tam zwiedzać jego pokój, można modlić się w tej samej kaplicy, co on. Poznać miejsce, gdzie powstały Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego, które miały ochronić nasz naród przez ateizacją i komunizmem i być odpowiedzią nas, katolików, na komunistyczny terror i zniewolenie.

Ten rozpoczynający się czerwiec w 2020 r. miał być Jego miesiącem. Wymodlona i wyczekiwana beatyfikacja miała być ukoronowaniem Jego drogi życiowej i zasług w historii Polski i polskiego Kościoła. Modlitwy w tej intencji były odmawiane od 39 lat, od dnia Jego śmierci. Zaplanowana na 7 czerwca w Warszawie beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego została jednak bezterminowo zawieszona. Kardynał Kazimierz Nycz miesiąc temu poinformował, że nowy termin zostanie ustalony i ogłoszony po ustaniu pandemii koronawirusa. No to czekamy. W „Kurierze WNET" od wielu miesięcy staramy się przypominać działania Prymasa Tysiąclecia i jego nauczanie. Jego homilie, przemówienia i listy są pisane tak prosto i jednoznacznie, że nie ma kłopotu, by zrozumieć jego myśl, nawet gdy jest się bardzo zmęczonym i czyta się tylko kilka linijek przed snem, bo głowa sama opada…

Ja znów wrócę do Komańczy, chcę przytoczyć Jego słowa, które są wypisane tam na ścianie tuż obok wejścia. *Ilekroć wchodzi do twego pokoju kobieta, zawsze wstań, chociaż byłbyś najbardziej zajęty. Wstań bez względu na to, czy weszła matka przełożona, czy siostra Kleofasa, która pali w piecu. Pamiętaj, że przypomina ci ona zawsze Służebnicę Pańską, na imię której Kościół wstaje. Pamiętaj, że w ten sposób płacisz dług twojej Niepokalanej Matce, z którą ściślej jest związana ta niewiasta niż ty. (…) Wstań i nie ociągaj się, pokonaj twą męską wyniosłość i władztwo.*

Wiem, że dla wielu te słowa nie są żadnym odkryciem, że dla znawców nauczania Prymasa są pewnie błahe, ale nie potrafię zapomnieć tego ciepła, które mnie ogarnęło, gdy je przeczytałam, tam w Komańczy. Ten bohaterski Kapłan, przywódca Narodu kończący swoje internowanie, owiany już wtedy legendą Bohatera, i ta tylko pozornie błaha czynność… I tak robił, zawsze wstawał, gdy do pokoju, w którym przebywał, wchodziła kobieta. Jeden gest znaczył więcej niż setki słów o równouprawnieniu i prawach kobiet. *Wstań bez zwłoki, dobrze ci to zrobi* – napisał Prymas niby do siebie, ale przecież wiedział, że ktoś te słowa kiedyś przeczyta.

Czy dziś ktoś odważyłby się powtórzyć te słowa Prymasa głośno, a co ważniejsze, czy zechciałby go naśladować? Śmiem wątpić, ale życzę wszystkim Drogim Czytelnikom „Kuriera" takich indywidualnych odkryć nauczania Prymasa Wyszyńskiego. Szukajcie Jego słów, one pomogą Wam zrozumieć i siebie, i innych.

W·NET
GAZETA NIECODZIENNA

Testament Henryka Walendowskiego

W połowie maja zmarł Henryk Walendowski, poznański społecznik i wielki patriota, Prezes Stowarzyszenia Budowy Pomnika Wypędzonych w Poznaniu. Za tymi kilkoma słowami kryją się i jego dramatyczne osobiste losy dziecka – więźnia niemieckiego obozu przesiedleńczego Lager Poznań-Główna, i profesjonalna znajomość kamieniarstwa, bo był wybitnym specjalistą w tej dziedzinie, oraz wielkie oddanie sprawom Polski i Poznania. W ostatnich latach Henryk Walendowski angażował się z pasją w sprawy ważne dla pamięci historycznej Poznania i Wielkopolski, takie jak odbudowa Pomnika Najświętszego Serca Pana Jezusa, zwanego Pomnikiem Wdzięczności, czy dzieło jego życia – budowa Pomnika Wypędzonych Wielkopolan, inicjatywa, którą podjął już w 2006 r.

Niestety nie udało się tych przedsięwzięć doprowadzić do szczęśliwego finału, o czym pisaliśmy nieraz na łamach „Wielkopolskiego Kuriera WNET". Henryk Walendowski był naszym czytelnikiem, z uśmiechem i życzliwością zachęcającym do tworzenia „Kuriera", i stale przekazywał pozdrowienia wszystkim jego Autorom. Dziś zamieszczamy artykuł Henryka Walendowskiego napisany w 2018 r. specjalnie dla „Wielkopolskiego Kuriera WNET", w którym opisuje on skandal związany z wycofaniem się władz miasta z budowy Pomnika Wypędzonych Wielkopolan.

Ten artykuł jest jak jego testament przekazany nam, byśmy kontynuowali jego dzieło, bo minęły lata, a Pomnika Wypędzonych Wielkopolan w Poznaniu nadal nie ma.

Pomnikowy paraliż

(tekst napisany w czerwcu 2018 r.)

Henryk Walendowski

Inicjatorzy budowy pomnika Wypędzonych Wielkopolan w Poznaniu, działający jako Społeczny Komitet Budowy Pomnika Wypędzonych, zostali pozbawieni złudzeń przez decydentów z Urzędu Miasta Poznania. Piękny projekt artysty rzeźbiarza Jarosława Mączki, zatwierdzony w dniu 22.03.2016 r., został bezceremonialnie i w niejasnych okolicznościach odrzucony 4.10.2016 r. Zatwierdzenie projektu, a po 7 miesiącach odrzucenie tego samego projektu, to wybryk Zespołu do Spraw Wznoszenia Pomników przy Prezydencie Miasta Poznania. Szanownym Czytelnikom przedstawiamy poniżej, jak obecne władze Poznania traktują poważne inicjatywy społeczne, nawet te ponadpartyjne, zaległe od dziesięcioleci i mające niezaprzeczalne walory zgodności z polską racją stanu. Są to niezwykle ważne dla mieszkańców Wielkopolski (i Polski!) pomniki historyczne Najświętszego Serca Jezusowego, czyli Pomnika Wdzięczności, oraz pomnika Wypędzonych Wielkopolan.

Inicjatywa społeczna wyręcza władze samorządowe

12 lat temu, w roku 2006 powstała trzyosobowa grupa inicjatywna budowy Pomnika Wypędzonych w składzie: Aleksandra Bendkowska, Stanisław Jankowiak i Henryk Walendowski. Wszyscy jako kilkuletnie dzieci byli ofiarami wypędzeń przez Niemców i więźniami obozu przesiedleńczego na Głównej. Nasze rodziny przeżyły wojnę w Małopolsce lub regionie świętokrzyskim, na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

Przez wiele lat obserwowaliśmy dziwną niemoc władz samorządowych w kwestii godnego upamiętnienia systemowych czystek etnicznych w Wielkopolsce, która została włączona w granice III Rzeszy Niemieckiej już w roku 1939. Chodzi o znak pamięci dla ok. 600 000 uwięzionych, ograbionych i deportowanych Wielkopolan oraz ofiar rugów, tj. wyrzucania rodzin z dochodowych gospodarstw rolnych w warunkach represyjnego niemieckiego terroru. Inicjatorzy traktują budowę pomnika Wypędzonych Wielkopolan jako przeciwwagę nieustannej niemieckiej kłamliwej narracji historycznej reprezentowanej przez m.in. Erikę Steinbach i jej następcę Bernda Fabritiusa z niemieckiego Związku Wypędzonych (kłamliwa nazwa Bund der Vertriebenen!).

Wychodząc z założenia, że pomnik jest spóźniony, istotne jest zatem wzniesienie go bez zwłoki, dopóki jeszcze żyją świadkowie wypędzeń.

Grupa inicjatywna, przekształcona w stowarzyszenie zarejestrowane w KRS (Społeczny Komitet Budowy Pomnika Wypędzonych), rozpoczęła prace z własnych niewielkich środków, pochodzących z emerytur i rent członków.

Dokończenie na str. 5

Doktor Joseph Mercola to amerykański lekarz, zwolennik medycyny alternatywnej i biznesmen internetowy sprzedający suplementy medyczne i promujący zdrowy tryb życia. Poniższe opracowanie powstało na podstawie artykułu z cotygodniowej serii, w której dr Mercola przeprowadza i komentuje wywiady z różnymi ekspertami. Jego rozmówcą jest tym razem Robert Epstein, doktor psychologii z Harvardu, były redaktor naczelny „Parapsychology Today", obecnie psycholog badawczy w American Institute ofr Behavioral Research and Technology, gdzie od 10 lat analizuje praktyki manipulacyjne Google'a.

Manipulatorskie praktyki Google'a

Celina Martini

Epstein ujawnił, jak Google manipuluje opinią publiczną, wpływając na wyniki wyborów i kształtowanie innych ważnych obszarów życia społecznego. Stosuje zupełnie nowe w historii ludzkości techniki manipulacji, a ich szczególnie niebezpieczną cechą jest efemeryczność – to, że nie ma żadnego materialnego śladu ich stosowania. Według obliczeń R. Epsteina, Google może przesunąć 15 milionów głosów w zbliżających się wyborach prezydenckich w USA. Psycholog wyjaśnia, dlaczego zainteresował się monopolistycznymi praktykami Google'a w wyszukiwaniu internetowym:

„W 2012 r. otrzymałem od Google'a kilka e-maili mówiących, że moja strona zawiera złośliwe oprogramowanie, które w jakiś sposób blokuje dostęp do niej. To znaczyło, że dostałem się na czarną listę Google'a. Moja strona faktycznie zawierała trochę złośliwego oprogramowania. Całkiem łatwo było się go pozbyć, ale za to znacznie trudniej wydostać z czarnej listy – był to duży problem. Zacząłem patrzeć na Google'a inaczej: zastanawiałem się, czemu powiadamiali mnie o tym oni, a nie jakaś agencja rządowa lub organizacja non-profit? Dlaczego powiadomiła mnie prywatna firma? Słowem, kto uczynił z Google'a szeryfa internetu? Po drugie, dowiedziałem się, że nie mają działu obsługi klienta, więc jeśli masz problem z nimi, to masz rzeczywiście problem, bo nie ma go jak rozwiązać.

Dowiedziałem się również, że choć możesz dostać się na czarną listę w ułamku sekundy, to wyjście niej może trwać tygodnie. Były firmy, które znalazły się tam i podczas usiłowań rozwiązania problemu zniknęły z rynku. To, co naprawdę zwróciło moją uwagę jako programisty, to fakt, że nie mogłem się zorientować, jak blokują dostęp do mojej strony internetowej nie tylko przez własne produkty, takie jak wyszukiwarka Google.com czy przeglądarka Chrome, ale także poprzez Safari (produkt Apple) czy Firefox (Mozilla). Jak blokują dostęp za pomocą tak wielu środków?

Zacząłem interesować się literaturą z dziedziny marketingu, dotyczącą oddziaływania siły rankingów wyszukiwania na sprzedaż. Było to zdumiewające, jak umieszczenie odrobinę wyżej w wynikach wyszukiwania może wpłynąć na „być czy nie być" firmy. Okazało się, że ludzie ufają wynikom wyszukiwania. Zadałem więc pytanie, czy w ten sam sposób można wpływać na opinie ludzi, a tym samym na ich głosy".

Potęga Google'a – zagrożenie dla społeczeństwa

Imperium Google'a – według Epsteina – stwarza trzy konkretne zagrożenia:

1. Stało się agencją z szerokimi, choć ukrytymi możliwościami inwigilacji: „Google Pay, Google Doc, Google Drive, YouTube są to platformy inwigilujące. Z perspektywy Google'a ich wartością jest możliwość zdobywania informacji o użytkownikach i nadzór nad nimi". Podczas gdy inwigilacja jest główną działalnością Google'a, jego przychody przekraczają 130 miliardów USD rocznie i pochodzą głównie z reklamy. Wszystkie dane osobowe podane przez użytkowników różnych ich produktów są sprzedawane reklamodawcom poszukującym konkretnej grupy docelowej.

2. Jest agencją cenzurującą z możliwością zablokowania lub ograniczenia dostępu do internetu. Ma nawet możliwość blokowania dostępu do całych krajów i internetu jako całości. Najbardziej bulwersującym problemem z tego rodzaju cenzurą jest to, że nie wiesz, czego nie wiesz. Jeśli jakiś rodzaj informacji zostanie usunięty z wyszukiwania, a nie wiesz, że powinien istnieć, nie będziesz go szukać. Np. Google inwestuje w repozytoria DNA, dodając informacje do profili użytkowników. Zdaniem Epsteina Google przejął krajowe repozytorium DNA, ale zlikwidował wszelkie informacje na ten temat.

3. Mają możliwość manipulowania opinią publiczną za pomocą rankingów wyszukiwania i innych środków.

„Dla mnie to najstraszniejsze – mówi Epstein – ponieważ Google kształtuje opinie, myślenie, przekonania, postawy, zakupy i głosy miliardów ludzi na całym świecie, nie mówiąc o tym nikomu i nie pozostawiając materialnej ścieżki do prześledzenia. Używają nowych technik manipulacji, które dotąd nie istniały w historii ludzkości, w większości podprogowych. Wywołują one bardzo szybko ogromne zmiany w myśleniu. Stwierdziłem, że efekty niektórych z technik manipulacji, jakie stosuje Google, należą do największych spośród odkrytych w naukach behawioralnych".

Dokończenie na str. 5

Rośnie polski patriotyzm gospodarczy
Należymy do narodu i mamy wobec niego obowiązki. Na świecie toczy się III wojna światowa – ekonomiczna. Inne państwa realizują w niej własny interes narodowy, co pokazuje, że „kapitał ma narodowość". My nie możemy postępować inaczej. **Prof. Eryk Łon** o aspektach i roli patriotyzmu gospodarczego.
2

Wolność słowa AD 2020. Maj
Kolejny dyrektor Programu III Polskiego Radia musi opuścić swoje stanowisko, a „kultowi" dziennikarze w wieku emerytalnym będą nadal nadawać swoje „kultowe" audycje – **Jolanta Hajdasz** o walce oldboyów Trójki o niekontrolowaną swobodę, która z wolnością słowa nie ma nic wspólnego.
3

Podmiotowość czy przedmiotowość
I Rzeczpospolita upadała przez 100 lat, później 5 pokoleń walczyło o jej odtworzenie. Dziś możemy państwo zniszczyć błyskawicznie jedną nierozsądną decyzją wyborczą, powierzając władzę ludziom, którym nie zależy na podmiotowości Polski. Cieszmy się, że mamy polski rząd – przypomina **Jan Martini**.
4

Bł. Michał Tomaszek i bł. Zbigniew Strzałkowski
Znalazłem jakieś ich zdjęcia, ale prywatne, bardzo uśmiechniętych, a do dzisiaj kanon przedstawiania świętych nie pozwala na ich uśmiech. Czy jest to uzasadnione teologicznie? Twórca wizerunków męczenników dla Polski pod Krzyżem **Andrzej Karpiński** wspomina proces tworzenia portretów męczenników.
6

Prymas z Kongresówki
Słyszało się, że nowy prymas to nie Hlond, który wzbudzał szacunek nawet u komunistów, że jest zbyt młody, że pochodzi z „czerwonego" przed wojną Włocławka. Także to, że jest synem organisty, wzbudzało nieufność. **Ks. prof. Zygmunt Zieliński** wspomina, jak wielkopolski kler przyjął Prymasa Tysiąclecia i jego uwięzienie.
7

Teleinformatyczny Golem
Ja jestem OK, więc mi nic nie grozi. Niech boją się przestępcy – uważa wielu ludzi. Tymczasem Google z Facebookiem to KGB, GRU, STASI, WSI, ABW, BND, CBA, FBI, CIA, Mosad, dawny cieć współpracujący z SB plus zbyt wścibski sąsiad i sklepowa. **Ryszard Okoń** twierdzi, że beztroska jest nieuzasadniona.
8

ind. 298050

Od pewnego czasu umacnia się patriotyzm konsumencki naszych rodaków. Bardzo pozytywną rolę w propagowaniu idei patriotyzmu gospodarczego odgrywają zarówno oddolne inicjatywy Polaków, np. strona facebookowa „Swój do swego po swoje", jak i polskie instytucje publiczne, m.in. Instytut Gospodarki Rolnej.

Rośnie polski patriotyzm gospodarczy

Eryk Łon

Patriotyzm gospodarczy konsumentów

Warto podać tu przykład ostatniej wideokonferencji poświęconej patriotyzmowi gospodarczemu w rolnictwie, zorganizowanej właśnie przez tenże Instytut, w której miałem zaszczyt uczestniczyć. Postawę patriotyczną czy też etnocentryczną konsumentów można badać m.in. poprzez zadanie im pytania o to, czy w ramach konkretnej grupy produktów lub usług są skłonni preferować te oferowane przez polskiego producenta lub usługodawcę.

Z badań wynika, iż w Polsce bardzo silna postawa patriotyczna (etnocentryczna) dotyczy produktów żywnościowych. Podejmowane są też badania na temat etnocentryzmu konsumenckiego w przypadku pozostałych produktów i usług. Wynika z nich, iż dosyć silne postawy etnocentryczne obserwuje się również na rynku usług bankowych. W odniesieniu do tych usług warto zauważyć, że szereg banków znajdujących się pod kontrolą kapitału polskiego podkreśla w reklamach swoją polskość, czyli na przykład to, że centrum decyzyjne banku znajduje się w naszym kraju.

Warto zauważyć, że potrzeba kupowania głównie towarów krajowych rośnie w okresach kryzysowych. Jedną z dróg wychodzenia z kryzysu jest zwiększenie krajowego popytu na rodzime produkty. 21 kwietnia opublikowano wyniki badań Instytutu Badawczego „ARC Rynek i Opinia", z których wynika, że ponad 60% Polaków deklaruje chęć pomocy polskim firmom, a 90% ankietowanych deklaruje, że tego wsparcia chce udzielać poprzez częstszy zakup polskich produktów i usług. Ponad połowa populacji Polski w codziennych zakupach zwraca uwagę na kraj pochodzenia produktów. W tej grupie konsumentów najwięcej jest osób po 45. roku życia: 60%. Takie zachowanie częściej deklarują kobiety: 57% – niż mężczyźni: 45%.

Fakt, iż należymy do narodu, powoduje, że odczuwamy obowiązki wobec niego. Obowiązki te mogą także się także odnosić do sfery gospodarczej. Jeżeli przyjmiemy, że patriotyzm to miłość do ojczyzny, można w takim razie założyć, że patriotyzm gospodarczy to miłość do ojczyzny realizowana w sferze działalności gospodarczej. Patriotyzm gospodarczy można podzielić na odgórny i oddolny. Odgórny to ten, który jest realizowany przez władzę publiczną, a oddolny – przez konsumentów.

Można wspomnieć o tym, że zdaniem prof. Stanisława Głąbińskiego politykę gospodarczą prowadzi nie tylko rząd i samorząd, lecz także naród. Aby polski naród mógł sprawnie i odpowiedzialnie prowadzić politykę gospodarczą nakierowaną na dobro polskich producentów i usługodawców, powinien mieć wiedzę o tym, które podmioty gospodarcze są polskie, a które zagraniczne.

Warto zauważyć, że od pewnego czasu Komisja Nadzoru Finansowego na swojej stronie internetowej znów zaczęła dokładnie określać, które banki działające w Polsce można nazwać polskimi, a które zagranicznymi. Warto, aby tego typu klasyfikacja była prowadzona w odniesieniu także do innych branż i aby odpowiednia informacja była prezentowana na stronach internetowych różnych instytucji publicznych. Można takie informacje podawać np. na stronie internetowej Głównego Urzędu Statystycznego.

Własna waluta przejawem patriotyzmu gospodarczego

Prawo do posiadania własnej waluty powoduje, że mamy prawo do prowadzenia własnej polityki pieniężnej. W 2007 roku opracowałem raport„Dlaczego Polska nie powinna wchodzić do strefy euro?". Został on wówczas opublikowany na stronie NBP.

W raporcie wyraziłem przekonanie, że suwerenność monetarna, czyli prawo do prowadzenia własnej polityki pieniężnej, daje nam szereg korzyści. Dzięki niej sami możemy wyznaczać faktyczne cele polityki pieniężnej. Ponadto sami możemy określać instrumenty tej polityki, a także możemy decydować o usytuowaniu banku centralnego w strukturze organów władzy państwowej.

Kryzys ekonomiczny z lat 2008–2009, a także epidemia koronawirusa

> Ponad 60% Polaków deklaruje chęć pomocy polskim firmom, a 90% deklaruje, że tego wsparcia chce udzielać poprzez zakup polskich produktów.

pokazują, że w sytuacjach trudnych obywatele liczą głównie na państwo narodowe, a nie na instytucje ponadnarodowe.

Warto udoskonalać sposób prowadzenia polskiej polityki pieniężnej. Bezpośredni cel inflacyjny powinien być realizowany w taki sposób, aby było to jak najbardziej korzystne dla wzrostu gospodarczego i dla miejsc pracy. Wielokrotnie podkreślałem, iż należy poważnie rozważyć poszerzenie katalogu instrumentów niestandardowych. Chodziłoby głównie o skup aktywów, na przykład obligacji korporacyjnych, a także akcji spółek. Ten drugi instrument ma szczególne znaczenie obecnie, gdy coraz częściej mówi się o możliwości przejmowania polskich przedsiębiorstw przez kapitał zagraniczny w związku z tym, że ceny akcji wielu firm stały się stosunkowo tanie z punktu widzenia podstawowych wskaźników rynku kapitałowego, takich jak Cena/Wartość Księgowa czy też Cena/Zysk netto. Ponadto uważam, że można wprowadzić zasadę, że NBP kupowałby obligacje korporacyjne oraz akcje tylko tych podmiotów gospodarczych, które zadeklarują, że nie dokonają zwolnień pracowników.

Generalnie chodziłoby o to, aby troska o miejsca pracy była mocno wkomponowana w faktyczne cele działalności polskiego banku centralnego. Warto podkreślić, że jednym z pożytków płynących z posiadania własnej waluty jest to, że w okresach kryzysowych kurs rodzimej waluty słabnie, co poprawia rentowność eksportu oraz turystyki. Ważna jest też możliwość dokonywania interwencji walutowych.

Warto tu podać przykład interwencji walutowych z 9 kwietnia 2010 r., gdy NBP dokonywał interwencji walutowych osłabiających kurs złotego, co miało cel proeksportowy. Dokonywanie tego typu interwencji może doprowadzić do tego, że relacja naszych rezerw walutowych do NBP zwiększyłaby się. Można też pójść drogą czeską. Czesi w ostatnich latach bardzo zwiększyli poziom swych rezerw w relacji do PKB. Wówczas nasz bank centralny mógłby stać się bardziej potężny niż dziś i jeszcze mocniej realizować idee patriotyzmu gospodarczego.

Idea patriotyzmu gospodarczego

Istota tego pojęcia nie zmienia się. Natomiast sposoby przejawiania się postaw patriotycznych mogą ulegać pewnej modyfikacji. Niegdyś postawa patriotyczna w sferze gospodarczej skłaniała Władysława Grabskiego do utworzenia złotego – jednej waluty dla całej Polski po okresie zaborów. Dziś postawa patriotyczna oznacza np. w tym kontekście obronę prawa Polski do prowadzenia własnej polityki pieniężnej.

Wieloletni redaktor naczelny pisma „Nasz Rynek Kapitałowy" Paweł Orkisz na swoim blogu wyraził przekonanie, iż obecnie na świecie toczy się III wojna światowa. Jego zdaniem jest to wojna ekonomiczna. Poszczególne państwa wykorzystują w owej wojnie różne narzędzia. Realizując własny interes narodowy, wykorzystują różne instrumenty polityki gospodarczej. W tej swoistej rywalizacji międzynarodowej ważną rolę odgrywają tzw. państwowe fundusze majątkowe. Każdy z nich można przypisać do konkretnego kraju, co pokazuje, że „kapitał ma narodowość".

We Francji istnieje nawet specjalna szkoła wojny ekonomicznej. Zaproponowałem utworzenie podobnej szkoły w moim mieście rodzinnym, w Łowiczu. W sytuacji, gdy poszczególne rządy bronią interesów swoich gospodarek, my nie możemy postępować inaczej. Jeśli zrezygnujemy z obrony polskiej własności, polskich produktów, przegramy tę wojnę ekonomiczną i zostaniemy przejęci przez kapitał zagraniczny.

Dr hab. Eryk Łon jest profesorem nadzwyczajnym katedry Finansów Publicznych UEP i członkiem Rady Polityki Pieniężnej.

Bez wątpienia gra idzie o to, aby prezydent Andrzej Duda nie zwyciężył już w pierwszej turze. Druga bowiem otwiera możliwość, aby zjednoczona opozycja przewagą chociaż 1% głosów wygrała.

„Hajże na Soplicę!"

Antoni Ścieszka

Przesada, ale nieraz już doświadczaliśmy, co znaczy przewaga 1 głosu: np. prezydentura Jaruzelskiego, upadek rządu Suchockiej, wybór marszałka Grodzkiego itp. – „Aby było tak, jak było". Trzeba było opozycji z początku do wyborów wystawić wszystkich lewaków, dewiantów, niby-zielonych, liberalnych konserwatystów, przeciwników o. Rydzyka, feministki, aborcjonistki (jest ich wiele i są zapiekłe), młodzież skłonną do anarchizowania, euroentuzjastów, podejrzanych patriotów, ateistów i antyteistów, umoczonych na wszelkie sposoby teraz i w przeszłości W ogóle wszystkich: utyskiwaczy na państwową służbę zdrowia (nieuczciwych lekarzy), wszystkich tych, którym przeszkadza brak możliwości prywatyzacji (kręcenia lodów), obrażonych na oświatę (zakaz propagowania ideologii LGBT w szkołach), na policję. Oj, jakby się opozycja ucieszyła; jakie larum by podniosła na całą Europę, że w Polsce biją demonstrantów tak, jak we Francji, pałują brutalnie nawet leżących uczestników protestów.

Najmniejsze poparcie będzie miał Andrzej Duda wśród przestępców. Poznałem pewnego strażnika więziennego, członka komisji wyborczej, który oświadczył mi, że w jego zakładzie karnym 87% osadzonych głosowało na PO.

Prezydent Duda w pierwszej turze wyborów będzie miał 9 kontrkandydatów. Sięgnięto nawet po Mirosława Piotrowskiego, często występującego w TV Trwam, który w pierwszej kadencji Parlamentu Europejskiego był w grupie wielkiego polskiego patrioty Filipa Adwenta, rozpoczynającej walkę o nieużywanie określenia „polskie obozy koncentracyjne" i inicjującej „modę" na stawianie narodowych chorągiewek przy swych miejscach w PE. (Nawiasem mówiąc Filip Adwent po roku działalności w PE jako waleczny przeciwnik „eurokołchozu" został zmiażdżony na swoim pasie drogi przez TIR-a).

Drugie tyle chętnych do startowania odpadło, bo nie mogli uzyskać stu tysięcy podpisów wyborców z opozycyjnego elektoratu. Pomijam słabe partyjki, które zdążyły się podłączyć do różnych koalicji i konfederacji, niby patriotycznych.

Trudno tutaj odnosić się do wszystkich wodzów opozycji, toteż poprzestanę na Grzegorzu Braunie, którego dokładnie przejrzałem na spotkaniu w Nowym Tomyślu 2 lata temu. W spotkaniu uczestniczyło około 100 osób z okolicy, a nawet z Poznania, zwabionych filmem o Lutrze. Mimo wielowiekowej niemieckiej inwazji na nasze dziedzictwo duchowe, Grzegorz Braun należy do takich, którzy umyślnie sieją więcej kąkolu niż pszenicy. Ochrania nielegalnych demonstrantów, ich obwoźną grupkę krzykaczy; obraża legalnego prezydenta, a jednocześnie swoje pełne nienawiści wystąpienia w Sejmie zaczyna od słów „Szczęść Boże".

Co może stać się w drugiej turze wyborów? Cała opozycja, łącznie ze zwolennikami Rosji, pod zawołaniem „Hajże na Soplicę!" będzie głosować na wyłonionego w pierwszej turze swego najlepszego kandydata i znów będzie możliwe osiągniecie 1% przewagi. Majowe sondaże wykazują poparcie dla aktualnego Prezydenta 51% obywateli i nie wiadomo, jaki jeszcze diabelski chwyt opozycja zastosuje w ostatnim rzucie na taśmę.

Jak zachować się wobec takiej niepewności? Trzeba sięgnąć do świadomości i sumień o poparcie kilkunastu procent elektoratu jeszcze niezdecydowanego, bo „co mi to da?" (mimo dobrych dla Polaków rządów Prezydenta). Również do tych, którzy – zniesmaczeni walkami politycznymi –z reguły nie chodzą na wybory, bo „oni i tak się sami wybiorą". Twardy elektorat PiS-u i totalnej opozycji zaś już dokonał wyboru i tutaj mało co się zmieni.

Obrazy z pola bitwy

Małgorzata Szewczyk

Sto dni. Tyle minęło od pojawienia się pierwszego przypadku potwierdzenia zakażenia koronawirusem w Polsce.

W dniu, w którym piszę ten felieton, potwierdzono 21 236 przypadków, zmarło 995 pacjentów. Wyzdrowiały 9194 osoby. Ktoś powie – to jedynie kolejna statystyka. To prawda, ale za każdą liczbą kryje się ból, cierpienie, strach i lęk o siebie i o najbliższych. Być może dla wielu z nas to tylko kolejne dzienne zestawienie, przyzwyczailiśmy się do codziennych raportów z kraju i ze świata… To jednak nie jest koniec wojny, którą wytoczył nam mikroskopijny wirus. To nie jest niestety koniec informacji o pojawiających się ogniskach zapalnych, chorych, objętych kwarantanną czy nadzorem epidemiologicznym… Wirusolodzy twierdzą, że wirus nie zniknie z dnia na dzień, nawet po wynalezieniu szczepionki, że musimy nauczyć się z nim żyć.

Gospodarka, przemysł, turystyka, edukacja i pozostałe dziedziny życia wracają do względnej normalności. Coraz głośniej padają pytania, co się zmieniło w świecie i w nas pod wpływem koronawirusa. A może warto zadać też inne pytanie: co w nas zostanie lub już zostało, po upływie tego koronawirusowego czasu, na dziś, ku przestrodze, rozwadze i tak na przyszłość? Jakie obrazy zapisały się w naszej pamięci?

Widok przejeżdżających przez prawie puste miasta karetek i ratowników ubranych w białe kombinezony, gogle, maseczki i rękawice; odgrodzone barierkami szpitale, ewakuowani pacjenci, namioty rozstawione przed placówkami medycznymi? Kolejki przed sklepami, wytyczone taśmami miejsca przed kasami sklepowymi, oznaczające przestrzenie, w których mogą przebywać klienci, dozowniki z płynami odkażającymi w marketach i instytucjach? Kasjerzy w przyłbicach, obowiązek noszenia maseczek i rękawiczek, targowiska, na których nie wolno dotykać warzyw ani owoców? Konieczność kontynuowania nauki w szkołach i na studiach online, muzea, skanseny, galerie sztuki proponujące zwiedzanie swoich zbiorów przez internet, praca zdalna, limity pasażerów w środkach komunikacji? Przejazd samochodów policyjnych po ulicach i osiedlach z nagranym komunikatem-apelem o pozostanie w domach, czy wszechobecny #zostanwdomu? Obraz dzikich zwierząt swobodnie poruszających się po uliczkach, traktach, parkach, a nawet prywatnych ogródkach; owce kręcące się na dziecięcej karuzeli czy małpy pływające w prywatnym basenie?

> Wirusolodzy twierdzą, że wirus nie zniknie z dnia na dzień, nawet po wynalezieniu szczepionki, że musimy nauczyć się z nim żyć.

Wielokrotnie pokazywane w mediach wymarłe miasta, które nigdy nie zasypiały: Nowy Jork, Wenecja, Rzym, Mediolan, Madryt…? Bez mieszkańców i turystów?

Niekończący się widok wojskowych ciężarówek załadowanych trumnami z ciałami tych, którzy przegrali swoją walkę z covid–19? Rozpacz mężów, żon, dzieci, mających świadomość, że ojca czy matkę odłączono od respiratora, który potrzebny był młodszemu wiekiem choremu? Korytarze szpitalne zamienione na sale chorych, bo zabrakło miejsc na oddziałach? Szpitale polowe budowane naprędce dla tysięcy nowych chorych?

A może widok sióstr i braci zakonnych czy kleryków spieszących z posługą do domów pomocy społecznej, bo zabrakło personelu? Żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej rozdzielających paczki żywnościowe, dezynfekujących zakażone placówki pomocy społecznej, pomagających w transporcie pacjentów do innych szpitali? Informacje zapisane odręcznie (co dziś już się zupełnie nie zdarza) na kartkach przyczepionych na tablicach wiszących na klatkach schodowych, z ofertą, że jeśli trzeba, to sąsiad z mieszkania XY chętnie zrobi zakupy potrzebującym, zalęknionym sąsiadom z tzw. grupy ryzyka?

Zamknięte kościoły podczas świąt Zmartwychwstania Pańskiego, Msze z limitem pięciorga wiernych w świątyni lub te śledzone za pomocą kanałów społecznościowych? A może te przeżywane na zewnątrz kościoła parafialnego, pragnienie choć kilku minut adoracji Najświętszego Sakramentu i ta gorąca, cicha prośba, by ksiądz wyspowiadał i udzielił Komunii św.? A może zapamiętamy wspólną modlitwę różańcową kapłanów i osób życia konsekrowanego i śpiewane, zapomniane już poza Gorzkimi żalami, suplikacje „Święty Boże"? Własną kwarantannę i strach o siebie i rodzinę? A może samą chorobę…?

„Przeszłość moją, o Panie, polecam Twemu Miłosierdziu. Teraźniejszość moją polecam Twojej Miłości. A moją przyszłość oddaję w ręce Twojej Opatrzności" (św. o. Pio).

W·I·E·L·K·O·P·O·L·S·K·I K·U·R·I·E·R
WNET
GAZETA NIECODZIENNA

Redaktor naczelny Kuriera WNET
Krzysztof Skowroński

WIELKOPOLSKI KURIER WNET

Redaktor naczelna
Jolanta Hajdasz
tel. 607 270 507
mail: j.hajdasz@post.pl

Zespół WKW
Małgorzata Szewczyk
ks. Paweł Bortkiewicz
Aleksandra Tabaczyńska
Michał Bąkowski
Henryk Krzyżanowski
Jan Martini
Danuta Namysłowska

Korekta
Magdalena Słoniowska
Projekt i skład
Wojciech Sobolewski
Dział reklamy
reklama@radiownet.pl
Dystrybucja własna! Dołącz!
dystrybucja@mediawnet.pl

Adres redakcji
ul. Zielna 39 · 00-108 Warszawa
redakcja@kurierwnet.pl
Wydawca
Spółdzielcze Media Wnet /
Wnet Sp. z o.o.
Informacje o prenumeracie
kontakt j.hajdasz@post.pl,
tel. 607270507

Nr 72 · CZERWIEC 2020
(Wielkopolski Kurier Wnet nr 64)

Data i miejsce wydania
Warszawa 30.05.2020 r.
Nakład globalny 10 000 egz.

ISSN 2300-6641
9 772300 664022 06
ind. 298050

Brak reakcji jest reakcją. To odpowiedź CMWP SDP na pytanie o nasze stanowisko w sprawie zamieszania wokół Programu III Polskiego Radia i dziwacznego exodusu dziennikarzy po tym, jak ujawniono manipulacje i ręczne sterowanie głosami słuchaczy najbardziej znanej listy przebojów w Polsce.

Wolność słowa AD 2020 Maj

Jolanta Hajdasz

Mniej i bardziej spontaniczne protesty przed siedzibą Trójki czy dobrowolne zwalnianie się z pracy przez nawet najbardziej znanych dziennikarzy nie sprawi, byśmy mogli całą tę – nie waham się użyć tej nazwy – szopkę nazywać naruszeniem zasady wolności słowa demokratycznego państwa. Zbyt często nazywając Trójkę kultową, zapomina się bowiem o komunistycznej genezie tej rozgłośni i o agenturalnej przeszłości wielu jej dziennikarzy; zbyt często pomija się jej polityczne zaangażowanie przez lata i jej „zasługi" w promowaniu ugrupowań tylko jednej strony sceny politycznej, takich jak Sojusz Lewicy Demokratycznej, Unia Wolności czy Platforma Obywatelska, no i oczywiście praktycznie nieukrywane wspieranie prezydenta Bronisława Komorowskiego – by nie mieć złudzeń, że każda próba jakiejkolwiek ingerencji w ten układ napotka zdecydowany opór. Trzeba przyznać, że tym razem medialna akcja #muremzatrojka, obliczona na wywołanie jak największego chaosu i politycznego zamętu, udała się jej organizatorom i wykonawcom znakomicie. Kolejny dyrektor Programu III Polskiego Radia musi opuścić swoje stanowisko, a w Trójce wszystko wraca na stare tory – „kultowi" dziennikarze w wieku emerytalnym będą nadal nadawać swoje „kultowe" audycje słuchane przez coraz bardziej kurczącą się, bo znudzoną grupę słuchaczy, będą bez przeszkód sami ustalać miejsca konkretnych wykonawców i ich utworów na swojej liście hitów i nikt im nie będzie przeszkadzał. Ta ich walka o pracę, do której nikt nigdy nie będzie im się wtrącał, z punktu widzenia każdego człowieka jest oczywiście zrozumiała, ale naprawdę z walką o wolność słowa nie ma nic wspólnego. CMWP SDP w maju zajmowało się więc zupełnie innymi sprawami. Warto przeczytać, jakimi.

Na zdjęciach: u góry od lewej – Reporterzy bez Granic znów bezzasadnie krytykują polskie władze, jak zwykle ofiarą jest dziennikarz „Wyborczej"; kolejne sprawy o zniesławienie zagrożone więzieniem dla dziennikarza w Polsce, CMWP SDP jak zawsze obejmuje je monitoringiem i udziela wsparcia oskarżonym; u dołu od lewej - pierwsza konferencja prasowa kandydata na Prezydenta RP R. Trzaskowskiego i jego atak na TVP; oprogramowanie #fakehunter dostępne dla wszystkich zainteresowanych.

ŹRÓDŁO ZDJĘĆ: CMWPSDP.PL

Wybrane sprawy z działalności CMWP SDP w maju 2020 roku

4 maja 2020

Apel Zarządu Głównego SDP o pomoc dla dziennikarzy i mediów w czasie przezwyciężania pandemii koronawirusa

W czasie pandemii, jak w każdym stanie zagrożenia, dostęp do rzetelnej informacji jest kluczowy dla podejmowania właściwych decyzji. (…) W dobie zagrożenia pandemią konieczne są dodatkowe rozwiązania ekonomiczne dedykowane mediom i dziennikarzom, gdyż ze względu na swoją rolę w społeczeństwie media nie mogą i nie powinny działać jak zwykłe przedsiębiorstwa, które mają przynosić zysk właścicielowi, lecz przede wszystkim muszą działać w interesie wszystkich obywateli. Przez to jest praktycznie niemożliwe, by bez straty na swojej jakości samodzielnie pokonały kryzys, w jakim się wszystkie znalazły. Kryzys wywołany przez pandemię jest szczególnie dotkliwie odczuwany przez prasę drukowaną oraz przez media lokalne, także te ukazujące się w internecie. Bez dodatkowej pomocy, w pierwszej kolejności będą ofiarami kryzysu wywołanego epidemią koronawirusa, a wraz z ich likwidacją w znacznym stopniu osłabi się różnorodność, wielość i pluralizm mediów w Polsce.

W opinii Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Tarcza Antykryzysowa dla Mediów i Dziennikarzy powinna obejmować: subsydiowanie papierowych wydań dzienników i tygodników, specjalne wsparcie dla mediów regionalnych i lokalnych oraz dla dziennikarzy freelancerów, ulgę podatkową na prenumeratę prasy (wersji papierowych lub e-wydań), finansowe wsparcie niekomercyjnych portali i projektów medialnych w internecie, utworzenie przez Skarb Państwa Fundacji Dziennikarskiej, która zajmowałaby się koordynacją działań związanych ze wsparciem środowiska dziennikarskiego (…)

7 maja 2020

CMWP SDP na temat zachowania policji wobec fotoreportera „Gazety Wyborczej" 29 marca br.

23 kwietnia br. dziennikarz „Gazety Wyborczej", red. Paweł Rutkiewicz, zwrócił się do CMWP SDP z prośbą o komentarz w sprawie dotyczącej niedawnego zachowania policji wobec fotoreportera „Gazety Wyborczej" i w rozmowie telefonicznej (nie dysponował dokumentami) przedstawił okoliczności skierowania do sądu sprawy przeciwko fotoreporterowi GW, który 29 marca br. robił zdjęcia podczas antyrządowego protestu przed domem prezesa partii Prawo i Sprawiedliwość, Jarosława Kaczyńskiego. „Jeśli fotoreporterzy, których dotyczy skierowanie sprawy do rozpatrzenia przez sąd, faktycznie nie mieli szansy wyjaśnić policji swojej roli w miejscu zgromadzenia powyżej 5 osób, to jest to omyłkowe działanie policji i konieczne będzie na etapie postępowania sądowego wyjaśnienie i udowodnienie, że byli w pracy. Ze względu na nadzwyczajne okoliczności pandemii koronawirusa, w jakich obecnie się znajdujemy, może się zdarzyć takie właśnie, bardzo rygorystyczne i może nawet dla niektórych nadgorliwe i zbyt szybkie działanie policji" – odpowiedziała dyrektor CMWP: Dodała także, że bez pełnej znajomości sprawy i związanej z nią dokumentacji nie jest możliwe wydanie opinii oraz zaoferowała nieodpłatną pomoc prawną CMWP.

8 maja 2020

Odpowiedź CMWP SDP na protest organizacji Reporterzy bez Granic przeciwko rzekomym atakom polskich władz na niezależne media w okresie kampanii wyborczej

6 maja br. na stronie internetowej organizacji Reporterzy bez granic (ang. *Reporters Without Borders*, RWB) została opublikowana informacja o rzekomej presji wywieranej przez władze w Polsce na niezależne media w przededniu wyborów prezydenckich. Informacja ta została także wysłana dziennikarzom w wielu krajach UE w formie komunikatu prasowego. Organizacja Reporterzy bez Granic wezwała w niej polskie władze, by nie wykorzystywały kryzysu epidemiologicznego do „sabotowania pracy niezależnych mediów zajmujących się kampanią wyborczą". Jedyne przykłady tego „sabotowania", jakie przytoczyła organizacja, to epizodyczny przypadek dwóch dziennikarzy z Polski, fotoreportera „Gazety Wyborczej" i portalu okopress.pl, którzy zostali oskarżeni o łamanie zasad bezpieczeństwa zdrowotnego podczas kilkuosobowego protestu antyrządowego przed domem lidera rządzącej partii oraz „ataki" na prywatną telewizję TVN, która w ocenie RWB jest oskarżana przez TVP o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości (fake news) i powiązania z byłym reżimem komunistycznym w celu osłabienia krytycznego głosu przed wyborami prezydenckimi. Innych przykładów na uzasadnienie swojej tezy w komunikacie RWB nie podano.

Dlatego CMWP SDP stanowczo oświadczyło, iż oceny, które na podstawie epizodycznych, odosobnionych zdarzeń przedstawia RWB, są zbyt daleko idące i nieuzasadnione. W Polsce, mimo obiektywnych trudności związanych z zagrożeniem bezpieczeństwa wywołanym pandemią koronawirusa (przede wszystkim o charakterze ekonomicznym), środki masowego komunikowania funkcjonują bez przeszkód, a zmiany w organizacji ich pracy są czasowe i wynikają z ogólnie przyjętych przepisów bezpieczeństwa. Wskazane dwa przypadki skierowania do sądu sprawy przeciwko fotoreporterom „Gazety Wyborczej" i portalu okopress.pl są skutkiem nadzwyczajnej sytuacji, spowodowanej rygorystycznymi przepisami dotyczącymi bezpieczeństwa w czasie epidemii, do których przestrzegania zobowiązany jest obecnie każdy obywatel. Na etapie postępowania sądowego, które toczy się w tej sprawie, możliwe będzie wyjaśnienie i udowodnienie, iż ww. dziennikarze znajdowali się w miejscu zgromadzenia, bo byli w pracy i dlatego nie powinni podlegać karze. CMWP SDP w wypowiedzi dla „Gazety Wyborczej" już 23 kwietnia br. zaoferowała tym reporterom bezpłatną pomoc prawną.

> Kolejny dyrektor Programu III Polskiego Radia musi opuścić swoje stanowisko, a w Trójce wszystko wraca na stare tory – „kultowi" dziennikarze w wieku emerytalnym będą nadal nadawać swoje „kultowe" audycje.

Z kolei „ataki" na telewizję TVN to publikacje materiałów dziennikarskich w telewizji publicznej na temat konkurencyjnej stacji telewizyjnej. Bez względu na ocenę ich merytorycznej zawartości należy dostrzec, iż są one jedynie elementem ogromnej ilości różnego rodzaju publikacji w przestrzeni medialnej w Polce, a obok telewizji TVN i TVP funkcjonuje dorównująca im wielkością audytorium telewizja prywatna Polsat oraz setki innych i niezależnych podmiotów na rynku telewizyjnym, internetowym, radiowym i prasowym. Wszelkie, nieraz kontrowersyjne publikacje w Polsce, także w mediach publicznych, są obrazem intensywnego dyskursu, jaki ma miejsce w przestrzeni publicznej w Polsce i są efektem silnej polaryzacji politycznej całego społeczeństwa. Dyskusja ta toczy się na gruncie medialnym, bo do tego służą środki masowego komunikowania, i jest świadectwem nieskrępowanego korzystania przez dziennikarzy i obywateli z prawa do wolności słowa i wolności dostępu do informacji, które gwarantuje polska Konstytucja. Ochrona prawa do dobrego imienia w Polsce jest objęta przepisami prawa cywilnego, a nawet karnego. Każdy podmiot, który uważa, iż jego dobra osobiste zostały naruszone, może bez przeszkód skorzystać z egzekwowania tego prawa. Telewizja TVN tego nie zrobiła. Dlatego CMWP SDP po raz kolejny apeluje do organizacji RWB o obiektywizm przy opisywaniu poszczególnych wydarzeń dotyczących mediów i dziennikarzy w Polsce. Bez tego organizacja ta, być może nieświadomie, staje się narzędziem w konfrontacji opcji politycznych w naszej części Europy, opowiadając się jednoznacznie po jednej stronie sporu politycznego, w Polsce – po stronie przeciwników aktualnie rządzącego obozu politycznego, co w przypadku organizacji zajmującej się oceną poziomu wolności prasy w krajach całego świata nie powinno mieć miejsca.

CMWP SDP opublikowała stanowisko w tej sprawie, ponieważ z nieznanych nam przyczyn organizacje międzynarodowe zajmujące się mediami i wolnością słowa nadały jej duży, międzynarodowy rozgłos, który przypisuje tej sprawie o wiele większe znaczenie, niż ma ona w rzeczywistości.

14 maja 2020

Oprogramowanie #FakeHunter udostępnione na zasadach otwartej licencji

Twórcy projektu #Fakehunter – PAP i GovTechPolska (program rządowy działający w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów pod patronatem Premiera) – zdecydowali o udostępnieniu kodu źródłowego narzędzia do walki z dezinformacją w sieci innym podmiotom. Oprogramowanie aplikacji jest już rozpowszechniane na zasadzie otwartej licencji umożliwiającej kopiowanie, rozwój i dalszą dystrybucję. Celem działania obu instytucji jest ograniczenie negatywnych skutków rozprzestrzeniania się fałszywych treści przez ich merytoryczną weryfikację i dementowanie. Platforma #Fakehunter została uruchomiona 8 kwietnia w odpowiedzi na zalew fałszywych informacji związanych z pandemią covid-19, stanowiących w tym czasie wyjątkowe zagrożenie dla bezpieczeństwa i zdrowia społeczeństwa. CMWP SDP wsparło PAP w tym projekcie poprzez informowanie na swojej stronie internetowej i w mediach społecznościowych oraz poprzez mailingową akcję informacyjną.

Linki do tego oprogramowania są dostępne na stronie cmwp.sdp.pl i fakehunter.pap.pl

14 maja 2020

Apel do dziennikarzy – prośba o udział w badaniu na temat wpływu pandemii na pracę mediów i agencji PR

Polska Agencja Prasowa z Instytutem Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, partnerem badawczym, prowadzi projekt, którego celem jest zebranie opinii na temat wpływu pandemii koronawirusa na pracę dziennikarzy i ich współpracę z agencjami PR. Autorzy badania chcą poznać opinię dziennikarzy na temat zmian, jakie zaszły w czasie pandemii koronawirusa i lockdown'u. Ankieta składa się z 9 pytań oraz metryczki. Badanie jest w pełni anonimowe. Publikacja wyników badania planowana jest w połowie czerwca 2020 r. CMWP SDP wsparło PAP w tym projekcie.

15 maja 2020

Kolejna sprawa z art. 212 kk przeciwko dziennikarce objęta monitoringiem CMWP SDP

W związku z aktem oskarżenia z art. 212, wniesionym przez Annę Kusiak przeciwko red. Anecie Urbanowicz – dziennikarce „Tygodnika Zamojskiego" – CMWP SDP objęło niniejszą sprawę monitoringiem pod kątem przestrzegania praw człowieka i obywatela, w szczególności w zakresie wolności słowa i prasy. Prywatny akt oskarżenia dotyczy artykułu pt. *Nie porządzi*, opublikowanego w „Tygodniku Zamojskim" oraz zamieszczonego na stronie internetowej www.tygodnikzamojski.pl. W artykule zostało opisane m.in. funkcjonowanie Oddziału Regionalnego Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Lublinie w czasie, gdy Anna Kusiak-Janiec pełniła tam funkcję zastępcy dyrektora.

18 maja 2020

Protest Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP przeciwko zastraszaniu dziennikarzy TVP przez Rafała Trzaskowskiego, kandydata Koalicji Obywatelskiej na Prezydenta RP

„Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP stanowczo zaprotestowało przeciwko skandalicznej wypowiedzi prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, kandydata na Prezydenta RP, który podczas konferencji prasowej 17 maja 2020 r. zapowiedział chęć podjęcia działań mających na celu likwidację telewizji publicznej, programu TVP INFO, programu »Wiadomości« i publicystyki politycznej w telewizji publicznej po ewentualnym wygraniu przez niego wyborów prezydenckich. Wypowiedź ta narusza zasadę wolności słowa demokratycznego państwa, ponieważ zawiera zapowiedź pozaprawnych działań polityka skierowanych przeciwko jednej z najważniejszym medialnych instytucji w naszym państwie" – czytamy w oświadczeniu Centrum. Kandydat skierował do dziennikarzy TVP wyjątkowo szydercze słowa: „Śpieszcie się zadawać pytania, bo niewiele tygodni wam zostało". Była to według CMWP próba zastraszenia przez polityka KO dziennikarzy mediów publicznych, która nigdy nie powinna mieć miejsca, bez względu na jego ocenę ich pracy. Szczególnie bulwersujące w opisywanej sytuacji jest to, iż działanie takie podejmuje polityk ubiegający się o objęcie najważniejszego urzędu w Polsce – urzędu Prezydenta RP, którego głównym obowiązkiem jest dbanie o przestrzeganie prawa. Atakując dziennikarzy, p. Rafał Trzaskowski naruszył więc zasadę wolności słowa w demokratycznym państwie, do której przestrzegania zobowiązani są zarówno przedstawiciele mediów, jak i politycy.

20 maja 2020

Sprawa o zniesławienie z art. 212 kk. Tym razem w Warszawie

CMWP objęło monitoringiem sprawę o zniesławienie z art. 212 kk. Pozwana wypowiedziała się na zamkniętych grupach FB oraz w dziale Opinie Google na temat niewłaściwie przeprowadzonego na niej jako pacjentce zabiegu medycznego oraz opisała pracę lekarza, który ten zabieg wykonał. Pozwana doznała trwałego uszczerbku na zdrowiu i dysponuje wieloma opiniami właściwych instytucji oraz biegłych lekarzy, którzy potwierdzają jej opinie. Ze względu na konieczność ochrony jej tożsamości i ochrony jej dóbr osobistych, na tym etapie sprawy nie możemy podać więcej szczegółów.

27 maja 2020

Głośno na Twitterze i w mediach tradycyjnych! Dziesiątki cytowań, setki polubień pod stanowiskiem CMWP SDP w sprawie skandalicznej wypowiedzi Rafała Trzaskowskiego o dziennikarzach TVP

Ponad 1300 polubień na Twitterze, dziesiątki cytowań i wypowiedzi w mediach tradycyjnych i społecznościowych świadczą o ogromnym społecznym rezonansie stanowiska CMWP SDP w sprawie skandalicznej wypowiedzi do dziennikarzy TVP kandydata Koalicji Obywatelskiej na prezydenta RP, Rafała Trzaskowskiego. CMWP SDP cytowały zarówno Wiadomości TVP, jak i portal Onet, Interia, PAP, Radio Maryja, wpolityce.pl, niezależna.pl, TV Republika i Polskie Radio 24, Radio Wnet i TV Republika, regionalne telewizje i radio publiczne m.in. w Poznaniu, Szczecinie i Opolu. Przytaczały je także medialne portale branżowe – wirtualnemedia.pl oraz sdp.pl. Ogromnie im dziękujemy za zainteresowanie i pomoc w promocji naszego stanowiska!

Dr Jolanta Hajdasz jest dyrektorem CMWP SDP i wiceprezesem SDP.

Często spotyka się opinię, że między politykami nie ma istotnych różnic, bo „wszyscy kradną", choć jedni więcej, a drudzy mniej. Nietrudno zauważyć, że różnice jednak są, a można je sprowadzić do podziału na zwolenników przedmiotowości i podmiotowości Polski.

Podmiotowość czy przedmiotowość

Jan Martini

Miłośnicy przedmiotowości noszą różne kostiumy i nawet jeśli wewnątrz grupy występuje coś w rodzaju rywalizacji, to w każdej chwili są w stanie zawiązać jakąś „koalicję europejską" czy „pakt senacki", by jako „opozycja demokratyczna" wspólnie zwalczać zwolenników podmiotowości. Cechuje ich postulowana przez Konfederację „wielowektorowość", ale jeden wektor jest najsilniejszy – to spolegliwość (służalczość?) wobec czynników zewnętrznych ubrana w retorykę „stosunków dobrosąsiedzkich" czy „współpracy międzynarodowej".

Gdy komuniści sowieccy przygotowywali się do swego „upadku", wymyślili „doktrynę Falina-Kwicinskiego" polegającą na zastąpieniu obecności militarnej w dawnych krajach „demokracji ludowej" uzależnieniem energetycznym. Kraje już formalnie niepodległe zamierzano kontrolować metodą tańszą, wizerunkowo lepszą, a równie skuteczną. Pewnie niewielu ludzi wie, że prezydent Putin jest doktorem gazownictwa, a jego praca doktorska dotyczyła eksportu gazu jako środka do osiągania celów politycznych. Grupa ludzi skupionych wokół braci Kaczyńskich była zdania, że choćby częściowe uniezależnienie się od dostaw węglowodorów z Rosji jest niezbędnym warunkiem naszej suwerenności. Niestety ugrupowania polityczne sprawujące władzę przez większość historii III RP albo nie dostrzegały takiej zależności, albo nie uważały suwerenności za wartość istotną. Historia starań o dostawy gazu z Norwegii liczy już ćwierć wieku, bo starania te były dwukrotnie zatrzymywane natychmiast po dojściu do władzy koalicji SLD-PSL (2003) i PO-PSL (2007). Podczas pierwszych rządów PiS udało się rozpocząć budowę gazoportu w Świnoujściu, ale kadencja skończyła się po 2 latach, co wystarczyło na budowę Muzeum Powstania Warszawskiego, było jednak okresem zbyt krótkim na ukończenie terminala gazowego. Następny rząd – premiera Tuska – musiał już kontynuować budowę, choć zdołano opóźnić jej ukończenie o 3 lata.

Z ujawnionych amerykańskich danych analitycznych wynika, że Lech Kaczyński był „niesterowalny", i to, obok uporczywych starań o niezależność energetyczną Polski, było przyczyną jego śmierci. Porozumienia z Gazpromem były nadzwyczaj korzystne dla Rosji. Były też korzystne dla negocjatorów, a tak się dziwnie składa, że Rosjanie na negocjatorów upodobali sobie „ludowców". Inżynier Witold Michałowski, który całe swoje życie zawodowe budował rurociągi na wielu kontynentach, twierdził, że negocjatorzy porozumień otrzymali prowizję 160 mln $, choć „gazowy biznesmen" Aleksander Guzowaty korygował tę sumę do 110 mln.

26 marca 2010 roku zespół ekspertów złożył w kancelarii prezydenta RP dokument wskazujący, że pakiet porozumień gazowych z Rosją został zawarty z ewidentną szkodą na rzecz polskiego obywatela, że posiadał fundamentalne błędy prawne i że nie pobieramy opłaty za tranzyt gazu, tracąc miliard dolarów rocznie. Była też sugestia, żeby anulować pakiet porozumień i renegocjować umowę. 8 kwietnia 2010 r. prezydent Obama spotkał się z prezydentem Miedwiediewem, by podpisać coś w rodzaju układu o amerykańskim *désintéressement* wobec Europy Środkowo-Wschodniej. 9 kwietnia 2010 r. została uruchomiona budowa rurociągu Nord Stream. 10 kwietnia 2010 r. mgła pojawiła się w Smoleńsku na godzinę przed lądowaniem i ustała dokładnie w momencie katastrofy. Dwadzieścia minut później minister Sikorski zawiadomił o katastrofie Jarosława Kaczyńskiego, dodając, że wszyscy zginęli. Trzy dni później Sikorski poinformował świat w telewizji CNN, że samolot był sprawny, a winę ponoszą piloci, próbując wylądować we mgle. 29 października 2010 roku, już w warunkach „nowego otwarcia" i gwałtownego wzrostu przyjaźni z Rosją, Waldemar Pawlak i Igor Sieczin podpisali kolejną, również niekorzystną umowę, po której nasz „ludowiec" był nawet niepokojony przez wścibskich prokuratorów. Dopiero dziś, po 25 latach starań i wielu ofiarach, jesteśmy blisko niezależności energetycznej, choć wcale to nie znaczy, że nie będzie kłopotów. Fakt, że uzyskano opinie środowiskowe i zgody rządów Norwegii, Szwecji i Danii, a nawet rozpoczęto budowę rurociągu Nordic Pipe świadczy, że Rosja nie ma już tak wielkiego wpływu na zachodnie rządy. Tym niemniej pozostaje jedna potencjalna przeszkoda – konieczność uzyskania zgody Rosji na skrzyżowanie trasy rurociągu z rurociągiem Nord Stream.

Czy to energetyka leży u podłoża ciągłych desperackich prób wymiany ekipy rządzącej w Polsce? Dziś, w obliczu pandemii, przedstawiciele wielu partii opozycyjnych w Europie deklarują zawieszenie walki politycznej i pełne poparcie rządów. Lecz u nas widzimy proces całkiem odwrotny – ataki na rząd uległy wzmożeniu, a nawet jest już organizowany „gniew ludu".

Mieliśmy w PRL całkiem duży przemysł, zbudowany w sporej części za kredyty zaciągnięte przez Gierka, a zakłady przemysłowe – wbrew panującej opinii – nie zawsze były przestarzałe. Sam czytałem przed laty w „Financial Times", jak prezes International Paper Company chwalił się swoimi zdolnościami biznesowymi, gdyż udało mu się zakupić najnowocześniejsze na świecie zakłady papiernicze w Kwidzynie za okazyjną cenę 20 procent wartości (negocjator strony polskiej, min. Lewandowski, chyba też był zadowolony). Zdaniem premiera Olszewskiego, żeby ukraść sto złotych, marnowano tysiąc. Niszczarka działała skutecznie – w 1989 roku istniało 8500 państwowych przedsiębiorstw, a w roku 2015 już tylko 240. Sprawdzoną techniką było doprowadzanie do bankructwa i odkupywanie zakładu po korzystnej cenie. Ale najdziwniejsze jest, że autorzy tych zniszczeń do dziś brylują na salonach, udzielają wywiadów, reprezentują Polskę w europarlamencie, a jednego z nich wdzięczni Europejczycy wybrali na swego „króla".

Z dzisiejszej perspektywy widać, że ten bezprecedensowy w dziejach świata demontaż państwa, to wygaszanie Polski, było świadomym niszczeniem dorobku pokoleń Polaków w celu pozbawienia podstaw materialnych do odbudowy suwerenności. Ponadto świat nie był gotowy na przyjęcie „nowego gracza". Powiedział o tym wyraźnie pewien amerykański senator Andrzejowi Gwieździe podczas jego wizyty w Stanach Zjednoczonych w latach dziewięćdziesiątych: „Co zrobić z waszym przemysłem? Z zarobkami rzędu centów za godzinę zdestabilizujecie gospodarkę światową. Dlatego nie możemy poprzeć waszej niepodległości". Dlatego konieczny był „plan Balcerowicza" i powstanie państwa montowni, hurtowni i akwaparków – państwa z przywódcami w rodzaju Tuska czy Pawlaka.

Gdy poinformowano Donalda Tuska o katastrofalnym stanie polskiej demografii, o dosłownym wymieraniu narodu, jedyną reakcją premiera był chamski żart – „panowie, bierzmy się do roboty!". Przy okazji mowy wygłoszonej z okazji nadawania kolejnego doktoratu h.c. Lech Wałęsa stwierdził, że w Polsce powinno mieszkać 20mln ludzi do obsługi linii tranzytowych wschód-zachód. Oczywiście „mędrzec Europy" sam sobie tego nie wymyślił, ale taką wizję kreślili Polakom przywódcy i na tyle wyznaczono górną granicę naszych ambicji i aspiracji. Przyszli historycy będą spierać się który z nich bardziej zaszkodził Polsce. Gorzej, że ciągle w kraju są miliony ludzi skłonnych powierzyć władzę sukcesorom tych postaci. Bo nie jest tak, że w Polsce żyją sami patrioci czy świadomi Polacy. Wielu jest takich, których Roman Dmowski określał jako „żywioł polski" – bardzo wdzięczny materiał dla medialnych manipulatorów. Być może znaleźliby się także budowniczowie bram triumfalnych dla wkraczających obcych wojsk. Uleciały z naszego słownika słowa „renegat" czy „zdrajca", ale to nie znaczy, że nie istnieją ludzie, którzy w pełni wyczerpują znamiona tych pojęć.

W grudniu 2013 roku Grupa Inicjatywna Związku Ludności Narodowości Śląskiej wysłała list do ambasadora Federacji Rosyjskiej z prośbą, by nie mierzyć rakietami z Kaliningradu w Śląsk, bo Śląsk nie identyfikuje się z Polską i zawsze pozostaje przyjazny Rosji. Wcześniej przywódca Ruchu Autonomii Śląska, dr Gorzelik, zapowiedział, że do roku 2020 Śląsk uzyska pełną autonomię, a on przystąpi do walki o autonomię dla innych regionów – w pierwszym rzędzie dla regionu kaszubsko-pomorskiego. Plany te zostały pokrzyżowane w wyniku wyborów 2015 roku, ale wystarczyłaby jeszcze jedna kadencja rządów PO-PSL, a „kwestia polska" zostałaby trwale „rozwiązana". Dlatego musimy być szczególnie uwrażliwieni na hasła typu „autonomia najwyższą formą samorządności" czy mówienie, że „samorządy są najbliżej ludzi i najlepiej znają ich potrzeby, a nie rząd w Warszawie".

W trzydziestą rocznicę częściowo wolnych wyborów, 4 czerwca 2019 roku w Gdańsku prezydenci największych miast zrzeszeni w Unii Metropolii Polskich im. Pawła Adamowicza ogłosili 21 postulatów. Czy przez przypadek Fundacja Batorego postanowiła udoskonalić polski samorząd i ogłosiła swój raport w tym samym czasie? W otulinie nowomowy i rytualnych frazesów o demokracji, samorządności i rządach prawa, eksperci od Sorosa i prezydenci „wolnych miast" jasno i bez ogródek wyartykułowali program demontażu państwa: Likwidacja urzędu wojewody na rzecz „niezależnej izby audytu samorządowego". Zwiększenie autonomii programowej szkół (możliwość kształtowania różnych programów szkolnych w zależności od regionu). Likwidacja kuratorów oświaty. Utworzenie policji samorządowej (wyodrębnionej z policji państwowej i podporządkowanej samorządom). Tzw. „rozproszone przywództwo lokalne" reprezentowane przez Federację Samorządową – „jedną silną organizację grupującą wszystkie samorządy i reprezentującą je wobec władzy centralnej". Weto samorządowe umożliwiające czasowe wstrzymanie procesu legislacyjnego, co „pozwoliłoby na przeprowadzenie dodatkowych konsultacji". Jest też postulat „odpolitycznienia mediów publicznych". Jak widać, „internacjonaliści europejscy" i postkomuniści nie mogą się pogodzić z utratą w 2015 roku monopolu informacyjnego i żądają „neutralizacji" telewizji publicznej. Dlatego warto, żeby malkontenci narzekający na telewizję publiczną, której „nie da się oglądać", pamiętali, że nawet jeśli jest to propaganda, to propaganda polska. Byłoby źle, gdyby jej nie było.

I wcale nie jest oczywiste, że będzie zawsze. Po zmianach roku 2010 (które miały cechy zamachu stanu) zwolniono z TVP rzeszę ludzi, a z zapowiedzi beneficjentów III RP wynika, że tym razem czystki byłyby jeszcze większe. Czy wówczas telewizja z „naszych podatków" będzie obiektywna, czy otrzymamy kolejną potężną michnikową gębę, która dołączy do chóru wszystkich mediów „głównego nurtu"? Mieliśmy już w III RP jednolity przekaz medialny. Czy wówczas telewizję „dało się oglądać"? Pomijając już wszystkich, którzy rodzinnie i niejako „systemowo" nie znoszą „kaczyzmu" (w samej Warszawie jest 400 tys. „Mazgułów"), nawet ludzie dalecy od sympatyzowania z komunizmem surowo recenzują rząd. Znamy te utyskiwania: „Rząd jest słaby i sobie nie radzi". „Bo trzeba rządzić mądrze, a nie głupio". „Nie zrobiono tego, nie ruszono owego, to się wali, a tamto leży". „Ponadto przedsiębiorcy są niszczeni i szaleje drożyzna". Oczywiście prawie nikt nie wierzy w przeznaczoną dla „zagranicy" bajerę o „łamaniu konstytucji", „niszczeniu demokracji", „dyktaturze" itp. Gdyby było inaczej – opozycja nie domagałaby się tak uporczywie wprowadzenia stanu wyjątkowego. Bo mieliśmy jedyną na świecie opozycję, która żądała stanu wyjątkowego – a przecież taki stan to nic przyjemnego dla opozycji. Nasi „totalsi" mogliby się o tym dowiedzieć choćby od kolegów-opozycjonistów w Turcji.

I Rzeczpospolita upadała przez 100 lat, później 5 pokoleń walczyło o jej odtworzenie. Dziś możemy państwo zniszczyć błyskawicznie jedną nierozsądną decyzją wyborczą, powierzając władzę zwolennikom „rozproszonego przywództwa lokalnego". Możliwe, że rząd jest zły (lub bardzo zły), ale jest polski. Powinniśmy cenić rząd i państwo polskie, nawet jeśli jest ono z „dykty". Niezbyt wielu Polaków w ostatnich 300 latach miało szczęście posiadać choćby słaby, ale polski rząd. W 2015 roku prof. Andrzej Nowak powiedział: „Nie ma wątpliwości, że w ostatnich 25 latach politykiem najbardziej upominającym się o państwo polskie, o potrzebę jego umocnienia, unowocześnienia i odbudowę był Jarosław Kaczyński". I to jest prawda.

Dokończenie ze str. 1

Pomnikowy paraliż

Henryk Walendowski

Lata 2014–2015

W styczniu 2014 roku Społeczny Komitet uzyskał lokalizację w zaproponowanym przez nas prestiżowym miejscu (ul. Towarowa róg ul. Powstańców Wielkopolskich). 17.03.2014 r. Prezydent Poznania Ryszard Grobelny objął patronat honorowy nad budową pomnika Wypędzonych Wielkopolan. W kwietniu 2014 r. z 30 projektów i wizualizacji Zarząd Społecznego Komitetu wybrał najbardziej przekonujący swym lapidarnym przesłaniem wstępny projekt artysty rzeźbiarza Jarosława Mączki z Bielska-Białej. W lipcu 2014 r. Zarząd Dróg Miejskich i Zarząd Zieleni Miejskiej wyraziły zgodę na dysponowanie nieruchomościami pod pomnik. Społeczny Komitet oznaczył miejsce sjenitową tablicą informacyjną. Ideowym przesłaniem pomnika J. Mączki jest memento z rozwinięciem: krzywdy wyrządzone dzieciom przez wypędzenia to barbarzyństwo, zbrodnia przeciwko ludzkości. Na pytanie, dlaczego właśnie dziecko (dziewczynka) jest centralnym symbolem pomnika, odpowiedź jest prosta:

– Około 31% wypędzonych z Wielkopolski i uwięzionych w obozach przesiedleńczych stanowiły dzieci do lat 18. W tej grupie wiekowej są wszyscy obecnie jeszcze żyjący świadkowie wypędzeń z Wielkopolski. To gest w stosunku do Nich. Według danych statystycznych żyje ich jeszcze kilka tysięcy.

– Krzywda wyrządzona dziecku jest krzywdą wielokrotną.

– Dziecko jest bezbronne, pozbawione głosu, bezpieczeństwa, naturalnego środowiska, czyli domu z rodzicami, rodzeństwem, zabawkami.

– Dziecku odebrano prawo bycia dzieckiem.

– Dziecko w sposób nagły stało się świadkiem przemocy fizycznej i psychicznej, barbarzyństwa obcych najeźdźców mówiących lub wrzeszczących w obcym języku.

– Dziecko znalazło się nagle w strefie ubóstwa, niedożywienia, stresu, czasem głodu, braku opieki lekarskiej.

– Dziecko pozbawiono możliwości nauki w języku ojczystym.

– Dzieciństwo zostało skrócone, Niemcy wymagali pracy już od 12–16 roku życia.

Głównym materiałem pomnika ma być szary granit strzegomski lub strzeblowski (pylony, podest, schody), dla rzeźby stosowniejszy byłby sjenit Przedborowa lub drobnoziarniste gabro typu Impala.

Gdyby w Poznaniu wzniesiono Pomnik Wypędzonych wcześniej niż Pomnik Wypędzonych w Gdyni (październik 2014 r.), z pewnością jego centralnym symbolem byłaby kilkuosobowa rodzina. Realizacja w Gdyni stworzyła dla Poznania m.in. obawę o plagiat.

Wydawało się, że sprawy pomnikowe potoczą się zgodnie z procedurami i naszymi oczekiwaniami. Już 5.11.2013 r. Rada Miasta Poznania na XVIII sesji uchwaliła zgodę na wzniesienie pomnika Wypędzonych Wielkopolan i powierzyła wykonanie tej uchwały Prezydentowi Miasta Poznania. Czarną datą dla nas jest środa 20 maja 2015 r. Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak powołał 14-osobowy Zespół do Spraw Wznoszenia Pomników. W składzie Zespołu nie ma ani jednego kombatanta II wojny światowej, choć Zespół ma decydować o pomnikach związanych z latami 1939–1945. Była to poważna wada strukturalna tego gremium, co miało się okazać już wkrótce.

22.09.2015 r. odbyło się pierwsze posiedzenie Zespołu, dla nas niekorzystne, bo włączono do procedowania pomnik Wypędzonych Wielkopolan, mimo że żadne przepisy przejściowe nie przewidywały tego ruchu w stosunku do tak zaawansowanego projektu.

10.03.2016 r. W Sali Białej Urzędu Miasta Poznania odbyła się debata publiczna nad projektem pomnika Wypędzonych Wielkopolan Jarosława Mączki. Pokazano model i wizualizacje dzienne i nocne pomnika, które spotkały się z widoczną, zdecydowaną aprobatą uczestników debaty. Podobne oceny przesyłano później drogą elektroniczną.

22.03.2016 r. na Posiedzeniu Zespołu do Spraw Wznoszenia Pomników pozytywnie zaopiniowano w głosowaniu przedstawioną przez wnioskodawców formę pomnika Wypędzonych Wielkopolan (8 głosów za, 1 głos wstrzymujący się).

FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

Niespodziewana przeszkoda

Od momentu zatwierdzenia projektu Społeczny Komitet zintensyfikował prace przygotowawcze i skompletował dokumentację niezbędną do wystąpienia o pozwolenie na budowę. Rozwinęliśmy projekt we wszystkich branżach: architektura, konstrukcja, geodezja, drogi, zieleń, oświetlenie, odwodnienie, kiosk informacyjny, wstępne rozmowy z właścicielami kamieniołomów granitu na Dolnym Śląsku. Wydawało się, że wkrótce rozpoczniemy pracę na parceli pod pomnik, zgodnie z przepisami zapraszając na początek archeologów.

W dniu 4.10.2016 r. na posiedzeniu Zespołu stała się rzecz niesłychana: dwie panie ze stowarzyszenia Wspólnota Polaków Wypędzonych i Poszkodowanych przez III Rzeszę skrytykowały już zatwierdzony projekt. Inicjatorów poproszono o opuszczenie sali. Później dowiedzieliśmy się, że Zespół nagle zmienił zdanie i wbrew poprzednim ustaleniom przegłosował we własnym gronie rozpisanie konkursu na pomnik. Okazało się, że 6 członków Zespołu w tej samej kwestii głosowało za i przeciw: wcześniej przeciw konkursowi, później za konkursem. Byli to: Joanna Bielawska-Pałczyńska, Łukasz Mikuła, Rafał Ratajczak, Jacek Maleszka, Jędrzej Oksza-Płaczkowski i Piotr Marciniak. Należy dodać, że porządek obrad nie przewidywał głosowania, lecz po wysłuchaniu opinii odrębnej miał przejść do następnej sprawy. Tak się nie stało. Powstała całkiem nowa dla Społecznego Komitetu sytuacja – odrzucenie naszej dziesięcioletniej pracy, chaos proceduralny. Zespół złamał zasadę *pacta sunt servanda*, podstawową zasadę obowiązującą decydentów. Nie było żadnych racjonalnych powodów, by zarządzać jakiekolwiek głosowanie. Oprócz absurdu mamy tu do czynienia po prostu z cynizmem i bezczelnością.

Głosowanie Zespołu do Spraw Wznoszenia Pomników z dnia 4.10.2016 r.

Dokończenie ze str. 1

Manipulatorskie praktyki Google'a

Celina Martini

Google może zmieniać twoje postrzeganie bez twojej świadomości

Eksperymenty Epsteina ujawniły szereg sposobów wpływania na opinię publiczną. Pierwszy z nich nazywa się SEME (Search Engine Manipulation Effect), co oznacza efekt manipulacji w wyszukiwarkach. Wyniki wyszukiwania były celowo ustawione stronniczo w stosunku do danego kandydata politycznego. Celem eksperymentów było sprawdzenie, czy będą one w stanie zmienić opinię polityczną i skłonności użytkowników.

„Przewidziałem, że otrzymamy przesunięcie w opiniach, ponieważ ludzie ufają wyższym rangą wynikom wyszukiwania, a my, oczywiście, ustawialiśmy je stronniczo. Jeśli więc ktoś kliknie na wysokiej rangi wynik wyszukiwania, ten połączy go ze stroną, na której jeden kandydat będzie wyraźnie lepiej przedstawiony od drugiego. Założyłem, że możemy uzyskać przesunięcie preferencji w głosowaniu o 2–3%. Uzyskaliśmy… przesunięcie o 48%. Muszę podkreślić, że w prawie wszystkich naszych eksperymentach wykorzystywaliśmy niezdecydowanych wyborców. To jest klucz. Nie można łatwo zmienić preferencji wyborczych ludzi, którzy są mocno zaangażowani politycznie, ale ludzie niezdecydowani to ludzie bardzo podatni".

Prosty trik maskujący stronniczość wyszukiwania

Epstein zauważył w eksperymentach, że bardzo niewiele osób zdawało sobie sprawę ze stronniczości wyszukiwania. W drugim eksperymencie uzyskano 63% przesunięć w głosowaniu, a przez maskowanie stronniczości, np. wstawiając tu i ówdzie wynik pro-opozycyjny, udało się ukryć tendencyjność przed niemal wszystkimi: „Mogliśmy uzyskać ogromne zmiany w opiniach i preferencjach wyborczych, a nikt nie był w stanie wykryć tendencyjności w wynikach wyszukiwania, które im podawaliśmy" –mówi. Kolejne eksperymenty wykazały, że w manipulacjach wykorzystuje się model klikania powstały z przyzwyczajenia. Ludzie przeważnie poszukują prostych zagadnień, takich jak pogoda czy stolica kraju. Najlepsze i najprawdziwsze odpowiedzi są zawsze na samym szczycie. To wytwarza nieuzasadnione ogólne założenie, że najprawdziwsza i najlepsza odpowiedź jest na górze rankingu.

Google mógł przesunąć miliony głosów w wyborach

Konsekwencje efektu manipulacji w wyszukiwarce mogą być ogromne, tak więc kolejnym celem Epsteina było ustalenie, czy Google wykorzystywał swoją siłę oddziaływania.

„Na początku 2016 r. stworzyłem pierwszy w historii system monitoringu, który pozwolił mi »zajrzeć przez ramię« ludziom, którzy w miesiącach poprzedzających wybory prezydenckie w 2016 r. szukali związanych z wyborami informacji w Google'u, Bing i Yahoo. Miałem 95 agentów terenowych w 24 stanach, ich tożsamość była tajna. Zainspirowałem się modelem Nielsena dotyczącym oglądania telewizji. Wyposażyliśmy naszych agentów bez ich wiedzy w niestandardowe, pasywne oprogramowanie, które pozwoliło podglądać ich poszukiwania związanie z wyborami. Udało nam się skompletować 13 207 wyszukiwań i prawie 100 000 stron internetowych, do których odnosiły się wyniki wyszukiwania.

Po wyborach ocenialiśmy strony pod kątem tendencyjności, zarówno pro-Clinton, jak i pro-Trump, a następnie analizowaliśmy, czy w wynikach wyszukiwania, które ludzie widzieli, nie było żadnej stronniczości. Znaleźliśmy pro-Clintonowe tendencje we wszystkich 10 pozycjach wyszukiwania na pierwszej stronie wyników wyszukiwania Google'a, ale nie na Bing czy Yahoo. To bardzo ważne: na Google'u był znaczący pro-Clintonowy przechył. Dzięki eksperymentom, które przeprowadzałem od 2013 r., byłem w stanie obliczyć, ile głosów mogło zostać przesuniętych przy takim poziomie nieobiektywności. Licząc minimum – około 2,6 miliona niezdecydowanych głosów przesunęłoby się na Hillary Clinton".

Można jednak także założyć, że tendencyjne wyniki wyszukiwania uprawdopodobniły przesunięcie aż 10,4 miliona niezdecydowanych wyborców w kierunku Clinton, co jest nie lada wyczynem, tym bardziej, że nikt nie zdawał sobie sprawy, że był manipulowany, żadne zaś ślady tej manipulacji nie pozostały.

Według wyliczeń Epsteina, w najbliższych wyborach 2020 r. firmy technologiczne, z Google'em na czele, mogą przesunąć 15 milionów głosów, co oznacza, że mają potencjał, by wybrać następnego prezydenta USA. „Innymi słowy, niektórzy menedżerowie wysokiego szczebla w Google'u mogą zdecydować, kto wygra wybory w RPA, GB czy gdziekolwiek indziej" – twierdzi Epstein.

Dyktator

Inną przerażającą możliwością jest fakt, że Google mógłby ustawić swój stronniczy algorytm tak, aby faworyzował najgorszego kandydata. Nie istnieją żadne przepisy ani prawa, które mogą ograniczać sposób, w jaki Google pozycjonuje swoje wyniki. Sądy doszły do wniosku, że Google po prostu korzysta ze swojego prawa do wolności słowa, nawet jeśli oznacza to niszczenie przedsiębiorstw, które zostały umieszczone na czarnych listach. Jedynym sposobem, by chronić się przed tego rodzaju ukrytym wpływem, byłoby stworzenie programów monitorujących, chroniących nas przed wpływem technologii internetowych. Epstein naciska na rząd, aby uczynił z indeksu wyszukiwania Google'a własność publiczną, co pozwoliłoby innym firmom tworzyć konkurencyjne platformy wyszukiwania za pomocą bazy Google'a, a rozbiłoby jego monopol.

Wpływ antycypującej sugestii poszukiwania

W 2016 r. Epstein odkrył również niezwykły wpływ antycypującej sugestii wyszukiwania, która wyświetla się na bieżąco po rozpoczęciu wpisywania hasła. Efekt ten jest obecnie znany jako SEE (Search Suggestion Effect). Epstein wyjaśnia: „Funkcja została zaprezentowana jako sposób na oszczędność czasu, jednak zmieniła się w kolejne narzędzie manipulacji. W czerwcu 2016 r. mała organizacja informacyjna odkryła, że jest praktycznie niemożliwe, aby uzyskać negatywne propozycje wyszukiwania na temat Hillary Clinton, podczas gdy dla innych ludzi, w tym Donalda Trumpa, było bardzo łatwo. Spróbowałem więc sam. Wpisałem »Hillary Clinton jest…« na Bing i Yahoo i dostałem długie listy odpowiedzi typu: »jest diabłem«, »jest chora«; wszystkie negatywne rzeczy, których ludzie naprawdę szukali. To były najpopularniejsze wyszukiwane terminy. Więc wypróbowaliśmy to w Google'u i otrzymaliśmy: »Hillary Clinton wygrywa«, »Hillary Clinton jest wspaniała«… Zacząłem więc robić kolejne eksperymenty, które pokazały, że manipulując propozycjami poszukiwań, mogłem zamienić podział 50/50 niezdecydowanych wyborców na 9/10 – i nikt nie miał najmniejszego pojęcia, że został zmanipulowany".

Nowy algorytm na YouTube

YouTube, własność Google'a, ma również ogromny wpływ na opinię publiczną. Wg Epsteina, 70% filmów, które ludzie oglądają na serwisie YouTube, jest sugerowane przez algorytm Google Up Next, który proponuje oglądającym kolejne filmy. Jest to skuteczne narzędzie do nieuchwytnej manipulacji. Nie ma konkretnego wykazu filmów – algorytm, podsuwając jeden film po drugim, wciąga widza w pułapkę.

„Istnieją udokumentowane przypadki, w których ludzie przeszli na radykalny islam lub białą supremację, dlatego że »wpadli w króliczą dziurę« poprzez sekwencje filmów na YouTube – mówi Epstein. – Pomyślcie o tej potędze. Nie jest groźna dla ludzi o ugruntowanych poglądach, lecz dla chwiejnych, niezaangażowanych i niezdecydowanych. A to mnóstwo ludzi".

Google namierza cię nawet poza siecią

„Większość ludzi jest tym zszokowana, ponieważ są bezustannie bombardowani wycelowanymi w nich reklamami. Coraz więcej ludzi mówi mi, że po prostu rozmawiają kimś, więc nie robią nic online, ale mają przy sobie telefon – rozmawiają w domu i mają w komputerze Amazon Alexa lub Google Home, a następną rzeczą jest otrzymywanie reklam związanych z tym, o czym mówili. To jest problem inwigilacji. Jesteśmy obecnie badani 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, bez naszej świadomości tego faktu. To wykracza nawet poza multimedia, ponieważ kilka lat temu Google kupił firmę Nest, która produkuje inteligentne termostaty. Najnowsze wersje inteligentnych termostatów posiadają mikrofony i kamery. W ostatnich latach Google uzyskał patenty, które dają mu prawa własności do sposobów analizowania dźwięków odbieranych przez mikrofony w domach ludzi. Śledzenie lokalizacji również całkowicie wymknęło się spod kontroli. W ostatnich miesiącach dowiedzieliśmy się, że nawet jeśli wyłączysz śledzenie lokalizacji w telefonie komórkowym, nadal będziesz śledzony".

Wiele można dowiedzieć się o danej osobie, śledząc jej przemieszczanie się. Jak wyjaśnia Epstein, technologia śledzenia stała się niezwykle wyrafinowana i agresywna. Na przykład telefony komórkowe z systemem Android należącym do Google'a mogą cię śledzić nawet wtedy, gdy nie jesteś podłączony do internetu, niezależnie od tego, czy masz włączoną lokalizację, czy nie.

„Powiedzmy, że wyciągniesz swoją kartę SIM, powiedzmy, że rozłączysz się ze swoim operatorem sieci komórkowej, więc jesteś całkowicie odizolowany. Nie jesteś podłączony do internetu. Jednak twój telefon nadal śledzi wszystko, co na nim robisz i śledzi też twoją lokalizację". Gdy tylko połączysz się ponownie z internetem, natychmiast wszystkie informacje przechowywane w telefonie zostaną wysłane do Google'a. Tak więc, gdy wydaje ci się, że spędziłeś dzień incognito, w momencie ponownego połączenia każdy twój krok zostaje przekazany (pod warunkiem, że miałeś przy sobie telefon). Ważne jest także, aby zdać sobie sprawę, że Google śledzi twoje ruchy online, nawet jeśli nie korzystasz z ich produktów, ponieważ większość stron korzysta z Google Analytics, który śledzi wszystko, co robisz na danej stronie. Ty zaś nie wiesz, czy strona korzysta z Google Analytics, czy nie.

Jak chronić swoją prywatność online

Epstein rekomenduje następujące sposoby chronienia swojej prywatności:

Używaj którejś z prywatnych sieci, np. Nord (VPN). Są one niedrogie, a według Epsteina to warunek konieczny i podstawowy dla ochrony prywatności. „Po zainstalowaniu VPN przeprowadza twoje pakiety informacji w sposób bezpieczny »tunelami«, zapewniając im anonimowość. Setki firm oferuje te usługi, także w Polsce. Oprogramowanie jest łatwe w użyciu i niezbyt drogie. VPN sprawia, że twój komputer wygląda, jakby nie był twoim komputerem, tworząc rodzaj fałszywej tożsamości". Również w telefonie komórkowym VPN maskuje tożsamość podczas korzystania z aplikacji takich, jak Google Maps.

Nie używaj G-maila, ponieważ każdy e-mail jest tam przechowywany na stałe. Staje się on częścią profilu użytkownika i służy do budowania cyfrowych modeli pozwalających przewidywać jego linię myślenia. Epstein poleca pocztę Proton Mail, której serwery są w Szwajcarii, gdzie obowiązują surowe wymagania dotyczące prywatności. Poczta w swej podstawowej wersji jest darmowa, za opłatą można uzyskać szersze możliwości. Istnieją w Europie również alternatywy, jak Counter Mail i Kolab Now.

Nie używaj przeglądarki Google Chrome, ponieważ wszystko, co tam robisz, jest badane, łącznie z naciśnięciem klawisza i każdą odwiedzaną stroną internetową. Alternatywą jest przeglądarka Brave, która jest szybsza od Chrome i tłumi reklamy. Jest oparta na tej samej strukturze, co Chrome, dzięki czemu możesz łatwo przenosić swoje Rozszerzenia, Ulubione i Zakładki.

Nie używaj Google'a jako swojej wyszukiwarki ani żadnego rozszerzenia Google'a, jak Bing czy Yahoo, które pobierają wyniki wyszukiwania z Google'a. Alternatywne wyszukiwarki proponowane przez Epsteina to SwissCows lub Qwant. Należy unikać Start Page, która została zakupiona przez agresywną firmę marketingową online opartą na inwigilacji.

Nie używaj telefonu komórkowego z systemem Android czy iPhone'a. Firma Epstein używa Blackberry. Najnowszy model Blackberry – Key3 – będzie jednym z najbezpieczniejszych telefonów komórkowych na świecie.

Nie używaj urządzeń Google Home, które rejestrują wszystko, co dzieje się w twoim domu – zarówno mowę, jak i dźwięki takie jak mycie zębów i gotowanie wody. Nawet, gdy wydają się być nieaktywne, wysyłają wszystkie informacje do Google'a. Telefony z Androidem również zawsze podsłuchują i zapisują, podobnie jak termostat domowy Nest i asystenci wirtualni Siri Apple i Alexa Amazon.

Czyść swoje cache i cookies. Firmy i hakerzy wszelkiego rodzaju stale instalują inwazyjny kod komputerowy na komputerach i urządzeniach mobilnych, głównie po to, aby mieć cię pod kontrolą, ale czasem w innych nikczemnych celach. Na komórce można usunąć większość tych śmieci, przechodząc do menu ustawień przeglądarki, wybierając opcję „Prywatność i bezpieczeństwo", a następnie klikając na ikonę, która usuwa pamięć podręczną i pliki cookie. W większości laptopów i stacjonarnych komputerów wciśnięcie jednocześnie klawiszy CTRL, SHIFT i DEL przenosi bezpośrednio do odpowiedniego menu. Można również skonfigurować przeglądarki Brave i Firefox, aby automatycznie usuwały pamięć podręczną i pliki cookie za każdym razem, gdy zamykasz przeglądarkę.

Nie używaj aplikacji Fitbit, ponieważ została niedawno zakupiona przez Google'a i dostarcza mu wszystkich informacji z zakresu fizjologii i poziomów aktywności użytkownika, niezależnie od wszelkich innych informacji posiadanych o nim przez Google'a.

---

unicestwia całą wieloletnią pracę Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Wypędzonych. My, starsi seniorzy, którzy przeżyli wypędzenia lat 1939–1945, zostaliśmy niespodziewanie zaatakowani w strefę naszej wolności i godności, oszukani. Zespół nie uchwalił ani podziękowania za dziesięcioletnią pracę Społecznego Komitetu, ani nie zaproponował zwrotu kosztów poniesionych przez Społeczny Komitet, wiedząc, że wykonaliśmy ze specjalistami wiele bardzo zaawansowanych prac koncepcyjnych, dokumentacyjnych i projektowych. W oczach Zarządu naszego Stowarzyszenia Zespół się skompromitował, stał się niewiarygodny. Działa niedemokratycznie, arogancko, nie oddając praktycznie żadnego obszaru inicjatywom społecznym.

Pisma odwoławcze i protestacyjny list otwarty do władz Miasta Poznania pozostały bez merytorycznych odpowiedzi. Tymczasem umarli kolejni członkowie Społecznego Komitetu (Stanisław Jankowiak z Grupy Inicjatywnej, Jerzy Tomkowiak, Stanisław Łakomy i Stanisław Juszczak), inni poważnie chorowali.

Z żalem stwierdzam, że gdyby Zespół ds. Wznoszenia Pomników nie wtrącił się 22.09.2015 r. do toku procedowania, a 4.10.2016 r. nie podjął głosowania nad sprawą już przegłosowaną – pomnik już byłby gotowy lub przynajmniej w budowie. Cieszylibyśmy się nie tylko razem z jeszcze żyjącymi świadkami wypędzeń, lecz także ze wszystkimi, którzy doceniają obecność znaków pamięci narodowej. Sprawa pilnego upamiętnienia deportacji w Poznaniu jest zadaniem zaległym od lat, naszą sprawą narodową i częścią mądrze rozumianej polskiej polityki historycznej. Zaistniałą przykrą sytuacją należy obarczyć Prezydenta Jacka Jaśkowiaka, blokującego trzy ważne dla mieszkańców Wielkopolski pomniki: Wdzięczności, czyli Najświętszego Serca Jezusowego, Wypędzonych Wielkopolan i króla Przemysła II.

W interpelacji do Prezydenta J. Jaśkowiaka Radny Miasta Poznania Mateusz Rozmiarek napisał: „Mija rocznica wydanej przez Zespół ds. Wznoszenia Pomników na terenie miasta Poznania decyzji, która zniweczyła de facto całą pracę Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Wypędzonych w sprawie powstania pomnika Wypędzonych Wielkopolan.

Najbardziej przykrym faktem było przegłosowanie konkursu bez promesy pokrycia kosztów poniesionych przez Społeczny Komitet Budowy Pomnika Wypędzonych. Komitet wydał spore środki na projekt artystyczny, model, prace geodezyjne, prace zespołu inżynierskiego z branżami, prace inwentaryzacyjne, oznaczenie terenu tablicą informacyjną, a całość kwoty szacowana jest na kilkadziesiąt tysięcy. A podmiot przecież nie prowadzi działalności gospodarczej, składa się z ludzi sędziwych, świadków okrucieństw II wojny światowej, schorowanych emerytów.

Wielokrotnie podnoszono podczas posiedzeń Komisji Kultury i Nauki Rady Miasta Poznania istotność wzniesienia tego pomnika ponad podziałami. Przypominano argument, by podczas jego oficjalnego odsłonięcia zaprosić ostatnich już żyjących wypędzonych, by doczekali tej ważnej dla nich chwili. Tymczasem ze strony Prezydenta oraz Urzędu Miasta nadal jest cisza w tej kwestii. A powyżej podniesiony argument nadal aktualny, gdyż tylko w ciągu roku zmarło dwóch kolejnych członków Stowarzyszenia, między innymi Pan Stanisław Jankowiak z Grupy Inicjatywnej.

W związku z powyższym proszę o informacje, na jakim etapie stoi sprawa powstania pomnika oraz kiedy możemy doczekać się jego powstania. Ten pomnik miał być symbolem dla potomnych, a mam wrażenie, iż aktualnie prowadzone działania dążą do tego, by on w ogóle nie powstał".

Przeanalizujmy, co się stało?

Głosowaniem w dniu 4.10.2016 r. Zespół ds. Wznoszenia Pomników zaciągnął niemożliwy do spłacenia dług wobec żyjących jeszcze świadków barbarii II wojny światowej, a zwłaszcza wobec tych, którzy odeszli lub odejdą do wieczności, nie doczekawszy nawet budowy pomnika. Nie wiemy, czy prowadząca posiedzenie Joanna Bielawska-Pałczyńska z własnej inicjatywy zarządziła nieplanowane głosowanie, czy też ugięła się pod presją innych osób. Przed głosowaniem wyproszono inicjatorów z sali obrad i przewodnicząca apodyktycznie dopuściła wszystkich członków Zespołu do głosowania. Ze swej strony ostrzegaliśmy Zespół, że błędem jest uznawanie za reprezentantów środowiska 2 kontestujących projekt członków tylko z jednego poznańskiego stowarzyszenia, trwającego od lat w bezczynności i podzielonego w sprawie pomnika Wypędzonych. Od lat wiadomo, że stowarzyszeń kombatanckich i innych zainteresowanych budową pomnika w Wielkopolsce jest kilkadziesiąt! Wymieńmy choć część z nich: Stowarzyszenie Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę, Związek Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych (koła w Poznaniu, Kaliszu, Koninie, Lesznie, Pile, Gnieźnie, Szamotułach, Kościanie, Ostrowie Wlkp., Turku, Wrześni, Krobi, Żerkowie, Wronkach, Chodzieży, Jutrosinie, Kobylinie, Zdunach, Żninie, Książu), Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Stowarzyszenie Rodzin Polskich Ofiar Obozów Koncentracyjnych, Stowarzyszenie Urodzonych w Niewoli Niemieckiej, Ogólnopolskie Stowarzyszenie Więźniów Byłych Dzieci Niemowląt Hitlerowskich Obozów i Zakładów Eksterminacji, Związek Inwalidów Wojennych Rzeczypospolitej Polskiej, Stowarzyszenie Żydów Kombatantów i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej, Stowarzyszenie Szarych Szeregów, Stowarzyszenie Dzieci Holokaustu, Polskie Dzieci Eksterminowane i Wynaradawiane, Stowarzyszenie Kombatantów Południowa Wielkopolska. Nikt nie odpowiedział na nasze pytanie dlaczego Zespół wybrał i zaprosił tylko przedstawicieli jednego? Dlaczego Zespół nie zaprosił stowarzyszeń z Wielkopolski, Instytutu Pamięci Narodowej, NSZZ Solidarność, Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Uniwersytety Trzeciego Wieku, Instytut Zachodni, Muzeum Niepodległości, Towarzystwa Historyczne i Miłośników Historii z Wielkopolski? To w tych środowiskach są wypędzeni przez Niemców w latach 1939–1945. Ich zignorowano, czy celowo? Przez pominięcie tych środowisk Zespół nie jest w stanie (lub nie chce) dojść do prawdy. Kolejną manipulacją decydentów jest dążenie władz do tego, by projekt zadowolił wszystkich. Takiej sytuacji nie było, nie ma i nie będzie.

Nasz wniosek końcowy: Zespól w obecnym składzie, tj. bez członków-świadków II wojny światowej działa na tyle źle, niemerytorycznie, chaotycznie, ślamazarnie, że powinien być pilnie rozwiązany jako szkodzący społeczeństwu, torpedujący inicjatywy społeczne, produkujący złe prawo. Odsuwanie w czasie gotowego projektu jest czekaniem na śmierć już nielicznych świadków wypędzeń 1939–1945. Warto zauważyć, że Zespół dubluje znaczną część kompetencji Komisji Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy Oddziale IPN w Poznaniu. O powyższych nieprawidłowościach został powiadomiony Prezydent Miasta Poznania, któremu podlega Zespół. Sprawy dziwnych głosowań nie zbadał też Zespół Kontroli Wewnętrznej ani prawnicy UMP.

Trudno nie zauważyć rażącej rozbieżności pomiędzy tekstem Uchwały Rady Miasta Poznania „Polityka senioralna Miasta Poznania" a rzeczywistą działalnością Zespołu ds. Wznoszenia Pomników przy Prezydencie Miasta Poznania w dniu 4.10.2016 r. Można odnieść wrażenie, że głosujący wówczas członkowie Zespołu nie zaznajomili się z obowiązującą Ustawą o kombatantach i ofiarach represji wojennych z 24 stycznia 1991 r. (Dz.U. nr 17 z 1991 r.). Preambuła do tej ustawy mówi o należnym szacunku, szczególnej trosce i opiece ze strony m.in. samorządów terytorialnych. Zamiast tego w dniu 4.10.201 r. spotkała nas pierwsza zniewaga. Drugą zniewagą jest chęć uniknięcia rekompensaty dla Społecznego Komitetu za poniesione nakłady w trakcie przygotowywania projektu. Kolejną zniewagą Zespołu jest gra na zwłokę wobec pokolenia schodzącego.

Jest bardzo możliwe, że głosowanie Zespołu do Spraw Wznoszenia Pomników w dniu 4.10.2016 r. ma wadę prawną – proceduralną, ponieważ łamie przepisy Załącznika nr 1 do Zarządzenia PMP z dnia 20.05.2015 r. nr 334/2015 (Organizacja oraz tryb pracy Zespołu). Po spełnieniu wymogów §3 wspomnianego Załącznika w dniu 22.03.2016 r., tryb pracy Zespołu nie przewiduje żadnych zmian ani odwołań. W związku z powyższym głosowanie Zespołu 4.10.2016 r. może być nieważne z mocy prawa. Sprawa powinna być zbadana z urzędu.

Władze miasta obiecują, że rozpiszą konkurs na projekt pomnika. Obiecują od półtora roku. Odbieramy to jako lekceważenie problemu i nas. Wytworzona przez Urząd Miasta Poznania sytuacja nie da się pogodzić z jednoczesnym werbalnym deklarowaniem rozumienia i popierania idei budowy pomnika.

Wśród patronów akcji modlitewnej Polska pod Krzyżem współczesnymi męczennikami byli franciszkanie bł. Michał Tomaszek i bł. Zbigniew Strzałkowski. Zostali uprowadzeni i zamordowani 9 sierpnia 1991 r. w Peru wraz z burmistrzem Pariacoto Justinem Massą.

Bł. Michał Tomaszek i bł. Zbigniew Strzałkowski

Andrzej Karpiński

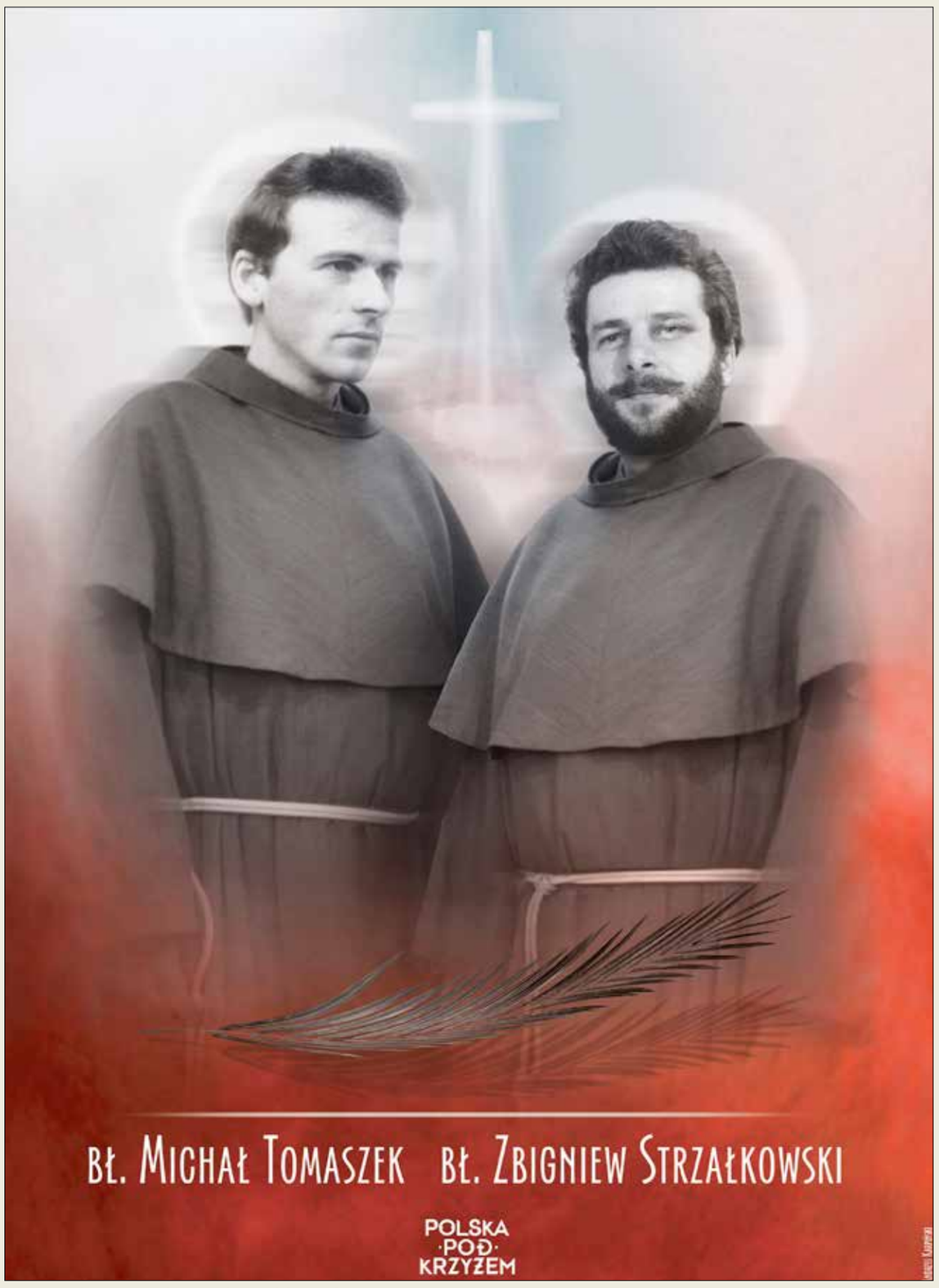

Wizerunek męczenników w akcji Polska pod Krzyżem

Tego okrutnego czynu dokonali członkowie komunistycznej partii Peru „Sendero Luminoso". Zwłoki misjonarzy znaleziono w wiosce Pueblo Viejo, kilka kilometrów od Pariacoto. Ciała miały roztrzaskane i przestrzelone czaszki. Na plecach o. Zbigniewa była przyczepiona kartka z narysowanym jego krwią symbolem sierpa i młota oraz napisem: „Tak giną lizusy imperializmu". Świadek zdarzenia, siostra Bertha Hernandez, Służebnica Najświętszego Serca Pana Jezusa, została także porwana, jednak w trakcie jazdy wyrzucono ją z samochodu. Zdążyła usłyszeć i zapamiętać wypowiadany przez bandytów sąd nad misjonarzami: „Zginiecie za podjudzanie przeciwko rewolucji modlitwą różańcową, kultem świętych, Mszą Świętą i Biblią, za okłamywanie ludu Ewangelią i Biblią, bo wszystko to są kłamstwa, a religia jest opium dla ludu; za głoszenie pokoju, gdyż kto to czyni, musi umrzeć, oraz za imperializm, na którego czele stoi papież Polak".

Liturgiczne wspomnienie błogosławionych przypada nie na dzień ich śmierci – 9 sierpnia, lecz na 7 czerwca, gdy bł. Michał Tomaszek i bł. Zbigniew Strzałkowski zostali wyświęceni w 1986 r. na diakona i kapłana. Zmiany takiej dokonała w 2016 r. Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, na prośbę zakonu franciszkańskiego. Słowa umieszczone na grobowcach męczenników brzmią następująco: „Mocni w wierze, płonący miłością, posłańcy pokoju aż do męczeństwa".

Sylwetki

Podobnie jak w poprzednich realizacjach, potrzebowałem odpowiednich i dobrej jakości zdjęć zakonników. Początkowo byłem przekonany, że nie będzie problemu. Jednak – ku mojemu zdziwieniu – dużego wyboru nie było. Podstawowym źródłem informacji o misjonarzach i ich drodze były dla mnie wspomnienia i relacje ocalałego współbrata zakonników, ojca Jarosława Wysoczańskiego, opublikowane w 2016 r. w kwartalniku „eSPe". O. Jarosław jest utrwalony razem z męczennikami na kilku zdjęciach z Peru. Młodzi, pogodni zakonnicy (31 i 33 lata) nie byli zbyt często fotografowani. A jeśli już znalazłem jakieś ich zdjęcia, to raczej z ich życia prywatnego, bez habitów i bardzo uśmiechniętych. Miałem dylemat, bo do akcji Polska pod Krzyżem odradzono mi przedstawianie uśmiechniętych męczenników. Do dzisiaj kanon przedstawiania świętych nie pozwala na ich uśmiech. Czy jest to uzasadnione teologicznie? Czy jest to raczej część tradycji lub zwyczaj utrwalony w przeszłości przez malarstwo portretowe? Wtedy niemożliwe było długie pozowanie z nieruchomym uśmiechem. Dzisiaj, w czasach fotografii, jest już to możliwe. Przykładem jest utrwalanie lekko uśmiechniętej twarzy św. Jana Pawła II. Czy jest to przełamanie stereotypu?

Owszem, w Starym Testamencie pojawiają się wzmianki o radości wyrażanej śmiechem lub tańcem. W Nowym Testamencie już zaledwie dwa razy. Kościół w średniowieczu zachowywał dystans wobec śmiechu i tańca, uważając je za brak panowania nad duchowością, za głupotę i objaw grzeszności. Jest to niezrozumiałe, gdyż samo słowo 'błogosławiony' oznacza 'szczęśliwy'. Dlaczego więc nie wyrażać szczęścia uśmiechem? Czy w sztukach plastycznych mamy zatem do czynienia z nieprawdziwymi wizerunkami świętych? Portret każdego świętego przedstawia, według tradycji, jego oblicze z ostatnich lat życia lub moment opuszczenia Ziemi. Czy taki wizerunek nie powinien jednak przedstawiać świętego widzianego oczami artysty po śmierci, obcującego z Bogiem i innymi świętymi, nie będąc już ograniczonym czasem i przestrzenią? W przypadku męczenników dodatkowo umieszcza się atrybut palmy męczeństwa lub narzędzia zbrodni. Dlatego też zastanawiałem się, czy w przypadku bł. Michała i bł. Zbigniewa nie umieścić w grafice pistoletu. Jednak z uwagi na całość koncepcji poprzestałem na tradycyjnej palmie męczeństwa.

Wracając do radości w przedstawianiu świętych, pojawia się kolejne pytanie: czy Pan Jezus się uśmiechał? Nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi w Biblii, tak samo, jak nie ma odpowiedzi, czy Jezus np. spał. Ewangelie, Dzieje Apostolskie lub Listy są skupione na tym, co jest niezbędne dla naszego zbawienia, a nie np. na szczegółowym opisie każdej reakcji Pana Jezusa, na składzie posiłków lub opisie przyrodniczym drogi, którą przemierzał. Wiele treści jest przecież pomiędzy słowami. Nie sposób sobie wyobrazić smutnego Jezusa po uzdrowieniu chorego lub podczas pocieszania i przytulania dzieci. W końcu pierwszym cudem, jakiego Jezus dokonał, była przemiana wody w wino podczas nomen omen… wesela. Św. Tomasz z Akwinu pisał, że „używanie żartów i zabaw w stosownym czasie jest rzeczą konieczną, by dać duchowi odpoczynek".

Ilustracja procesu tworzenia wizerunku męczenników Z ARCHIWUM AUTORA

Portrety

W związku z opisanym powyżej „dylematem uśmiechu" postanowiłem znaleźć kompromis. Musiałem zadbać przede wszystkim o to, aby postacie pasowały do pozostałych patronów-męczenników Polski pod Krzyżem. Skorzystałem zatem z możliwie najpoważniejszych (jak na pogodnych misjonarzy) dostępnych zdjęć i rozpocząłem pracę nad portretami. Z uwagi na wymogi jakościowe, potrzebowałem fotografii w możliwie wysokiej rozdzielczości. Posłużyłem się zatem zdjęciami portretowymi wykonanymi jeszcze w Polsce, prawdopodobnie tuż przed wyjazdem zakonników na misję do Peru. Twarze musiałem cyfrowo zmodyfikować i dostosować do ogólnej koncepcji graficznej. Oczy bł. Zbigniewa Strzałkowskiego zamieniłem na bardziej otwarte i pobrałem je z jego innego zdjęcia. Natomiast bł. Michałowi Tomaszkowi celowo nie dodawałem zarostu, aby pozostawić znak, że do misji dołączył rok później.

Wiadome jest, że franciszkańskie habity są czarne, ale nie te na misjach w Ameryce Południowej. Szaty misjonarzy są szare. Dlatego poszukałem zdjęcia z tak wyraźnym habitem, że był widoczny splot tkaniny. Z jednego zdjęcia utworzyłem dwie zwrócone do siebie postacie, z zachowaniem proporcji wzrostu misjonarzy. Pozostał do utworzenia franciszkański, biały sznur (cingulum) z trzema węzłami oznaczającymi złożone śluby. W kolejności od dołu: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Franciszkanie żartują, że ten pierwszy, najbliżej ziemi, najłatwiej się brudzi.

Gdy miałem gotowe twarze i szaty z detalami, pozostało umiejętnie połączyć wszystko w całość. Zwróciłem głowy misjonarzy do siebie i ostrożnie osadziłem je w habitach w miejscach, gdzie zaczynają się kaptury. Całość wycieniowałem. Wyrównałem kontrast i ziarnistość wszystkich części składowych grafiki. Po osadzeniu w tle i ponownym wycieniowaniu, wizerunki błogosławionych Michała Tomaszka i Zbigniewa Strzałkowskiego były gotowe. Zostały wydrukowane na dwóch wielkich formatach oraz powielone w setkach egzemplarzy w formie małych, pamiątkowych obrazków z akcji Polska pod Krzyżem.

Fakty

Błogosławiony Zbigniew Strzałkowski urodził się 3 lipca 1958 r. w Tarnowie. Mieszkał wraz z rodziną w podtarnowskiej wsi Zawada. Ukończył Technikum Mechaniczne w Tarnowie, gdzie pracował w Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli oraz w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Tarnowcu. W roku 1979 wstąpił do zakonu franciszkanów w Krakowie i rozpoczął studia seminaryjne. W grudniu 1984 r. złożył śluby wieczyste, a cztery lata później rozpoczął przygotowania do wyjazdu na misję. Pod koniec roku 1988 wyjechał wraz z o. Jarosławem Wysoczańskim na nową placówkę w peruwiańskich Andach, do małej miejscowości Pariacoto.

Błogosławiony Michał Tomaszek urodził się 23 września 1960 r. w Łękawicy koło Żywca. Wraz z rodziną często pielgrzymował do Sanktuarium Matki Bożej w Rychwałdzie. Ukończył Niższe Seminarium Duchowne Franciszkanów w Legnicy. We wrześniu 1981 r. złożył śluby zakonne i rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym Franciszkanów w Krakowie, gdzie studiował do 1987 r. Po studiach był wikariuszem i katechetą w Pieńsku koło Zgorzelca. Wtedy dowiedział się, że jego starsi koledzy starają się o wyjazd na misję do Peru. Zapragnął do nich dołączyć. Wiedział, jakie tam panują realia i że jadąc tam, ryzykuje życiem. Po intensywnej nauce języka hiszpańskiego i uzyskaniu zezwolenia, także wyjechał do Peru i dołączył do misji.

Na miejscu rozpoczął się czas adaptacji misjonarzy i integracji z potomkami Inków. Misja w Pariacoto obejmowała rozrzucone w terenie górzystym 74 wioski, stanowiące cztery parafie. Sytuacja społeczno-polityczna była w Peru napięta. Dwadzieścia lat wcześniej miało tu miejsce trzęsienie ziemi. Zginęło prawie 90 tysięcy ludzi. Od tamtej pory na tych terenach służyły pomocą siostry Służebniczki Najświętszego Serca Pana Jezusa. Księża pojawiali się rzadko. Dodatkowo misjonarzy zastała dwuletnia susza i epidemia cholery. Mimo to postanowili rozpocząć pracę.

W Pariacoto rozpoczęli budowę pierwszego kościoła, nadając w ten sposób początek formacji miejscowej ludności. Ludzie zaangażowani przy budowie mieli pracę, powoli wychodzili z ubóstwa i porządkowały się ich zaniedbane sprawy socjalne. Sytuacja gospodarcza na tych terenach była bardzo trudna. Ludność nie miała cierpliwości czekać na poprawę i narastały nastroje antyrządowe. Niestety w tym czasie w Peru działali uzbrojeni i szkoleni bandyci, stanowiący najpierw od roku 1970 peruwiańską partię komunistyczną, a od 1980 – zbrojną organizację przestępczą. Jej założycielem był opętany maoizmem profesor filozofii z Limy i jego partnerka-nauczycielka. Trzon organizacji początkowo stanowili indoktrynowani studenci uniwersytetu, przekształceni szybko w zorganizowane grupy bojowe. Nazwisk i nazwy partii nie powtórzę, aby tego nie promować. Celem organizacji była fizyczna eliminacja elit Peru i zniszczenie wszystkiego, co było związane z kapitałem, szczególnie amerykańskim. Szaleńczo pragnęli rewolucji, obiecywali ludności „nowy, wspaniały świat". Zabijali każdego, kto nie chciał współpracować, organizowali przymusowy pobór do „czerwonej partyzantki".

Zdesperowani i przestraszeni Indianie stali się łatwym łupem dla agitatorów maoistycznej partii ludowej, która zdobywała coraz więcej ludzi, terytorium i wpływów. W końcu bandyci nawiązali współpracę z handlarzami narkotyków i żądali od ludności pracy na ich plantacjach. Rząd był zmuszony zaangażować wojsko i rozpoczęła się wojna domowa. Po obu stronach ginęło wielu niewinnych ludzi. Wielu przechodziło także na stronę bandytów. Rozprzestrzeniało się donosicielstwo i wzajemna nienawiść. Liczebność rebeliantów wzrosła z 200 w roku 1970 do… 25 000 w roku 1991. Dopiero ingerencja wywiadu amerykańskiego, dostawy broni i wybór nowego prezydenta w lipcu 1991 r. dały stopniowy kres destrukcji całego państwa. Rebelianci wycofali się do podziemia, rozpoczęły się ich wewnętrzne konflikty i powolny rozpad organizacji. Nastąpiło apogeum wściekłości jej założycieli i najwierniejszych członków, którzy papieża i księży katolickich uważali za amerykańskich agentów.

Polska pod Krzyżem

Dlaczego akurat tam pojechali? Nie mogę wyjść z podziwu, że powołanie misjonarzy było tak silne, że opisana wyżej sytuacja w Peru nie zniechęciła ich do realizacji misji. Wiara, radość głoszenia Słowa Bożego i pomoc biednym okazały się silniejsze od strachu przed jakąkolwiek ideologią i jej skutkami.

W sierpniu 1991 r. w Częstochowie odbywały się Światowe Dni Młodzieży, na które przybył inicjator spotkania, papież Jan Paweł II. W związku ze ślubem siostry o. Jarosław Wysoczański pojechał w tym czasie na urlop do Polski. W piątek 9 sierpnia 1991 r. pozostali w Pariacoto misjonarze Michał i Zbigniew odprawiali wieczorną Mszę Świętą. Na terenie misji było trzech postulantów i kucharka, wspomniana na początku siostra Bertha Hernandez. Tego wieczoru do Pariacoto wkroczyli uzbrojeni bandyci. Uprowadzili burmistrza miasta, następnie wtargnęli do kościoła i uprowadzili siostrę z misjonarzami. Mapka pokazuje drogę, którą przebyli, oraz miejsce męczeństwa.

Zaledwie rok później założyciele tej maoistycznej organizacji przestępczej zostali osądzeni i skazani na dożywocie, a pozostałości aktywistów wywodzących się z lewicowych środowisk uniwersyteckich przekształciły się w handlarzy narkotyków.

O. Jarosław Wysoczański, bł. Michał Tomaszek i bł. Zbigniew Strzałkowski Z ARCHIWUM AUTORA

WWW.AIRBRUSH.COM.PL

Wszystkie wizerunki męczenników-patronów akcji Polska pod Krzyżem są do nabycia w sklepie internetowym fundacji Solo Dios Basta pod adresem: http://sklep.mikael.pl/9-polska-pod-krzyzem.

Kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski jest postacią wymykającą się wszelkim schematom, a przecież większość ludzi, nawet najwybitniejszych, z uwzględnieniem ich indywidualności, w jakiejś ogólniejszej klasyfikacji się mieści.

ŹRÓDŁO: WIKIPEDIA

Prymas z Kongresówki

Zygmunt Zieliński

Prymas Wyszyński, nazwany Prymasem Tysiąclecia, swą „jednorazowość" zawdzięcza zapewne kilku okolicznościom. Na pierwszym miejscu – jak dziś lepiej niż kiedyś widzimy – jest jego duchowość, której obce były tanie efekty, a charakteryzowała ją moc płynąca z wiary przetwarzanej w energię bezkompromisowej postawy budowanej na modlitwie i medytacji. Obecnie widać to lepiej aniżeli za życia Kardynała, zwłaszcza kiedy odsłaniają się coraz bardziej dzieje jego uwięzienia, ukazując właśnie tę medytację, która była obroną przed gwałtem zadanym Prymasowi i zarazem programem jego duszpasterzowania.

Ogromna większość stale rosnącej liczby opracowań poświęconych Prymasowi skupia się na prymasostwie, które można by określić jako coś ostatecznie ukształtowanego lub używając może słowa niewłaściwego – dojrzałego. Prymas był mężem opatrznościowym nie tylko dla Kościoła w Polsce, ale także dla Polski. Chciał nim być i nie krył tego, nauczając z ambony. Dlatego Polacy z czasach spętanych cenzurą i walką z wolnym słowem, a zwłaszcza obezwładniani walką komunistów z Bogiem i Kościołem, jak nigdy właśnie wówczas otrzymywali trafiającą do serc i umysłów naukę ewangeliczną i wykładnię etosu narodowego zakotwiczonego w dziejach Polski.

To jedna okoliczność, ta najistotniejsza, stanowiąca fundament owej „jednorazowości". Druga to był właśnie czas, w jakim przyszło pasterzować Prymasowi. Jego poprzednik, kardynał August Hlond, był do pewnego stopnia „pod ochroną" ze strony władz komunistycznych dążących do uwiedzenia narodu mimikrą mającą stwarzać pozory jakiejś kontynuacji II Rzeczypospolitej. Nadto Hlonda otaczała aura uznanego księcia Kościoła, któremu ówczesna „władza ludowa" nie śmiała stawić czoła, obawiając się zrażenia do siebie ogromnej większości Polaków. Śmierć Hlonda przyszła dla komunistów w samą porę – dlatego być może nie była przypadkowa – gdyż Polska stała już na progu ery stalinizmu.

Nominacja prymasowska Stefana Wyszyńskiego, w dniu 16 listopada 1948 r., wówczas najmłodszego biskupa ordynariusza, którego staż w Lublinie wynosił niewiele ponad 2 lata, była pewnym zaskoczeniem nie tylko dla władz komunistycznych. Początki rządów Prymasa w obu archidiecezjach, gnieźnieńskiej i warszawskiej – ingres do Gniezna odbył się 2 lutego 1949 r. – zbiegły się w czasie z tzw. „zlaniem" PPR i PPS w grudniu 1948 r. i z pełnym już ujednoliceniem rządów komunistycznych w Polsce.

> Prymas był mężem opatrznościowym nie tylko dla Kościoła w Polsce, ale także dla Polski. Chciał nim być i nie krył tego, nauczając z ambony.

Problematyka związana z tym wydarzeniem i z polityką władz wobec Kościoła, a w szczególności wobec nowego Prymasa, jest najchętniej podejmowanym przez badaczy tematem, dlatego pozostawiamy go tu na marginesie. Natomiast autor, mający w pamięci tamte wydarzenia, chciałby rzucić pewne światło na to, co faktycznie towarzyszyło pierwocinom pasterzowania Prymasa, zwłaszcza w archidiecezji gnieźnieńskiej. Okazuje się bowiem, że Prymas Wyszyński nie wniósł tam gotowego autorytetu, ale musiał budować go w cierpliwym trudzie i do momentu swego aresztowania sprawa była przez cały czas *in statu fieri*, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi starsze duchowieństwo.

Niemal nazajutrz po ingresie w Gnieźnie słyszało się głosy ze strony starszych księży, że nowy Prymas to nie Hlond, który swą powagą wzbudzał szacunek nawet u komunistów, że jest zbyt młody, że pochodzi z „czerwonego" przed wojną Włocławka, gdzie podobno sympatyzował komunistyczną lewicą. Także to, że jest synem organisty, wzbudzało nieufność. Opinie takie po kilku latach przywoływano niechętnie, stąd też nie zadomowiły się one w pamięci wielu kapłanów, a przyznać trzeba, że nie przedostawały się one do opinii publicznej, choć krytyka Prymasa znana była w kręgach tzw. księży patriotów, i to nawet jeszcze w latach sześćdziesiątych. Byłem w tym czasie licealistą i miałem częsty kontakt z miejscowymi księżmi, a w konkretnym przypadku pośredniczyłem w malowaniu herbu prymasowskiego na dużej płaszczyźnie i byłem obecny przy rozmowach księży zainteresowanych tą pracą. To, co wyżej relacjonuję, było wtedy przedmiotem ich rozmów i uczyniło na mnie niezatarte wrażenie, powodując weryfikację tych opinii mimo woli dokonywaną już w czasach kleryckich. (Używam pierwszej osoby, gdyż treść eseju zawiera niemal wyłącznie moje własne spostrzeżenia i przeżycia).

W seminarium gnieźnieńskim, gdzie znalazłem się w październiku 1951 roku, spotkałem się z zupełnie odmiennym spojrzeniem na Prymasa. Jego autorytet był tu niezachwiany, a opinie zasłyszane przed dwoma laty traktowałem niemalże jak bluźnierstwo. Kiedy zwierzyłem się z tego jednemu z moderatorów, potraktował mnie bardzo surowo, radząc zapomnieć o tym, ponieważ wzmianki takie, np. do kolegów, mogą zakończyć moją zaledwie rozpoczętą drogę do kapłaństwa. Na II roku wyznaczony byłem wraz z jednym z kolegów do kaplicy w domu prymasowskim, gdzie posługiwaliśmy Prymasowi do Mszy św. Na śniadaniu, w którym uczestniczyliśmy, obecni byli także ks. kapelan Władysław Padacz i ks. infułat Stanisław Bross. Ten ostatni był jednym z wikariuszy generalnych obok biskupa Lucjana Bernackiego. Zaskoczyła nas wtedy familiarność w relacjach Prymas – infułat. Bross był o 6 lat starszy od Prymasa. Byli po imieniu, co podobno zdarzało się Prymasowi jedynie w stosunku do kolegów kursowych. Prymas, którego dotąd wyobrażaliśmy sobie jako surowego, dostojnego hierarchę, okazał się bardzo bezpośrednim, dowcipnym człowiekiem, który z klerykami II roku rozmawiał niemal jak z sobie równymi. Szliśmy w jego towarzystwie w kierunku katedry, wówczas właśnie odbudowywanej po jej spaleniu w 1945 roku przez sowietów. Wyjaśniał nam nową konstrukcję hełmów wieżowych. Podobne wrażenie odnosili wszyscy koledzy wyznaczani do kaplicy prymasowskiej. W porównaniu z monumentalnością Hlonda, Prymas Wyszyński jawił się jako przystępny, dowcipny ojciec – tak go potem wielu nazywało – który jeśli pytał np. o pewne sprawy związane z seminarium, to rzeczywiście oczekiwał rzetelnej odpowiedzi.

W opinii kleryckiej zatem Prymas, który prezentował się także w sposób bardzo korzystny w swych spotkaniach z bracią seminaryjną, zyskał pod każdym względem mir nie tylko zrozumiały, zważywszy jego godność i urząd, ale także w wymiarze czysto ludzkim. Wydaje mi się, że chociaż nie tak często jak na początku jego rządów, ale jednak czasami obijały mi się o uszy jakieś uszczypliwości pod jego adresem, Prymas zyskiwał sobie nie tylko powszechny głęboki szacunek, a także przywiązanie, o którym w przypadku Hlonda trudno byłoby mówić, gdyż wzbudzał przede wszystkim respekt. Od starszego duchowieństwa dzieliło Prymasa pokutujące jeszcze z czasów zaboru przekonanie, że w dawnej Kongresówce nie ma co szukać wzorców. Decydowały o tym często drobiazgi, jak np. wymóg noszenia sutanny w czasie załatwiania spraw w Kurii. Podobno ksiądz, któremu Prymas zwrócił na to uwagę, odpowiedział dość niegrzecznie, nawiązując właśnie do zwyczajów włocławskich. Prymas bardzo szybko skorygował swe postępowanie w takich jak ta, nieważnych sprawach. Krążyła potem po diecezji – prawda czy anegdota – wieść, że podobno Prymas miał powiedzieć, iż księży warszawskich lubi, ale gnieźnieńskich szanuje. To wżywanie się Prymasa w środowisko dotąd mało mu znane czyniło postępy dostrzegalne nawet przez mniej wprawne niż kleryckie oko. W momencie aresztowania zatem można mówić o ugruntowaniu jego autorytetu i o serdecznym poparciu, jakim cieszył się wśród księży i wiernych w obliczu nasilających się ataków władz komunistycznych na niego.

Toteż aresztowanie i wywiezienie Prymasa wywarło na wszystkich, przynajmniej z ówczesnego mego otoczenia, przygnębiające wrażenie. Od czasów aresztowania w 1874 r. arcybiskupa Ledóchowskiego nie zdarzył się taki zamach na Prymasa – głowę Kościoła polskiego. Deklaracja Episkopatu z 27 X 1953 r. zrobiła wrażenie jeszcze gorsze. Osłabiało je to, że wielu nie dawało wiary, iż biskupi mogli zdobyć się na akt dezawuujący Prymasa, choć wiedzieli, podobnie jak każdy ksiądz i wielu wiernych, czym był dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych z 9 II 1953 r. Nie wiedziono wówczas, że ten zadziwiający gest biskupów, mający na celu okazaniem władzom dobrej woli, uczyniony zresztą niechybnie *ad maiora mala vitanda*, nie zmniejszy ingerencji państwa w obsadzanie stanowisk kościelnych, co skazywało, zwłaszcza neoprezbiterów, na tułanie się po „gościnach" proboszczowskich, mając formalny zakaz sprawowania funkcji kościelnych.

Dla seminarzystów gnieźnieńskich miał nastać czas niepewności i pomieszania pojęć pod wieloma względami. Od 1953 roku w Gnieźnie było pełne seminarium – 6 roczników. Szczególnie rok VI, diakoński, mógł się liczyć z tym, że po święceniach władze państwowe uniemożliwią im podjęcie pracy duszpasterskiej. Mogło to spowodować nawet odroczenie święceń. Wszak Gniezno, skąd wysiedlono także sufragana, biskupa Lucjana Bernackiego, nie posiadało żadnego biskupa, a powierzenie święceń biskupowi z zewnątrz mogło spotkać się z wetem władz. Sytuacja zatem po aresztowaniu Prymasa była groźna na wielu płaszczyznach.

Na początku listopada 1953 r. wiadomo było już, że rządy w archidiecezji będzie sprawował nie wikariusz kapitulny, jak przy wakansie biskupstwa, ale wikariusz generalny, sprawujący rządy z polecenia ordynariusza. Ponieważ biskup Bernacki podlegał także banicji, wikariuszem generalnym był ks. infułat Stanisław Bross. Nie mógł on oficjalnie rządzić z polecenia ordynariusza, ponieważ władze, mimo iż Prymas nie był deponowany ze stanowiska, a tylko pozbawiony prawa wykonywania urzędu, nie uznawałyby dokonywany przezeń aktów.

Ksiądz Bross postąpił w tym przypadku co najmniej nieroztropnie. Po pierwsze, zwołał wszystkich kleryków do auli i przez 2 godziny wyjaśniał, jaka jest jego władza. Była ona faktycznie, jak to określał, *postestas ordinaria sede impedita* – czyli zwyczajną władzą w czasie, kiedy rządca diecezji nie mógł jej wykonywać. Słowo „*ordinaria*" wprowadzało jednak zamęt, gdyż sugerowało, że Bross stał się quasi-ordynariuszem, co zresztą z jego wywodów jasno wynikało, gdyż uzasadniał używanie przez siebie wszystkich insygniów biskupich – nawet je demonstrując. Sala reagowała niejednoznacznie. VI rok demonstrował hałaśliwy aplauz. Reszta siedziała ogłuszona. Kilka głosów sekundowało diakonom, ale nastrój był grobowy. W dodatku Bross, wyczuwając go, w ostrych słowach zapytał, czy ktoś kwestionuje jego wyjaśnienia? Skierowanie takiego pytania do kleryków świadczyło o pewnym zagubieniu samego infułata, który w tak dziwny sposób chciał mieć potwierdzenie postulowanych przez siebie prerogatyw.

> Prymas, którego dotąd wyobrażaliśmy sobie jako surowego, dostojnego hierarchę, okazał się bardzo bezpośrednim, dowcipnym człowiekiem.

Po tym spotkaniu czekaliśmy na to, co powie rektor, ks. Józef Pacyna, i ojciec duchowny, ks. Stanisław Szymański. Rektor w ogóle unikał spotkania z klerykami, a ojciec duchowny w czasie nabożeństwa wieczornego wygłosił w kaplicy egzortę, której z chórku przysłuchał się Bross, a której treścią był Bóg jako ojciec wszystkich, do którego wyłącznie należy się we wszystkim zwracać. Aluzja była wyraźna, gdyż Bross postanowił zrobić ingres do katedry, co było szczytem nie wiadomo czego, ale z pewnością nie taktu i roztropności. Jako rządca diecezji *sede impedita*, zatem w czasie, kiedy ordynariusz nie był pozbawiony urzędu, a tylko doznał przeszkody w jego pełnieniu, Bross nie miał prawa odbywania ingresu. Rektor pozostawił, o ile pamiętam, decyzję pójścia na ingres każdemu indywidualnie. Poszedł bodajże tylko VI kurs. Nie zjawił się ani rektor, ani ojciec duchowny. Ten ostatni został usunięty następnego dnia po swej egzorcie, rektor zaś w grudniu tegoż roku. Rektorat objął sam Bross, pozostawiając jako wicerektora biblistę, ks. Felicjana Kłonieckiego. Oliwy do ognia dolały rekolekcje na rozpoczęcie roku akademickiego, prowadzone przez ks. Stanisława Pocztę, ongiś ojca duchownego w seminarium gnieźnieńskim. Był to niewątpliwie wzorowy kapłan, ale w niektórych sprawach dziwak. Dużą wagę przykładał do antropologii, z zastosowaniem do duszpasterstwa, narażając się na nieprzyjemności ze strony wiernych. Rekolekcje zaczął od hasła, które brzmiało: „Jak było, jak jest i jak będzie". Zaraz też dał odpowiedź: było źle, jest dobrze, a będzie lepiej. W kontekście uwięzienia Prymasa brzmiało to jak prowokacja, chociaż z pewnością nią nie było. Zdarzyło się wtedy jedyny raz w praktyce seminaryjnej, że w czasie nauk szurano nogami i buczano. Musiał przyjść sam Bross, by utrzymać porządek. Najdziwniejsze było to, że ks. Poczta wcale nie był przeciwnikiem Prymasa, o co wielu go posądzało, ale po prostu brakowało mu rozwagi.

W seminarium panowała atmosfera swoistego kultu dla Brossa, choć praktykowała go niewielka część kleryków, podczas gdy reszta pozostawała obojętna, choć w rzeczy samej temu przeciwna. Uwięziony Prymas, o którym głośno w seminarium raczej się nie mówiło, stał się dla większości kleryków kimś bliskim w stopniu, o jaki trudno by było marzyć w czasach, kiedy był on na wolności. Oparciem dla zdezorientowanych kleryków była świadomość, że kapituła prymasowska jest niezachwianie wierna Prymasowi, zwłaszcza ks. kanonik, później biskup Jan Czerniak, czy najstarsi kanonicy, jak ks. Stefan Durzyński i ks. Stanisław Tłoczyński. Wszystko to przenikało do seminarium i budziło nadzieję na powrót Prymasa, który teraz już stanowił jedyny i niepodważalny autorytet.

Ksiądz infułat Bross nie był księdzem patriotą, o co niektórzy go posądzali. Archidiecezją rządził w zgodzie z prawem kościelnym. Ale zarazem pewne jego posunięcia budziły podejrzenia, iż nie liczy się on z powrotem Prymasa. Mianował, mianowicie, kilku proboszczów nieusuwalnych, czego od lat nie praktykowano i można było mniemać, że na takie nominacje nie zgodziłby się Prymas. Starał się też skupiać wokół siebie nie tylko pozyskanych kleryków, ale także niektórych księży w parafiach. Co charakterystyczne jednak, wielu unikało bliższych kontaktów z nim, co wyraźnie wskazywało na ich przekonanie, że miarodajny jest dla nich tylko Prymas. W archidiecezji wszakże wywoływało to – nazywane powszechnie „łapichłopstwem" – złe nastroje i niejednokrotnie burzyło zaufanie panujące między kapłanami.

Byłem w 1956 roku już na V roku, zatem blisko święceń, więc starsi księża niejednokrotnie szczerze się w mojej obecności wypowiadali. Raz byłem świadkiem takiej rozmowy między konfratrami, z których jeden doskonale znał Brossa sprzed wojny, kiedy był on szefem Akcji Katolickiej i bardzo zaufanym człowiekiem Hlonda. Usłyszałem wtedy, że Brossa minęło biskupstwo chełmińskie po biskupie Rosentreterze, ale udaremniła je pewna niedyskrecja. Z kierowania Akcją Katolicką musiał Bross ustąpić wskutek jakichś niedokładności w Księgarni Św. Wojciecha. Relacjonujący wówczas te wydarzenia kapłan dodał, że Bross wskutek tych niepowodzeń doznał załamania psychicznego, ale jeszcze bardziej niż przedtem utwierdził się w przekonaniu, iż to właśnie on kwalifikuje się na następcę Hlonda. Stąd – jak dalej twierdził ów kapłan – pewne zdystansowanie Brossa w stosunku do Prymasa Wyszyńskiego, którego zdolności oceniał niżej niż własne. Oczywiście rozmówcy, o których mowa, byli całkowicie innego zdania, ale po prostu chciano zrozumieć przyczyny pewnego dystansu Brossa w stosunku do Prymasa właśnie w momencie, kiedy tamten był uwięziony.

Dla młodego diakona, jakim wówczas byłem, opowiadanie to było podobnym szokiem, jak pierwsze spotkanie z Prymasem, może nawet większym. Toteż zdumiałem się jeszcze bardziej, kiedy na odpuście w Dąbrówce Kościelnej we wrześniu 1956 roku celebrujący sumę infułat Bross nazwał Prymasa swoim poprzednikiem. Wśród księży obecnych na sumie widać było poruszenie. Przecież nikt nie przypuszczał, że za nieco więcej niż miesiąc Prymas powróci na swoje stolice. Ale właśnie ta całkowicie jednogłośna dezaprobata z ich strony świadczy o tym, jak odosobnienie Prymasa przyczyniło się do konsolidacji nie tylko lojalności wobec niego, ale stworzyło atmosferę ogromnego przywiązania do niego nie tylko jako osoby, ale także hierarchy, któremu winni posłuch i wierność jego pasterzowaniu. Odwoziłem wtedy dwóch braci księży. Jeden z nich z całą pewnością należał do krytyków Prymasa w początkach jego rządów. Wówczas, komentując kazanie, byli zgodni, że tylko Prymas może w istniejących warunkach ocalić Kościół w Polsce.

Jeszcze jedno zdarzenie zakrawające na kalambur, a ale nim nie będące. Proboszcz katedry w Gnieźnie, ks. kanonik Raiter w kazaniu powiedział, aluzyjnie zapowiadając powrót Prymasa, że „powitamy niebawem dostojnego gościa". Celebrujący kanonik Stefan Durzyński na zakończenie Mszy św. zwrócił się do wiernych i grzmiącym głosem oznajmił: „nie gościa powitamy, ale gospodarza".

Ostatnim akordem tych ze wszech miar trudnych doświadczeń, z którymi kilka roczników kapłanów rozpoczynało swą służbę, była pierwsza Msza święta sprawowana w katedrze gnieźnieńskiej przez Prymasa – pełniłem wtedy funkcję diakona – kiedy Bross w czarnej sutannie siedział dokładnie za sedilium, które zajmowałem. Prymas w kazaniu mówił o wilkach, którzy wdzierali do owczarni, bronionej przez najwierniejszych z wiernych. Wielu spoglądało w kierunku stall, gdzie siedział ks. kanonik Jan Czerniak i inni kanonicy, ale większość wypatrywała Brossa. Bross przeżywał wtedy upokorzenie równe swej ongiś wybujałej ambicji. Wielu mu współczuło, m.in. piszący te słowa, ale podświadomie przychodziła refleksja, że inaczej być nie mogło, a wiedzieli to najlepiej ci, którzy byli wtedy w tych tragicznych daniach listopadowych po aresztowaniu Prymasa w auli seminarium gnieźnieńskiego i słuchali kazania w Dąbrówce Kościelnej.

> Krążyła potem po diecezji – prawda czy anegdota – wieść, że podobno Prymas miał powiedzieć, iż księży warszawskich lubi, ale gnieźnieńskich szanuje.

Właściwie można zaryzykować twierdzenie, że z Komańczy wrócił Prymas w zupełnie innej kondycji niż ta, w jakiej opuszczał jako więzień Warszawę 25 września 1953 roku. Teraz dopiero miał pełnię władzy, nie tylko jurysdykcyjnej – tę miał zawsze – ale także tej drugiej najważniejszej – władzy nad duszami i sumieniami. Już nikt jej nie kwestionował, nawet jego zagorzali wrogowie. Bross odszedł w cień. Nie zdobył się na *confiteor*, może nie widział racji ku temu i nie byłoby to tak zupełnie bezpodstawne. Jeśli wolał *exilium* aniżeli słowo: przepraszam, to znaczyłoby, iż klęskę poniosła ambicja. Czyli była to klęska nieunikniona, jak nieuniknione było dojrzewanie mocy prymasowskiej w uwięzieniu i odosobnieniu, kiedy wsparcia nie dawały żadne ludzkie rachuby, a jedynie zawierzenie Jasnej Górze i Bożej Opatrzności.

Ks. Zygmunt Zieliński jest emerytowanym profesorem KUL i b. członkiem PAN, historykiem specjalizującym się m.in. w historii papiestwa i Kościoła katolickiego XIX i XX w., profesorem nauk teologicznych, autorem ponad 600 publikacji, w tym 32 książek, oraz publicystą poruszającym problemy współczesności.

Fajne popołudnie

Aleksandra Tabaczyńska

Gdy wracałem ze szkoły do domu, bardzo straszny morderca wychrypiał mi do ucha:

– Słuchaj, mały, masz tu kota. Zaopiekuj się nim albo z kotem koniec!

W rękach trzymałem ślicznego, malutkiego kocurka, który wyglądał prawie jak tygrysek. Pędem poleciałem do domu i od wejścia zacząłem krzyczeć:

– Mamo, mamo, zobacz, co mi dał jeden morderca! – Mama spojrzała groźnie i: – No nie! To jest kot!

– Nazwałem go Deserek i muszę o niego dbać, bo inaczej z kotem koniec. Nauczę go sztuczek, będzie ci przynosił buty, nic a nic nie drapie, tylko cichutko mruczy.

– Uprzedzałam cię wiele razy, że nie życzę sobie żadnych zwierząt w domu. Przyniosłeś już żabę, cały słoik os, ślimaki, nawet dżdżownice i zawsze był z tego dramat. Nie ma mowy!

– Nigdy niczego mi nie wolno! – zawołałem. – Rodzice kolegów pozwalają im na wszystko, tylko ja nic nie mogę!

– Świetnie – ucieszyła się mama – jeśli twoim kolegom wszystko wolno, to daj kota któremuś z nich.

Pobiegłem do Piecyka, pokazałem mu kotka, ale Piecyk stwierdził, że taki kot może zdziczeć, a to jest niebezpiecznie zaraźliwe. Do tego łazi po kuchni i zjada smakołyki, więc nie będzie ryzykował. Piecyk to jednak dobry kumpel i poszedł ze mną dalej szukać opiekuna dla Deserka. Po drodze spotkaliśmy Cykusia, tego najmniejszego ministranta. Rozpłakał się, jak usłyszał historię kotka, ale w domu ma apetycznego ptaszka w klatce i nie chce go stresować. I tak dotarliśmy do Kefira, który bardzo chętnie wziął od nas kicię, ale zanim jeszcze odeszliśmy od drzwi, usłyszeliśmy krzyki jego mamy i Kefir pędem razem z Deserkiem wybiegł z domu. Szyszkę i Lornetę spotkaliśmy, idąc do naszego prezesa Neptuna. Chłopaki bardzo się przejęli losem kocurka, więc też dołączyli do nas.

Otworzył nam tata Neptuna. – O, jaki miły kotek – uśmiechnął się. Prezesa nie było, ale powiedzieliśmy, w czym rzecz, to znaczy, że z kotem może być koniec. Deserek nie mógł niestety zostać u Neptuna, bo on już ma bardzo wrażliwego dachowca, który mógłby dokuczać naszemu. Tata Neptuna zna się na zwierzętach, podarował nam różne witaminy i inne kocie środki. Poradził też, żebyśmy poszli do zastępcy prezesa ministrantów.

Ruszyliśmy w drogę, a idąc do Loka, spotkaliśmy jeszcze kilku chłopaków. Nikt nie mógł zaopiekować się Deserkiem, za to wszyscy chcieli pomóc znaleźć mu dom.

Drzwi otworzył Lok, nie zdziwił się na nasz widok, tylko powiedział, że cały dzień czuł niepokój i teraz rozumie, skąd ten strach.

– To jest Deserek i ja ci go daję – powiedziałem, wręczając mu kota. – Pije mleczko, będzie ci przynosił buty, raczej nie zjada smakołyków i łatwo uczy się sztuczek.

W mieszkaniu Loka oprócz jego rodziny żyje sobie bardzo wesolutki piesek, podobno obronny, choć nieduży. Nie ma się co łudzić, że ten pies polubi Deserka, ale od mamy Loka dostaliśmy na pociechę kocią poduszkę do spania.

Lok jest fajnym prezesem, kilka razy westchnął, ale zaprowadził nas do jednej pani, która bardzo lubi kotki. Pani Anka ucałowała wszystkich, pokroiła całą blachę ciasta z galaretką i każdego poczęstowała. Sama chętnie zaopiekowałaby się Deserkiem, ale ma już rodzinę kotów, i to bardzo zazdrosnych. Pocieszyła nas, że na pewno znajdziemy kogoś odpowiedniego dla kici i podarowała specjalny wiklinowy kosz, do którego pasuje poduszka.

Mieliśmy już witaminy, kosz z poduszką, ale nie mieliśmy opiekuna. Cykuś chlipał, że z kotem koniec. Lok też wydawał się zmartwiony, miał jakieś plany na wieczór i bał się, że nic z tego.

Poszliśmy na skwerek koło kościoła, żeby zastanowić się, co dalej z Deserkiem. Po drodze pytaliśmy w sklepach i napotkanych znajomych, ale nikt nie chciał naszego kotka, za to zebraliśmy jeszcze jedzenie w puszkach, specjalne kocie zabawki i wstążeczkę na szyję.

Na skwerku dwóch naszych ministrantów-fotografów akurat robiło zdjęcia, więc pokazaliśmy im kotka. Peryskop powiedział, że od czasu, kiedy przyniósł do domu zaskrońca, woli nie poruszać tematu zwierząt, a Statyw zawołał:

– O, jaki świetny kocurek, idealny na pasztet! Musiałby tylko trochę skruszeć.

Zatkało nas, a Cykuś rozbeczał się na dobre i chociaż Statyw powiedział: – No co wy, chłopaki, na żartach się nie znacie? – postanowiliśmy, że nie dostanie Deserka.

RYS. ELŻBIETA KOWALSKA

Bawiliśmy się z kicią na skwerku, a Lok zapytał, jak to jest, że my wszyscy mamy wolne popołudnie. Okazało się, że sześciu wyszło z domu na angielski, czterech na trening kosza, dwóch do szkoły muzycznej, a reszta różnie, ale każdy miał jakieś lekcje.

– To co wy tu robicie?! Wasi rodzice myślą, że jesteście na zajęciach!

Na to Piecyk – ten to zawsze coś zbroi – powiedział, żeby Lok się o nas nie martwił, bo wszyscy powiemy rodzicom, że byliśmy pod jego opieką. Lok pobladł i tak się zdenerwował, że płakał już nie tylko Cykuś. A potem spytał mnie, bardzo srogim głosem, skąd mam tego kota. Przyznałem się, że kicię dał mi kolega, który ma kotkę Kawiarenkę, która ma małe kociątka (Śmietankę, Kawkę, Precelka i Deserka). Historię z mordercą wymyśliłem, bo mi się podobała i była fajniejsza od prawdy.

– I nie ma się o co tak wnerwiać – zakończyłem – bo w końcu powiedziałem prawie pół prawdy.

Lok kazał nam usiąść, uważnie wysłuchać tego co powie i zapamiętać do śmierci.

– Nie ma pół prawdy, bo pół prawdy to całe, powtarzam, całe kłamstwo. I każdy, kto dziś nie poszedł tam, gdzie kazali mu rodzice, zasłużył na karę. Po powrocie do domu wszyscy uczciwie macie powiedzieć, co robiliście.

Nagle podszedł do nas ksiądz Marek.

– Co to, chłopaki, jakaś zbiórka w plenerze? O czymś zapomniałem?

– Mamy dla księdza ślicznego kotka! – zawołałem. – Nie zjada smakołyków, nie dziczeje, nie dał mi go żaden morderca, będzie przynosił papcie i bardzo łatwo uczy się sztuczek!

Ksiądz Marek to ma szczęście, dostał najfajniejszego parafialnego kota w całej diecezji, i to z wyposażeniem. A my, w nagrodę za to, że w październiku nikt nie opuścił swojego dyżuru i każdy ministrant był choć raz na różańcu oraz nikt nie dostał pały z matmy (dwóch najgorszych ma dwa plus), za zgodą księdza Marka z piątku na sobotę śpimy na plebanii.

Zauważyliśmy tylko, że Lok był jakby wyczerpany. Zawsze tak jest, że jak ksiądz Marek chce nam zrobić niespodziankę, to starsze chłopaki smęcą. Loka to już zupełnie nie rozumiem, przecież spędził z nami takie fajne popołudnie.

Opowiadanie pochodzi z książki Aleksandry Tabaczyńskiej pt. *Armia księdza Marka*. Można ją nabyć przez internet: **www.facebook.com/Armia-Ksiedza-Marka**. Kontakt z autorką: **ratola@wp.pl**

Limeryki o porządnym zachowaniu

Henryk Krzyżanowski

Czy są drewniaki ze sznurowadłami? Lear pisze, że są. Do tłumaczenia dodałem uwagę o estetyce – co prawda, nagość ulubioną przez twórców fontann, trudno nazwać rozmemłaniem, ale na przykład Prozerpina porywana sprzed poznańskiego Ratusza jakieś szatki ma, zatem można ją tak określić.

W parafrazie politycznej kusiło mnie, żeby napisać „oszukanej w budce na bazarze" ale ktoś mógłby to wziąć za nieeleganckie wykorzystywanie nazwiska. Więc zmieniłem.

There was a Young Lady of Ryde,
Whose shoe-strings were seldom untied.
She purchased some clogs,
And some small spotted dogs,
And frequently walked about Ryde.

Zawsze chciało porządnej się pannie
sznurowadła zawiązać starannie,
gdy, włożywszy drewniaki,
na spacer brała psiaki.
Rozmemłanie przystoi fontannie.

Oszukanej na PełO bazarze
mówią: Dość, niech się Aśćka nie maże.
Wiemy od czasów Lecha,
że wierność to psia cecha.
A człek mądry patrzy na sondaże.

Okręty wiodącej, postchrześcijańskiej armady zachybotały się, zaczęły trzeszczeć, więc zaczęła się bieganina po pokładach, zgadywanie: co z nami jest? Skąd się to wzięło? Jak dalej, bez lęku żeglować po oceanie ziemskiego losu, w styczności z innymi globalnymi flotami – chińskiej państwowej komuny, floty Kalifatu i bezpaństwowej armady kibucowych korsarzy, żyjących z abordażu na osłabione okręty.

Teleinformatyczny Golem

Ryszard Okoń

Zasób zdolności, uwarunkowań, odruchów, motywacji osobniczych oraz prawidłowości działania antyintelektualnych mechanizmów społecznych chyba od tysięcy lat niewiele się zmienił. Tyle tylko, że obecnie mamy sytuację, że teleinformatyka i jej zastosowania stworzyły przegooglowaną na wylot przestrzeń fejsbookowo-tweeterowo-sondażowo-medialną, w której wyżej opisany pakiet zdolności osobniczych i społecznych wytwarza nieprzewidywane, nieznane do tej pory, zaskakujące skutki. „To samo" i teraz działa, ale już „nie tak samo", bo w kompletnie innych, anormalnych warunkach.

Skąd się to wzięło? Przede wszystkim z atawistycznego pogrążania się mas w możliwościach technik i usług teleinformatycznych, przenoszących aktywności ludzkie do przestrzeni wirtualnego mirażu; wszystko to w synergii z innymi wydajnymi technologiami – przemysłowymi, transportowymi – zaprzęgniętymi w służbę człowieka. Dzięki temu rozkręciła się spirala konsumpcyjnego świata. W tle krąży widmo uniwersalnego obowiązku osiągania maksymalnych korzyści, nieustannego dążenia do zdominowania jednych przez drugich, aby nie było wątpliwości, „kto kogo" i czyje ma być na wierzchu.

Techniki teleinformatyczne niosą idee, generują oddziaływania, tworzą wpływy, holują cywilizację pod różnymi sztandarami w różnych kierunkach (z silną przewagą na lewo), ale w tym zamieszaniu dobrze jest szukać takich źródeł cywilizacyjnych automatyzmów, które powodują skutki niezależne od ideologicznych, politycznych inspiracji. Tym np. w fizyce jest prawo ciążenia, a w psychologii odruch bezwarunkowy. Tym są pozaintelektualne motywy działania zbiorowości, które stały się istotnym czynnikiem zmian w dobie teleinformatycznego zaczadzenia. Jak dobrze poszukać, to niektóre prawidłowości odkryjemy w dziedzictwie kulturowym. Zaniedbanie badań czynnika nieintelektualnego byłoby błędem nawigacyjnym w żeglowaniu okrętem, który wpadł w huragan zmian. Oby ten rejs nie skończył się zakotwiczeniem w marksistowskim porcie, w zatoce lewicowej kultury, gdzie normą społeczną jest powszechny terror w imię walki z jakąś dyżurną „niesprawiedliwością".

Przeróżne skutki przynoszą i usługi internetowe, i zasięg błyskawicznej komunikacji, i możliwości rozpowszechniania (tj. przekazy medialne) oraz GROMADZENIA komunikatów, a także możliwości obróbki danych zarejestrowanych przez cookies i podobne automatyczne szpiegowanie, przez sondaże, tworzenie map powiązań społecznych, wymuszanie ujawniania pełnych danych identyfikacyjnych użytkowników usług w celu personifikowania wyników powyższych inwigilacji…

Golem został ulepiony, zanim się połapaliśmy. Np. „syndrom pandemii covid-19" to oczywista ilustracja skutków powyższego „spontanicznego rozwoju" teleinformatyki, przekazów medialnych światowego zasięgu i nawykowego odnoszenia się głównie do reakcji mas. A że przy okazji każdego zamętu mnożą się jawni przestępcy i mniej widoczni pieczeniarze, to jest automatyczna konsekwencja, standardowe zjawisko psychologiczno-społeczne, gdy upada „stare" i puszczają okowy kultury.

Google z Facebookiem to KGB, GRU, STASI, WSI, ABW, BND, CBA, FBI, CIA, Mosad oraz dawny cieć współpracujący z SB plus zbyt wścibski sąsiad i sklepowa. Nadchodzi możliwość skoncentrowania władzy w zamian za poczucie bezpieczeństwa, które ma legitymizować reakcja mas. W imię czego oddawać całą prywatność, swobodę dysponowania środkami finansowymi? Za wygody i ułudę zbiorowego bezpieczeństwa? Za możliwość przynależności do rozdętych ilościowo wirtualnych wspólnot? To są pytania retoryczne, bo tu decyduje atawizm, zbiorowy odruch, masowa reakcja, a nie analiza, rozum, decyzja jednostki.

„Co mi tam cookies, trackery, śledzenie! Ja jestem OK, więc mi nic nie grozi. Niech boją się przestępcy". Tak uważają liczni ludzie. Niby gromadzenie zanonimizowanych danych o preferencjach, wyborach ludzi, o ich powiązaniach, w skali personalnego interesu jednostki nie musi zaszkodzić wprost, bo może „Chiny" nam jeszcze nie grożą (choć pandemia pokazuje, że to nic pewnego). Sprzedanej prywatności jednak nie da się odzyskać, chyba że powstaną globalne restrykcje prawne wobec swawoli internetowych gigantów albo surowe i łatwo egzekwowalne „prawo do zapomnienia" w miejsce śmiechu wartego RODO.

Przestrzeń autonomii decyzji jednostki i jej wolności jest dewastowana. Kurczy się obszar swobody działania w grze z losem, która daje szansę na autonomię decyzji, prawo do spontanicznych zachowań indywidulnych i zbiorowych. To zniknie jak sen złoty, zostanie rozjechane przez algorytmy sztucznej inteligencji szalejące w gęsto utkanej sieci 5G, rozsiadłe w globalnych bazach danych, które pod jakimś anonimowym nadzorem są zawieszone w cyfrowej chmurze.

„Sieć" będzie lepiej i szybciej wiedziała niż ty sam, czego chcesz, czego oczekujesz, a nawet co najprawdopodobniej zrobisz. A wszystko tylko po to, aby uniknąć odwiedzin inkasenta, nie zawracać sobie głowy obsługą coraz większej liczby niby niezbędnych urządzeń technicznych, żeby lodówka mogła sama zadbać o aprowizację właściciela, a samochód nie potrzebował kierowcy albo żeby prawo jazdy zdalnie odebrać bez ceregieli, bo akurat zadarłeś z awatarem urzędnika, któremu „wykrzaczył" się algorytm sztucznej inteligencji. Także policjant wpadnie prewencyjnie cię ostrzec, gdy *artificial intelligence* wykombinuje, że ty coś kombinujesz. Takiemu obywatelowi, który bryka awatarowi czy próbuje wywieść w pole AI, należy się czasowa eutanazja, śmierć społeczna, czyli odcięcie jego smartfona od netu. Jak to nie pomoże, w zanadrzu jest blokada dostępu do wirtualnej gotówki. A że już wszyscy dobrowolnie noszą w kieszeni opaski lokalizacyjne, z którymi nie rozstają się nawet w toalecie, to po co komu zakłady karne?

Przy badaniu społecznych właściwości sieci i Internetu odkryto nieintuicyjne właściwości, prawa, np. opisane w popularnonaukowej książce *Świat sieci złożonych*. Te odkrycia niechybnie są eksploatowane w Google, na Facebooku, w biznesie czy przez służby. Bez aktywności globalnych firm internetowych wirtualny Golem i tak przyniósłby spustoszenie, jak choćby na skutek patologicznego przymierza instytucji władzy, mediów, wizerunkowych manipulatorów i sondażowni, którego ofiarą padły demokracja, transparentność, utrupiono instytucję autorytetu i rzetelność dziennikarską.

Oto przykład jednej z pozaideologicznych i pozakulturowych właściwości z pakietu właściwości mas ludzkich: W końcu zeszłego wieku László Barabási udowodnił wcześniej intuicyjnie odkryte zależności społeczne, opisując matematycznie, poprzez wynalazek modelu sieci pozbawionych skali, że np. w warunkach równej konkurencji bogaci stają się bogatsi, a biedni biedniejsi (jak też zapisano to w ewangelii św. Mateusza), co ostatecznie zdąża do podziału wypracowanych korzyści w proporcji 20/80, tj. 20% właścicieli będzie posiadać 80% zasobów. Pytanie, jak mechanizm potwierdzony analizą matematyczną, który występuje zawsze, skonfrontować z pomysłami wolnej konkurencji w wytwarzaniu i dostępie do korzyści? Bez regulacji, bez ingerencji w wolnościowy system ekonomiczny w najlepszym wypadku powstanie podział 20/80, choćby nie wiem jak namiętnie nawoływać do równości. Albo model sieci Isinga, który tłumaczy, jak i dlaczego mniejszość muzułmańska może przejąć Europę, jeśli Europa się nie opamięta.

Wszystko to (włącznie z syndromem covid-19) bierze się stąd, że nie zauważamy, jak dużego znaczenia nabrały nieintelektualne mechanizmy działania zbiorowości. To taki trzeci umysł, obok jednostkowego intelektu i automatycznego rozumu atawizmów (reakcji odruchowych jednostki) – a wszystkie razem rysują cywilizacyjny fraktal.

Postscriptum

Pytanie, co z szalonymi procesami zmian robić i czy jakkolwiek da się bronić przed dyktatem zbiorowego bezrozumu, który wytycza ścieżkę postępo-regresu? Co musi się stać, żeby przyszło zbiorowe otrzeźwienie co do horrendalnych kosztów tak ewoluującej „nowoczesności"? Do jakich wartości, idei się odnosić w jej recenzowaniu i kto miałby przeprowadzić zbłąkany lud przez Morze Czerwone w ucieczce przed teleinformatycznym Golemem? To wyzwanie tak trudne, że chyba wymaga udziału jakiegoś współczesnego mesjasza, którego nie zatrwożą żywe i wirtualne sługi cyber-Golema.

Jeśli przypadkiem jednak nastąpi totalna zapaść postchrześcijańskiej konstrukcji w północno-zachodniej części ziemskiego globu, to i tak pytania i wątpliwości będą podobne. Chyba, że wszędzie nastąpią „Chiny"… A może bliższy kulturowo będzie „Kalifat"? Choć równie realny wydaje się jakiś globalny kibuc.

Wtedy przyjdzie ulga, bo powyższe pytania i wątpliwości znikną.